

DAVID WEBER  
LINDA EVANS

# OGNIE PIEKIEL

• KSIĘGA PIERWSZA



**DAVID WEBER LINDA**

**EVANS**

**Multiwersum #2 Ognie piekiel**

**tom I**

# KSIĘGA PIERWSZA

*Tytuł oryginału: HELL HATH NO FURY Tłumaczenie: Grzegorz Komerski*

*Dla Megan, Morgana i Mikey Paula, którzy dzielnie wytrzymują ze swoim tatą. Widzicie? Ja naprawdę nad czymś pracowałem!*

*Dla Davida i Aubrey, dla Boba i*

**Susan**

*oraz dla tych wszystkich ludzi,*

*którzy podtrzymują mnie na duchu*

*kiedy nie mam już serca do niczego.*

## PROLOG

Pionowa szczelina w klifie wyglądała na wąską jak ostrze żyletki. Każdy, najszerszy nawet przejazd kolejowy przypominałby nieznaczną cieniutką kreskę, gdyby wydarto go urwistej, wysokiej na ponad trzy tysiące stóp przepaści.

Darcel Kinlafia dobrze o tym wiedział. Przejeżdżał już tędy w drugą stronę – przez to, co autorzy przewodników i geografowie nazywali Szczeliną Traisum – w przeszłości. Niemniej był to widok z rodzaju tych, jakie nie mogły spowszednieć nikomu, nawet ludziom najbardziej obytym z podróжами pomiędzy wszechświatami.

Z tego właśnie powodu, wygramolił się jakiś czas temu ze swojego siedzenia w roztrzęsimym, nieznośnie klekocącym, tak zwanym „wagonie pasażerskim” i wyszedł na pomost. Stąd, z przodu pojazdu, widok miał znacznie lepszy niż z okna. Pociąg rozpoczął właśnie swą długą na cztery mile wspinaczkę ku szczelinie. Darcel stał z rękami na poręczy i uniesioną głową, i przyglądał się jednemu z najbardziej spektakularnych obrazów, jakie mogła zgotować oczom człowieka przyroda. Portal pomiędzy wszechświatami Traisum i Karys był jednym z najmniejszych, jakie do tej pory odkryli Sharonianie. Ściślej rzecz ujmując, miał on jedną z mniejszych powierzchni użytkowych.

*Wavid Weber i Linda Evans*

**Teoretycy utrzymywali bowiem, że w istocie portal ten był dużo większy, z tym, że większa jego część znajdowała się w obu wszechświatach pod powierzchnią ziemi, nad którą wystawała jedynie górna część jego okrągłej tarczy. Ponadto tereny znajdujące się po jego obu stronach różniły się od siebie... bardzo wyraźnie. W Karys, portal wychodził na to, co w rodzimym wszechświecie Darcela Kinlafii byłoby arpathiańskim miastem Zaithag; po stronie Traisum nieco na zachód od miasta Narshalla, w Shurkhal, znajdowały się Góry lthal.**

**Dlatego właśnie widok był tu tak niezwykły. Zaithag leżało zaledwie siedemset stóp nad poziomem morza, podczas gdy górskie grzbiety na zachód od Narshalli, wznosiły się na wysokość ponad czterech tysięcy sześciuset stóp... i traf chciał, że w Traisum jedną z takich gór portal przeciął dokładnie w połowie.**

**Większość ludzi, którzy po raz pierwszy w życiu mieli okazję patrzeć przez portal od strony Karys, odczuwała zaburzenie orientacji i zawroty głowy. Do podobnych obrazów ani ludzkie oko, ani tym bardziej umysł nie były przyzwyczajone; idealnie pionowy, szklisty i gładki klif wysoki na ponad pół mili w swym najniższym miejscu i szeroki na cztery i pół mili.**

**Korzystny zbieg okoliczności stanowiło to, że wszechświat Karys leżał dalej od Sharony niż Traisum. To pozwalało ekipom inżynierów Kolei Trans-Temporalnych podejść do portalu od strony zboczy góry Karys, a nie wprost z jej serca. Sam portal znajdował się w pewnej odległości na wschód od szczytu, co sprawiało, że gdy patrzyło się z kierunku Karys, klif był kilkaset stóp niższy i podejście do niego wymagało pokonania o trzy lub cztery mile krótszej trasy, niż od strony Traisum. Pracownicy KTT już dawno przyzwyczaili się mierzyć z niemal niewykonalnymi przedsięwzięciami budowlanymi, przy których przekopanie Wielkiego Kanału Ternathii czy Kanału Nowofarnalijskiego wyglądało na niedzielny spacer, ale to, z czym mieli do czynienia tutaj, stanowiło granicę nawet dla ich możliwości. Prace nad wydarciem górze tego wąskiego**

## **Ognie Piekieł**

**przesmyku, zabrały im długie lata (i tak wiele ton dynamitu, że Kinlafia nawet nie próbował sobie tej ilości wyobrazić), podczas których nie można było podjąć żadnych poważniejszych prób eksploracji wszechświatów, leżących w dolnej części łańcucha. Szczelina ciągnęła się na pięć mil i głęboka była na tysiąc osiemset stóp w miejscu, gdzie wylot po stronie Ka-rys spotykał się ze szczytem rampy od drugiej strony. W górze wycięto drogę, szeroką na cztery pasy ruchu, po dwa w każdą stronę. Nie trzeba dodawać, że podjazd był bardzo stromy.**

**Lokomotywa zaczęła sapać jeszcze bardziej hałaśliwie niż do tej pory. Wspinając się pomiędzy skałami, parowy silnik musiał pracować bardzo ciężko. Bijący z jej komina pióropusz dymu unosił się ku górze, dodając świeże warstwy brudu i sadzy do**

osadu, który już pokrywał wysokie skały. Kinłafia usłyszał piękny zew ostrzegawczego gwizdka.

Został na pomoście jeszcze przez chwilę i popatrzył ponad dachem wagonu pasażerskiego na wąski pas rozżarzonego błękitu nieba, zawieszonygo wysoko nad sobą. Odetchnął nieco głębiej, wrócił do środka i ponownie zapadł w swoje siedzenie.

„Już niedaleko” – pomyślał. – „Teraz już naprawdę bardzo niedaleko. Przynajmniej do końca tego etapu.”

\* \* \*

Niecałe dwie godziny później, Kinłafia wyjrzał z okna wagonu. Pociągami zatrzęsło i cały skład zatrzymał się przy wtórze ostrego pisku hamulców oraz przeciągłego syku pary.

Było gorąco i mimo miłej przerwy na względny chłód, który panował podczas przejścia przez Szczelinę Traisum, otwarte okna wagonu – którymi zdążyły już wyparować ostatnie resztki wilgoci – jedynie pomagały w przekształceniu jego wnętrza w całkiem sprawną saunę. Niemniej dla Kinłafii ta część podróży i tak stanowiła stanowczą odmianę

losu na lepsze, po wyczerpującej konnej wycieczce przez pustynię w Failcham, której piaski rozciągały się tam, gdzie na Sharonie znajdowały się miasta Yaranhk i Judaih.

Będąc pracującym dla Zarządu Portali Głosem – a także licencjonowanym Ogarem Portali – Kinłafia widział o wiele

*10David Weber i Linda Erans*

więcej zakątków multiwersum niż większość Sharonian. Ale, nawet komuś z jego doświadczeniem, dopiero taka podróż jak ta uświadamiała rozmiar przedsięwzięcia, jakim było badanie i zasiedlanie wielu replik macierzystego wszechświata ludzkości. W normalnych okolicznościach podobna wyprawa unaoczniła również głupotę wszelkich międzyludzkich konfliktów. Mając do dyspozycji tak niewiarygodną ilość przestrzeni i zasobów naturalnych, każdy był w stanie znaleźć dla siebie miejsce, w którym mógł zacząć żyć na własną modłę, nie zagrażając przy tym interesom, czy wolności innych. A także nie drażniąc nikogo postępowaniem niezgodnym z odmiennymi od swoich, przekonaniem.

„A jednak tak się nie dzieje” – pomyślał telepata, zdejmując walizkę z półki zawieszonyj nad siedzeniami. – „Po części zapewne z powodu głęboko zakorzenionej w ludziach krnąbrności. Większość z nas uważa przecież, że to ten drugi powinien

**się wyprowadzić i szukać szczęścia gdzie indziej. No, a ostatnio pojawił się jeszcze problem tych przeklętych Arkanian.”**

**Na chwilę zacisnął mocniej szczękę. Jego brązowe oczy przybrały mroczny, ponury wyraz. Jednak po chwili, wysiłkiem woli opanował nerwy, rozluźnił ramiona i głęboko odetchnął. Długie tygodnie spędzone w uciążliwej podróży, pozwoliły mu nabrać na tyle dystansu do morderstwa Shaylar, że był w stanie przyznać rację księciu koronnemu Janakiemu. Darcel Kinlafia wiedział, że nigdy nie wybaczy rzeźnikom z Arkany zmasakrowania cywilnego zespołu badawczego, a zwłaszcza zabójstwa Shaylar Nargry-Kolmayr. Nie widział nawet powodu, dla którego miałby próbować komukolwiek wybaczać. Janaki nie mylił się jednak, co do tego, że istnieje różnica pomiędzy odmową przebaczenia winowajcom, a budowaniem reszty życia wyłącznie na fundamencie nienawiści. Na nienawiści nigdy nie można zbudować niczego trwałego. Jeśli człowiek pozwoli jej zbyt głęboko wrosnąć we własną duszę, jeśli da się jej zanadto zawładnąć samym sobą, zdolna jest unicestwić każdego równie skutecznie, co wystrzał z karabinu lub pistoletowa kula.**

**Ognie Piekieł**

„To samo może przytrafić się również całej cywilizacji” – pomyślał chmurnie. – „Pan ‘Mów mi Janaki’ co do tego także się nie pomylił. Poza tym, znam przecież wielu Sharonian,

których też nie chciałbym mieć za krewnych. Nie, nie – bądź uczciwy Darcel – znasz wielu Sharonian, których chętnie ujrzałbyś na czyjejs liście ‘do odstrzału’. A zatem – z logicznego punktu widzenia – muszą również istnieć jacyś Arkanianie, tak samo, jak obywatele Sharony, przerażeni perspektywą międzywszech-światowej wojny. Może jedynie pojawić się niejaki problem z dotarciem do nich.”

Prychnął rozbawiony cierpkim humorem ostatniej myśli, trochę tylko – co stwierdził z niejakim zaskoczeniem – zabarwionym goryczą towarzyszącą mu od tak dawna. Choć jednak nieco bardziej, niż tylko trochę. Tak czy inaczej, te rozdierające, nieokiełznane spazmy wściekłości i gniewu, które targały nim za każdym razem, kiedy myślał o masakrze na Polanie Powalonych Drzew, straciły już wiele ze swej pierwotnej agresywności.

„Podkapitan Yar mówił, że tak będzie. Trzeba było go posłuchać.”

FCinlafia zapamiętał sobie, by przesłać Delokhanowi Yarowi pozdrowienia siecią Głosów. Czuł, że to najdrobniejsza z rzeczy, jakie mógł zrobić dla służącego w kompanii kapitana chan Tesha Uzdrowiciela, który tak wiele czasu i wysiłku poświęcił na zmuszenie telepaty do przyznania, że życie – mimo wszystko – toczy się nadal. Co prawda, rany takie jak te zadane jego duszy przez morderców Shaylar nie znikną nigdy, ale z czasem się zabliznią, przekształcając w coś, z czym dorosły człowiek potrafi sobie radzić, nie uciekając przy tym, w bezdenne grzęzawisko depresji i odmowy jakiegokolwiek uczestnictwa w sprawach tego świata. A w jego własnym przypadku...

–Witamy w Forcie Salby.

Kinlafia drgnął. Głos kierownika pociągu wyrwał go z zamyślenia. Mimo swojego arpathiańsko brzmiącego nazwiska, Irnay Tarka był Uromathianinem. Pochodził z niepodległego królestwa Eniath. Pracował w Kolejach Trans-Temporalnych

*12David Weber i Linda Evans*

.”?

i był jednym z setek ludzi, którzy przyczyniali się do podciągnięcia linii kolejowych bliżej Wrót Piekieł. Prace te, w chwili, gdy pojawiła się możliwość przerzucania ciężkiego sprzętu przez Szczelinę Traisum, ruszyły ze zdwojonym tempem. Tory



kończyły się już niecałe czterysta mil od Fortu Mosanik w Karys, co dla całości operacji stanowiło ogromny postęp. Co prawda, linią tą nieprędko jeszcze miały pojechać luksusowe pociągi pasażerskie KTT, ale nawet i te, skromnie wyposażone, niemal prowizoryczne, ciasne wagony pasażerskie były szalonym krokiem naprzód, w porównaniu z dotychczas stosowanym transportem konnym.

Tarka uśmiechnął się, niemal jakby słyszał myśli Kinlafii.

–I jak tam? Siodło mocno dało się panu we znaki? – spytał i telepata parsknął.

–Chyba przyjdzie mi jeszcze kilka dni przecierpieć – odpowiedział Głos. – Ale proszę zauważyć, że ja wcale nie narzekam. Po prostu do końca życia będę już powtarzać, że możliwość posadzenia tyłka na czymś w miarę płaskim i nieruchomym jest prawdziwym darem bogów!

–Zadowolenie pasażerów najwyższym celem KTT – oznajmił Tarka, po czym jego uśmiech nieco przygasł. – Ale zupełnie poważnie, panie Kinlafia. Był to dla mnie zaszczyt.

Kinlafia wykonał dłonią gest, jakby chciał odegnać od siebie krępujące wyrazy szacunku. Poczuł się o wiele bardziej, niż tylko trochę niezręcznie. To kolejna sprawa, którą trafnie przewidział Janaki. Jako jedyny pozostały przy życiu członek, zmasakrowanego zespołu badawczego Konsorcjum Chal-gyn – i na domiar wszystkiego, jako ten konkretny Głos, z którym Shaylar nawiązała połączenie, nadając swój ostatni, bohaterski przekaz -Kinlafia wbrew własnej woli zyskał sobie pewien stopień sławy (czy zły, czy dobrej to już inna sprawa). Nie czuł się z tym komfortowo, ponieważ we własnej ocenie nie zrobił nic szczególnego. Nie zasłużył na zaszczyty. Co więcej – mimo że rozumiał irracjonalność podobnych uczuć – wciąż nie potrafił sobie wybaczyć, że nie zrobił nic, by ocalić przyjaciółom życie.

Ogwe Piekieł

Wydawało się, iż Tarka chce powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymał się i tylko pokręcił nieznacznie głową. Kinlafia odpowiedział jeszcze jednym, skrępowanym uśmiechem i wyciągnął do kolejarza prawą rękę. Tarka zderzył się z nim przedramieniem.

–Powodzenia, Głosie Kinlafia – powiedział. – Życzę panu bezpiecznej drogi do domu.

Tam wielu ludzi czeka z niecierpliwością, żeby usłyszeć o wszystkim z pierwszej ręki.

–Wiem – odparł Darcel i w jakiś niezrozumiały sposób udało mu się nie westchnąć.

Skinął Eniathianinowi głową, ruszył naprzód wąskim korytarzem i wysiadł po

schodkach z wagonu. Stał na spieczonych słońcem, mocno już podniszczonych deskach stacji. Bezchmurne niebo nad jego głową niemal zupełnie zbiałało od upału. Południe jeszcze nie minęło, ale peron był już tak nagrany, że telepata wyraźnie to poczuł stopami, mimo ochrony, jaką oferowały grube podeszwy jego butów. Miał wrażenie jakby stanął na rozgrzanej płycie pieca. Kiedy dotarł wreszcie pod osłonę, przypominającej nieco wiejskie zabudowania wiaty, która rzucała cień na jedną trzecią część peronu był niemal dozgonnie wdzięczny jej pomysłodawcom.

Lokomotywa stała cicho posapując. Strażak z wężem przymocowanym do wieży wodnej uzupełniał jej zapasy płynu. Nie był to jeden z gigantów, które KTT stosowały do przrzucania w kierunku Sharony wielkich ładunków lub dużych grup ludzi. Nie była to także maszyna szczególnie ładnie odmalowana ani utrzymana. Prawdę mówiąc, był to zaniedbany, styrany parowóz, ze staromodnym romboidalnym kominem, schodzącą płacami spłowiała farbą, który nie mógł równać się ze swym wspaniałym, arystokratycznym rodzeństwem. Bez wątpienia znalazł się tu przede wszystkim dlatego, że nowsze i mocniejsze pojazdy pracowały bliżej macierzystego wszechświata Sharonian. KTT mogło sobie więc pozwolić na wyłączenie tej lokomotywy z normalnej służby transportowo-pasażerskiej, a inżynierowie planujący rozbudowę linii wraz z księgowymi, z pewnością stwierdzili, że przed złomowaniem należy ze staruszki wycisnąć jeszcze, co się tylko da.

*David Weber i Linda Evans*

I mimo, że tego typu parowozy, nie mogły się mierzyć mocą ani prędkością, z maszynami w rodzaju nowych modeli Paladynów, Kinlafia nigdy przedtem aż tak bardzo się nie ucieszył na widok jakiegokolwiek pociągu, niż wtedy, gdy pierwszy raz spojrział na rozklekotanego weterana.

Jego myśli pomknęły z powrotem do trudnej podróży, którą odbył, pozostawiwszy za sobą pluton Janakiego i jego niewielką kolumnę jeńców wojennych. Ciężka była już droga do Fortu Ghartoun, ale przeprawa przez Failcham, okazała się jeszcze trudniejsza. I to o wiele.

Standardowe dyspozycje Zarządu Portali stanowiły, by forty, w których stacjonowały garnizony i gdzie znajdowały się centra administracyjne wszechświatów, budowane były -tak, jak na przykład Fort Salby – po bliższej stronie portalu strzeżonego przez Sharonę. W wypadku Fortu Ghartoun planiści poczynili jednak wyjątek. Z kilku powodów. Pierwszym było to, że w Failcham portal łączący Failcham i Thermyrn, znajdował się bardzo blisko miejsca zajętego na Sharonie przez miasto Yarahk. Niestety „bardzo blisko” w kategoriach multiwersum, nie oznaczało bynajmniej tego samego, co „niemal w tym samym miejscu”. Yarahk wyrosło na brzegach potężnej, płynącej na północ rzeki Sarlayn, tuż poniżej jej pierwszej katarakty, prawie sześćset mil na południe od morza Mbisi. Dolina Sarlayn była dostatecznie żyzna” by wykarmić znaczną ilość ludności i Yarahk stało się z czasem popularnym ośrodkiem turystycznym. Portal jednak pojawił się na zachodzie jakieś trzydzieści mil od koryta rzeki, na nagiej, martwej pustyni. Wielki dysk usadowił się na wybitnie nieprzyjaznym obszarze, usłanym wypalonymi słońcem skałami i piachem, gdzie poza samym przejściem do innego wszechświata nie było dosłownie nic. W takim miejscu,

poważnym wyzwaniem mogłoby się okazać już choćby samo zapewnienie wody dla garnizonu ewentualnego fortu.

Jednak trzeba przyznać, że Fort Ghartoun (którego pierwotna nazwa brzmiała Fort Raylthar) także został wzniesiony na dość suchym terenie. Tu jednak przynajmniej Woda znajdowała

**Ognie Piekieł**

się bliżej. Tak samo zresztą, jak Jezioro Śnieżnego Szafiru i Żyła Krwawego Nieba. Umieszczenie ośrodka administracyjnego Zarządu po tej stronie portalu, po której wznosiły się Góry Krwawego Nieba, było więc sensowne, ze względu na mniej uciążliwy dostęp do wody i fakt, że w ten sposób łatwiej było nadzorować eksploatację potężnych złóż srebra, co miało się przecież w przyszłości stać głównym zadaniem miejscowych władz.

Tylko, że lokalizacja Fortu Ghartoun w Thermyrn, w niczym nie uprzyjemniała podróży przez Failcham. Portal Karys-Fail-cham znajdował się na Pustyni Północnoricathiańskiej, w miejscu niezbyt odległym od tego, gdzie na Sharonie leżało miasto Judaih – ponad tysiąc czterysta mil na zachód od Yaranhk. Tysiąc czterysta mil pustyni, na której dla wędrowca różnica między przetrwaniem a czymś wprost przeciwnym, bardzo często sprowadzała się do ilości wody, którą niosło się ze sobą.

Ogromną pomocą okazały się listy polecające i dokumenty podróżne, do których wystawienia książę koronny Janaki nakłonił regimentarza Velveliga. Poza wszystkim innym, pozwalały one Kinlafii korzystać z należących do Zarządu Portali koni, a także – co okazało się szczególnie przydatne w drodze przez pustynię – zyskiwać sobie towarzystwo doświadczonych przewodników.

Jego podróż w stronę domu, odbywała się w zdecydowanie szybszym tempie (i była przy tym dużo bardziej mozolna) niż wtedy, gdy wraz z zespołem pokonywali tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Dzięki dokumentom mógł korzystać nie tylko z koni, ale i z wydmiaków, co okazało się wielkim ułatwieniem w dotarciu do Fortu Mosanik w Karys, strzegącego portalu Karys-Failcham.

Od Fortu Mosanik, położonego mniej więcej w miejscu, w którym na Sharonie znajdowało się miasto Queriz, okolice stawały się przynajmniej choć trochę bardziej przyjazne dla podróżnych, niż tereny, które Kinlafia musiał pokonywać pomiędzy Mosanik i Ghartoun. Oczywiście Depresja Queriz mogła się wydać przyjazna wyłącznie komuś, kto doznał uprzednio gościnności Pustyni Północnoricathiańskiej. Darcel pamiętał,

*Darid Weber i Linda Erans*

że w swoim najniższym punkcie, Depresja sięgała stu stóp poniżej poziomu morza. Dokoła rozsiane były tu słone jeziora, a ziemię porastały głównie ostnica, tamaryszek i piołun. Oczywiście tylko w miejscach, wolnych od martwych piasków pustyni. Niemniej w tych okolicach, częściej niż przedtem, spotykało się oazy, a i ukształtowanie terenu zaczynającego się zaraz na południe od wyżyn, w okolicach Fortu Mosanik było o wiele bardziej sprzyjające i podróżowało się tędy znacznie sprawniej. Poza tym, telepatę cieszył także fakt, że do linii kolejowej miał stamtąd jedynie trzysta pięćdziesiąt mil drogi. Darcel podniósł swoją walizkę i pomyślał, że teraz od domu dzieliły go już zaledwie trzy lub cztery tygodnie podróży.

–Głosie Kinlafia?

Telepata zatrzymał się i odwrócił, słysząc swoje nazwisko wypowiedziane po

ternathiańsku z wyraźnym, obcym akcentem. Człowiek, który go zawołał miał na sobie mundur SZPP z pojedynczym złotym karabinem, oznaczającym stopień kapitana. Był to mocno zbudowany mężczyzna, jakieś dwa cale wyższy od Kinlafii, o smagłej cerze i ciemnobrązowych oczach Shurkhalianina. Nos miał mocno zakrzywiony, spoglądał na przybysza pewnie i bystro.

–Tak, kapitanie?

–Orkam Vargan – przedstawił się Shurkhalianin, wyciągając rękę i zderzając się przedramieniem z Kinlafia. – Jestem zastępcą regimentarza chan Skrithika w Forcie Salby. Dostaliśmy wiadomość, że dziś się pan u nas pojawi\* regimentarz poprosił mnie, żebym wyszedł na pociąg.

–Ach tak?

–Rozumiemy, że spieszno panu z powrotem do domu – powiedział Vargan niemal przeproszającym tonem – ale jest pan pierwszą osobą, która, od kiedy to się stało, podróżuje w tę stronę, a ponadto jest pan... cóż...

Wzruszył nieznacznie ramionami i Kinlafia stłumił westchnienie. Nie pierwszy już raz słyszał coś podobnego.

–1 podejrzewam, że nie spodziewacie się dziś popołudniu następnego pociągu z tamtej strony? – zapytał wskazując ręką.

Ognie Piekieł

–Niespecjalnie – lekki, łobuzerski uśmiezek kapitana podpowiedział Kinlafii, że

oficer usłyszał niewypowiedziane westchnienie. – I dlatego właśnie regimentarz prosił, bym

zapytał się, czy nie zechciałby pan przyjąć jego zaproszenia na dzisiejszą kolację. Oczywiście, jeśli jest pan na to zbyt zmęczony, zrozumiemy. Bogowie – ja sam byłbym wykończony! Ale, jeśli nie, to będziemy zaszczyceni, mogąc zaoferować panu to, co w Forcie Salby zwykliśmy nazywać gościnnością. Tego, że zamierzamy pana przy okazji gruntownie przepytać, nie muszę chyba dodawać.

–Myślę, że jeśli udałoby mi się z was wycisnąć zgodę na długi, gorący prysznic i jakieś dwie godzinki drzemki, to uda mi się jakoś utrzymać pion przy zastawionym do kolacji stole.

–Żaden problem – uśmiechnął się Vargan. – Miejsce w kwaterach oficerskich już czeka. Jeśli zechciałby pan udać się za mną, to odniesiemy tam pański bagaż, a potem osobiście odstawię pana pod najdłuższy i najgorętszy prysznic w dwóch najbliższych wszechświatach.

–No to jesteście umówieni – zachichotał Kinlafia.

\* \* \*

Ku niejakiemu zaskoczeniu telepaty, kolacja w Forcie Salby okazała się nie tylko wyjątkowo smacznym, ale i bardzo przyjemnym przeżyciem.

Salby, w odróżnieniu od innych przyportalowych fortów, które Kinlafia odwiedzał podczas swojej podróży spod Wrót Piekieł, zbudowano już jakiś czas temu. W pewnym okresie-wtedy, gdy Koleje Trans-Temporalne pracowały nad Szczeliną Traisum – Salbyton. Osada rozciągająca się nieopodal fortu, była gwałtownie rozrastającym się miasteczkiem. Rekordowa liczba ludności wynosiła tu siedem, a może nawet około ośmiu tysięcy mieszkańców, choć oczywiście po zakończeniu prac budowlanych w Szczelinie ilość ta szybko spadła. W chwili, gdy Konsorcjum Chalgin wysyłało swój zespół na zwieńczoną zarazem sukcesem jak i nieszczęściem ekspedycję, w Salbyton mieszkało około dwóch tysięcy ludzi, a KTT zgodnie ze swym zwyczajem, zdążyło już zabrać większość

*1 Wavid Weber i Linda Evans*

/

z przenośnych, składanych domków wraz z ich mieszkańcami, stanowiącymi

dotychczas siłę roboczą konstrukcji Szczeliny. Pomimo to, te budynki, które jeszcze w Salbyton pozostały, sprawiały wrażenie solidnych i trwałych, co w tej odległości od Sharony stanowiło prawdziwą rzadkość. Co jeszcze rzadsze, na tutejszej stacji kolejowej pozostały dosłownie całe mile bocznic z czasów, gdy właśnie tutaj urywała się linia kolejowa.

Od tamtego zresztą czasu, ani fort, ani miasteczko zanadto się już nie zmieniły – choć ten stan rzeczy nie miał już trwać długo. Prowizoryczne domki, które KTT przerzuciły na

inne odcinki, bez wątpienia zmierzały już z powrotem w tę stronę, choć być może tym razem nie miały się tutaj zatrzymać. W porównaniu z nowymi, związanymi z Wrotami Piekieł projektami konstrukcyjnymi, budowa Szczeliny mogła się przecież okazać zaledwie drobną wprawką.

Różnica czasu pomiędzy obiema stronami portalu wynosiła dwie godziny. Kinlafia przypomniał sobie, że tutejsze przejście pomiędzy wszechświatami było jednym z najwcześniej odkrytych i pomyślał, że przez jakieś sto lat od powstania portalu, okolice Fortu Salby musiały być, co najmniej... mocno burzliwe. Różnica wysokości nie była tu, co prawda tak znaczna, jak w przypadku niektórych innych portali, lecz i tak wystarczyła do wytworzenia stałego, nieprzerwanego, wiejącego dwadzieścia cztery godziny na dobę i na szerokości trzech mil huraganu, który ustał dopiero gdy wyrównało się ciśnienie. Był to dostateczny dowód na to, jak destrukcyjne siły mogły uwalniać portale, łącząc ze sobą okolice położone na różnych wysokościach. Jeszcze nawet i teraz dawało się wyczuć delikatny, wiejący przez portal wiatr. Niefortunnym zbiegiem okoliczności było tylko to, iż zarówno Zaithag, jak i Nar-shalla były suche i gorące, a gdyby Karys miał choć trochę więcej wilgoci i deszczu, to okolice Fortu Salby powitałyby go z wdzięcznością.

Teraz, kiedy Głos zasiadł ze swymi gospodarzami na zabudowanej werandzie, z tyłu wzniesionego tuż za bramą fortu

Ognie Piekieł

l«)

domu Skrithika, za portalem zapadła już usiana gwiazdami noc, Widok był urzekający, nawet dla ludzi doświadczonych w mic-dzywszechświatowych podróżach. Ogromny, granatowy nocii dysk, górował nad okolicą, otoczony szarościami i beżami tutejszego zachodu słońca. Budowniczo wie weryandy zmyślnie wykorzystali nieustanny powiew z drugiego wszechświata i zorientowali ją tak, że powietrze wewnątrz było wyraźnie chłodniejsze niż temperatura otoczenia.

–Pani Skrithik, to było coś wspaniałego – pochwalił Kinla-fla, odłożył sztucę i oparł

**się wygodniej na krześle, rozkoszując się miłym uczuciem sytości. – Od miesięcy jadam prosie, przyrządzone nad ogniskiem potrawy.**

**–Chyba nie do końca udał się panu komplement – zauważyła Chalendra Skrithik. – Można go bowiem zrozumieć na dwa sposoby.**

**–Ależ ja nie miałem na myśli... – zaczął pospiesznie usprawiedliwiać się Kinlafia, lecz urwał widząc wypływający na usta gospodyni, lekki uśmieszek. Potem ujrzał uśmiech, a wreszcie usłyszał chichot.**

**–Jak pan już pewnie zdołał zauważyć, Głosie Kinlafia – rzekł I**

**cierpko chan Skrithik – moja małżonka dysponuje nadmiarem**

**tego, co sama uważa za poczucie humoru.**

**–Ależ ja mam doskonale poczucie humoru – sprostowała jego żona, unosząc nos do góry przy wtórze głośnego pociągnięcia. – Jak zresztą każda kobieta. Problem polega jedynie na tym, że tak wielu samców naszego gatunku, nie jest w stanie uznać jego wyższości nad waszym rozumieniem pojęcia dowcip.**

**–Osobiście, proszę pani, ja zawsze tę wyższość uznawałem – odpowiedział śmiertelnie poważnie Kinlafia. – A przynajmniej zachowywałem się na tyle rozsądnie, by sprytnie to udawać.**

**–Od razu widać, że mamy do czynienia z prawdziwym mę-drcem wśród mężczyzn - podsumował kapitan Vargan i z cichym westchnieniem pokręcił lekko głową. – Obawiam się, że mnie zdradziło moje własne podłoże kulturowe i to już w chwili, gdy po raz pierwszy starłem się z panią Skrithik.**



*David Weber i Linda Evans*

Ehmm... chciałem rzecz jasna powiedzieć, gdy miałem przyjemność panią Skrithik poznać.

–Ależ Orkam, wystarczyło przecież, że utoczyłam ci kilka marnych kropel krwi, a ty już wiedziałeś, że żyłeś wcześniej w ciężkim błędzie – przypomniała Chalendra i tym razem

Kin-lafia już się roześmiał.

W chwili, gdy usłyszał zaproszenie, perspektywa kolacji nie wydawała mu się szczególnie pociągająca, teraz jednak ogromnie się cieszył, że je mimo wszystko przyjął. Chan Skrithik pod wieloma względami przywodził mu na myśl starszą wersję Janakiego chan Caliratha. Nie był może tak samo wysoki – w gruncie rzeczy niewielu ludzi dorównywało wzrostem księciu – i był od następcy tronu znacznie dojrzały, co widać było choćby po jego jaśniejszych włosach, ale obaj mieli takie same, spokojne, szare oczy. W chan Skrithiku tkwiła też podobna do tej, którą wyczuwało się w Janakim... solidność. Razem z żoną, niczym najlepiej zgrany zespół, pracowali usilnie i sprawnie nad tym, by ich gość poczuł się dobrze i udało im się to z nawiązką. Traktowali telepatę w taki sposób, jak traktuje się osoby znane sobie od lat, a Kinlafia zaczął się w pewnym momencie zastanawiać „czy Chalendra nie przejawia czasem – tak często się przecież zdarzającego – niewykształconego Talentu telepatycznego. Bowiem, wydawało mu się, że kobieta dokładnie wie, co powinna

powiedzieć i zrobić, by sprawić gościowi przyjemność, a Głos nie zapomniał przecież, że od czasu śmierci Shaylar nie był szczególnie łatwym partnerem do rozmowy.

Tak samo, jak jej mąż, Chalendra Skrithik była osobą przynajmniej dziesięć lat starszą od Kinlafii. Otaczała ją identyczna atmosfera siły i zdecydowania, która charakteryzowała tak wiele kobiet, które – nie tracąc przy tym nic z własnej niezależności -postanowiły udać się za swymi małżonkami na pogranicze. W jej ciemnych włosach, dopiero co zaczęły pojawiać się pierwsze srebrne pasemka, a w kącikach jej oczu widać już było kurze łapki. Pozostawała jednak nadal wyjątkowo przystojną kobietą.

Ognie Piekieł

–Tak czy inaczej, pani Skrithik – odezwał się Głos – moim zamiarem było jak najszczerzej pochwalić pani kuchnię. Posiłek był wyśmienity, a możliwość siedzenia na prawdziwym krześle i jedzenia za pomocą porządnych sztućców uczyniła go jeszcze znakomitszym.

–Cieszę się – tym razem sama gospodyni odpowiedziała szczerze i z prostotą. – Zbyt wiele czasu spędziłam podróżując wraz z Rofem żeby nie wiedzieć, jak bardzo musiał się pan wycierpieć, by dotrzeć w tak krótkim czasie aż do Fortu Salby. Rozumiem też powód tak wielkiego pośpiechu. Jeśli uda się ulżyć panu naszą gościnnością choć trochę, to będzie to i tak jedynie mały zadatek do tego, co wszyscy jesteśmy winni za to, czego pan dokonał.

–Proszę mnie nie uważać za jakiegoś bohatera – zaprotestował cicho Kinlafia. – Tak się po prostu złożyło, że to mi przypadło Usłyszeć ostatni przekaz Shaylar i, że to ja odesłałem go dalej. Prawdziwymi bohaterami byli ci, którzy zostali wśród Powalonych Drzew. Oni i ludzie w rodzaju kapitana chan Tesha.

–Ja sam dysponuję Talentem na tyle rozwiniętym, że mogłem Odebrać przekaz USMS i Widziałem ostatnie chwile Shaylar Nargry-Kolmayr – wtrącił Vargan. – Nie chciałbym pana zawstydząć ciągłym wracaniem do tego tematu, ale naprawdę nie byłoby dla mnie zaskoczeniem, gdyby wszyscy, którzy to oglądali mieli problem ze znalezieniem lepszego określenia dla pana niż „bohater”.

Kinlafia wykonał nieokreślony, pełen skrępowania gest i oficer nie powiedział już nic, choć widać było, że gotów był na dłuższą przemowę.

–Tak czy inaczej – odezwał się chan Skrithik, korzystając

z chwili przerwy w rozmowie – jesteśmy wdzięczni za to, co

mógł nam pan powiedzieć o wydarzeniach, które miały miej

sce od czasu masakry. Ja oczywiście otrzymuję informacje z wy

wiadu i kopie większości oficjalnych raportów, ale to jednak zupełnie co innego, niż rozmowa z kimś, kto był tam na miej scu i widział wszystko na własne oczy. Dzięki panu wiele rze czy widzę teraz w innym świetle.

22 *\*David Weber i Linda Evans*

–Cieszę się niezmiernie, że mogłem okazać się choć trochę pomocny – powiedział zgodnie z prawdą Kinlafia.”A także” – dodał już w myślach – „dziwię się, jak niewiele

**mnie to zabolęło. Albo blizna stała się już tak gruba, albo rzeczywiście uczyć się radzić sobie z tym. A może chodzi tu o obie te rzeczy naraz.”**

**–Żałuję, że wyruszył pan w drogę jeszcze zanim rozpoczęły się rozmowy – przyznał Vargan.**

**–Tak? – Kinlafia podniósł na niego wzrok i oficer wzruszył ramionami.**

**–Był tam pan na początku – zauważył Shurkhalianin. – Można nawet pokusić się o stwierdzenie – Vargan uśmiechnął się ponuro – że Widział pan efekty naszych pierwszych prób negocjacji. Żałuję tego, że nie możemy poznać pańskiej opinii co do obcych. Czy są poważnymi partnerami... i czy myśli pan, że coś z tego będzie.**

**–Ja nie byłbym najwłaściwszą osobą do odpowiedzi na pańskie pytania, kapitanie – to zdanie zabrzmiało o wiele bardziej oschle, niż to telepata zamierzał. – Obawiam się, że jestem zbyt mocno emocjonalnie zaangażowany w to, co spotkało Shaylar i resztę naszego zespołu, by móc spojrzeć na tych ludzi chłodno i z dystansem.**

**–Doskonale rozumiem, co ma pan na myśli – zauważyła cicho Chalendra. Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła dłoń Kin-lafii. – Nie sądzę, by ktokolwiek spośród ludzi, którzy obejrzelik przekaz ostatniej wiadomości od Shaylar spodziewał się po panu czegokolwiek więcej, Darcel.**

**–Być może – udało się mu nie westchnąć i zdobył się nawet na lekki, pełen wdzięczności uśmiech. – Aczkolwiek muszę przyznać, że osobiście mam ogromną nadzieję, iż te rozmowy cokolwiek przyniosą. Aby to mogło się jednak wydarzyć, obcy będą musieli się zgodzić na ukaranie osób odpowiedzialnych za masakrę. Nie mieści mi się w głowie, by Sharona mogła zrezygnować z tego warunku.**

**–Owszem, z tego co wnioskuje śledząc przekazywane siecią Głosów informacje, jest to prawdopodobnie absolutne minimum**

**Ognie Piekieł**

naszych żądań – przytaknął chan Skrithik. – Z drugiej jednak strony...

Regimentarz urwał, gdyż na werandzie pojawił się jego or-dynans z butelką lekko schłodzonego wina i zaczął je rozlewać do czekających już kieliszków.

–Obawiam się, że o naprawdę dobre wino jest na tym naszym końcu świata nieco zbyt trudno, ale ten rocznik wyszedł, co najmniej przyzwoicie – przyznał komendant.

–Snob! – prychnęła jego żona.

–Po prostu staram się korzystać z wszelkich przyjemności, jakie zechciało oferować nam życie – odpowiedział z pełną dostojeństwa miną regimentarz. Ordynans tymczasem oddalił się z godnym podziwu, obojętnym wyrazem twarzy.

W żywym spojrzeniu Chalendry pojawił się jaśniejszy błysk, ale zrezygnowała z podjęcia rękawicy. Kinlafia pomyślał, że gospodyni najprawdopodobniej odłożyła pojedynek na później.

–Zauważyłem coś, co wyglądało mi na sztandar uromathiań-skiej kawalerii – Głos zmienił temat, zanim żona komendanta miała szansę zmienić zdanie. – Czy to znaczy, że cesarz Chava wysyła nam posiłki?

–Tak, ale nie aż tyle, ile by chciał – mruknął Vargan pod nosem, na co chan Skrithik obdarzył swojego oficera surowym spojrzeniem. Prawda, że bardziej wyobrażonym, niż realnym.

–Uromathia jako pierwsza wysłała swoje wojska na pomoc w dół łańcucha - regimentarz odpowiedział na pytanie telepaty. – Owszem, przyznaję, że kiedy usłyszałem, że się tu pojawia sam miałem poważne wątpliwości. Mówiąc zupełnie między nami – nadal nie dowierzam w czystość intencji Chavy. Ale Słoneczny Pan Markan, ich dowódca, nie wykonał ani jednego podejrzanego ruchu. Okopali się i starają się jak najlepiej zintegrować z naszymi tutejszymi strukturami. Gdyby nie to, że Markan jest tego wieczoru na ćwiczeniach, zaprosiłbym go na naszą kolację. Poza tym, nikt nie może mu odmówić staranności i zaangażowania, a także – powiem to brutalnie – dzięki nim liczebność naszych sił zwiększyła się bez mała dwukrotnie.

–Ale nie wysyła ich pan dalej? Bliżej strefy kontaktu?

**–Nie, nie wysyłam. Czy raczej nie robi tego dowództwo SZPP. Jestem pewien, że z**

**co najmniej kilku powodów. Po pierwsze, pojawiłyby się kłopoty logistyczne.**

**Uromathianie**

**nie mają na wyposażeniu standardowego sprzętu ani uzbrojenia SZPP, więc samo tylko**

**zapewnienie dla nich amunicji byłoby dość trudne. Dopóki linia kolejowa nie dosięgnie Fortu**

**Ghartoun, to Salby jest naturalnym „punktem stop” dla całego Łańcucha Karys. Prawdę**

**mówiąc już teraz mamy tu nieliczną kolekcję najdziwniejszego sprzętu, którego pozbyły się arsenały i zbrojownie w górze łańcucha. Jakiś geniusz z Reyshar przysłał nam nawet tuzin ciężkich dział Yerthak – parsknął chan Skrithik. – Początkowo miały pomóc w walce z przemytnikami w Reyshar. Podobno mają tam z nimi spore problemy. No, ale najwidoczniej panika po masakrze wśród Powalonych Drzew dotarła tam wcześniej niż do nas i przez to przesłali nam te potwory bezpośrednio tutaj. I dopóki nie położą torów przynajmniej do Ghartoun, to muszę je tu trzymać. A te cholerstwa ważą przynajmniej po pół tony sztuka. Zresztą ciężar to jedno, ale tempo, w jakim pożerają amunicję byłoby prawdziwą drzazgą w dolnej części pleców dla każdego zaopatrzeniowca. Nie sądzę, by chan Tesh potrzebował do swoich polowych umocnień czegoś w tym rodzaju, prawda?**

**Oblicze regimentarza wyrażało taki niesmak, że Kinlafia nie mógł powstrzymać chichotu. Przez chwilę obawiał się, że obraził gospodarza swym śmiechem, ale chan Skrithik także uśmiechnął się cierpko, wyszczerzył zęby i pokręcił głową.**

**–Niemniej podejrzewam, że to mimo wszystko lepiej, kiedy ludzie przysyłają nam coś, czego nigdy nie użyjemy, niż gdybyśmy rzeczywiście zaczęli potrzebować tego, co już mamy. Ale wspomniałem o tych działach tylko po to, żeby uzmysłwić panu, jakiego rodzaju trudności wiązałyby się z pchnięciem Uromathian naprzód.**

**Kinlafia w zamyśleniu przytaknął skinieniem. Między słowami chan Skrithika słyszał także wszystko to, czego komendant nie powiedział. Głos ani przez chwilę nie wątpił, iż Bal-kar chan Tesh zrobiłby niemal wszystko za otrzymanie**

**Ognie Piekieł25**

**dwutysięcznych posiłków, które pomogłyby mu utrzymać Wrota Piekieł. Z tym, że w skład tego „prawie wszystkiego” nie wchodziło dopuszczenie Uromathian do praktycznie decydującego głosu w rozmowach z Arkanianami. Bez względu na to jak bardzo Słoneczny Lord Markan nie pracował nad utrzymaniem poprawnych**

stosunków i współpracy z chan Skrithikiem, dopuszczenie do tego, by stał się przełożonym chan Tesha – co, biorąc pod uwagę jego stopień wojskowy i arystokratyczne pochodzenie, stałoby się niemal pewne -było czymś, czego nie mógł sobie życzyć na całej Sharonie nikt, poza samymi Uromathianami.

„Polityka” – pomyślał rozpaczliwie telepata. – „Wszędzie ta polityka. Jak Janaki mógł pomyśleć, że ja będę mógł zmienić tu cokolwiek?”

Przed oczami stanęły mu twarze rodziców. Ojciec telepaty pracował jako profesor językoznawstwa na Uniwersytecie Re-siam w Nowej Farnalii, a matka była Utalentowaną Uzdrowicielką. Oboje mieli dość wyraźnie określone poglądy na politykę, co było jednym z

niewyjawionych Janakiemu powodów, dla których Kinlafia wahał się przed przyjęciem książęcej propozycji. Oboje byli zajadłymi przeciwnikami „przestarzałego i klasowego” systemu opartego na „ugruntowanej patriarchalnej, arystokratycznej odmowie masom udziału w procesie podejmowania społecznych decyzji”. Biorąc pod uwagę, że oboje byli obywatelami jednej z najbardziej wojujących o równouprawnienie republik Sharony, sami osobiście nie mieli zbyt dużych doświadczeń z ową „arystokratyczną odmową”. Niemniej Kinlafia wątpił, by jego rodzice na wieść o podjęciu przezeń kariery polityka, z radości wyciągnęli bębny i odtńczyli arpathiań-ski taniec radości.

–Czy wiadomo coś na temat Aktu Zjednoczenia? – zapytał po chwili. – Zdaje się, że w momencie, kiedy odbierałem ostatni przekaz telepatyczny nadal istniały jeszcze jakieś, wymagające dopieszczenia... kwestie sporne.

–Rany, ależ z pana dyplomata – mruknął chan Skrithik i uśmiechnął się łobuzersko.

*David Weber i Linda Evans*

Wie pan, ja nie pochodzę ani z Ternathii, ani z Uromathii – zauważył Kinlafia. – Mam nadzieję, że nie weźmie pan tego do siebie, ale my na Nowej Farnalii zawsze obserwowaliśmy wasze swary z lekkim rozbawieniem. I proszę mnie źle nie zrozumieć. Z tej skonfliktowanej dwójki, zawsze bardziej po drodze było mi z Temathią. W końcu to stamtąd przybyło na Nową Farnalię najwięcej kolonistów. Niemniej, jestem zmuszony przyznać, że skoro od pojawienia się portali, ludzkość ma do dyspozycji całe multiwersum, ta „rywalizacja supermocarstw” zawsze wydawała mi się nieco nierozsądna.

–Gdyby nie to, że z tą rywalizacją wiąże się stałe niebezpieczeństwo, iż przerodzi się ona w coś wyjątkowo mało zabawnego, pewnie nawet bym się z panem zgodził - odpowiedział chan Skrithik. – Na przykład Orkam, który urodził się nieco bliżej Uromathii niż pan, z pewnością nie docenia wesołości całej tej sytuacji. W zasadzie, to pokusiłbym się o stwierdzenie, że im bliżej granic cesarza Chavy mieszka dana osoba, tym mniejsze ma poczucie humoru.

–Zdaję sobie z tego sprawę – przyznał nieco zmieszany Kinlafia. – Jeśli moje słowa zabrzmiały tak, jakbym nie dostrzegał żadnej różnicy pomiędzy cesarzami Zindelem i Chawą, to serdecznie przepraszam. Co więcej, miałem niedawno okazję spędzić dużo czasu z księciem koronnym Janakim i odkryłem, że jest to młodzieniec, sprawiający pod wieloma względami... wybitnie korzystne wrażenie. Myślę, że takie moje reakcje jak powyższa, biorą się stąd, że dorastałem z dala od tego konfliktu, a przy tym zdążyłem się przekonać jak

wielkie jest multiwersum. Zastanawiałem się nawet niekiedy, czy nie byłoby warto wręczyć Uromathii i Ternathii po jednym, całym wszechświecie i pozwolić im się w nich rozgościć.

–Szczerze wątpię, czy znalazłby pan drugiego człowieka skłonnego poprzeć pomysł oddania Chavie do zabawy całego świata – wtrącił oschle kapitan Vargan. – Problem bowiem

polega na tym, w jaki sposób wykorzystalby on jego bogactwa. Obawiam się osobiście, że

Chava należy do tych ludzi, którzy nigdy nie mają dosyć i nigdy nie czują, że ich władza

sięga już

# Ognie Piekieł



dostatecznie daleko. Jedynym użyciem, jaki Uromathia uczyniłaby z pańskiego prezentu, byłoby wykorzystanie go jako odskoczni do podboju reszty multiwersum.

–Obawiam się, że przynajmniej co do osoby cesarza Chavy, Orkam się nie myli - przyznał z westchnieniem chan Skrithik.

–Nie można też powiedzieć, że to jedyny taki egzemplarz, regimentarzu – dorzucił Vargan nieco upartym tonem. Najwyraźniej rozmawiał już na ten temat ze swoim przełożonym wcześniej. – Odkąd Markan dowiedział się o propozycji Aktu Zjednoczenia i wysuwanej kandydaturze na cesarza nas wszystkich, stał się o wiele bardziej... drażliwy.

–Owszem, nie przeczę - zgodził się chan Skrithik – ale i ty Orkam zrobiłbyś się drażliwy, gdyby na twojego cesarza wybrano Chavę. A Markan jest Słonecznym Lordem. Chcąc nie chcąc jest przecież mocno zaangażowany w wewnętrzne rozgrywki polityczne swego kraju. Jeśli nie zapomnimy o tym wszystkim, to chyba nie powinniśmy się dziwić jego reakcjom?

–Raczej nie – odezwał się Darcel, dyplomatycznie wkraczając pomiędzy dyskutantów – ale proszę mi powiedzieć, czy zachowanie Słonecznego Lorda Markana stało się przez to jakimkolwiek problemem?

–Nie, to nie tak – odpowiedział chan Skrithik. - Markan jest tak samo oddany służbie, jak każdy zawodowy oficer, z którym przyszło mi dotąd służyć. Nie pozwala swemu niezadowoleniu – niezadowoleniu najzupełniej zrozumiałemu i naturalnemu – stanąć na przeszkodzie naszej współpracy. Tyle, że to w pewien sposób tylko jeszcze wyraźniej unaocznia istotę problemu. Większość Uromathian poddaje się w takich sytuacjach wpływowi swego władcy i nawet, jeśli większości Uromathian nie stanowią oszalali na punkcie władzy wariaci, to Chava niestety jest właśnie kimś takim.

–1 jest przy tym cesarzem Uromathii – podkreśliła Chalen-dra i pokręciła głową. – Co gorsza, jego synalkowie niezbyt różnią się od swojego kochanego tatusia.

Tym bardziej powinniśmy być wdzięczni wobec delegatów na Konklawe, którzy zachowali przynajmniej tyle zdrowego

*David Weber i Linda Evans*

rozsądku, by postawić na kandydaturę cesarza Zindela – powiedział Vargan, w którego głosie pobrzmiwał entuzjazm, z jakim Kinlafia z rzadka tylko miał do czynienia poza świątyniami.

–Z tym nie mogę się nie zgodzić – przytaknął telepata – ale czy to, co przed chwilą usłyszałem oznacza, że Akt został już ostatecznie zatwierdzony?

–Jeszcze nie – odparł Skrithik i prychnął niecierpliwie. – To znaczy nie był jeszcze zatwierdzony jakieś półtora tygodnia temu.

Kinlafia skinął na znak, że zrozumiał zastrzeżenie komendanta. Niekiedy trudno było cały czas pamiętać o tym, jak bardzo daleko od Sharony znajdowały się miejsca w rodzaju Fortu Salby. Sama myśl o tym, że przesłana siecią Głosów wiadomość podróżowała do Traisum ponad tydzień, była trzeźwiącym przypomnieniem ogromu dystansów, które wchodziły tu w grę.

„Oczywiście, gdyby nie konieczność pokonywania mórz i oceanów, nie trwałoby to aż tak długo” – przypomniał sobie natychmiast telepata. To właśnie konieczność przewożenia Głosów przez zajęte przez wodę obszary – których po drodze do Traisum było aż nadto – do miejsc odpowiadających ich wrodzonemu zasięgowi, winna była tak poważnej zwłoce.

–A zatem nadal nie wiadomo, czy Uromathia podpisze ten dokument – oznajmił po chwili.

–Och, jestem przekonany, że Chava w końcu sprezentuje nam wszystkim swój autograf – odparł chan Skrithik. – Nie ma przecież większego wyboru. Nawet on musi rozumieć, że pojawienie się Arkanian zmieniło wszystko.

–Tak myślisz? – zapytał z kwaśną miną Vargan. Chan Skrithik podniósł na niego wzrok i kapitan wzruszył ramionami. – Logicznie rzecz ujmując, masz rację - ciągnął. – Ale mówię ci, Rof – ten facet nigdy nie przyłoży nawet palca do stworzenia imperium światowego pod rządami Calirathów. Chyba, że znajdzie w tym wszystkim jakiś sposób na podpełznięcie do tronu.

–Możliwe, że masz rację – zgodził się chan Skrithik z miną człowieka, który już nie po raz pierwszy toczy tę samą dyskusję.

**–Na ile znam Chave, to nawet pewnie ją masz. Ale jeśli tak jest, to nadal pozostaje dwiema różnymi sprawami: co on myśli, że utarguje, i to, co utarguje w rzeczywistości. Nieważne, za jakiego podstępnego spryciarza i mistrza intyng uważa się Chava Bu-sar. Nieważne, ponieważ tak czy inaczej nie zechce na serio wkurzyć Zindela chan Caliratha. Wierz mi.**

**–Jeśli Zindel jest choć trochę podobny do własnego syna, to skłaniałbym się ku opinii regimentarza – powiedział Kinlafia.**

**–Co i tak nie oznacza, że Chava nie spróbuje czegoś wrednego, prawda? – zauważył Vargan. – A jeśli tak, to nadal może z tej historii wyniknąć jakaś mocno widowiskowa katastrofa.**

**–Owszem, to możliwe – przytaknął skinieniem chan Skri-thik. – Ale Głos Kinlafia pytał tylko o to, czy Uromathia zgodzi się na Unifikację, czy nie. A ja mam wrażenie – oparte na przekazach medialnych i raportach, które otrzymuję z innych źródeł – że się zgodzi. Oczywiście, że będzie trochę... pozorowanego oporu, ale o ile cesarz Zindel zgodzi się na żądanie by Janaki poślubił Uromathiankę, to Chava nie będzie mieć już wyboru i podpisze Akt.**

**–Janaki ma się ożenić z Uromathianką? – Kinlafia nie zdołał ukryć obrzydzenia, wyraźnego na jego obliczu i w głosie. Chalendra Skrithik prychnęła. I nie był to – jak zauważył telepata – odgłos zadowolenia.**

**–To właśnie jest ten słynny podstęp Chavy – powiedziała. – I tak, jak twierdzi Rof, myślę, że już to dostał. Według ostatnich wiadomości, które ja odebrałam, głosowanie nad poprawką do aktu dotyczącą tego małżeństwa, miało się odbyć trzy dni temu. Wynik powinniśmy, więc poznać za jakiś tydzień.**

**–Rozumiem.**

**Kinlafia oparł się wygodniej i upił łyk wina z „pryzwoitego rocznika”. Zaczął się zastanawiać nad tym, co właśnie usłyszał od Chalendry. Dziwnie było tu siedzieć i wiedzieć, że wyniki głosowania najprawdopodobniej pędziły już przez wszechświaty do Fortu Salby. Jeszcze dziwniej było mu myśleć o ambiwalentnych uczuciach, z jakimi powitałby jego możliwy wynik. Mimo optymizmu, z jakim wszyscy powitali pojawienie się**

*David Weber i Linda Erans*

dypłomatów z Arkany, Kinlafia ani na chwilę nie przestał myśleć, że Sharona powinna przekształcić swe struktury w jakiś organizm z grubszą odpowiadający takiemu, jakim prawdopodobnie dysponowała druga strona. Sharona po prostu musiała doprowadzić

do zjednoczenia swych wiecznie wadzących się, konkurujących ze sobą narodów. A mimo to, myśl o tym, że książę koronny Ternathii zostanie zmuszony do poślubienia jednej z córek czy bratanic Chavy Busara, wydała mu się obrzydliwa. Owszem, z takimi sprawami prowadzący politykę dynastyczną królowie i cesarze mieli do czynienia od tysiącleci, ale Kinlafia czuł, że lubi Janakiego. Nawet bardzo.

„I zupełnie nie podoba mi się to, co powiedział Vargan” – myślał Głos. – „Dlatego, że jeśli Chava rzeczywiście uważa, że to jest sposób na posadzenie swego tyłka na tronie, to musiał zaplanować też jakiś sposób na usunięcie Janakiego.”

I to się Darcelowi Kinlafii nie podobało. Bardzo mu się to nie podobało.

„Wygląda zatem na to, że otrzymałem właśnie jeszcze jeden powód, by zająć się polityką. Może przynajmniej z tym uda mi się cokolwiek zrobić” – pomyślał sącząc wino i podniósł oczy wprost w rozmigotane gwiazdami niebo nad Karys.

„A

Si\*-

:M:

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dowodzący Tysiącem Klayrman Toralk, mimo silnych podmuchów wiatru, siedział prosto w siodle przypasanym do grzbietu smoka dowodzenia, dzięki czemu mógł wyglądać nad osłoną. Nawet i on musiał się zgodzić, że widok jest imponujący. Kilka ostatnich smoków transportowych, z łuskami połyskującymi w ostatnich promieniach słońca niczym drogocenne klejnoty, lądowało właśnie, jak wielkie owady, na nielicznych wysepkach skupionych pośrodku ciągnącego się całymi milami bagna. Niestety „imponujący” to nie do końca to samo, co „sprawnie zorganizowany”. Prawdę powiedziawszy, Toralko-wi cisnęło się na myśl zupełnie inne określenie „piekielnie niesprawny”.

Lądowanie nie tylko sprawiało wrażenie źle przeprowadzonego. Ono – co oficer z

**goryczą przyznawał – było takim w istocie. Mimo głębokiego szacunku, jaki Toralk żywił dla swego bezpośredniego przełożonego, wiedział, że na podobny pomysł mógł wpaść tylko sznur lądowy. Dowolny oficer Sił Powietrznych, gdyby tylko rzucił okiem na topograficzne mapy terenu, powiedziałby bez chwili wahania, że ktoś tu oszalał. Umieszczanie tak wielu smoków, zarówno transportowych jak i bojowych – bardziej drażliwych i nerwowych – na tak niewielkiej**

*David Weber i Linda Evans*

przeestrzeni, stanowiło jawne pogwałcenie wszelkich regulaminów i zdroworozsądkowych zasad postępowania.

„Szkoda tylko, że sam Ekros nigdy nie słyszał o tych zasadach i nie miał w rękach ani jednego z tych regulaminów” – pomyślał Toralk. – „Choć może jednak i miał. W końcu nawet demony miałyby problem z naruszeniem wszystkich paragrafów, gdyby nie znały ich brzmienia.”

Tysięcznik zachichotał i w dźwięku tym dała się nawet słyszeć minimalna dawka zdrowego poczucia humoru. Gdyby nie to, że Dowodzący Dwoma Tysiącami Harshu tak usilnie nalegał na to rozwiązanie, Toralk powiedziałby mu wprost, że tego rodzaju manewr jest niewykonalny. Na szczęście jednak dla Arkany (i być może dla osobistej wrażliwości Tysięcznika Toral-ka) Harshu zupełnie nie przejmował się regulacjami dotyczącymi bezpieczeństwa, obowiązującymi w czasie pokoju. Nie przejmował się ani nimi, ani też większością zasad taktu i wychowania. Za to gotów był zaakceptować kilka ewentualnych ofiar – tak wśród smoków, jak i ludzi – jako cenę za podciągnięcie sił Toralka jak najbliższej nieprzyjaciela, w celu jednoczesnego zminimalizowania zmęczenia zwierząt i jak najpełniejszego wykorzystania ich zasięgu.

„Wygląda więc na to, że Neshok, ta mała podstępna gnida, nie mylił się co do tego, że uda mi sieje tutaj pomieścić. Udało się” – przyznał w duchu oficer.

Ostatni ze smoków wylądował nieco przed wysepką i z bagna wystrzeliła wysoka fontanna błota i wody. Szczęśliwie nie było tu głęboko i zwierzęciu nie groziło ani utonięcie, ani ugrzęźnięcie w trzęsawisku. Zaklęcia lewitacyjne utrzymały platformę z ładunkiem i pasażerami ponad lustrem wody, a smok dobrnął do brzegu. Toralk był pewien, że gdyby znajdował się nieco bliżej miejsca wypadku, doleciałby go barwny chórek przekleństw i krzyków stłoczonych na platformie piechurów. Co prawda, żołnierze zostali uratowani przez zaklęcia chroniące przed zamknięciem, ale nie przed szaleńczymi wstrząsami cielska smoka, gramolącego się z bagna. Poza tym, woda i błoto wyrzucone chwilę temu w górę, musiały na czymś wylądować. A także na kimś.

**Ognie Piekieł**

Mimo stresu, Toralk wyszczerzył się za swymi goglami w uśmiechu, po czym pokręcił głową, pochylił się i zastukał w hełm pilota.

–Tak, tysięczniku? – pilot musiał nieco unieść głos, ale lecieli śmiesznie powoli, więc krzyk nie był konieczny.

–Siadajmy, półsetniku Larshal – polecił Toralk i wskazał palcem nieco większą od innych wysepkę, położoną pomiędzy mniejszymi, zatłoczonymi teraz pagórkami, które zostały wytypowane na punkt zborny.

–Tak jest! – odpowiedział Larshal i smok dowodzenia pochylił się, unosząc jednocześnie koniuszek lewego skrzydła. Zaczęli kołować, wdzięcznie opuszczając się ku ziemi.

Toralk spojrział na zachód. Resztki promieni znikającego słońca nadal barwiły tam horyzont. Pomyślał, że ten biwak nie będzie przyjemnością dla nikogo. Zresztą może to i dobrze. Żołnierze, którzy byli w tej chwili wkurzeni z powodu konieczności tarzania się w błocie i znoszenia nieustannych ataków owadów, powinni zacząć strzelać do tych, którzy tę

konieczność spowodowali z dużo większym... entuzjazmem.

\* \* \*

Hulmok Arthag czuł się źle.

Gdyby nie domyślił się tego ktoś, kto nie znał podkapitana zbyt dobrze, byłoby to zupełnie zrozumiałe. A właściwie nie chodziło tu o znajomość z podkapitanem, co o obycie z arpa-thiańskimi Septami, których kamienne oblicza zazwyczaj nie zdradzały niczego. Tak, jak w tej chwili twarz Arthaga.

Żołnierz stał pod leśnym baldachimem – rzadszym niż wtedy, gdy nieco ponad dwa miesiące temu, obcy dopuścili się rzezi zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn – i wpatrywał się w gęstą ciemność przed świtem. Bardzo tęsknił za rozległymi równinami swej ojczystej krainy. Życie było tam o wiele trudniejsze i cięższe, lecz zarazem znacznie mniej skomplikowane.

–Za ile sprzedasz swoje myśli, Hulmok?

Arpathianin usłyszał głos młodszego kapitana Dorzona chan Baskaya i odwrócił się. Ternathiański kawalerzysta wyglądał wręcz nieprawdopodobnie schludnie i czysto – o tym, że był





*David Weber i Linda Evans*

świetnie ubrany i dokładnie ogolony nie warto nawet wspominać. Mogło to dziwić, zważywszy, iż człowiek ten nocował w środku lasu, w namiocie i na dodatek zbliżała się właśnie zima. Arthag zastanawiał się niekiedy, czy nie istniał ku temu odpowiedni Talent, ujawniający się szczególnie w arystokratycznych rodzinach, z których rekrutowali się dyplomaci Cesarstwa Ternathii. Z takiego właśnie rodu pochodził chan Baskay, który raczej nigdy nie pałał szczególną ochotą podjęcia kariery w dyplomacji.

„Co tym dobitniej jeszcze dowodzi, że szamani mieli świętą rację. Człowiek nie jest w stanie oszukać swego przeznaczenia” – podsumował w myślach Arthag i kąciki jego warg niemal niezauważalnie wygięły się ku górze.

–Zapewniam, że nie są warte zbyt wiele – odpowiedział Ter-. nathianinowi po chwili.

–Och, jestem pewny, że są – odparł chan Baskay. Hulmok uniósł brew o ułamek cala i kawalerzysta wzruszył ramionami. – Wiele słyszałem o twoim „instynkcie” do dobierania sobie podkomendnych. I choć muszę przyznać, że twoja twarz jest obliczem zawodowego hazardzisty, to dość jasno widzę, że ten instynkt właśnie się w tobie odezwał. I to mocno. Wiem o tym, bo czuję to samo.

–Naprawdę?

–Hulmok, oni roztnąwiająz nami już cały miesiąc. Miesiąc, podczas którego nie.powiedzieli nam nic ponad to, że chcą negocjacji a nie strzelaniny. A przez ostalpie półtora tygodnia dosłownie sypią piasek w tryby tych naszych rozmów. I to obiema rękami. Pewnie ty też zauważyłeś, że dziwnie zbiegło się to z chwilą, w której dostałem formalne instrukcje od cesarza. Myślisz, że to, iż ich granie na zwłokę stało się jeszcze bardziej intensywne wtedy, kiedy ja przestałem grać na czas, to czysty przypadek?

–Nie, nie wydaje mi się – Arthag pokręcił głową. – I mam wrażenie, że ty także uważasz, że to nie jest zbieg okoliczności.

Mężczyźni wymienili się spojrzeniami. Na twarzy chan Ba-skaya malowała się cała frustracja i gniew, na jakie mógł sobie

**Ognie Piekieł35**

pozwoić zasiadając za szybującym w powietrzu stołem, po którego drugiej stronie zajmowali miejsca dyplomaci z Arkany. Brak wyrazu na obliczu Arpathianina wyrażał

dokładnie te same uczucia. Obaj zastanowili się nad pozerstwem, jakiemu przez ostatni tydzień poświęcali się Arkanianie. Rithmar Skirvon, starszy z dwóch obcych, usztywnił swoje stanowisko. Wstępna, ugodowa linia rozmów została zaniechana niemal całkowicie. Teraz wydawało się, że Skirvon dąży do obarczenia odpowiedzialnością za tragedię, do jakiej doszło wskutek kontaktu wojska z jego świata, z cywilnym zespołem badawczym z Sharony właśnie tych ostatnich.

W porównaniu z nastawieniem, z jakim rozpoczynał rozmowy, była to znacząca zmiana akcentów. Dorzon chan Baskay był jednak pewien, że przynajmniej pod jednym względem Ar-kanianin otrzymał identyczne, co i on polecenia. Żadna ze stron nie zamierzała oddać partnerom kontroli nad skupiskiem portali we Wrotach Piekieł. Chan Baskay co prawda nie musiał tak jawnie dążyć do... dyskusji na ten temat, ale to wyłącznie dlatego, że

to właśnie Sharona zajmowała obecnie ten wszechświat. Zamiary obcych były dlań jednak całkowicie oczywiste.

Zupełnie nie potrafił natomiast pojąć, z jakiego powodu Skir-von dążył do zerwania negocjacji. A że do tego dążył było coraz bardziej jasne. Nie zachowywał się bowiem jak ktoś, kto po prostu chowa się za niemożliwym do ruszenia murem sztywnych poleceń swoich przełożonych. Ostatnio miała za to miejsce cała seria „nieporozumień” i „uzasadnionych wybuchów gniewu”. Teraz chan Baskay nie potrzebował już nawet pomocy Talentu Trekara chan Rothaga. Sam doskonale wiedział, kiedy Skirvon kłamie. Wystarczyło jedynie stwierdzić, czy Arkanianin w ogóle coś mówi, czy nie.

–Hulmok – odezwał się po chwili i spojrzał, jak na siebie dość ponuro – mam bardzo złe przeczucia. Ale nic ponadto. Nie dysponuję ani jednym konkretnym argumentem na

uzasadnienie swojego niepokoju. Jeśli więc ty wiesz o czymś takim, to chciałbym, cholera,

dowiedzieć się o tym zanim znowu za dwie godziny usiądę naprzeciwko tych drani.

*36David Weber i Linda Evans*

Arthag popatrzył badawczo na Ternathianina i lekko wzruszył ramionami.

–Ja jestem osobą Utalentowaną – przyznał, choć z kilku po

wodów niechętnie dzielił się tym z kimkolwiek. – Nie jest to

żaden z często występujących Talentów – ciągnął – ale prze

chodzi z ojca na syna w moim rodzie od pokoleń. To dzięki nie

mu z mojej rodziny wyszło tak wielu szamanów.

–1...? – ponaglił go chan Baskay, widząc, że Arpathianjn się zawahał.

–Nie potrafię czytać w ludzkich myślach, nie potrafię też, jak Rothag, nieomylnie stwierdzić, czy ktoś kłamie czy nie, ale potrafię stwierdzić, co... tkwi w człowieku. Wiem, czy ktoś jest godzien zaufania, wyczuwam czy jest uczciwy. Potrafię powiedzieć, czy dana osoba w chwili próby weźmie nogi za pas, czy do końca będzie walczyć z przeciwnościami. Potrafię też poznać takich – tu spojrzął chan Baskayowi prosto w oczy – którym się wydaje, że mogą bezkarnie i niezauważenie dźgnąć kogoś nożem w plecy.

–Rozumiem, że tym ostatnim określeniem opisałeś szkołę dyplomacji, którą reprezentują ludzie, z którymi przyszło mi rozmawiać. A przynajmniej dwóch jej adeptów -Skirvona i Da-stiriego – prychnął chan Baskay.

–Tu nie chodzi o zwykłą dwulicowość, czy oszustwa przy grze w karty, Dorzari,<sup>^</sup> dodał poważnie Arthag. – Tu idzie o prawdziwe noże.

–Jak to? – chan Baskay zeszywniał. – O czym ty mówisz?

–Chodzi mi o to, że ich wczorajszy „wybuch słusznego oburzenia” został starannie wyreżyserowany. Chodzi mi o to, że kiedy Skirvon zażądał naszych przeprosin za sprowokowanie tego incydentu użył zdań, które bez wątpienia ułożył sobie z góry i po

wielokroć wcześniej przećwiczył. Chodzi mi o to, że oni wszyscy czekają na jakiś dokładnie

określony moment. To nie jest po prostu wytyczony kierunek działania, Dorzon. Oni działają

wedle harmonogramu. I do szału doprowadza mnie to, że nie mam bladego pojęcia, co jest w

tym harmonogramie następnym punktem porządku dziennego.

Ognie Piekieł37

Chan Baskay zmarszczył czoło. Dowodzący Pięćdziesięcioma Tharian Narshu, dowódca „gwardii honorowej”, towarzyszącej Skirvonowi i Dastiriemu, wystąpił wczoraj z wściekłą tyradą, wywołaną trywialnym i nic nieznaczącym sporem między

**jednym z jego ludzi, a którymś z kawalerzystów Arthaga, jaki miał miejsce jeszcze dzień wcześniej. Arkaniański oficer nawet „pozwolił sobie” położyć dłoń na rękojeści swego miecza, co w oczach chan Baskaya było raczej wyrachowaną pozą, niż poważną groźbą. Narshu musiał zdawać sobie sprawę jak skończyłaby się potyczka jego nielicznej, uzbrojonej jedynie w białą broń, grupki z uzbrojonymi w rewolwery HW Sharonianami.**

**Ale z daigiej strony, oficer na stanowisku Narshu musiał równie dobrze być świadom ciążącej na sobie odpowiedzialności i zadań, jakie stoją przed dyplomatami. Jeśli nawet nie on, to musieli czuć to dyplomaci, których on tutaj strzegł. A mimo to, Skirvon udzielił mu jedynie bardzo łagodnego upomnienia, choć przecież obaj dyplomaci powinni zdawać sobie sprawę z negatywnych konsekwencji, jakie mogą wyniknąć, jeśli arkaniański dowódca nadal będzie służył swym ludziom tak złym przykładem.**

**–Jak mocno jesteś o tym przekonany, Hulmok? – spytał po**

**chwili chan Baskay. – O istnieniu tego harmonogramu?**

**–Nie tak bardzo, jakbym sobie życzył – przyznał Arthag. – Gdyby tu szło o Sharonian,**

**miałbym sto procent pewności. Ale oni są przecież obcy – wzruszył lekko ramionami. – Cały**

**czas staram się sobie powtarzać, że istnieje niewielka możliwość, że coś źle interpretuję. W**

**końcu jeszcze dwa miesiące temu nie podejrzewaliśmy nawet ich istnienia... Ale mimo to...**

**Chan Baskay skinął głową i pomyślał, że nie podoba mu się sposób, w jaki żołądek ściska mu się w ciasny węzeł.**

**–Jestem pewien jednego – powiedział, ostrożnie cedząc słowa. – Oni nie rozmawiają z nami po to, by dojść do jakiegoś realnego porozumienia. Wiem to choćby stąd, że kłamią, jeśli chodzi o całe mnóstwo spraw.**

**–Na przykład? – Arthag uniósł pytająco brwi.**

**–Na przykład w kwestii śmierci Shaylar – wyjaśnił ponuro chan Baskay. – A także w tych swoich, raz po raz ponawianych**

**»K**

zapewnieniach, co do chęci osiągnięcia kompromisu, w sprawie „obustronnie akceptowalnego” rozwiązania kontroli nad skupiskiem.

–1 pewnie co do tego, kto strzelił jako pierwszy? – spytał Arthag.

–Nie – chan Baskay skrzywił się. – Co do tego akurat nie kłamią. Tak przynajmniej twierdzi Rothag. Sami nie mają pojęcia, kto zaczął pierwszy. Co jeszcze dziwniejsze, wydaje się, że prawdą jest również to, że oficer, który dowodził ich oddziałem starał się zapobiec masakrze naszego zespołu.

–Chyba Rothag powinien jednak ponownie przebadać moc swojego Talentu - zauważył zgryźliwie Arthag.

–Wiem, wiem – powiedział chan Baskay z miną człowieka, który ma ochotę wyrwać sobie garść włosów z głowy. – Sam przecież. Widziałem ostatni przekaz Shaylar i wiem, że chan Ha-grahyl wstał z ukrycia z pustymi rękami i, że zastrzelili go tak, jak strzela się do wściekłych psów. Ale oni utrzymują, że ich oficer nie wydał takiego rozkazu, że nie tego chciał i Talent Rothaga zdaje się potwierdzać wersję obcych.

–Może dlatego, że sami są przekonani o jej prawdziwości – zachnął się Arthag. – Podejrzewam, że ten bydlak, ten ich dowódca, okłamał własnych przełożonych, żeby się wybielić.

–To także możliwe – chan Baskay pokręcił głową z wyrazem twarzy na poły zirytowanym i na poły pełnym nadziei. – Nadal żałuję, że Shaylar nie zdołała skontaktować się z Kinla-fią wcześniej – skrzywił się. – Wiem, że głupio to brzmi. To, że w ogóle udało się jej w takich warunkach nawiązać łączność i potem ją utrzymać mimo tego wszystkiego, co działo się z nią i dokoła z jej przyjaciółmi... Bogowie! Samo to, to istny cud! Nie wyobrażam sobie, jakiego hartu ducha wymagało utrzymanie połączenia. Niemniej, nie Słyszeliśmy, ani nie Widzieliśmy niczego, co działo się zanim zginął chan Hagrahyl.

–Ale tak czy inaczej wiemy, co się tam wydarzyło – przypomniał Arthag. – Darcel, to znaczy Głos Kinlafia, był połączony z Shaylar tak ściśle, że dowiedział się tego z pobocznych śladów emocji. Poza tym, ona mu to wszystko Pokazała.

### Ognie Piekieł 39

–Jasne. Pamiętaj jednak, że ona mu Powiedziała i Pokazała jedynie swoje wspomnienie padającego, bezbronnego chan Ha-grahyla i bełtu tkwiącego w jego gardle. To mimo wszystko nie to samo, co Oglądanie czegoś w momencie, kiedy się rzeczywiście dzieje. Dysponujemy tylko tym, co przekazała Kinlafii. Nie mamy jednak pojęcia o niczym, co miało miejsce choćby na chwilę wcześniej. Nie można też mieć

**pewności, że Shaylar widziała wszystko, albo, że nie uznała jakiegoś kluczowego wydarzenia za nieistotne. Mogliśmy nie mieć szansy obejrzenia najważniejszych kilku sekund.**

**–Przykro mi Dorzon – odezwał się po chwili Arthag – ale nie jestem sobie w stanie wyobrazić niczego, co mogłoby tak bardzo wpłynąć na ocenę sytuacji. A zresztą, nawet gdybym coś takiego sobie wymyślił, to i tak nie miałoby to już żadnego znaczenia.**

**–Wiem, wiem – chan Baskay zapatrzył się w leśną gęstwinę. – Niemniej oni cały czas tłumaczą, że nie chcieli doprowadzić do tego, co się stało. Twierdzą, że wszelkie ich przepisy dyktują, by kontakt z ewentualnymi nieznanymi, ludzkimi cywilizacjami przeprowadzać metodami pokojowymi. I to także potwierdza Talent Rothaga. Wydaje się, więc, że ich rząd rzeczywiście wydał takie rozporządzenia, a tylko tam, w terenie coś poszło źle. Szczerze mówiąc, to jedyna dająca nadzieję rzecz, jaką od nich usłyszałem! Rzecz jasna ta nadzieja błędnie przyćmiona wszystkim innym... zwłaszcza tym, co ci podpowiada twój Talent.**

**–A zatem – zapytał powoli Arpathianin – co masz zamiar zrobić?**

**–Wielkie dzięki – uśmiechnął się chan Baskay – w zasadzie, to możesz mi zadać do rozwiązania jeszcze kilka nierozwiązywalnych problemów. Nie krępuj się.**

**–No cóż, w końcu jesteś starszy stopniem – zauważył rzeczowo Arthag. – Mój awans został potwierdzony ledwie w zeszłym tygodniu. Poza tym, to ty tu jesteś dyplomatą.**

**–Tak, wiem – chan Baskay zabębnił palcami prawej dłoni o udo i wzruszył ramionami. – Po pierwsze chan Treskin musi Błysnąć wiadomość do kapitana chan Tesha. Poinformuję go o naszych wątpliwościach i niepokoju, i poproszę o instrukcje.**

*Darid Weber i Linda Evans*

Po drugie, Rokam będzie musiał przekazać tę samą wiadomość kapitanowi Halitu, który odeśle ją w górę łańcucha do regimen-tarza Velveliga.

Arthag przytaknął skinieniem. Starszy zbrojny Virak chan Treskin był Błyskaczem, którego zadanie stanowiło Błyskanie przesyłek do starszego Błyskacza przypisanego do chan Tesha, młodszego zbrojnego Tairsala chan Synarcha. Młodszy kapitan Rokam Traygan, był z kolei Głosem chan Tesha. Brak ludzi z Talentem telepatycznym, który pozwalałby na długodystansową komunikację był jednym z poważniejszych problemów Sharo-nian,

stacjonujących we Wrotach Piekieł. Traygan pierwotnie miał zostać w dowodzonej przez Halifu formie, strzegącym portalu w Nowej Uromathii. Niemniej w pewnym punkcie rozwoju wydarzeń musiał zastąpić tutaj Darcela Kinlafię, który wyruszył wraz z księciem koronnym Janakim z powrotem na Sharonę. Na całe szczęście Zarząd Portali zdołał jakimś cudem przysłać trzeciego telepatę – Arpathianina, podkapitana Shan-saira Baulwana, który objął służbę w formie Halifu. Podjęto też starania o jak najszybsze przysłanie do strefy kontaktu jeszcze jednego podobnie Utalentowanego człowieka. Póki co, jednak ani we Wrotach Piekieł, ani w Nowej Uromathii nie było ani jednego wolnego” telepaty, a chan Baskay potrzebował jak najsprawniejszego obiegu informacji i jak najdokładniejszej metody przekazywania, korespondencji dyplomatycznej w obie strony. Wypracowano więc rozwiązanie polegające na przydzieleniu Traygana jemu, a Baulwaną, do Halifu, w krytycznym punkcie, w którym łączyły się ze sobą wszechświaty. Chan Tesh tymczasem, który znajdował się w potencjalnie najtrudniejszej z nich wszystkich sytuacji, musiał sobie radzić za pomocą pisemnych raportów, przesyłanych dzięki Talentowi Błyskaczy. Nie było to rozwiązanie zbyt eleganckie, ale do czasu przybycia kolejnych głosów niczego lepszego nie było można wymyślić.

–Tymczasem? Zanim nadejdą instrukcje? – zapytał po chwili kawalerzysta.

–A tymczasem – odparł chan Baska, uśmiechając się chmurnie – będziemy robić wszystko, co w naszej mocy. Wydaje mi

Ognie Piekieł

się, że powinniśmy zaufać twojemu Talentowi, mimo że nic mamy tu do czynienia z Sharonianami. Chciałbym więc, żebyś porozmawiał ze swoimi ludźmi. Nie chcę, co prawda, żeby zaczęli chodzić z palcami na spustach, ale nie byłoby też dobrze, gdybyśmy zostali zaskoczeni przez Arkanian, realizujących jakiś kolejny punkt swojego harmonogramu.

–Z mieczami i kuszami przeciwko pistoletom i karabinom?

–Jeśli to rzeczywiście wszystko czym dysponują, to sytuacja będzie inna – chan Baskay pokręcił głową. – Ale z drugiej strony nie wolno nam pozwolić sobie wobec nich na najmniejszy stopień pogardy. Co prawda od miesiąca nie widzieliśmy nawet śladu żadnej ich superbroni, ale istnieje przecież zupełnie realna możliwość, że nie pokazali nam jeszcze wszystkiego i czekają tylko, żebyśmy się uspokoiili i opuścili gardę.

–Słuszna uwaga – przytaknął Arthag. – Porozmawiam z ludźmi.

–Świetnie. A kiedy obcy się tu dziś pojawią, chciałbym mieć cię pod ręką. Trzymaj się blisko Skirvona i Narshu.

\* \* \*

Rithmar Skirvon zsiadł z grzbietu konia – konia nie poddanego najmniejszej nawet magicznej mutacji – którego Sharo-nianie pożyczili mu na podróż z portalu na bagnach. Żałował teraz, że nie poświęcał ostatnio więcej czasu na trening jazdy wierzchem. Co prawda wiele części jego organizmu cieszyło się z obecnego zadania, ale pośladki miały w tej kwestii diametralnie odmienne zdanie. A ta nieszczęsna szkapa, którą otrzymał od gospodarzy nie poprawiała sprawy. Dyplomata podejrzewał nawet, że specjalnie wybrali dla niego konia o szczególnie chybotliwym chodzie.

Przestał się jednak nad tym zastanawiać, oddał lejce żołnierzom półsetnika Narshu i ruszył w stronę dobrze już sobie znajomej polany, gdzie czekała nań delegacja z Sharony. Opadłe liście szeleściły mu pod stopami niczym zeschnięte na wiór smocze łuski. Powietrze było chłodne i orzeźwiające, zwłaszcza w porównaniu z wilgotnymi upałami wszechświata, z którego Skirvon przybył.



*David Weber i Linda Evans*

„Gospodarze” nie wyglądali na szczególnie ucieszonych z jego przybycia. Stali pod barwnym baldachimem tworzonym przez korony leśnych gigantów. Skirvon zaczął się zastanawiać, co wydarzy się za chwilę i chyba nigdy nie cieszył się bardziej ze swojego wieloletniego doświadczenia w prowadzeniu podobnych rozmów. Co więcej, jego upodobanie do hazardowych gier w karty, w których szczególnie cenił sobie rozgrywki o wysoką stawkę, także okazało się w przeciągu zeszłych dwóch czy trzech tygodni bardzo pomocne. Jego twarz wyćwiczona była w przekazywaniu innym tylko i dokładnie tych informacji, które Skirvon chciał im przekazać i choć żywił wobec wicehrabiego Simratha pewnego rodzaju ostrożny szacunek, to był pewien, że Sharoniański dyplomata nie ma bladego pojęcia o tym, co miało się niedługo wydarzyć.

„Oczywiście zawsze istnieje możliwość, że się co do niego mylę” – pomyślał, dochodząc do unoszącego się w powietrzu stołu negocyjnego i czekającego przy nim krzesła.

Ale nie. To na pewno tylko zwykłe nerwy, w dniu otwierającym kolejną rundę rozmów. Gdyby Sharonianie podejrzewali, co się święci, z pewnością wzmocniliby swoją „straż honorową” przy stole. Poza tym, z pewnością nie przepuściliby bladym świtem Skirvona i jego grupy przez portal na bagnach.

„Spójrz prawdzie w oczy, Rithmar” – napomniał się, zajmując miejsce naprzeciwko Simratha – „twój problem polega wyłącznie na tym, że cholernie się boisz.”

Kąciki jego ust zadrgały na tę myśl w możliwie najlżejszy sposób. Czekał, aż miejsce obok zajmie jego asystent – Uthik Dastiri. Po chwili zdał sobie sprawę, że obie te możliwości – pomyłka i strach, wcale się wzajemnie nie wykluczają. Przypomniał też sobie, że pomysł podstępu był tyleż autorstwa setnika Neshoka, co i jego samego. Niestety, nie był teraz już tak pewny, czy fragment planu mówiący o osobistym udziale jego – Skirvona-w negocjacjach, nie powinien zostać wcześniej przemyślany, co najmniej raz jeszcze.

„Mul Gurthak będzie mi po tym wszystkim sporo winien” – pomyślał. – „Może i nie jestem żołnierzem, ale ze swojego żołdu nie zrezygnuję tak łatwo.”

Ognie Pirkiel

Obserwował zajmujących po drugiej stronie swe miejsca, wicehrabiego Simratha i lorda Trekara Rothaga i stłumił nagłą chęć by wyciągnąć z kieszeni chronometr i sprawdzić godzinę.

–Dzień dobry mistrzu Skirvon – przywitał się wicehrabia Simrath tonem tak kurtuazyjnym, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy, że Skirvon przez ostatnie dwa tygodnie rozmyślnie torpedował wszelkie postępy w rozmowach.

–Dzień dobry, wicehrabio – odpowiedział Skirvon, tone gdyby nie zdawał sobie sprawy, że Simrath zdaje sobie sprawę.

–Ufam, że być może uda nam się dziś posunąć negocjacje zagał dyplomata z Sharony. Według oficjalnego, ustalonego wcześniej planu, to do niego należał dziś ostateczny wybór porządku dnia.

–Każdy postęp przyjmiemy z radością, mój panie – przyznał Skirvon uprzejmie.

–Cieszę się, słysząc te słowa. Aczkolwiek pozostaje faktem, że nadal czekam na pańską odpowiedź na tezy, które przedstawiłem waszej delegacji po otrzymaniu swych najnowszych instrukcji od cesarza Zindela – powiedział przyjaźnie Simrath. – W szczególności wiem, że wciąż nalegacie na to, by Unia Arkany otrzymała na własność, co najmniej połowę portali, znajdujących się w skupisku. Skupisku, które zechce pan pamiętać, znajduje się na terytorium Sharony i które zostało odkryte przez nasz cywilny zespół badawczy, zmasakrowany przez waszych żołnierzy.

–Obawiam się, że nie mogę się z panem zgodzić, wicehrabio – powiedział Skirvon tak taktownie jak tylko potrafił. – Mam wrażenie, że chciałby pan, by Arkana nie zwracała uwagi na fakt, że Sharona utrzymuje, iż należy się jej całość skupiska, podczas gdy nie zostało jeszcze bez żadnych wątpliwości rozstrzygnięte, kto otworzył ogień jako pierwszy. Ponadto ignorujecie fakt, że całkowita liczba ofiar, jakie ponieśliśmy znacznie przewyższa

wasze straty. My jednak zwracamy na to uwagę i być może rzeczywiście nie zmieniliśmy naszego stanowiska – uśmiechnął się pustym, miłym uśmiechem zawodowego

*David Weber i Linda Evans*

dyplomaty ale odrzucenie... propozycji waszego cesarza jest zupełnie czym innym, niż nie udzielenie na nie odpowiedzi.

**Ternathiański arystokrata odchylił się swym krzesłem – szybującym krzesłem dostarczonym na potrzeby rozmów przez ludzi Skirvona – i splótł ręce na piersi. Liści szepczących swe pieśni na wietrze nad ich głowami, było z każdym dniem mniej. Skirvon zauważył to, ponieważ gruby promień słonecznego światła przedarł się przez ich pokrywą i oświetlił błyszczącą, wypolerowaną na wysoki połysk powierzchnię stołu. Światło zagrało też pięknie na tłumaczącym rozmowę kryształowym osobistym, leżącym pomiędzy nim a Simrathem. Niestety liści było nadal bardzo dużo i jakąś częścią siebie Skirvon zaczął żałować, że dwutysięcznik Harshu nie mógł poczekać jeszcze nieco dłużej.**

**„To głupie, Rithmar.” – Zganił się w myślach. – „Najpierw naciskasz na niego tak mocno, jak się da, a potem żałujesz, że to wszystko dzieje się tak szybko.”**

**–Mistrzu Skirvon – odezwał się Simrath. – Wydaje mi się, że nie do końca pojmuję motywy, które kierowały waszą stroną, kiedy przysłała pana do tego stołu.**

**–Przepraszam? Chyba nie zrozumiałem, mój panie...**

**–Oficjalnie przybywa pan tutaj, ponieważ „lepiej jest rozmawiać niż strzelać”, jak pan sam zdaje się powiedział – przypomniał Simrath. – Z tym, rzecz prosta, ciężko by mi było się nie zgodzić, ale pamiętajmy, że koniec końców, o ile my przy tym stole nie dojdziemy do porozumienia we wszystkich spornych kwestiach, to strzały rozlegną się znowu. Uderza mnie, więc bezsens naszego przesiadywania tutaj, dzień po dniu i zdawkowa wymiana wzajemnych uprzejmości. A jest to bezsens i głupota, ponieważ to zupełnie oczywiste, że pańskie polecenia nie pozwalają mi zgodzić się na żadne z przedstawionych przez nas rozwiązań.**

**Chcąc nie chcąc, Skirvon zamrugnął z zaskoczenia. Nie był przyzwyczajony do takiego stopnia... otwartości ze strony partnera, z czymś takim nie spotkał się dotąd w żadnych negocjacjach. W końcu dwie trzecie sztuki dyplomacji, sprowadza się**

## **Ognie Piekieł45**

**do wymęczenia drugiej strony poprzez przekazanie jak najmniejszej możliwej liczby informacji, zawartych w jak największej możliwej liczbie słów. „Poważny przełom”, grożący**

**dotarciem do celu, niewytyczonego w otrzymanych instrukcjach, jest tymczasem ostatnią rzeczą, jakiej życzy sobie jakikolwiek zawodowy dyplomata.**

**Po chwili, zajął się bardziej praktycznymi rozważaniami. Aż do tej pory Simrath grał według standardowych reguł i nie przyznawał oficjalnie, że zdaje sobie sprawę ze stosowanej przez Skirvona taktyki odwlekania. Dlaczego akurat dziś, dlaczego tego konkretnego dnia, postanowił zmienić zasady?**

–Co więcej – ciągnął spokojnie wicehrabia – muszę przyznać, że niepokojąco wysoka liczba tych... nieprzyjemnych incydentów, do których dochodzi pomiędzy członkami naszych eskort, wydaje się nie całkiem... hmm... spontaniczna. Nie potrafię, więc przestać pytać sam siebie, z jakiego powodu skoro tak bardzo zależy wam na rozmowach z nami, jednocześnie nie proponujecie z własnej strony absolutnie niczego nowego, a swoich umundurowanych podwładnych zachęćcie – a w każdym razie nie odradzacie im tego – do wybitnie niepożądanych zachowań. Czy byłby pan może na tyle uprzejmy i rzucił, choć trochę światła na te kwestie, w których moja ignorancja nie ma sobie równych?

Skirvon poczuł nagle, nieprzyjemne wrażenie pustki otwierającej mu się w okolicach splotu słonecznego.

„Uspokój się!” – nakazał sobie surowo. – „Nawet, jeśli przejrzeni wreszcie na oczy, to i tak nic im to już nie da. Za późno.”

Taką przynajmniej miał nadzieję.

–Wicehrabio Simrath – powiedział mocno i zdecydowanie. – Muszę stanowczo zaprotestować przeciwko pańskim jawnym sugestiom, że owe „nieprzyjemne incydenty” są w jakikolwiek sposób inspirowane przeze mnie, czy też któregośkolwiek innego z członków naszej delegacji. Jaki mielibyśmy mieć w podobnym zachowaniu interes?

–A to ciekawe pytanie, nieprawdaż? – Simrath uśmiechnął się zimno. Uśmiechnął się ustami, ale nie swymi szarymi oczami.

*David Weber i Linda Erans*

Skirvon zdał sobie sprawę, że patrzyły teraz na niego bystro i lodowato. Takiego spojrzenia nigdy wcześniej u partnera nie widział. Uderzyło go też, że Simrath był nie tylko niezwykle wysoki – co było cechą wspólną wszystkich Ternathian, jakich miał okazję do tej

pory spotkać – ale i dziwnie nie wyglądał na dyplomatę. Przypominał raczej kogoś o wiele twardszego od osoby, która spędza swoje dni na noszeniu teczek z dokumentami. Wyglądał jak człowiek nawykły do noszenia w rękach czegoś o wiele cięższego i... bardziej niebezpiecznego.

–Nie jestem pewien, jak mam rozumieć pańskie ostatnie pytanie? – powiedział Skirvon z miną mężczyzny chwytającego byka za rogi.

–Cały czas mam na myśli to, że od samego początku nie ma pan zamiaru wynegocjować żadnego trwałego porozumienia na obopólnie akceptowalnych warunkach. Z jakichś ukrytych powodów uznaliście za korzystne rozpoczęcie tych rozmów i związanie Sharony długotrwałymi negocjacjami. Do dziś miałem ochotę bawić się w tę grę, chciałem się bowiem dokładnie przekonać, do czego to wszystko zmierza. Niestety, ani moja cierpliwość, ani cierpliwość cesarza Zindela nie jest niewyczerpana. A zatem, albo w ciągu dwudziestu czterech godzin dokonamy znaczącego postępu w rozmowach, albo Sharona wycofa się z udziału w nich. I wtedy przekonamy się jeszcze raz – o ile do tej pory uśmiech Simratha można było nazwać ostrym, to teraz zaczął przypominać ostrze brzytwy – czy wolicie rozmawiać, czy strzelać... ^

Skirvon poczuł, że siedzący obok niego Dastiri sztywnieje. Mimo właściwego Manisthuanom poparcia i zrozumienia dla *garsulthan*, czyli „realnej polityki”, młodszy dyplomata miał o wiele mniejszą odporność na podobne sytuacje niż jego przełożony. Na szczęście wydawało się, że przynajmniej jeszcze w tej chwili zachowuje nad sobą pełnię kontroli. Szczerze mówiąc, Skirvon niewiele więcej mógł powiedzieć o sobie. Udało mu się co prawda nie rzucić okiem za plecy, na Dowodzącego Pięćdziesięcioma Narshu, ale nie była to najłatwiejsza z prób, jakie przechodził w życiu.

Ognie Piekieł

–Pańskie słowa brzmią niemal jak ultimatum, mój panie – powiedział.

–Doprawdy? – Skirvon pochylił głowę delikatnie na bok, jakby głęboko zastanawiał się nad słowami arkaniańskiego dyplomaty, po czym wzruszył ramionami. – To dobrze -powiedział jeszcze bardziej lodowatym głosem niż przed chwilą – tym bardziej, że to właśnie jest ultimatum.

–Unia Arkany nie zwykła ulegać wobec podobnych metod, mój panie! – reakcja Skirvona zabrzmiała twardziej i ostrzej, niż sam tego chciał.

–W takim razie może powinniście wykorzystać okazję i wyciągnąć naukę z nowego doświadczenia, mistrzu Skirvon – zasugerował Simrath. – Albo, jeżeli mój może nieco zbyt

bezpośredni sposób stawiania spraw uraził pańską wrażliwość, zawsze może pan przerwać rozmowy po raz kolejny, by... jak to pan wtedy był łaskaw określić? Ach, tak! By „ostudzić emocje”.

Ostry, gniewny ton i wzgarda bijąca ze słów Simratha zdumiała Skirvona niepomierne. Czuł jak tężeją mu mięśnie twarzy, jak delikatnie zwięzają się nozdrza. Arkanianin spostrzegł też błysk w oku Sharonianina, który bezbłędnie zauważył i ocenił wszystkie te fizyczne oznaki napięcia i zdenerwowania.

W tej chwili Skirvon miał ogromną ochotę wstać i odejść szybkim, wzburzonym krokiem od stołu. Albo wyciągnąć skądś smoka piechoty i wypalić prosto w tę uśmiechniętą gębę obcego arystokraty i zmienić bydlaka w dymiące zwłoki. Niestety, na żadną z powyższych reakcji nie mógł sobie pozwolić... jeszcze nie w tej chwili.

–Mój panie – zaczął zamiast tego z zaciśniętymi zębami –

czuję się w obowiązku zaprotestować przeciwko stosowanemu

przez pana tonowi, przeciw wymowie pańskich uwag i pańskie

mu ogólnemu podejściu do wznowionych rozmów. Jak już za

znaczyłem, Unia Arkany nie ma w zwyczaju ulegania wobec ul

timatum czy szantaży. W związku z tym – w tym miejscu

zacerpnął głęboko powietrza i oparł się wygodniej na krześle –

bez względu na dalszy pański, czy też reprezentowanego przez

pana rząd stosunek do naszej delegacji, moje instrukcje pozostają

*4Wavid Weber i Linda Evans*

bez zmian. – „Co zresztą” – zdał sobie sprawę -jest przecież prawdą.” – I nadal nie mam wyboru. Muszę ponawiać próby zmierzające do osiągnięcia choćby jak najmniejszego postępu w sprawach, które powinniśmy za tym stołem rozwiązywać, zanim zginie choćby jeszcze jedna osoba. Nie zrezygnuję z wypełniania swojej misji, ale jednocześnie chcę wyrazić stanowczy protest wobec uwłaczającego nam charakteru tej rozmowy.

–Jeśli obraziłem pana zanadto – powiedział niemal obojętnym tonem Simrath – proszę

się nie krępować i zerwać rozmowy. W innym wypadku, ufam, że przestanie pan przynajmniej obrażać moją inteligencję powtarzaniem raz po raz tych samych, zużytych fraz.

Dorzon chan Baskay widział ciemniejące w gniewie twarze arkaniańskich dyplomatów. Młodszy z nich – Dastiri – nigdy nie był specjalnie dobry w skrywaniu swych reakcji, więc i tym razem aż nazbyt dobrze widać było iskry wściekłości, wywołaanej konfrontacyjnym tonem Sharonianina. Skirvon był wyraźniej starszy i bardziej doświadczony od swego asystenta, ale nawet pomimo tego, zachowanie kamiennego oblicza nie szło mu w tej chwili tak dobrze, jak sam się tego po sobie spodziewał. Co więcej fakt, iż Skirvon, nawet tak poirytowany jak te raz, przełknął nie tylko treść słów chan Baskaya, ale i jego stosowany z rozmysłem ubliżający ton, mówił kawalerzyście bardzo dużo.’:

Niestety, chan Baskay nie był do końca pewien, czym dokładnie było to „dużo”. Skirvon nie zerwał się od stołu i nie udał kolejnego wybuchu oburzenia. To z pewnością było, co najmniej interesujące. Wydawało się, że bez względu na to, co te

**bydlaki planują Skirvon musiał tu dzisiejszego ranka pozostać.**

**„Co, w powiązaniu z obserwacjami Hulmoka, nie jest specjalnie krzepiącą informacją.”**

**Ukradkiem spojrzął w kierunku, gdzie stał arpathiański oficer. Z kieszeni na piersi wydobył swoje złote wieczne pióro i zaczął się nim bawić. Obracał je między palcami, obserwując odbijające się w metalu poranne promienie słońca. Nie wątpił, że**

## **Ognie Piekieł49**

**Arkanianie zinterpretują to jako jeszcze jeden pełen pogardy, obraźliwy gest z jego strony. Szczególnie się tym nie przejął, choć nie w tym celu sięgnął po pióro. Kątem oka zauważył nieznaczne skinienie Arthaga. Arpathianin zrozumiał ostrzeżenie.**

**–Głęboko żałuję, że tak niefortunnie zinterpretował pan i źle zrozumiał mój sposób prowadzenia rozmów, mój panie – odezwał się spomiędzy zaciśniętych warg Skirvon. – A jednak, fakt, że do czegoś podobnego doszło, stanowi więcej niż lepsze wyjaśnienie tego, co wasz cesarz uznałby za „postęp” w naszych negocjacjach.**

**\* \* \***

**–Dobrym początkiem mogłoby być na przykład – powie dział chan Baskay lekko mniej obraźliwym tonem – uznanie, iż fakt, że to my jesteśmy w posiadaniu tego węzła – w posiadaniu opłaconym krwią naszych, pomordowanych z zimną krwią cywilów – oznacza, że nie prowadzimy rozmów z równych po zycji. My wcale nie musimy poruszać kwestii prawa własności do tego wszechświata. My już go posiadamy. Z punktu widzenia Sharony, mistrzu Skirvon, to wy powinniście nas najpierw przekonać, że istnieje jakikolwiek uzasadniony zasadami spr**



wiedliwości bądź logiki powód, byśmy choć zaczęli myśleć o odstąpieniu waszej stronie choćby i kawałka ziemi z naszego terytorium. To wy także musicie nas przekonać, że wasz rząd będzie w stanie dotrzymać jakiegokolwiek zobowiązania, które zostanie przy tym stole podjęte.

Skirvon zmusił się, by nie rzucić wściekłego spojrzenia na aroganckiego Sharonianina. Nigdy wcześniej Simrath nie posługiwał się tak twardym i bezpośrednim, konfrontacyjnym sposobem rozmawiania. Arkanianin zaczął się gorączkowo zastanawiać, co spowodowało tak nagłą zmianę.

„Tak czy inaczej już jest za późno, mały fiucie” – powiedział spojrzeniem Simrathowi. – „Jedyne, co muszę zrobić, to zatrzymać cię rozmową jeszcze przez jakąś godzinę, a potem...”

–Rozumiem, mój panie – odparł po chwili. – Skoro tak wy trwale odtrąca pan wszelkie wysiłki moich mocodawców, mające na celu dojście do jakiegokolwiek porozumienia opartego

*Darid Weber i Linda Evans*

na zasadzie innej niż zasada nagiej przemocy, nie mam chyba innego wyjścia, niż podjąć rozmowy na zaproponowanych przez pana warunkach. Jak sam pan zauważył -ciągnął – to Sharona obecnie jest w posiadaniu tego wszechświata. Pragnę jednak zauważyć, że założenie, iż ten, jakże piękny stan trwać będzie wiecznie, byłoby z waszej strony błędem, o ile oczywiście nie wykażecie jakiegokolwiek sygnału dążenia do rozsądnego kompromisu. Moimi ustami, rząd Arkany raz po raz powtarza, iż lepiej jest ze sobą rozmawiać, niż do siebie strzelać. Aczkolwiek nie znaczy to, że strzały nie mogą zagrzmieć na powrót, jeśli wszystkie nasze propozycje zostaną przez waszą stronę odrzucone, jedynie z powodu waszej tymczasowej przewagi militarnej.

Skirvon ponownie wyprostował się w krzesło, splótł złożone na unoszącym się w powietrzu stole dłonie i popatrzył Sha-ronianinowi prosto w oczy.

–Szczerze mówiąc, mój panie – powiedział najzupełniej otwarcie – z uwagi na sposób,

w jaki zaczął pan ze mną rozmawiać i, w jaki wypowiadał się pan o moich mocodawcach,

pańscy jak i moi przełożeni nie byliby zachwyceni, gdyby do tego Rithmar Skirvon mówił i mówił, próbując nie myśleć sekundach i minutach, które przemijały i jedna po drugiej znikają w wieczności. ‹

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kapitan Balkar chan Tesh odsunął od stołu swoje składane, płócienne krzeselko i wstał. Poranna odprawa przeciągnęła się dziś bardziej niż zwykle wskutek meldunku, który przyszedł Błyskiem od chan Baskaya i Arthaga. Treść przesyłki nie tylko wpłynęła na

opóźnienie śniadania, ale i na utratę apetytu oficera, który tera namiotu w światło poranka, zostawiając ordynansowi naczynia na

stronie portalu była godzina wcześniej. Chan Tesh i spróbował przebić się spojrzeniem przez mgłę, drugim wszechświecie nad gorącymi

Tutaj, jesienne powietrze stopniowo chłodniejsze, zwłaszcza w miejscach

nami potężnych drzew. Portal bliższe równikowi. W tym cieszył się, że nie musi

nego klimatu, swymi ludźmi nadejściu zimy.

„Z tym, że oczywiście do tego czasu już ktoś starszy stopniem” – przypomniał sobie. – „Być może

też, będziemy wtedy mieć już tylu ludzi, że uda się z ich pomocą

*52 David Weber i Linda Evans*

na czas dokończyć budowę tych kwater na zimę, nad którymi pracuje Frai”.

Uśmiechnął się na tę myśl, choć daleko mu było do prawdziwej wesołości. Starszy zbrojny Frai chan Kormai dwoił się i troił by poskładać do kupy koszary z pni, które, choć może niezbyt luksusowe, to powinny dać ludziom odpowiednią ochronę przed zdradliwą pogodą. Praca szła mu sprawnie, ale tylko do momentu, w którym na scenie pojawili się „dyplomaci” z Arkany. Przedtem wydawało się, że tajemniczy przeciwnik stara się za wszelką cenę unikać kontaktu, z czego chan Tesh był zresztą bardzo zadowolony. Im więcej czasu mieli Sharonianie na podciągnięcie posiłków, tym lepiej.

Ponowne nawiązanie kontaktu przez Arkanian i ujawnienie przez nich możliwości transportowych, jakie dawały im ich napędzane zakłębionymi łodziami, z pełną mocą przypomniały chan Teshowi o tym, jak odsłonięte i trudne do obrony pozycje zajmował. Zanim na bagna nie przybyli Rithmar Skirvon i Uthik Dastiri, kapitan starał się dzielić siły, czas i wysiłki swych żołnierzy po równo między usprawnieniem fortyfikacji i zapewnieniem przyzwoitych kwater. Przybycie obcych zmusiło go jednak do ponownej zmiany priorytetów i większość wysiłków szła już tylko na umocnienie i rozbudowanie pozycji i ich umocnień, a także na ich odpowiednie obsadzenie, co z kolei redukowało liczebność zespołów budowlanych.

„Odpowiednie” było oczywiście niezbyt trafnym słowem, czego chan Tesh szczerze żałował. Nigstety, mimo że portal, którego strzegli, w porównaniu z innymi nie był może gigantem, to jednak ciągnął się na przestrzeni czterech mil. Atak znacznego obszaru nie udałoby się żołnierzom chan Tesha obronić przed jakimkolwiek zdecydowanym atakiem, tym bardziej, że przecież należało zabezpieczyć odcinek o długości ośmiu mil, a nie jedynie czterech. Mimo, że chan Tesh miał już do dyspozycji całość swoich sił, a nie tylko te trzy plutony, z którymi pospieszył naprzód na wieść o ataku Arkanian na zespół badawczy Konsorcjum Chalgyn, to i tak pod jego komendą znajdowało się teraz nieco mniej niż ośmiuset ludzi. Zamiast więc

**Ognie Piekieł53**

rozciągać ich wzdłuż całego portalu, rozpraszając jednocześnie siłę bojową, postanowił podzielić swe siły na dwie jednostki operacyjne. Kapitan chan Dersal,

starszy stopniem z dwóch dowódców piechoty morskiej, objął dowództwo nad obroną południowej strony portalu, a sam chan Tesh dowodził żołnierzami strzegącymi go od północy.

Mając do czynienia z tak szerokim frontem, oficer musiał się zadowolić tym, że jego całość znalazła się w zasięgu ognia. Na szczęście, wraz z resztą kolumny wojska, dołączyły też do nich pozostałe moździerze, a także tuzin dział polowych o średnicy trzech i czterech dziesiątych cala. Chan Tesh rozmieścił moździerze w centrum portalu, po obu jego stronach, a działa posłał na skrzydła, tak by w razie, gdyby przeciwnik przypuścił atak na pozycje moździerzy, mogły zasypać napastników kartaczami. Drugim, poza nadejściem artylerii, szczęśliwym zbiegiem okoliczności było to, że w tym wszechświecie, po obu stronach portalu teren łagodnie wznosił się ku górze, dzięki czemu żołnierze chan Tesha mieli doskonałą widoczność i możliwości prowadzenia ostrzału. Oficer wykorzystał ten fakt, rozlokowując resztę swych sił w ten sposób, by mogły wspomagać ogniem moździerze. Te ostatnie były tak istotne dlatego, że jedynie one miały w swym zasięgu całość portalu. Także

i karabiny maszynowe zostały umieszczone z myślą o jak najefektywniejszym wykorzystaniu ukształtowania terenu. Żołnierze tymczasem poświęcili mnóstwo czasu czyszcząc przedpole z gałęzi i korzeni, mogących dawać przeciwnikowi ochronę, tym bardziej jeszcze zwiększając pozycyjną przewagę sił Sharony.

Kolejnym z czynników, które sprawiły, iż chan Tesh zdecydował się bronić Wrót Piekieł było to, że po tej stronie portalu wody gruntowe znajdowały się głębiej pod ziemią niż na bagnach, choć tereny w bezpośrednim sąsiedztwie przejścia nasiąknięte były błotem. Dalej od przejścia można się jednak było okopać na ponad dwie stopy nie natrafiając na wodę, co oddziały Sharonian skrzętnie wykorzystały, okopując się tak głęboko, jak tylko było to możliwe. Co prawda stanowiska dział i moździerzy, nie miały osłony od góry, ale wynikało to z chęci

#### *54 David Weber i Linda Evans*

zapewnienia im jak największej swobody prowadzenia ognia, a przy tym ryzyko nie powinno być duże, ponieważ jak się wydawało, Arkanianie nie dysponowali żadną artylerią, której pociski nie leciałyby w linii prostej.

Bunkry stanowiące pozycje piechoty chan Tesha zostały natomiast ufortyfikowane tak mocno, jak się tylko w tych warunkach dało. Miały one stanowić barierę oddzielającą portal i głęboko okopaną artylerię. Ściany tych umocnień były grube na ponad cztery stopy. Zbudowano je z pni drzew i ubitej ziemi, którą wypełniono wszystkie szczeliny między balami drewna, podczas gdy dachy położono, z co najmniej czterech warstw splecionych gałęzi i pni, na których z kolei ułożono worki z piaskiem. Chan Tesh był pewien, że bunkry przetrzymałyby nawet atak średniej lub lekkiej artylerii, jaką stosowano na Sharonie, a biorąc pod uwagę, że magiczne,

ogniste kule Arkanian najwyraźniej nie były zdolne penetrować żadnego celu podejrzewał, że z tymi umocnieniami jego oddział będzie w stanie wytrzymać ewentualny atak obcych przez dość długi czas.

Poza tym, chan Tesh przygotował też kilka innych, nieprzyjemnych dla potencjalnych napastników niespodzianek, ale przez cały czas pamiętał, że w razie jakiegokolwiek silniejszego ataku utrzymanie pozycji przyjdzie z trudem.

Z drugiej strony, wielu spośród jego podkomendnych, w tym część młodszych oficerów, uważała jego ostrożność za przesadną. Dobrze o tym wiedział i mimo „wszystkich jego wysiłków, żołnierze, którymi dowodził pozostawali pewni – a nawet zbyt pewni – że bez trudu poradzą sobie z dowolnie silnym atakiem Arkanian. A jednak – co zresztą chan Tesh po raz kolejny przypomniał na dzisiejszej, porannej odprawie – ludzie szybciej uczą się na porażkach niż z sukcesów, a to, co Sharonianie wiedzieli na temat zdolności i możliwości

bojowych wojsk Arkany, nadal było żałośnie mizerne. Ponadto, przeciwnik znał sposób walki i broń Sharonian znacznie lepiej, ponieważ co najmniej kilku żołnierzy z oddziału rozbitego dwa miesiące temu, zdołało uciec do swoich. Tego Sharonianie byli pewni od

Ognie Piekieł

chwili, w której Skirvon wspomniał o śmierci Halathyna, arka-niańskiego cywila, który zginął w tamtej potyczce.

Nawet zresztą, gdyby Arkanianie nie uzyskali od swoich żołnierzy żadnych informacji, to przecież ich naturalną reakcją byłoby właśnie jak najszybsze sprowadzenie własnego odpowiednika ciężkiej artylerii (czymkolwiek by się on nie okazał). Co gorsza jak najszybsze”, mogło w tym wypadku oznaczać „cholernie szybkie”. Zwłaszcza, jeśli te ich przekłete, magiczne łodzie były reprezentatywne dla pozostałych środków transportu w Arkanie.

Chan Tesh był boleśnie świadom, że początkowe zwycięstwo zawdzięczał w znacznej mierze temu, iż Arkanianie nie mieli żadnego pojęcia o istnieniu broni palnej i moździerzy. Niezrównana głupota ich dowódcy także nie pomogła im w walce i właśnie ta druga przewaga była czymś, na czego powtórzenie chan Tesh nie mógł mieć już teraz najmniejszej nawet nadziei. Podobnie zresztą, jak – co przypominał podwładnym dziś rano - nie mógł sobie pozwolić na przyjęcie założenia, że to, co druga strona pokazała im do tej pory, stanowiło szczyt ich możliwości.

„Różnica pomiędzy cztero i półcalowym moździerzem a je-denastocalową haubicą jest przecież ogromna, a haubic Arkanianie także jeszcze nie widzieli” – myślał.

Meldunek chan Baskaya odniósł przynajmniej taki pozytywny efekt, że pomógł pobudzić rozleniwionych dowódców plutonów. Niemniej, chan Tesh o wiele bardziej przejmował się tym, iż nowe informacje zdawały się w stu procentach potwierdzać jego dotychczasowe niepokoje.

Uśmiechnął się po raz wtóry. Tym razem jednak, grymas nie był już ani trochę wesoły. Dzięki ostrzeżeniu chan Baskaya, cały oddział chan Tesha był w stanie podwyższonej gotowości. Oficer miał w głębi ducha nadzieję, że to jego podkomendni mieli rację i, że oficerowie okażą się po prostu przewrażliwionymi zrzedami. Poza tym wszystkim, choć wiedział, iż zarówno on jak i jego ludzie przygotowali się najlepiej jak tylko potrafili, to byli na swoich pozycjach osamotnieni, wystawieni na atak i nade wszystko, pozbawieni wsparcia.

*1 David Weber i Linda Evans*

\* \* \*

Dowodzący Pięćdziesięcioma, Tharian Narshu nie został do tego zadania wytypowany przez przypadek.

Mimo swej niskiej rangi, Narshu uczestniczył w pokaźnej ilości akcji bojowych

przeciwko różnym przeciwnikom, począwszy od zbójców i bydlękradów, po portalowych piratów i właścicieli wielkich latyfundiów wykorzystujących „gościnnych pracowników” jako niewolniczą siłę roboczą. Co jednak ważniejsze, nie był zwykłym oficerem Sił Zbrojnych, jakim się z pozoru wydawał. Podobnie jak połowa ludzi, którymi teraz dowodził, przeszedł o wiele trudniejsze i bardziej wymagające szkolenie w Siłach Specjalnych Unii Arkany. Dwutysięcznik mul Gurthak odnalazł Narshu i część plutonu, z którą podróżował półsetnik, przechwycił ich (wraz ze smokiem transportowym, którym lecieli do reszty plutonu stacjonującego w Jyla-ros) i czym prędzej, omijając zwykłe, regulaminowe procedury, odkomenderował pod rozkazy dwutysięcznika Harshu. Harshu, zachwycony ich przybyciem, odesłał ich natychmiast do mistrza Skirvona w charakterze „straży honorowej”.

Pozostałych dwunastu żołnierzy, stanowiących straż honorową, stanowiło wyłącznie rodzaj zapchajdziury. Ich jedynym zadaniem było dopełnienie ilości ludzi w oddziale. Nie mieli oni nawet pojęcia, kim jest ich dowódca oraz towarzysze. Narshu bardzo żałował, że nie cały jego oddział składał się z członków Sił Specjalnych;: ale tych przecież nigdy nie było dość. Dwutysięcznik mul Gurthak i tak miał niesłychane szczęście, że ten niewielki oddział znalazł się w chwili nawiązania kontaktu z obcymi, na tak wysuniętych pozycjach. Poza tym, do tego zadania dwunastu komandosów powinno wystarczyć w zupełności, zwłaszcza, że drużynę prowadził miecznik Seltym Laresk. Narshu i Laresk służyli ramię w ramię już niemal od dwóch lat i przez ten czas półsetnik obdarzył podoficera bezgranicznym zaufaniem.

Z jego obecności i pomocy cieszył się jeszcze bardziej teraz, ponieważ Tharian Narshu, w odróżnieniu od okrytego niesławą Hadrigna Thalmayra nie popełniał błędów, polegających na

## Ognie Piekieł57

niedocenianiu umiejętności i sił przeciwnika. Kapitan Arthag na przykład, zdawał się być twardym i kompetentnym dowódcą. Być może nawet jednym z lepszych, jakich przyszło Narshu spotkać. Tyle, że kompetencje przestawały się liczyć, kiedy należało działać w warunkach niewiedzy i całkowitego zaskoczenia. A Sharonianie nie mieli najmniejszego pojęcia o najprostszej nawet magii.

Jeśli wcześniej istniały, co do tego jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, to zniknęły one kilka dni temu, kiedy to Narshu i ludzie z jego oddziału zaczęli przynosić ze sobą sztyletnie.

Narshu miał mieszane uczucia, co do słuszności tak szybkiego ujawniania obcym istnienia sztyletni. Obawiał się, że pomimo zapewnień pięćsetnika Neshoka i mistrza Skirvona, przeciwnik mógł dysponować jakąś metodą ich wykrywania. Nie chodziło przy tym o to, że sztyletnie były trudne do zauważenia – w końcu to z tego powodu, żołnierze Sił Specjalnych używali ich, mimo pokaźnej siły ognia, bardzo rzadko-ale o

to, że ich maksymalny skuteczny zasięg wynosił zaledwie dziesięć jardów. Możliwości przedostania się w pobliże wroga z bronią o tak śmiesznie krótkim zasięgu były minimalne, zwłaszcza, jeśli druga strona dysponowała najbardziej elementarnymi zakłęciami obronnymi.

Dwutysięcznik Harshu jednak nalegał i Narshu nie mógł się sprzeciwić. W odróżnieniu od Sharonian, którzy dysponowali tymi swoimi „Głosami”, Narshu nie był w stanie przekazać informacji o powodzeniu lub porażce swej misji na czas do dowództwa, które zareagowałyby odpowiednią modyfikacją planów. Dlatego zresztą – żeby zrównoważyć niedostatki komunikacji – Narshu był tu na miejscu i gdyby Sharonianie w jakiś sposób domyślili się zastosowania sztyletni, całej misji groziła katastrofa.

A jednak nikt po drugiej stronie niczego nie zauważył. Nie wydawało się też, by obcy byli świadomi prawdziwych powodów, które stały za powtarzającymi się na przestrzeni ostatnich tygodni „incydentami”.

„A teraz” – pomyślał Narshu spoglądając obojętnie na chronometr – „czas już chyba rozpocząć zabawę.”



*David Weber i Linda Evans*

\* \* \*

Rithmar Skirvon starannie utrzymywał wzrok na wicehrabim Simrathu i nie patrzył napółsetnika Narshu. Z równą ostrożnością, powstrzymywał się przed rzucaniem spojrzeń na swój chronometr. Pomimo tego, obecności stojącego gdzieś z tyłu Narshu, był świadom niemal boleśnie i mimo suchego chłodu panującego w północnych lasach, poczuł jak pod włosami perlą mu się kropelki potu. Napięcie rosło i rosło.

Utrzymanie pozorów zaangażowanego uczestnictwa w rozmowie i spokojne odpowiadanie na kolejne oświadczenia Sim-ratha, przychodziło mu z coraz większym trudem. Wcześniej oczywiście spodziewał się, że lekko nie będzie, ale nie przypuszczał nawet, że udział w tej misji okaże się aż tak wymagającym zadaniem. Był w tej chwili niemal wdzięczny Simrathowi za jego szorstki wybuch. Dyplomata z Sharony wprowadził do

negocjacji konfrontacyjną atmosferę, której obecność sprawiała, że sztywność i lekkie podenerwowanie Skirvona nie wydawały się niczym dziwnym. Dokładnie temu celowi służyły także wybuchy oburzenia Arkanianina, których wiele miało miejsce w przeciągu dwóch ubiegłych tygodni. Zaplanowano je starannie właśnie po to, by Sharonianie nie dziwili się znowu żadnym ostrzejszym, bardziej nerwowym reakcjom członków delegacji Arkany.

Tyle, że w tej chwili żaden z tych środków zapobiegawczych nie sprawiał, że dyplomata czuł się choć trochę lepiej.

Prawy kciuk Thariana Narshu spoczywał zahaczony o szeroki, sztywny pas, podtrzymujący miecz.

Ta poza wyglądała najzupełniej naturalnie. W końcu tak zachowuje się od czasu do czasu większość wojskowych na całym świecie. Prawda była jednak nieco inna. Narshu od dwóch tygodni przyzwyczajał Sharonian do tego swojego „pretensjonalnego nawyku”. Pretensjonalnego i zupełnie niegroźnego, jako że dłoń żołnierza spoczywała po drugiej stronie pasa niż miecz. Połsetnik chciał, by ten drań Arthag przywykł do tego widoku i przestał nań zwracać uwagę. Zwrócenie na siebie

Ognie Piekieł

niepożądaną uwagę Sharonian było ostatnią rzeczą, jakiej Nar-shu potrzebował. Lekko znudzony, zobojętniały wzrok pół-setnika ani na chwilę nie opuszczał twarzy wicehrabiego Sim-ratha. Kątem oka sprawdził jednak po raz kolejny, czy wszyscy jego ludzie stoją na właściwych, wyznaczonych sobie pozycjach. O tym, co miało się za moment wydarzyć, wiedzieli jedynie jego żołnierze Sił Specjalnych. Reszta straży honorowej składała się co prawda z twardych i zaprawionych w bojach weteranów, ale nie przeszli oni koniecznego przeszkolenia. Brakowało im też doświadczenia, jakim szczyli się wszyscy ludzie z oddziału Narshu i właśnie dlatego półsetnik postanowił nie wtajemniczać ich zawczasu. Od dawna był wyznawcą teorii, głoszącej, że nikt nie jest w stanie wygadać tego, czego sam nie wie.

„Po wszystkim będę ich musiał przeprosić” – pomyślał. – ”W końcu to dobrzy żołnierze i kiedy dowiedzą się, co się tak naprawdę dzieje, będą mieć prawo żeby się na mnie poważnie wkurzyć.”

Ale na to przyjdzie czas później. W tej chwili półsetnik miał inne zmartwienia na głowie.

Doszedł do końca swojego metodycznego przeglądu rozstawienia żołnierzy. Wszyscy już stali dokładnie tam, gdzie powinni się znaleźć w myśl planu. Jedynym czynnikiem, który nie był do końca po myśli Narshu było to, iż Arthag zajął miejsce poza jego polem widzenia.

Taki brak chęci do współpracy wydał się półsetnikowi typowy dla adwersarza. Oczywiście Narshu wiedział, w którym miejscu Arthag stoi, ale nie miał najmniejszego zamiaru odwracać głowy i szukać Sharonianina wzrokiem. Na coś takiego, w chwili takiej jak ta, nie mógł sobie pozwolić. Poza tym, Arthag nie był celem Narshu. Za zajęcie się nim, odpowiedzialny był Seltym Laresk. A miecznik stał w idealnym miejscu, nieco z tyłu, po lewej stronie półsetnika.

„No dobrze” – powiedział sobie wreszcie. – „Może przestałbyś się wreszcie martwić

o innych i przeszedł do rzeczy.”

\* \* \*

*60David Weber i Linda Evans*

Tharian Narshu pomyślał, że jest to świetna rada i jego prawa ręka drgnęła.

**# H= \***

Wyraz twarzy Hulmoka Arthaga nie zmienił się ani o jotę – w końcu był przecież arpathiańskim Septem – ale od dobrych dwudziestu minut był już świadom napięcia narastającego w jego arkaniańskim odpowiedniku. Tamten był dobry, Arthag musiał mu to przyznać. Gdyby ktoś oglądał Narshu wyłącznie z zewnątrz, nie mógłby dostrzec absolutnie niczego, co świadczyłoby o tym, że nerwy półsetnika napięte są jak struny. Ale Hulmok Arthag obserwował go również od wewnątrz.

Nie po raz pierwszy pożałował, że jego Talent nie jest bardziej podatny na świadomą kontrolę. Ponad wszelką wątpliwość wiedział już, że Narshu jest całkowicie skupiony na jakimś przyszłym działaniu, na wykonaniu jakiejś misji, ale nie istniał sposób, by przekonać się, na czym ona mogła polegać. To miało się okazać dopiero, gdy Arkanianin zadziała. Oznaczało to zarazem, że i Arthag nie mógł niczego wcześniej zrobić. Cokolwiek bowiem nie podszeptował mu Talent, dowodów nie miał żadnych. Dłonie Arkanianina nie spoczywały ani trochę bliżej miecza niż zwykle. Język ciała świadczył o spokoju i odprężeniu obcego. Bez względu na to, co Arthag chciał zrobić, musiał jeszcze poczekać. Czekając do chwili, w której Narshu da mu jakiegokolwiek silniejsze niż niejasne sugestie Talentu, podstawy do działania. Mimo podejrzeń własnych chan Baskaya, Narshu – tak samo zresztą, jak Skirvon i Dastiri – należał do pokojowej misji dyplomatycznej i jako taki był nietykalny, chroniony przez immunitet aż do momentu, kiedy swoim działaniem (a nie tylko intencjami) ten stan rzeczy zmieni.

Co oczywiście nie przeszkodziło Arthagowi o poinformowaniu dzisiejszego ranka swych ludzi, o tych obawach. Ani w nie domknięciu kabury.

**\* \* #**

Sztyletnia bez trudu wysunęła się ze swej kryjówki w pasie Narshu.

**Ognie Piekieł61**

Gołym okiem nie wyglądała szczególnie groźnie. Gdyby nie niesamowity, szklisty połysk sarkolisu, można by ją wziąć za zwykły, długi na ćwierć cala kawałek kwarcu w najszerszym miejscu niedochodzący nawet do dwóch cali. Użyć tego przedmiotu mógł jedynie ktoś Obdarzony, tak samo, jak wyłącznie ktoś Obdarzony, mógł w nim dostrzec coś więcej poza kawałkiem kamienia. Był to jeden z powodów, dla których do Sił Specjalnych przyjmowano jedynie ludzi, cieszących się śladowym choćby Darem. Darem, który pozwalał widzieć to, co teraz widział Narshu – aureolę rozedrganej wokół sztyletni energii, rozszerzającą się, obejmującą całą dłoń i przedramię półsetnika. Darem, który osobom odpowiednio przeszkolonym (jak Narshu), pozwoliłby wyczuć jak śmiertcionośna była to energia.

**Ale żaden z Sharonian nie miał ani odpowiedniego Daru, ani odpowiedniego przeszkolenia.**

**Ręka Narshu uniosła się gładkim, powolnym ruchem. Kciuk podoficera spoczął w płytkim wyżłobieniu w górnej powierzchni sztyletni. Dłoń zawisła w powietrzu na takiej wysokości, by umożliwić spokojne wycelowanie broni w młodszego kapitana Rokama Traygana i wtedy Narshu wyładował pierwsze zaklęcie.**

**Jasne, oślepiająco jaskrawe światło zalało stół konferencyjny. Zaklęcie miotające błyskawice, w porównaniu z grzmiącymi ognistymi kulami, działało niemal bezgłośnie. Nie było jednak od nich słabsze – uderzyło telepatę z potężną siłą. Głos, otoczony skrzącą się otoczką energii, wleciał w powietrze, zatoczył w nim łuk i wreszcie jego ciało uderzyło o stojący dziesięć stóp z tyłu pień drzewa. Zderzenie było na tyle potężne, by pogruchotać wszystkie kości zaatakowanego, ale to nie miało większego znaczenia. Traygan i tak już nie żył.**

**Ramiona rozgałęzionej błyskawicy zahaczyły o dwóch żołnierzy Arthaga i oni także zginęli, zanim jeszcze ich ciała zdążyły opaść na ziemię. Chan Baskay siedział akurat w takiej odległości, by wyjść z tego ataku cało, ale fala uderzeniowa wywołana bliską erupcją magicznej energii była na tyle silna, że można było jej smagnięcie porównać do ciosu maczugą.**

### ***62David Weber i Linda Evans***

**Rithmar Skirvon był prawie tak samo oszołomiony jak chan Baskay. W odróżnieniu od Ternathianina, on wiedział wcześniej, co ma się wydarzyć, ale i tak magiczny atak nastąpił na tyle nagle, że zdołał go zaskoczyć. Podmuch rozgrzanego powietrza uderzył dyplomatę w twarz niczym pięść. Odrzuciło go od stołu. Plan podstępu był po części jego własnego autorstwa, ale był to zarazem pierwszy raz, gdy nawłasn oczy widział działanie bojowego zaklęcia, tym bardziej z tak niewielkiej odległości. Starał się na to wszystko przygotować już od jakiegoś czasu, a jednak mu się nie udało.**

**Gdyby mózg Skirvona zdołał zachować jasność myślenia, zdumiałby się zapewne tym, w jak głębokiej ciszy odbył się atak. Przecież to niemal niemożliwe, by coś tak morderczego działało tak bezgłośnie! „Bezgłośnie” jednak żadną miarą nie znaczy to samo, co „łagodnie”. W uszach Arkanianina dzwoniło, oczy zaczęły mu łzawić. Miał wrażenie, że coś wyssało mu z płuc powietrze. A mimo to zdał sobie sprawę, że najbardziej wrażliwa część misji przebiegła zgodnie z planem. Udało im się stwierdzić, kto jest „Głosem” Simratha, a wywiadowcze kryształki Neshoka podsłuchały przy bagiennym portalu wystarczająco wiele rozmów, by mogli być pewni, że Traygan był jedynym telepatą, pozostającym do dyspozycji wicehrabiego i chan Tesha. Oznaczało to, że teraz ani oficer, ani dyplomata nie będą już w stanie nikogo ostrzec.**

**Patrząc na śmierć swojej ofiary, Tharian Narshu poczuł falę przemożnego zadowolenia. Wiedział, że to może się potem zmienić. Jediną różnicą między tym, co przed momentem zrobił, a pospolitym morderstwem był fakt, że teraz wykonywał rozkazy przełożonych. Tak czy inaczej z żalem i wyrzutami sumienia musiał jeszcze zacz...**

**Dłoń Hulmoka Arthaga zaczęła się unosić niewielki ułamek sekundy po tym, jak drgnęła ręka Narshu. Rewolwer HW wysunął się z kabury w chwili, gdy sztyletnia zatrzymała się w ustalonej pozycji. Kurek cofnął się w tył, kiedy muszka namierzała**

**Ognie Piekieł**

cel i huk wystrzału zlał się w jeden odgłos z grzmiotem magicznej błyskawicy.

Głowa Thariana Narshu eksplodowała pod potężnym uderzeniem pocisku z wgłębieniem wierzchołkowym kaliber.46. Fragmenty pokruszonej kości, rozerwanych tkanek i krew zbryzgały Rithmara Skirvona. Dokładnie w tej samej chwili, przez polanę przetoczyła się fala przemocy.

Żołnierze z Sił Specjalnych doskonale wiedzieli, co do nich należy. Cały ranek czekali już tylko na sygnał Narshu, który miał być zamach na telepatę z Sharony. Tak samo, jak półsetnik i oni widzieli w swoich przeciwnikach twardych zawodowców. Podobnie jak podoficer, wiedzieli też równocześnie, że Sharonianie nie dysponują żadnym sposobem na wykrycie sztyletni i nijak nie mogli przewidzieć tego, co miało się stać.

Z kolei, żołnierze z oddziału Narshu nie dysponowali niestety żadnym sposobem na wykrycie Talentu Hulmoka Arthaga.

Miecznik Laresk i jego ludzie czekali w skupieniu, obserwując swego dowódcę i czekając na chwilę, w której on zaatakuje. W tym samym czasie, żołnierze Hulmoka Arthaga bacznie patrzyli na gestykulację swojego przełożonego i dokładnie w sekundzie, w której on sięgnął po broń ich dłonie też zaczęły się poruszać.

Do Skirvona właśnie zaczęło docierać, że Narshu zrealizował z powodzeniem swój główny cel i dokładnie wtedy cały świat oszalał. Syczące odgłosy wystrzałów ze sztyletni mieszały się z grzmiącymi rewolwerami Sharonian. Zaskoczeni, przerażeni mężczyźni krzyczeli, rozległy się wrzaski pierwszych cierpiących. Skirvon odwrócił głowę akurat na czas, by zobaczyć jak wciąż nieodpalona sztyletnia wypada z ręki miecznika Seltyma Lareska, trafionego z odległości pięćdziesięciu dwóch cali tuż pod lewą pachę kulą, z broni starszego zbrojnego Rayla chan Hathasa. Ciężki, ołowiany pocisk, wielki niemal jak mały palec chan Hathasa, zniszczył dwucalowy fragment żebra, przeszył arkaniańskiemu miecznikowi serce i płuca, i wyrwał w jego prawym boku dziurę wielkości ludzkiej pięści.

*David Weber i Linda Evans*

Z dwunastu ludzi z oddziału Sił Specjalnych Narshu, swoje sztyletnie zdołało odpalić trzech. Jednak żaden z nich, nie użył broni do uruchomienia więcej niż pojedynczego zakłęcia. Nakazali sobie wcześniej, by się zbyt nie spieszyć, by nie marnować tych pierwszych, najważniejszych strzałów i zlikwidować wstępnie wyznaczone cele, ponieważ to oni przecież mieli mieć po swojej stronie czynnik zaskoczenia. Z tym, że

**bardzo szybko przekonali się, iż ich ofiary przez cały czas na ten atak czekały. Dzięki ostrzeżeniu Arthaga, to jego ludzie okazali się szybsi i to nagle, niespodziewane odwrócenie ról, wybiło z rytmu nawet świetnie wyszkolonych i umotywowanych podkomendnych Narshu. W nagłej, burzliwej wymianie ognia zginęło jeszcze trzynastu Sharonian, ale z drużyny miecznika Lareska nie przeżył nikt... Nie żyło także dwunastu pozostałych żołnierzy z Arkany, którzy do samego końca nie mieli pojęcia, co się dzieje.**

**Skirvon zaczął gwałtownie podnosić się zza stołu, dokładnie w tym samym momencie, w którym zdał sobie sprawę, jak straszliwą porażkę poniósł cały plan. Nie wiedział co począć ani, w którą stronę się udać, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Złapał krawędź blatu, by się podźwignąć i zobaczył jak w dłoni „wicehrabiego Simratha” materializuje się pistolet, wydobyty z kabury noszonej pod pachajego cywilnej kurtki, której istnienia Skirvon nawet nie podejrzewał. Była to o wiele mniejsza broń niż ta, której używali ludzie Hulmoka Arthaga, ale pusta paszcza lufy ziała w niej jak groźną Jaskinia i Skirvon złapał się na tym, że wpatruje się w nią jak zahipnotyzowany.**

**Arkanianin zmarł z otwartymi szeroko ustami. Szare oczy, obserwujące go bacznie zza muszki rewolweru, spoglądały wzrokiem bardziej lodowatym niż zamrożone morze.**

**–Siadać.**

**Głos Dorzona chan Baskaya powiał jeszcze większym chłodem niż ten, który bił z jego spojrzeń. Trzymany przezeń rewolwer Polshana kaliber.35 nawet nie drgnął. Skirvon popatrzył jeszcze przez chwilę, po czym ciężko opadł na swoje siedzenie.**

**Ognie Piekieł65**

**Oblicze szefa arkaniańskiego zespołu dyplomatycznego przybrało barwę zimnego, zestalonego sosu śmietanowego. W oczach miał niezrozumienie. Szarpnęły nim mdłości – nie z powodu rozlewu krwi jednak, a dlatego, że przelana krew należała głównie do jego pobratymców. Jeszcze gorzej niż Skirvon wyglądał Uthik Dastiri. Młodszy z dyplomatów siedział po prostu na swoim miejscu z opuszczoną szczęką, zupełnie jakby jego umysł odmawiał przyjęcia do wiadomości podsuwanych przez oczy obrazów.**

**–Jeśli bez pozwolenia choć mrugniesz, strzelę ci prosto**

**w głowę, rozumiano? – Chan Baskay wciąż mówił tym sa**

**mym, mroźnym głosem.**

**Skirvon nadal tylko patrzył. Widział jak kciuk chan Baskaya odciąga kurek rewolweru. To nie było konieczne – Polshana była rewolwerem samonapinającym się i nie musiał tego robić - ale podobny gest zawsze wywiera stosowny efekt.**

**–Pytam cię, czy rozumiesz – dodał Sharonianin tonem, któ**

**ry nawet jemu samemu wydał się – teraz, w chwilę po nieocze**

**kiwanej burzy wystrzałów – dziwnie cichy i spokojny. Nie miał**

**pojęcia skąd bierze się to jego opanowanie – o ile to właśnie**

**ono wchodziło tu w grę – ale bez względu na ton, coś w wyra**

**zie twarzy mówiącego musiało mieć odpowiednią moc przeko**

**nywania, ponieważ Skirvon przytaknął nagłym, nieporadnym**

**skinieniem.**

**Chan Baskay raz jeszcze rzucił okiem na Arkanianina, po czym podniósł wzrok,**



widząc podchodzącego starszego zbrojnego chan Hathasa.

–Trzymam ich, kapitanie – zazgrzytał zbrojny, mierząc do dyplomatów ze swego cięższego, wyposażonego w znacznie dłuższą lufę HW.

–Dziękuję, starszy.

Chan Baskay schował swoją broń na powrót do kabury i wstał. Odwrócił się plecami do obu obcych dyplomatów, niemal przemocą zwalczając pokusę zastrzelenia ich teraz, zaraz, na miejscu. Wszystko dokoła było absolutnie jasne i wyraźne, choć zdawało się znacznie bardziej odległe, niż to miało w rzeczywistości miejsce. Popatrzył na własne dłonie i zauważył, że

*David Weber i Linda Evans*

choć czuje w nich silne mrowienie, to nie trzęsą się ani trochę. Zaczerpnął powietrza. Długi, oczyszczający oddech. Spojrzał na Arthaga.

–Jak bardzo dostaliśmy? – spytał.

–Prawie tak, że bardziej już nie można – odpowiedział Ar-thag głosem, który wydał się chan Baskayowi nedorzecznie rzeczowy. Po chwili Arpathianin lekko przechylił głowę. – Choć może nie aż tak. W końcu mogliśmy tu zginąć wszyscy. Nie wiem w sumie, co gorszego mogło się wydarzyć.

Chan Baskay przesunął wzrok za Arthaga i spojrzał na skręcone, pogruchotane ciało Rokama Traygana. Twarz martwego telepacy nadal wykrzywiona była w grymasie przedśmiertnego cierpienia. Chan Baskay zmełł w ustach najgorsze znane sobie przekleństwo. Dziesięć jardów od Traygana zobaczył zwłoki starszego zbrojnego chan Treskina.

–Skąd oni wiedzieli? – zapytał ternathiański oficer głosem, który brzmiał jak dźwięk towarzyszący kruszeniu żwiru. – Skąd wiedzieli, że powinni zabić ich obu?

–Nie mam pojęcia. Poza tym, nie mamy przecież pewności, że oni to rzeczywiście wiedzieli – zauważył Arthag.

–Musieli wiedzieć. Rokam padł jako pierwszy a to znaczy, że od początku był ich głównym celem. Z tego, z kolei wynika, że nie tylko zdawali sobie sprawę, iż był Głosem, ale też doskonale wiedzą, co potrafią telepaci.

–Możliwe. Choć nie – Arthag pokręcił głową – nie możliwe. Masz rację.

Przynajmniej, co do niego. Ale chan Treskin nie został zaatakowany tymi... tym czymś...

cokolwiek to było. Dostał po prostu dlatego, że był blisko jednej z błyskawic a ten bydlak,

który go zabił był już wtedy sztywny. Mam wrażenie, że chan Treskin zginął przypadkiem.

Zbłąkany strzał.

Chan Baskay popatrzył przez chwilę na Arpathianina i teraz to on pokręcił głową. Nie dlatego, że nie zgadzał się z oceną Arthaga, ale po to, by zebrać myśli. Nadal nie

było wiadomo jak długo Shaylar żyła w niewoli. Teraz jednak stało się jasne, że musiała przeżyć na tyle długo, by Arkanianie mogli wydobyć z niej przynajmniej część informacji na temat Talentów

## Ognie Piekieł67

i sposobu ich wykorzystania. Tylko w ten sposób mogli poznać wartość Głosów. Z drugiej strony, jeśli kawalerzysta nie mylił się co do losu, jaki spotkał chan Treskina, to Arkanianie nadal nie wiedzieli jak ważni byli Błyskacze, i żołnierz zginął przez czysty, niesamowicie nieszczęśliwy przypadek.

Tyle, że to w niczym nie zmieniało ponurego obrazu sytuacji.

–Nie możemy o tym wszystkim poinformować ani kapitana chan Tesha, ani kapitana Halifu – chan Baskay wiedział, że mówi na głos to, co i tak wszyscy już wiedzieli. – Pytanie brzmi więc: co robimy?

–Oni tego nie zrobili pod wpływem chwilowego widzimisię-powiedział Arthag. – Nie mylisz się, co do jednego. Uderzyli najpierw w nas, ponieważ to my stanowiliśmy węzeł komunikacyjny, pomiędzy kapitanem chan Teshem a Nową Uromathią. Stawiam na to, że byli przekonani, iż dostaną nas wszystkich, ale sami też pewnie nie zakładali tego jako absolutnego pewnika.

–To by znaczyło, że za kilka chwil powinniśmy się spodziewać ataku na pozycje chan Tesha – zgodził się ponuro chan Baskay. – Zakładając oczywiście, że już tego nie zrobili – zamknął oczy i mocno się potarł u nasady nosa, jakby chcąc przepędzić precz resztki niedawno przeżytego szoku. Intensywnie myślał. Po chwili znów spojrzał na Arthaga.

–Jeśli zaplanowali to tak starannie, jak się tego po nich spodziewam, to musieli rzeczywiście zakładać, że przeżyją przynajmniej niektórzy z nas. 1 na mój gust oznacza to też, że oni są w stanie dotrzeć tutaj szybciej, niż my potrafilibyśmy dotrzeć do Halifu.

–Niby jak? – zdziwienie Arthaga było szczere, choć nie było w nim cienia powątpiewania w analizę chan Baskaya, który tylko wzruszył ramionami.

–Nie mam cholera, bladego pojęcia – przyznał. – Ale biorąc pod uwagę te ich łodzie i to, co pokazali przed chwilą tutaj... – wskazał ruchem ramienia leżące dokoła zwłoki -...nie

byłbym pewny, że nie wiedzą, co robią. Na bogów, człowieku! Skoro potrafią unieść w

**powietrze stół konferencyjny, to może mają**

**6Wavid Weber i Linda Evans**

**też latające dywany? Póki nie będę mieć pewności, nie wykluczałbym i tej opcji.**

**–Ani ja – Arthag przez chwilę klepał się dwoma palcami w podbródek. Po chwili wzruszył ramionami.**

**–Przygotuję ludzi do wymarszu – oznajmił.**

**–Świetnie. A przez ten czas – chan Baskay uśmiechnął się zimno i okrutnie – ja pogawędzę sobie z naszymi „szanownymi gośćmi”.**

**Widząc powracającego przez zasłaną grubą warstwą jesiennych liści polanę wicehrabiego Simratha, Skirvon z trudem odwrócił wzrok od rewolweru trzymanego przez starszego zbrojnego chan Hathasa. Jednak okazało się, że mina Ternathianina nie jest wcale bardziej kojącym widokiem niż ziejący w lufie Hathasa otwór.**

**–A więc, mistrzu Skirvon – odezwał się Simrath głosem, który**

**chyba tylko przez przypadek nie zmroził powietrza dokoła**

**rozumiem, że Arkana właśnie tak wyobraża sobie przewagę słów**

**nad strzałami.**

**Skirvon nie odpowiedział ani słowem. W żołądku czuł gruby, lodowaty węzeł. Raz po raz ciężko przelykał ślinę. Z jakiegoś powodu, mimo wszystko, podobnego obrotu sytuacji nie wyobrażał sobie ani przez chwilę. Zanadto skupił się na tym, co miało spotkać Sharonian, by przemyśleć to, co będzie się działo, jeśli jego starannie wyreżyserowany plan zawiedzie.**

**–Widzę, że nie jesteśmy już tak rozmowni – zauważył wicehrabia Simrath. – Wydaje mi się jednak, mistrzu Skirvon, że może pan zechce przemyśleć swoją postawę. W zasadzie, to wydaje mi się, że bardzo pan chce powiedzieć mi dokładnie, co się tu dzieje.**

**–Nie wiem, o czym pan mówi – zdołał wydusić z siebie Skir-von. – Nie wiedziałem, że Narshu planuje coś takiego!**

**–Trekar? – Simrath rzucił okiem na stojącego obok drugiego z pozornych cywilów. Trekar chan Rothag pokręcił głową.**

**–Więc to było kłamstwo – powiedział beznamiętnie wicehrabia, zwracając się do Skirvona. – W sumie nie potrzebowałem nawet Trekara, żeby to stwierdzić. Ale**

**wydaje mi się, że**

**Ognie Piekieł**

powiniennem pana ostrzec, że Trekar jest Wykrywaczem. Z pewnością wiecie o naszych Talentach więcej, niż chcieliście to do tej pory przyznać, więc nie muszę zbyt szczegółowo wszystkiego tłumaczyć. W każdym razie Talent Trekara pozwala ocenić, kiedy ktoś kłamie, a kiedy nie. W związku z czym dobrze panu radzę błędu.

–Bo inaczej, co? – spytał Uthik Dastiri. wyraźniej odzyskał zdolność mowy, choć Skirvo

pewien, czy powinien się z plomata mówić, ale oczy nadal rzy malowało się wojownicze gniew uderzył Skirvona nagle

wiadomo było, że Dastiri jest zbyt otwartym

na zawodowego dyplomatę. Teraz jego

rzanie przekształciły się w bezrozumny gniew.

kle na Simratha. Dłonie mu zadrgały.

Wicehrabia okazał się jednak mężczyzną odpornym na wszelkie wybuchy gniewu.

–Kłamaliście nam przez cały czas – powiedział Ternathia-nin, którego spojrzenie było zimniej sze – i o wiele bardziej groźne – niż wzrok Dastiriego. – Pogwałciliście zawieszenie broni i zabiliście naszych żołnierzy. Bez wątpienia zamierzaliście niewoli Trekara i mnie. W skrócie, jesteście winni morderstwa z taką zbrodnię jest śmierć.

–Nie odważysz się! – wypalił Dastiri.

–Nie odważę się? – powtórzył lodowatym tonem Simrath.

–Jesteśmy dyplomatami – powiedział Dastiri. – Nawet tacy barbarzyńcy jak wy powinni wiedzieć, co to oznacza. Poza tym, niedługo będą tu nasze wojska. To już tylko kwestia czasu.

–A zatem jesteśmy barbarzyńcami, tak? – odparł Simrath niezwykle spokojnie. – Czy takimi może barbarzyńcami, którzy masakrują cywilów? A może takimi, którzy kłamią, negocjując zawieszenie działań wojennych? Czy raczej takimi, którzy wykorzystując przykrywkę rozmów dyplomatycznych, planują zabójstwo z zimną krwią?

*70David Weber i Linda Evans*

–Zamknij się, Uthik – syknął surowo Skirvon.

**–Nie zamknę się! – odparł ostro Dastiri. – Ten bydlak myśli, że może nam grozić? Cóż, jest w poważnym błędzie! – podniósł gniewny wzrok na Ternathianina. – Proszę bardzo -warknął. – Powiedz nam. Powiedz, co nam zrobisz. Pamiętaj tylko, że nasi już tu idą!**

**–Doprawdy? – coś w uśmiechu wicehrabiego spowodowało, że żołądek Skirvona skurczył się jeszcze bardziej.**

**–Obawiam się, że rozumowanie oparł pan na błędnych założeniach, mistrzu Dastiri -ciągnął Simrath, sięgając za poję kurtki i wyciągając rewolwer. – Ja naprawdę jestem wicehrabią Simrath i naprawdę jestem akredytowanym do prowadzenia tych negocjacji przedstawicielem cesarza Zindela. Ale jestem także kapitanem armii Cesarstwa Ternathii i nazywam się chan Ba-skay. Na mocy obecnego przydziału, służę w Siłach Zbrojnych Zarządu Portali. I obawiam się, że w tej chwili o wiele bardziej czuję się wojskowym niż dyplomatą.**

**Skirvon z trudem przełknął ślinę. Chan Baskay uśmiechnął się chłodno.**

**–Na mocy ternathiańskiego prawa wojskowego, mistrzu Dastiri jestem uprawniony do prowadzenia rozpraw sądów polowych w trybie przyspieszonym, oraz do wykonywania ich w roków.**

**–Nie dam się podejść! – warknął Dastiri. – Nawet ty nie możesz być tak głupi\* by sądzić, że zabójstwo arkaniańskiego dyplomaty ujdzie ci na sucho!..”**

**–Może i nie – zgodził się chan Baskay. – Z drugiej jednak strony, jestem na tyle głupi, żeby wykonać egzekucję na bydlę ciu i mordercy.**

**Ternathianin uniósł pistolet i kiedy lufa Polshany zawisła na wysokości nosa Dastiriego, oczy Arkanianina mimowolnie rozszerzyły się ze strachu. Wolną ręką chan Baskay nakazał dwóm stojącym za Dastirim żołnierzom, by zeszli z linii strzału. Kiedy obaj kawalerzyści stanęli nieco z boku, opanowanie Mani-sthuanina wydawało się przez chwilę słabnąć. Po chwili, jednak znów zacisnął zęby i rzucił na chan Baskaya wściekłym**

**Ognie Piekieł**

spojrzeniem, jakby chwilowy przejaw słabości tylko jeszcze dolał oliwy do ognia jego gniewu.

–Szczерze i gorąco radzę. Daj mi jakiś powód, bym cię nie Baskay.

–Pieprz się! – syknął Dastiri.

–Zła odpowiedź – mruknął chan Baskay i nacisnął spust.

Któryś z zakamarków umysłu Skirvona zarejestrował, że

czarny otwór, który pojawił się w czole Dastiriego nie był wcale tak duży. Za to cała tylna strona czaszki młodszego dyplomaty zniknęła, zamieniając się w chmurę czerwieni, szarości i potrzaskanych, białych kości. Ciałem szarpnęło i upadło ciężko na ziemię w delikatnych drgawkach. Chan Baskay przesunął lufę śmiercionośnej broni i wymierzył teraz w czoło Skirvona.

–Masz pięć minut, żeby mnie przekonać, że nie chcę cię

zabić – oznajmił Ternathianin. – Jestem pewien, że wiesz wiele

rzeczy, które mogłyby mnie zainteresować. I przypomnę ci tyl

ko, że Trekar będzie wiedzieć, jeśli mnie okłamiesz. A jeśli mnie

okłamiesz, mistrzu Skirvon, będę bardzo, ale to bardzo rozczu

rowany pańską postawą. Czy wyraziłem się jasno?

.,\*m /

## ROZDZIAŁ TRZECI

Dowodzący Pięcioma Setkami Cerlohs Myr, dowódca Pierwszego Tymczasowego Kłosa Sił Ekspedycyjnych Arkany wsunął się nieco głębiej w kokpit, będący zagłębieniem w łuskach pokrywających szyję Skrzydlatego Miecza. Oficer poczuł głęboki, jakby podziemny pomruk wprawiający w drgania cielsko rozpędzającego się bojowego smoka. Uderzyła go niesamowita siła drżeniąca w bijących skrzydłach zwierzęcia i poczuł falę gwałtownej ekscytacji. Według pięćsetnika nie istniało nic – nic w?e wszystkich wszechświatach, które dotąd zbadała ludzkość – co mogło się choć w przybliżeniu równać z dreszczem towarzyszącym prowadzeniu do walki smoka bojowego.



**„Choć przez ostatnie dwieście lat nikomu się to nie zdarzyło”.**

**Ta myśl pojawiła się gdzieś na skraju świadomości oficera w chwili, gdy powietrze zaczęło ryczeć mu nad głową. Piloci smoków bojowych nie korzystali z siodeł, jakie upodobali sobie lotnicy kierujący smokami transportowymi. Prowadzili swoje wierzchowce na pół leżąc, umocowani pasami w swoich kok-pitach – zagłębieniach, które wytworzono w pokrytych wielkimi łuskami karkach bestii na drodze stuleci selektywnej hodowli.**

**Ognie Piekieł**

Starannie wyrzeźbione, dłuższe wypustki z przodu zagłębienia, służyły jako osłona chroniąca człowieka przed pędem powietrza. Pędem, który w chwilach, gdy smok rozwijał

swą maksymalną prędkość był na tyle silny, iż mógł bez trudu złamać rękę lub nogę. Hodowcy zadbali jednak o powstanie wygiętych ku górze i w tył łusek, które zapewniały lotnikom kieszeń spokojnego powietrza, przypominającą pod kilkoma względami oko cyklonu.

Rzecz jasna nawet Myr był w stanie policzyć na palcach przypadki, w których rozpędził swojego smoka do najwyższej dostępnej zwierzęciu prędkości. W czasie pokoju na takie wyczyny patrzono krzywo, nawet w przypadku lotów bojowych, ponieważ groziły one obrażeniami pilotów. Zresztą nie tylko ich. Tak naprawdę, zastąpienie kalekiego czy nawet martwego pilota innym, nie było niczym trudnym. Natomiast wyhodowanie, tresura i szkolenie pełnowartościowego smoka bojowego – takiego, jak Skrzydlaty Miecz – liczyło się dosłownie długimi latami.

Między innymi, właśnie dlatego w Siłach Powietrznych nigdy nie było ich zbyt wiele. Smoki były drogie w utrzymaniu, nerwowe, niebezpieczne i – w czasie pokoju – były także o wiele mniej użyteczne, niż większe, powolniejsze i bardziej spokojne zwierzęta transportowe. Istnieli tacy, którzy od lat starali się o jeszcze dalej idącą redukcję liczebności smoków bojowych. Poza tym, że służyły wsparciem w zdarzających się od czasu do czasu walkach z większymi i lepiej zorganizowanymi bandami na pograniczu, nie istniały tak naprawdę zadania, w których nie mogły ich zastąpić smoki transportowe. W końcu, po przejściu odpowiedniego przeszkolenia, transportowce mogły z powodzeniem wykonywać misje rozpoznawcze, a smoki bojowe nie były w stanie zastąpić większych kuzynów w zadaniach, polegających na ewakuacji ludzi i przenoszeniu towarów. Nie stworzono ich po to, by kogokolwiek ratować. Wyhodowane zostały wyłącznie po to, by nieść śmierć.

Siły Powietrzne poradziły sobie z naciskami tych, którzy nalegali na całkowitą rezygnację ze smoków bojowych. Nie było

*IWavid Weber i Linda Evans*

to jednak łatwe. Zwłaszcza w obliczu tych długich lat, w których Unii Arkany nie groziło żadne zagrożenie z zewnątrz. Decydującym argumentem stały się czas i niewiarygodne wydatki, jakie należałoby ponieść, gdyby podjęto się całkowitej restrukturyzacji Sił Powietrznych i zaprzepaszczono programy hodowlane i szkoleniowe. Nie przeszkodziło także i to, że niektórzy posłowie do Parlamentu Unii, chcieli za wszelką cenę ochronić swoje lukratywne kontrakty zawarte z Siłami

## **Powietrznymi.**

**O ile jednak udało się pozostawić smoki bojowe w charakterze integralnej części standardowego wyposażenia Sił Powietrznych, to jednak musiano się zgodzić na poważną redukcję ich stanu liczebnego. Ten powolny, lecz nieustanny proces trwał już z górą od**

**dziewięćdziesięciu lat i w tej chwili zdolności bojowe Sił Powietrznych były najmniejsze od chwili ich powstania.**

**„Co oczywiście wyjaśnia, dlaczego właśnie teraz, Ekros rzucił nam do ogródka tę przeklętą wojnę” – pomyślał z goryczą Myr. Goryczy tej było oczywiście tylko tyle, na ile mógł się zdobyć człowiek czujący całym sobą niewiarygodną siłę smoka, niesionego przez bezkres nieba z prędkością dwustu mil na godzinę.**

**Wlokące się transportowce, zniknęły już gdzieś z tyłu. Pędzące z prędkością równą dwóm trzecim swej maksymalnej, smoki bojowe odsądziły je bez trudu. Takiego sprintu nie mogło wytrzymać zbyt długo żadne stworzenie, ale dwutysięcznik Harshu po wielokroć podkreślał konieczność błyskawicznego przeprowadzenia tego ataku.**

**Myr wolałby osobiście lecieć na czele formacji, a Skrzydlaty Miecz był zwierzęciem, które z powodzeniem poradziłoby sobie w tego rodzaju misji. W końcu Miecz był „czarnym” smokiem – ziejącym błyskawicami. Niemniej, dowodzący pięcioma setkami nie miał powodu, by w tak wczesnej fazie konfliktu walczyć na pierwszej linii. Jego zadaniem była koordynacja działań wszystkich pozostałych, a uderzeniem na taką skalę nie dowodził nikt od czasu wojen unifikacyjnych.**

**Ognie Piekieł**

Do tego najdelikatniejszego zadania wyznaczył więc Dowodzącego Pięćdziesięcioma Delthyra Fahrlo. Pilotowany przez Fahrlo Kieł Śmierci, był – podobnie jak Skrzydlaty Miecz – „czarnym” smokiem i także miał już sporo ponad osiemdziesiąt lat, co oznaczało, że jak na smoka bojowego był zwierzęciem nadal w pełni sił, ale już z odpowiednio dużym doświadczeniem. Oczywiście były to doświadczenia zebrane, przede wszystkim w misjach szkoleniowych, a nie w warunkach pola walki, ale Kieł Śmierci i tak pozostawał najlepszym smokiem do pełnienia roli prowadzącego. Fahrlo z kolei, przez trzy lata pilotowania Kła, przeprowadził na nim pokaźną ilość symulowanych ataków, przez co i jego doświadczenie nie było znikome.

Teraz Myr musiał już tylko zaczekać by przekonać się, czy rzeczywiście dokonał trafnego wyboru. Spojrzał przed siebie i zobaczył rosnący dysk portalu na bagnach, zbliżający się, rosnący, puchnący. Oficer pomyślał, że zupełnie nie rozumie, dlaczego nagle zrobiło mu się w ustach tak sucho.

\* \* \*

Młodszy zbrojny Harth Loumas spojrzął na zegarek.

Właśnie zbliżał się czas kolejnego przeglądu okolicy. Żołnierz ziewnął i przeciągnął się. Powoli splótł palce nad głową i wygiął plecy w łuk, by rozprostować kości. Po chwili przysiadł na piętach i przejrzał swym Talentem rozciągające się dokoła mile wody i błota.

Loumas zawsze traktował swe obowiązki bardzo poważnie. Dzisiaj, pamiętając o... namiętności, z jaką kapitan chan Tesh podkreślał wagę przestrogi, przesłanej przez kapitana chan Ba-skaya dotyczącej zachowania arkaniańskich dyplomatów, wypełniał je jeszcze staranniej niż zazwyczaj. Dziś bardziej niż zazwyczaj żałował, że nie mają do dyspozycji porządnie Utalentowanego Dalekowidza.

Takiej osoby jednak na bagnach nie było i nie było także widoków na podobne uzupełniania. Znaczyło to, że Talent Kreślarza, jakim dysponował Loumas, był najlepszym z dostępnych im metod do obserwacji terenu. Skupił się jeszcze mocniej, próbując „wyczuć” obecność żywych istot. Jak zawsze opadły go

*David Weber i Linda Evans*

tysiące śladów energii życiowej – ptaki, ssaki, jaszczurki, krokodyle, jaguary... Lista była długa. Wszystkie z tych wątków energii jednak porzucane były dokoła beładnie, nie zdradzały najmniejszych śladów rozumnej organizacji, która świadczyłaby o obecności człowieka.

„Nadal ani śladu tych drani” – pomyślał. – „I fajnie. Choć z drugiej strony niektórzy kumple są strasznie pewni siebie i chcieliby rozegrać z Arkanianami jeszcze jedną partyjkę. Ja jednak wolałbym, żebyśmy, zanim do tego dojdzie, doczekali się wreszcie posiłków z domu.”

Otworzył oczy i wyprostował się. Młodszy zbrojny Tairsal chan Synarch popatrzył na niego i uniósł brew.

–1 co? Znowu nic? – zapytał Błyskacz.

Czyżbyś był rozczarowany? – spytał oschle Loumas. – Wierz mi, że nie! – chan Synarch zdecydowanie pokręcił

głową.

–To świetnie, bo już myślałem, że coś ci się stało w głowę.

Chan Synarch zachichotał. Obaj pełnili razem służbę wartowniczą w tym miejscu, odkąd kapitan chan Tesh odbił z rąk Arkanian portal na bagnach. Zdążyli się przez ten czas dobrze poznać i polubić, mimo iż pochodzili z różnych kultur. Loumas urodził się w Nowej Farnalii i wstąpił do SZPP niemal piętnaście lat temu, a chan Synarch był Ternathianinem i to takim, który przyszedł na świat mniej niż piętnaście mil od Estafel – stolicy cesarstwa. Służył

w Imperialnej Piechocie Morskiej i do SZPP przydzielony został tymczasowi©. Warto też wspomnieć, że pomiędzy Piechotą Morską – uważającą się za *corps d'élite* – a regularnymi żołnierzami Sił Zbrojnych Zarządu Portali trwała bezustanna, ugruntowana długą tradycją, rywalizacja.

Rywalizacja, która od czasu do czasu przeradzała się nawet w bardzo zajadłe konflikty, a przynajmniej bójkę. Tym razem jednak tak się nie stało. Chan Tesh odebrał Loumasa z oddziału Hulmoka Arthaga, ponieważ rozpaczliwie potrzebował Kreślarza. To znaczy – tak naprawdę potrzebował Dalekowidza, ale póki co musiał się zadowolić rozwiązaniami dostępnymi na miejscu. Chan Synarch był starszy od Loumasa, ale przyznał

# Ognie Piekieł

się, że nigdy wcześniej nie pracował z Kreślarzem, przez co zadawał całą masę pytań i z ciekawością poznawał sposoby działania, które pozwalały im obu jak najpełniej wykorzystać własne Talenty. Wkrótce obaj żołnierze zaczęli też darzyć się wzajemnym szacunkiem.

–Szkoda, że nie możemy siedzieć po drugiej stronie portalu

–odezwał się chan Synarch, leniwie opędzając się ręką od bzy-  
czących mu nad głową i w uszach owadów.

–No, jeśli wykombinujesz jakiś sposób, by Talenty zadziałały przez portale, to myślę,

że kapitan podpisze nam zgodę. Co więcej, coś mi mówi, że jeśli już to wymyślisz, to

staniesz się obrzydliwie bogatym facetem.

–No tak, na razie jestem tylko obrzydliwy – skwitował chan

Synarch i skrzywił się, spoglądając na swój niemiłosiernie ubło-  
cony but. Tym razem zachichotał Loumas.

\* \* \*

Dowodzący Pięćdziesięcioma Fahrlo zauważył, że jego ciało odruchowo, stopniowo coraz bardziej wciska się w dające poczucie pewności, potężne cielsko Kła Śmierci. Nigdy przedtem nie ważył się nakazać bestii lotu z maksymalną prędkością. Jednym z powodów były niezbyt przyjemne kary, grożące pilotom na tyle głupim lub do tego stopnia niezręcznym, by podczas zwykłego lotu szkoleniowego okaleczyć któregoś z niezwykle drogich i ciężkich do zastąpienia smoków bojowych.

„Niech wszyscy bogowie sprawią, by tym razem Neshok się nie mylił” – pomyślał Fahrlo. „Bo jeśli się pomylił i obcy jednak obserwują niebo zamiast skupiać się wyłącznie na kontrolowaniu ziemi, to może nas czekać bardzo smutny koniec wycieczki.”

Fahrlo pokładałby może nieco więcej zaufania w analizie oficera wywiadu, gdyby nie uważał Neshoka za jednego z sześciu największych kretynów, jakich miał pecha kiedykolwiek spotkać.

**„Bądź sprawiedliwy. Póki co, robi co do niego należy. Nie musisz go przecież lubić”  
– napomniął się pilot. „Ale nadal uważam,**

***7KI)avid Weber i Linda Evans***

**ż,c gdyby był choć w polowie tak bystry, za jakiego sam się uważa, to już dawno dochrapałby się dwutysięcznika.”**

**Fahrlo znów skarcił się w duchu. W tym momencie powinien się skupiać na zupełnie innych rozmyślaniach. Skrytymi w rękawicy palcami lewej dłoni nacisnął mocniej zagłębienie sterownicze na potężnej szyi Kła Śmierci.**

**Piloci latający na smokach transportowych prowadzili swe zwierzęta za pomocą uprzęży i specjalnych batów. Ci jednak, którzy latali na zwierzętach bojowych, kierowali nimi dosłownie samymi tylko koniuszkami palców. Hodowcy smoków, w oparciu o identyczną zasadę, dzięki której stworzyli kokpit, w którym siedział teraz Fahrlo, spowodowali też powstanie dwóch zagłębień w smoczym karku. Zagłębienia te były długie na nieco ponad dwie stopy i rozmieszczone akurat tak, że pasowały do ramion pilota. Głębokie były z kolei na tyle, by palce Fahrlo sięgały samej skóry zwierzęcia, a nie grubych, ochronnych łusek pokrywających resztę jego ciała. Smocza skóra, w odróżnieniu od łusek, była niezwykle wrażliwa i Kieł Śmierci został wykształcony tak, by reagować na najlżejsze nawet jej muśnięcie. Fahrlo, jak większość pilotów smoków bojowych, już dawno nauczył się korzystać ze swych palców ze zręcznością zawodowego muzyka i po długim okresie wspólnych lotów myśleli z Kłem niemal jak jedna istota. Smok doskonale wiedział, co oznacza każdy dotyk w zagłębieniu. Teraz więc opuścił nieco koniuszek lewego skrzydła, pochylił łeb i wszedł w stromy lot koszący.?...»-**

**Fahrlo uwolnił na chwilę z zagłębienia sterowniczego prawą dłoń i nacisnął**



wbudowany w swój hełm kryształ sarkolisu. Na szybce ochraniającej twarz pojawił się okrągły obraz, przedstawiający widok, jakiego Fahrlo nigdy nie oglądał własnymi oczyma.

Nic dziwnego. Smoki widziały świat inaczej niż ludzie. Nieco inaczej postrzegały barwy, a co istotniejsze żaden człowiek nie był w stanie z tak wielkich odległości dostrzec tak niewielkich obiektów.

Pilotem smoka bojowego był też ojciec Delthyra Fahrlo. Ojciec oraz dwaj wujowie i dziadek. Tę samą służbę pełnił także

## Ognie Piekieł79

pradziadek półsetnika. To powołanie często przechodziło z ojca na syna, ponieważ absolutnym wymogiem dla pilota smoków bojowych było posiadanie konkretnego Daru. Obraz wyświetlany na szybce hełmu nie był wytwarzany przez żadne zakłucie kartograficzne czy projekcyjne, choć wyglądał nieco podobnie jak efekty stosowania takich czarów. Kryształ wmontowany w hełm łączył się z innym podzespołem z sarkolisu, chirurgicznie wszczepianym smokowi w trzecim miesiącu po wykluciu. W momencie aktywacji oba kryształy aktywnie komunikowały się ze sobą, dzięki czemu pilot widział dokładnie to samo, co miał przed oczami smok. Więź działała w obie strony. Na szybce poruszał się celownik, który podążał za wzrokiem Fahrlo. Obracając głowę, kierując własne spojrzenie na określony obiekt czy istotę i oznaczając ją celownikiem pilot był w stanie wskazać smokowi cel ataku.

Nie było to jednak jedynym zadaniem kryształu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł sobie życzyć, by smocza broń została aktywowana bez nadzoru człowieka. Co prawda sam mechanizm umożliwiający zianie, stanowił integralną część organizmu smoka, ale zwierzę nie było w stanie skorzystać zeń bez zgody pilota. Zadaniem lotnika był wybór celu, a zadaniem smoka jego zniszczenie... niemniej bestia mogła tego dokonać jedynie po tym, jak człowiek aktywował uzbrojenie za pomocą kryształu i specjalnych kodów.

W tej chwili niesłychanie bystry wzrok Kła Śmierci skupił się na stojących daleko w dole dwóch żołnierzach przeciwnika. Według planu operacyjnego rozpisanego przez tysięcznika To-ralka, to właśnie oni mieli zginąć jako pierwsi.

\* \* \*

Coś skłoniło Tairsala chan Synarcha do spojrzenia w niebo.

Nie potrafił określić, co to było. Z pewnością nie był to żaden odgłos, ani też żaden podszept Talentu. Być może był to krzyk jakiegoś prymitywnego instynktu, bardziej nawet pierwotnego niż jakakolwiek psychiczna zdolność, czy którykolwiek Dar.

**Bez względu jednak na jego źródło, ostrzeżenie nadeszło zbyt późno.**

**80 David Weber i Linda Evans**

**Żołnierz patrzył szeroko otwartymi oczyma na niesamowitego potwora mknącego ku niemu wprost z nieba. Nie potrafił określić jak wysoko leciał. Po pierwsze, dlatego, że bestia**

**była ogromna, a po drugie, dlatego, że nigdy dotąd nie widział stworzenia, które choć w przybliżeniu przypominałoby to coś. Z początku, przez mgnienie pomyślał o jakimś wielkim jastrzębiu, czy może orle. Ale zaraz potem zrozumiał, że ten stwór jest znacznie większy. I kiedy padły nań promienie słońca, potwór nabrał metalicznego pobłysku. Pobłysku, jakiego nie miały pióra żadnego ptaka.**

**–A co to, kur...”**

**Nigdy nie dokończył pytania.**

**He \* \*’**

**Wybór Kłła Śmierci akurat do tego konkretnego zadania stał pod wieloma względami w sprzeczności z Regulaminem Działań Sił Powietrznych. Czarne smoki, w myśl paragrafów należało wykorzystywać do zapewniania przewagi w powietrzu, a nie do ataków na cele naziemne. Tego rodzaju misje powinno się powierzać ziejącym ogniem smokom czerwonym, albo wydychającym gaz bojowy smokom żółtym. Tylko, że pięć-setnik Neshok i tysięcznik Toralk kilka razy podkreślali, że posterunek strażniczy powinien zostać zlikwidowany w pierwszych chwilach ataku. Jeden z pełniących tam służbę Sharo-nian z pewnością posługiwał się jakimś rodzajem tego ich „talentu”, który umożliwiał mu przesyłanie informacji, na co najmniej krótkim dystansie. Według Neshoka\*’ nie był tym, kogo obcy nazywali „Głosem”, czyli nie wydawało się możliwe, by mógł porozumiewać się z bardziej oddalonymi pobratymcami, ale pewności nie było, a Arkanianie nie mogli sobie pozwolić by wiadomość o ataku pomknęła w górę łańcucha wszechświatów.**

**Dlatego właśnie pięćsetnik Myr do likwidacji strażników wyznaczył smoka czarnego. Czerwone i żółte cechowały się nieco krótszym zasięgiem, a ich ataki ponadto były znacznie wolniejsze w działaniu. Dotyczyło to przede wszystkim dyszących gazem smoków żółtych ale i ogniste kule, którymi**

**Ognie Piekieł**

pluły czerwone, leciały tylko nieco szybciej niż bełt z kusz, co w połączeniu z krótkim dystansem skutecznym sprawiało, że niezbyt nadawały się do walki powietrznej.

Do tego jednak stworzono smoki czarne. Ich błyskawice wyrządzały mniejsze szkody, niż ogniste kule czerwonych, ale za to atakowały – dosłownie – błyskawicznie, nie pozostawiając ofiarom ani chwili na uniki. Jeśli błyskawica została prawidłowo wypuszczona, niechybnie dosięgała swego celu.

Fahrlo strzelał wcześniej błyskawicami Kła Śmierci wielokrotnie, w trakcie misji

szkoleniowych. Celował do celów płóciennych lub drewnianych,

ustawionych na starannie

przygotowanych poligonach. Nigdy jednak nie otwierał ognia do żyjącego, oddychającego

celu.;...-,>);>:....

Aż do d/iś.:...-. V...;b,V;

\*\* \*

Harth Loumas właśnie zaczął obracać głowę, chcąc sprawdzić, co tak zainteresowało chan Synarcha. Właśnie wtedy, przy wtórze głośnego syku, z bezchmurnego nieba uderzył piorun gruby jak ramię dorosłego człowieka. Błyskawica wbiła się w ziemię dokładnie pomiędzy dwoma Sharonianami. Jej siła była tak wielka, że w niczym nie przypominała niczego, co Arkanianie pokazali w boju do tej pory.

Usta żołnierzy rozwarły się w niemym krzyku. Piorun ogarnął ich oślepiającą aurą zniszczenia. Przez jedno mgnienie zwijali się w cierpieniu, ich ciała zadrgały w bezradnej reakcji na wyładowanie potężnego ładunku elektrycznego. Huk towarzyszący uderzeniu pioruna przypominał wystrzał z działa. Ci, którzy słysząc go obrócili głowy, zdążyli jeszcze zobaczyć Loumasa i chan Synarcha padających na

ziemię niczym zepsute laleczki wykonane

ze spalonego, dymiącego mięsa, zwęglonych włosów i płonących ubrań.

**\*\* \***

**Pięćsetnik Myr widział jak oślepiająca kreska błyskawicy Kła Śmierci przecina niebo. Z tego miejsca wszystko wyglądało doskonale. Oficer uruchomił zaklęcie, które posłało w powietrze za jego smokiem jaskrawoczerwoną flarę. Ekspłodowała**

***82David Weber i Linda Evans***

**oślepiającym światłem i 3021 Napad Bojowy, posłusznie odbił w bok i runął do ataku, nabierając prędkości.**

**Balkar chan Tesh wracał akurat do bunkra dowodzenia, zbudowanego naprzeciwko od północnej strony portalu, dokładnie na wysokości środka jego tarczy. Właśnie wtedy doleciał go ostry dźwięk eksplozji. Odwrócił się w stronę, z której dobiegał. Oczy rozszerzyły mu się z napięcia. Zaczął się gorączkowo zastanawiać. Takiego wybuchu nie słyszał nigdy dotąd, ale odgłos był o wiele brutalniej szy, by mogło to być cokolwiek innego.**

**Znajdował się zbyt daleko od posterunku Loumasa i chan Synarcha, by dokładnie widzieć, co się stało. W jakiś niezrozumiały sposób wiedział jednak od razu. Po prostu wiedział.**

**Stał tak jeszcze przez chwilę, po czym, wiedziony nakazem instynktu spojrzął ku niebu.**

**Dowodzący Setką Horban Geyrsof obserwował, jak kolejne pododdziały 3012. Napadu opadają stromym locie nurkowym.**

**Cały Pierwszy Tymczasowy Kieł nadleciał nad cel ze wschodu. Dzięki temu od wrogich strażników oddzielała ich bariera portalu. Nikt nie wiedział, czy portale tak samo działały na te tak zwane „Talenty” Sharonian jak na magię, ale według pięćsetnika Neshoka wydawało się, że tak w istocie było. Geyrsof nie był wielbicielem stwierdzeń zaczynających się od „wydaje się, że” zwłaszcza, gdy posługiwano się nimi przy planowaniu operacji militarnych, ale biorąc pod uwagę przerażającą skuteczność broni przeciwnika wiedział, że należy skorzystać z każdej możliwej przewagi.**

**Teraz, gdy flara pięćsetnika Myra oznajmiła początkowy sukces, osiem czerwonych smoków 3012. podzieliło się na dwa czterosmokowe loty i rozleciały na prawo i lewo, po czym zawróciły jednocześnie nurkując. Atakowały portal z obu stron z rozpostartymi skrzydłami, przy prędkości dochodzącej do dwustu pięćdziesięciu mil na godzinę. Bezlitosne wykorzystanie przewagi wysokości.**

### **Ognie Piekieł83**

**Geyrsof wolałby prowadzić pierwszy atak osobiście i to nie tylko dlatego, że tętnił w nim nadmiar agresji i pewności siebie – podstawowych cech każdego, dobrego pilota smoków**

**bojowych. Ten atak był pierwszym przeprowadzonym przez Siły**

**wojsko nieprzyjacielskie od dwustu lat. Co więcej, pilotowana przez**

była smokiem żółtym. Jej trujący wyziew był świetną bronią do właśnie takich zadań jak to.

Niestety – poza Chmurą, tysięcznikowi Toralkowi udało się zgromadzić tylko dwa inne żółte

smoki i wszystkie leciały w jednym napadzie z Geyrsofem.

Był też inny problem. To był nie tylko pierwszy od dwustu na regularnego przeciwnika, ale także pierwszy w dziejach, atak Sił zupełnie innego wszechświata. A smoków żółtych było zbyt mało,

nieznane. Tym bardziej, że nikt nie miał pewności, jak wypracowana przez SP doktryna wojenna sprawdzi się w konfrontacji z tego rodzaju przeciwnikiem. I nikt nie mógł zagwarantować jak skuteczna okaże się przeciwko smokom Geyrsofa, broń obcych.

Tego wszystkiego mieli się dowiedzieć już za chwilę.

niż się tego spodziewał w najgorszych koszmarach, Balkar chan T chwili, w której zobaczył pędzące w dół z samego nieba potwory. słowa – smoki – byłyby niesamowicie groźnym przeciwnikiem,

sh zrozumiał w tej samej

Te... te – z braku lepszego

awet gdyby wylądowały

między jego żołnierzami i walczyły jedynie za pomocą swych kłów i pazurów. Oficer nigdy nie wyobrażał sobie, że możliwe było, by – może poza wielorybami – żywe istoty osiągały takie rozmiary. To jednak, że tak wielkie bestie potrafiły unieść się w powietrze, przeppełniło go atawistycznym przerażeniem. A jednak inna myśl, pełgająca gdzieś na dnie jego umysłu, dręczyła go o wiele bardziej. Skoro te stworzenia wyglądały jak smoki i skoro tak samo, jak smoki latały, to w takim razie najprawdopodobniej, tak samo, jak smoki, potrafiły także ziać ogniem.

*David Weber i Linda Evans*

Kiedy pierwotna, prymitywna część jego umysłu uporowała się już z tymi przerażającymi obrazami, do głosu doszła jego myśląca, racjonalna część. I ta doszła do równie przerażających wniosków. Skoro obcy dysponowali możliwością lotu, to wszystkie szacunki i dotychczasowe oceny, co do możliwości transportowych obu stron można było wyrzucić do kosza.

A jeśli ten przypominający eksplozję dźwięk rozległ się rzeczywiście z tego miejsca, z którego zdawał się dobiegać, to chan Tesh nie miał już żadnej możliwości przesłania wiadomości, którą chan Baskay i Rothag przekazaliby Głosowi kapitana Halifu. 1 nikt nie dowie się o tym odkryciu.

Wszystkie te myśli tłoczyły mu się naraz w głowie, gdy patrzył na trzy smoki lecące wprost na niego.

I właśnie wtedy zionęły ogniem.

*i*

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Atak prowadził dowodzący dwudziestoma pięcioma, Tahlos Berhala.

Dowodzący dwudziestoma pięcioma ćwierćsetnik, był rangą stosowaną wyłącznie w Siłach Powietrznych i Berhala doskonale wiedział, że żołnierze służący w innych formacjach armii Unii Arkany mająć ćwierćsetników w głębokiej pogardzie. Nie miał im nawet za złe tego, iż nie podobało im się, że Siły Powietrzne powodują „inflację szarż”, ale nie miał najmniejszego zamiaru rezygnować z wiążących się ze stopniem przywilejów (i zwiększonego żołdu). Powodem istnienia tej rangi był fakt, że decydenci w Siłach Powietrznych już dawno temu postanowili, iż każdy pilot prowadzący smoka bojowego powinien być oficerem. Berhala wiedział, że dawniej było także wielu latających podoficerów, ale zostali oni odsunięci w ramach redukcji liczebności arkaniańskiego

lotnictwa. Dlatego też zdecydowano, że skoro smoków ma być w powietrzu mniej, to niech przynajmniej wszyscy ci, którzy zasiadają w ich kokpitach będą oficerami!

I dlatego właśnie Tahlos Berhala i jego czerwony smok – Płomień Niebios – lecieli teraz na szpicy pierwszego między-szechświatowego ataku powietrznego w dziejach.

*David Weber i Linda Evans*

Pilot skupił się na obrazie wyświetlanym na szybcie jego hełmu i spróbował odsunąć od siebie wszystkie inne, mogące go rozproszyć myśli i uczucia – w tym strach i ekscytację. Przyglądał się niewiarygodnie wyraźnym obrazom podsuwanym przez oczy Płomienia i wmontowany w jego hełm kryształ sar-kolisu, który emitował także migocący bursztynowo celownik dokładnie na środku pola widzenia. Przesunął wzrokiem w bok do chwili, w której celownik nasunął się dokładnie na jedno z otwartych od góry umocnień, w których obcy umieścili swą broń i czekał. Celownik migotał coraz szybciej w miarę, jak zmniejszała się odległość do celu.

Delikatnie poruszył palcami w rowkach sterowniczych i Płomień Niebios skrzył delikatnie w prawo. Lecieli coraz szybciej. W pewnej chwili celownik przestał migotać i zaświecił jed-nostajnym, krwawo-czerwonym blaskiem. To oznaczało, że cel znalazł się w zasięgu. Pilot zaczerpnął głęboko powietrza.

–Sherkaya! – syknął i zdawało się, że całe ciało Płomienia zareagowało na ten rozkaz gwałtownym drżeniem. Jednowyra-zowa komenda w języku starożytnego Mythal oznaczała

„ogień” i uruchomiła przechowywane w hełmie zakłęcie aktywujące uzbrojenie smoka.

\* \* \*

Balkar chan Tesh, czując w ściśniętym coraz bardziej żołądku wzbierające mdłości i ból, patrzył jak pierwsza ognista kula uderza prosto w gniazdo zajmowane przez Moreka chan Talmarhę, jednego z dowódców artylerii. Nie było tam żadnej osłony z góry, niczego, co mogłoby powstrzymać atak. Zdawało się, że kulisty płomień porusza się niezwykle wolno, ale z drugiej strony uderzył on bezpośrednio w swój cel i nawet stąd widać było, że jego moc była po wielokroć większa niż jakiegokolwiek innej broni, którą Arkanianie stosowali do wsparcia artyleryjskiego. Gniazdo mózdzierza znajdowało się niemal sto jardów od miejsca, w którym stał chan Tesh, ale nawet z tej odległości, potężny, jaskrawy błysk i ogłuszający hurgot detonacji zdawały się podnosić wszystkie włosy na głowie kapitana.

## Ognie Piekieł87

Przez krótki ułamek sekundy oficer słyszał jedynie ostry, przypominający wybuch dźwięk. Zaraz potem rozległy się krzyki i wrzaski tych żołnierzy, którzy znajdowali się zbyt daleko od epicentrum ataku, by doświadczyć błogosławieństwa natychmiastowej śmierci i cierpieli teraz niewyobrażalne męki. Chan Tesh zobaczył ich także – żywe pochodnie tarzające się po ziemi, rozpaczliwie próbujące zdławić



**pożerające ich płomienie. Po**

**kolejnych kilku chwilach zapaliła się, przygotowana obok moździerzy amunicja.**

**\*\* \***

Berhala widział, że jego cel staje w płomieniach, lecz nie miał czasu na dokładniejszą ocenę skuteczności ataku. Maksymalny zasięg smoków czerwonych wynosił niecałe dwa tysiące jardów. Przy prędkości ponad dwustu mil na godzinę, taką odległość pokonywało się w zaledwie czternaście sekund, co dawało pilotowi czas na najwyżej dwa strzały. Wobec tego Berhala stwierdził, że zauważona przezeń gruba kolumna ognia oznacza, iż główny cel został zniszczony i obrócił głowę. W ślad za jego spojrzeniem podążył celownik na szybcie hełmu i zatrzymał się na opatrzonych workami z piaskiem umocnieniach, na zachód od zniszczonego gniazda.

**–Sherkaya! – warknął pilot ponownie.**

**\*\* \***

Kolejne ogniste kule spadały z nieba na swoje cele. Trafione zostały już wszystkie gniazda moździerzy i stanowiska dział, których zadaniem była obrona północnej strony portalu. Zmieniły się teraz w gorejące krematoria, wypełnione po brzegi eksplodującymi raz po raz pociskami. Seria potężnych wybuchów rzuciła chan Tesha na ziemię. Oficer wylądował twardo na brzuchu i dokładnie w tej samej chwili szturmujące monstra, zwróciły swe łby ku jego bunkrom.

Eksplodowały kolejne kule ognia, lecz tym razem skutki ich działania były inne. Teraz trafiały w grube, drewniane i ziemne ściany, na których wzniesienie należał wcześniej kapitan. I te umocnienia zdały egzamin. Ogniste kule wydawały przeraźliwy

*8Wavid Weber i Linda Evans*

‘i

syk, emanowały straszliwą temperaturą, lecz nie były w stanie przebić się przez zwały

pni i gliny.

**\* \* \***

Berhala poderwał smoka wzwyż i wprowadził go w szeroką pętlę. Spojrzał pod siebie i wściekle zaklął. Wszystkie otwarte gniazda broni obcych zostały zniszczone i płonęły, ale te ich inne umocnienia...!

Pokręcił głową w niedowierzaniu. To, że cokolwiek mogło się oprzeć potężnej sile ataku Płomienia Niebios nie mieściło się w granicach jego wyobraźni. Niemniej te stosy pni i ziemi nadal stały jak przedtem. Owszem, tliły się i wzbijał się z nich dym,

ale poza tym, były nietknięte. Pilot rzucił okiem w bok na Lairysa Urkorę, lecącego Tygrysem Chmur na prawym skrzydle Płomienia. Drugi ćwierćsetnik także podniósł oczy, zupełnie jakby wyczuł spojrzenie Berhali. Żaden z nich nie był w stanie dojrzeć wyrazu twarzy kolegi -uniemożliwiały to odblaskowe, magicznie wzmacniane, szybki ich hełmów. Latali jednak skrzydło w skrzydło już niemal rok i po sposobie, w jaki drugi pilot pokręcił głową Berhala poznał, że Urkora jest tak samo jak on, zdumiony wytrzymałością ich drugorzędnego celu.

Wykorzystali prędkość uzyskaną w locie nurkowym podczas ataku do wznoszenia się i osiągnęli pułap ośmiu tysięcy stóp. Tygrys Chmur leciał tuż za Płomieniem Niebios. Pozostałe dwa smoki z lotu – Sztylet i Gwiazda Śmierci – zatrzymały się nieco pod nimi dlatego, że mimo swego niskiego stopnia i młodego wieku dowódcą lotu był Berhala. Przestali się wznosić nieco powyżej dziewięciu tysięcy.

Pięćsetnik Myr i setnik Geyrsof ostrzegali go, że skuteczność ognistych kul miotanych przez ich smoki w tym ataku nie musi być stuprocentowa. Ale Berhala wątpił, czy którykolwiek z jego przełożonych dopuszczał do siebie myśl, iż smocza broń okaże się przeciwko umocnieniom przeciwnika zupełnie nieskuteczna.

Wściekle spojrzał półtorej mili w dół i trzy mile za siebie. Buchające w niebo płomienie i dym nie pozwalały dojrzeć

**Ognie Piekieł**

szczegółów, nawet kiedy patrzył niesamowicie bystrych oczyma Płomienia. Górząca nad okolicą ściana portalu zasłaniała mu widok na drugą stronę i nie mógł stwierdzić, jak zakończył się nalot na południową stronę bariery między wszechświatami. Zauważył jednak wystarczająco wiele, by wiedzieć, że mocniejsze fortyfikacje po jego stronie nadal tkwiły na swoich miejscach, czekały i strzegły przejścia, skrywając w swoim wnętrzu potężną, szybkostrzelną broń, którą obcy zmasakrowali kompanię setnika Thalmayra.

Oczywiście Sharonianie nie mogli poważnie zagrozić tą bronią ani Berhali ani jego Płomieniowi, ale z kawalerią i piechotą, które miały zaatakować w następnej kolejności, sprawa mogła wyglądać zupełnie inaczej.

Przyglądał się ziemi wściekle jeszcze przez kilka mgnień oka i ponownie zwrócił głowę w stronę Urkory. Uniósł prawą rękę i uważając by nie wysunąć ramienia w strumień pędzącego powietrza, postukał palcem w czubek swojego hełmu i wskazał palcem w dół.

Urkora odpowiedział odpowiednio dostosowanym do tych warunków, bardzo wyrazistym skinieniem głowy i Berhala wsunął rękę na powrót do rowka sterowniczego.

–No dobra, gruby – powiedział, choć nie istniała najmniejsza możliwość, by Płomień

Niebios usłyszał jego słowa – spróbujemy jeszcze raz.

\* \* \*

Kapitan chan Tesh podźwignął się z ziemi. Czuł się oszołomiony, jakby ktoś obił go kijem, ale dzięki wieloletniemu doświadczeniu i treningowi dość szybko poradził sobie z szokiem i stanął na równe nogi.

Zrozumiał, że utrata mózdzierzy i dział oznaczała – bez względu na wszystko – że tej pozycji nie da się już utrzymać. Podejrzewał nawet, że tak w istocie było od samego początku. Jeżeli Arkanianie mają rzeczywiście tak potężne możliwości transportowo-logistyczne jak sugeruje to istnienie tych „smoków”, to i tak zdołaliby przerzucić pod portal wystarczającą ilość wojska, by poradzić sobie z dowolnie zdeterminowanymi obrońcami. Chan Tesh nie miał ani tyle amunicji, ani

*90David Weber i Linda Evans*

**tylu żołnierzy, by dać odpór temu, co mogli podciągnąć drogą powietrzną obcy.**

**„Ale to jednak nie znaczy, że nie możemy ich wcześniej porządnie pokąsać” - pomyślał zajadle. – „I nie obchodzi mnie, kurwa, jak dobrą mają logistykę. Przecież nie mogą mieć nieograniczonych zasobów ludzkich. Nie wiem ilu żołnierzy zebrali teraz, ale w chwili, kiedy zatkną na tych bunkrach swoje flagi, będą ich mieli o wiele mniej.”**

**Odwrócił się i wyciągnął szyję, wyglądając za czterema smokami, które przeleciały tuż nad nim na wysokości ledwie stu stóp i zionęły swymi ognistymi kulami wprost w stanowiska dział chan Talmarhy. Tam są! Zobaczył potwory krążące na niebie i zacisnął mocniej szczękę. Bestie najwyraźniej szykowały się do kolejnego ataku.**

**Nieopodal, kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Obejrzał się gwałtownie i zobaczył sześciu żołnierzy ternathiańskiej Piechoty Morskiej, z trudem wyciągających z bunkra jeden z karabinów maszynowych Faraika II. Zaczął odruchowo krzyczeć by wracali, ale zamilkł, gdyż zdał sobie sprawę, po co to robią. Prowadząc ogień spod osłony bunkra nie mogli dosięgnąć celów w powietrzu, nawet tak wielkich i lecących tak nisko jak te.**

**I jego żołnierze chcieli temu jakoś zaradzić.**

**Kapitan patrzył, a jego podkomendni zaciągnęli ważący dwieście pięćdziesiąt funtów karabin na jeden ze stosów ziemi, przy których zespoły budowniczych napełniały worki z piaskiem. Ciężki trójnóg stanął na szczycie wzniesienia i żołnierze wbili jego nogi tak**

**głęboko w miękkie piach, jak tylko potrafili. Faraika stanęła pod dziwnym, nienaturalnym i nie gwarantującym stabilności kątem, czterech żołnierzy chwyciło się podstawy obciążając ją dodatkowo własnym ciężarem, a strzelec wraz z asystentem jakimś cudem znaleźli w miarę wygodną do prowadzenia ognia pozycję za karabinem.**

**Nie mieli na to zbyt wiele czasu. Smoki mknęły już z powrotem, szykowały się do kolejnego nalotu, nurkując ku nim pod coraz ostrzejszym kątem. Z bunkrów wylewali się kolejni**

**Ognie Piekieł**

żołnierze Piechoty Morskiej i SZPP. Trzymając w rękach swoje karabiny Model 10, wyszukiwali sobie stanowiska ogniowe. Biegając w ich stronę chan Tesh zauważył, że co najmniej kilku z nich przymocowało do luf swej broni miotacze granatów. Granaty wystrzelwane w ten sposób leciały ciężko, niecelnie i nie miały zbyt dużego zasięgu, ale zostały zaprojektowane po to, by niszczyć bunkry i inne umocnione pozycje nieprzyjaciela, więc kapitan wątpił, by cokolwiek trafionego bezpośrednio przez jeden z nich...

–Nadlatują! – krzyknął ktoś z boku.

–Dowalmy im chłopaki! – chan Tesh usłyszał własny głos i wtedy zaatakowały smoki.

\* \* \*

Bursztynowy celownik na wyświetlaczu w hełmie Berhali pulsował coraz szybciej, w miarę jak Płomień zbliżał się do celu. Cwierćsetnik z zadowoleniem obserwował teren pod sobą, lecz nagle zmarszczył brwi.

„Na Graholisa! Co ci pieprzeni idioci robią?” – pomyślał.

Nie wierzył własnym oczom. A jednak. Obcy żołnierze naprawdę wychodzili z bezpiecznego schronienia własnych umocnień! Niestety, nie zauważył ich na czas, zanim zdołałby zmienić wyznaczony swojemu smokowi cel i nawet, głowę, to znaleźliby się już za daleko by oddać strzał. Tylko, po co

I nagle zrozumiał. Z wewnątrz swych fortyfikacji Sharonia-nie nie mogli skierować swej broni na nadlatujące smoki. Wyszli więc na odsłonięte pozycje, by choć spróbować odpowiedzieć ogniem.

Poczuł, że jego ciało spina się w sobie. Zadowolenie i zaczęły nagle ustępować mrożącej świadomości, że ta sama, niezwykle groźna broń, która rozbiła w pył Andaran, zostanie teraz użyta przeciwko niemu.

Ostrzał z ziemi był nieodłączną częścią bojowego życia każdego czerwonego smoka. Ogniste kule miały na tyle niewielki zasięg, że atakując dowolny cel, smok znajdował się niemal w polu rażenia kusz, a przecież smoki piechoty i artylerii – broń,

nie żywe smoki – mogły prowadzić skuteczny ostrzał na jeszcze większe dystanse. Dobrą stroną tego wszystkiego była jednak względna odporność żywych smoków na słabszą wersję ich własnych zakłęb, stosowaną w arkaniańskiej artylerii i broni wsparcia piechoty. A miotane z kusz bełty, choć mogły przebijać i ranić delikatne, pokryte błoniastą, przejrzystą skórą skrzydła smoków, nie były w stanie uszkodzić potężnych łusek, chroniących gardziel i brzuch latających bestii.

„I cokolwiek tam mają, to zanim zdołają dobrać się do mnie, będą najpierw musieli przestrzelić ciało mojego smoka” – przypomniał sobie po chwili.

\* \* \*

„Nie powinni byli nas atakować na wprost” – pomyślał chan Tesh. – „Na ich miejscu nadleciałbym pod kątem. Wtedy strzelcy z ziemi mieliby utrudnione zadanie. Musieliby ich śledzić ogniem.”

Kapitan brał udział w wystarczająco wielu polowaniach na kaczki i przepiórki, by wiedzieć, jak ciężko jest ustrzelić ptaka lecącego pod pewnym kątem do myśliwego. Choć rzecz jasna, nigdy nie brał na cel kaczek o takich rozmiarach. Te wspomnienia nie miały jednak w tej chwili większego znaczenia. Potwory nadal leciały wprost na obrońców portalu.

Karabiny Model 10 zaczęły złowieszczo trzaskać, wypluwając w stronę wroga swą czystą nienawiść zapakowaną w pociski kalibru.40 w miedziano-niklowych osłonach. Chan Tesh nie był w stanie stwierdzić, czy i jaki skutek odnosił ten ostrzał, ale w tej samej chwili strzelec karabinu maszynowego, któremu udało się wreszcie zająć dogodną pozycję zaczął kręcić swoją korbą.

Faraika II była karabinem o wiele cięższym niż Faraika I, którą chan Tesh dysponował podczas swego wcześniej szego ataku na pozycje arkaniańskiej piechoty. Faraika I strzelała tymi samymi nabojami co karabin Model 10, tymczasem jednym z zastosowań, dla których projektowano Faraikę II było zatapianie niewielkich łodzi, w związku z czym stosowano w nim amunicję kaliber.54, o masie ponad trzy razy większej, niż masa mniejszych

### Ognie Piekieł93

pocisków Faraiki I, opuszczających lufę jeszcze szybciej i z większą energią niż w lżejszym modelu. Ostrołukowe pociski leciały na odległość niemal cztery tysiące jardów, przy wtórze dobywającego się z lufy, przypominającego grzmoty, ogłuszającego ryku. Mimo że Faraikę wraz z trójnogiem starało się utrzymać czterech potężnych żołnierzy, to siła odrzutu okazała się tak wielka, że jedynie z najwyższym wysiłkiem udawało im się stabilizować karabin. Co piąta wystrzelona kula była pociskiem smugowym. W jasnym słońcu poranka nie były one tak

**widoczne, jak miałyby to miejsce przy gorszym oświetleniu, ale chan Tesh i tak widział je do tego stopnia wyraźnie, by móc śledzić ich lot w stronę smoka, lecącego po prawej stronie potwora prowadzącego nalot.**



Ćwierćsetnik Berhala usłyszał – i poczuł – ostry wrzask bólu i wściekłości smoka. Bestia zadrżała, jej mięśnie zaczęły się naprzemiennie spinać i rozluźniać. Mimo to, Płomień Niebios nie zboczył z kursu ani nie zawahał się nawet przez chwilę. Celownik na hełmie raz jeszcze zastygł i zaświecił purpurowym blaskiem.

–Sherkaya! – zawołał Berhala i smok zionął kolejną ognistą kulą. Podobnie jak poprzednia, tak i ta wylądowała na niskim, przysadzistym bunkrze... i okazała się tak samo nieskuteczna.

Berhala skrzywił się z wściekłości i irytacji. Wtedy jednak, z jego prawej strony nieoczekiwanie rozległ się rozziewający krzyk. Obrócił gwałtownie spojrzenie. Uniósł przy tym głowę tak, że niebezpiecznie zbliżyła się do wyjącego wokół kokpitu strumienia powietrza. Mgnienie potem jego twarz powlekła się śmiertelną bladością. Skrzydła Tygrysa Chmur rozleciały się na drobne kawałki i potężne, smocze cielsko zderzyło się z ziemią przy prędkości bliskiej trzystu milom na godzinę.

–Tak!!!

Tryumfalny okrzyk, który wydarł się z piersi chan Tesha utonął w znacznie głośniejszym, huraganowym krzyku radości jego żołnierzy. Niewiarygodnie wielkie stworzenie runęło

*94David Weber i Linda Evans*

z nieba głową naprzód, przetoczyło się i poturlało po ziemi, wymachując zniszczonymi skrzydłami. Człowiek przypasany dotychczas do grzbietu potwora, wyleciał ze swojego miejsca w powietrze niczym wyrzucona przez znudzone dziecko, zepsuta lalka. Uderzenie w podłoże musiało pogruchotać dosłownie wszystkie kości w jego ciele. Balkar chan Tesh wyszczerzył zęby w złowrogim, pełnym zadowolenia uśmiechu.

Być może nie była to odpowiednia rekompensata za to, co smok i jego pilot zdołali do tej pory wyrządzić jego oddziałowi, ale oficer wiedział, że od tego momentu, te obce, zdradzieckie dranie będą już wiedzieć, że ich ofiary nie straciły wszystkich swoich żądań.

Umysł Berhali nadal nie przyjmował do wiadomości tego, co stało się przed chwilą. Żaden z podręczników szkoleniowych nie wspominał nawet słowem o czymś, co minutę temu spotkało Urkorę i Tygrysa Chmur. Owszem, były w nich rozdziały o uszkodzeniach wskutek ostrzału z ziemi, a nawet o zdarzającym się od czasu do

**czasu zestrzeleniu smoka bojowego. Ale nikt nie omawiał tak nagłych katastrof.**

**To niemożliwe – powtarzał jego mózg raz po raz. To przecież...**

**Wszystkie te rozważania o śmierci skrzydłowego urwały się w jednej chwili, gdy Płomień Niebios wydał z siebie dźwięk, jakiego Berhala nie słyszał nigdy wcześniej z pyska żadnego smoka. Żaloszny, przeciągły, zbolący jęk^ Rytm, w jakim były dotychczas potężne skrzydła, załamał się i w tej samej chwili na wyświetlaczu hełmu Berhali pojawiła się jeszcze jedna migocząca ikona. Symbol krwawo-czerwonego miecza. Dłonie pilota instynktownie poruszyły się w rowkach sterowniczych.**

**Płomień Niebios zawył raz jeszcze, lecz na znajomy dotyk zareagował właściwie. Zwierzę pochyliło się na skrzydło z dziwną, niezwykłą na siebie, ociężałością. Berhala na chwilę zamknął oczy. Jego wargi zaczęły się poruszać, układając w bezgłośną modlitwie o życie smoka. Spojrzał przed siebie i najszybciej jak tylko mógł zaczął obniżać lot.**

**Ognie Piekieł**

**Dowodzący Setką Horban Geyrsof, widział jak Płomień Niebios uderza w bagno i**

**odbija się od lustra wody niczym kaczka, wzbijając przy każdym uderzeniu fontanny piany i błota. Oficer patrzył w dół, nieświadomie wstrzymując oddech. Wypuścił z ulgą powietrze dopiero wtedy, gdy zobaczył, że strącony z nieba smok zaczyna powoli człapać w kierunku najbliższej wysepki. Zwierzę było w stanie poruszać się o własnych siłach. Przynajmniej tyle. Był to bardzo pomyślny zwiastun. Smoki charakteryzowały się zdolnością do – w zależności od obrażeń szybszej lub wolniejszej – regeneracji i o ile nie ginęły od razu, to zazwyczaj zdrowiały.**

**Co oczywiście w niczym nie poprawiało obecnej sytuacji. Dowódca 3012. stracił właśnie jedną czwartą stanu swoich czerwonych smoków. A i tak miał przecież o jedno zwierzę za mało. Dysponował tylko trzema żółtymi – swoim własnym – Szarą Chmurą,**

**pilotowanym przez ćwierćsetnika Sherlahka Mankahra – Zgubą z Nieba i prowadzonym przez półsetnika Nairdaga Yorhana – Ostrzem Wichru, które razem miały stanowić jego trzeci, czterosmokowy lot. Teraz pozostało mu w sumie jedynie dziewięć zwierząt, a przeciwnik prowadził ogień z – co najmniej – zatrważającą skutecznością. Tym bardziej zatrważającą, jeśli wziąć pod uwagę ogólny niedobór smoków bojowych i długi czas wymagany na wyhodowanie i trening kolejnych. Nie powiedziałby tego nigdy przy żadnym żołnierzu sił lądowych, ale każdy z jego cennych smoków bojowych wart był co najmniej tyle, ile warte były dwa bataliony piechoty. I właśnie stracił jednego z nich.**

**Spojrzał wściekle na wielką tarczę portalu. Zobaczył przez nią kłęby dymu i liczne języki płomieni. Mimo to, zdawał sobie już sprawę, że miotane przez czerwone smoki ogniste kule okazały się bronią wyjątkowo nieskuteczną przeciwko wzniesionym przez Sharonian, na wpół zakopanym w ziemi umocnieniom.**

**Oczyrna Szarej Chmury zajrzał poprzez zasłonę dymu na pozycje nieprzyjaciela. Zacisnął mocniej zęby. Przynajmniej**

***96David Weber i Linda Evans***

**niektórzy z Sharonian opuścili swoje bunkry. Najwyraźniej po to, by móc prowadzić skuteczny ostrzał smoków z lotu ćwierć-setnika Berhali. Nie wiedział ilu z nich mogło jeszcze pozostawać w ukryciu, ale to w tej chwili nie miało największego znaczenia. Ważne było natomiast to, że wróg, jeśli chciał walczyć ze smokami, musiał opuścić bezpieczne schronienie.**

**Zastanowił się, czy nie powinien wysłać do jeszcze jednego ataku obupozostałych przy życiu czerwonych smoków Berhali. Tym razem mogłyby wziąć na cel wrogich piechurów, a przy tym nie dałyby się już zaskoczyć ostrzałem. Sharonianie jednak rozproszyli się na rozległej szym niż przypuszczał terenie. Nie wiedział, czy zrobili to z rozmysłem by krzyżować plany Arkanian, ale i to nie było w tym momencie istotne. Tak luźne formacje sprawiały, że ogniste kule czerwonych smoków znów nie wskórałyby zbyt wiele. Owszem – pozostałe mu smoki mogły wykonać i to zadanie – w to Geyrsof nie wątpił ani przez chwilę, ale potrzebowały do tego więcej niż jednego nalotu, co mogło kosztować setnika utratę kolejnych zwierząt.**

**Zmrużył oczy i zastanowił się, co powinien w tej sytuacji zrobić. Po chwili podjął decyzję i skinął głową.**

**Broń, którą dysponowały smokfzółte, charakteryzowała się najmniejszym zasięgiem ze wszystkich, ale działała za to na największym obszarze. Czerwone smoki potrzebowałyby co najmniej czterech przelotów, by wybić rozproszonych po całym terenie swej bazy**

**Sharonian. Trzy żółte smoki mogły dokonać tego samego, w ciągu jedynie dwóch nalotów. Ponadto krótki zasięg broni oznaczał zarazem, iż żółte smoki miały najgrubsze, najmocniejsze łuski ze wszystkich ras. Były cięższe i wolniejsze – bardziej ospałe i mniej zwinne – niż pozostałe, ale równocześnie stanowiły dużo trudniejszy cel. Geyrsof wątpił, co prawda, żeby żółty smok mógł przetrzymać atak tym, co strąciło z nieba Tygrysa Chmur, ale istniały szanse, że Szara Chmura ze swoim mocnym, naturalnym opancerzeniem da radę przetrwać ostrzał bronią, która zraniła Płomienia Niebios.**

**Za pomocą zaklęcia z hełmu odpalił białą flarę, czym odwołał pozostałych przy życiu członków lotu ćwierćsetnika Berhali.**

ik

**Ognie Piekieł**

Odczekał moment i wystrzelił jeszcze jedną, żółtą, którą nakazał atak pilotom swojego własnego lotu.

\* \* \*

Przez kilka chwil chan Tesh pozwolił sobie mieć nadzieję, że szok wywołany tak gwałtowną utratą jednego ze smoków spowoduje, że Arkanianie zastanowią się dwa razy, zanim zdecydują się na przeprowadzenie jeszcze jednego nalotu.

Te kilka minut wykorzystał, by przebiec do żołnierzy, którzy opuścili swe stanowiska w bunkrach. Chciał im rozkazać, by ponownie skryli się w ich bezpiecznym wnętrzu, ale nie miał śmiałości. Rozumiał, że o ile nie utrzymają smoków na dystans, to nawet te względnie nieskuteczne ogniste kule, wystarczą Arkanianom do zamknięcia jego ludzi wewnątrz bunkrów, a wtedy reszta sił obcych będzie mogła ich bez trudu okrążyć.

Zamiast więc odsyłać ludzi tam, gdzie byliby przez jakiś czas bezpieczni, wykorzystał chwilowy spokój na reorganizację szyków i pozycji. Rozproszył swych żołnierzy jeszcze bardziej, tak by nieprzyjaciel nie był w stanie skupić ostrzału w jednym miejscu. Wyznaczył im także sektory obronne.

Z całego serca żałował, że nie mieli ze sobą więcej karabinów Faraika. Niestety, nigdy nie dysponował zbyt dużą ich ilością. Kiedy oddział tej wielkości był wyposażony w pełni, miał na stanie pięć takich karabinów. A chan Tesh od początku miał jedną Faraikę raniej. Po każdej stronie portalu rozmieścił więc po dwie.

Dwie Faraiki, z których jedna została – jak się okazało – umieszczona zbyt blisko gniazda artyleryjskiego. Obsługa karabinu zginęła wraz z artylerzystami chan Talmarhy i chan Tesh nie miał wcale pewności, czy mechanizm karabinu wyszedł z pożaru bez szwanku.

Co więcej – nie miał pojęcia, jak mają się sprawy po drugiej stronie portalu, ale obawiał się, że domyśla się trafnie.

Bez względu jednak na to, co działo się tam, chan Tesh musiał się na razie martwić o utrzymanie własnych pozycji. Usłyszał wykrzyczane przez kogoś ostrzeżenie i zacisnął mocniej

*9Wavid Weber i Linda Evans*

zęby. Odwrócił się w stronę ściany portalu. Jego zimne, ponure oczy spojrzały na

**kolejne trzy czarne kropki, zmierzające ku nim prosto z nieba.**

Ten atak prowadził osobiście setnik Geyrsof.

Regulamin mówił, że w takiej sytuacji powinien oddać prowadzenie jednemu ze swoich dwóch skrzydłowych, ale wiedział, że jest o wiele bardziej doświadczonym pilotem niż Man-kahr czy Yorhan. Ponadto, to na nim przecież spoczywała odpowiedzialność za atak.

Wtulił się jeszcze mocniej w szyję Szarej Chmury. Ręce wsunął nieco głębiej w rowki sterownicze. Koniuszkami palców, powolnym, kojącym ruchem gładził skórę smoka. Wyczuł determinację swojego zwierzęcia, uderzyła go jego wściekłość. \* Chmura wiedział, jaki los spotkał Tygrysa i Płomień. Smoki były zwierzętami obdarzonymi o wiele większą inteligencją niż zdawała sobie z tego sprawę większość ludzi, którzy nigdy na nich nie latali. Geyrsof ani przez chwilę nie wątpił w to, iż Chmura rozumie – przynajmniej w ogólnych zarysach – to, co się wydarzyło i wie, kto jest za to odpowiedzialny.

Żółty smok, podobnie jak jego pilot pragnął zemsty.

Geyrsof umieścił pulsujący celownik bezpośrednio na grupce ludzi, których broń strąciła z nieba Tygrysa Chmur.

„Skoro i tak będą do mnie strzelać” – pomyślał – „to przynajmniej zawczasu się przygotuję.”

Szara Chmura nadal nabierał prędkości. Geyrsof nigdy wcześniej nie rozpędził swojego wielkiego, żółtego smoka do tego stopnia. Zaczął się nawet zastanawiać, czy te potężne skrzydła będą w stanie wytrzymać napięcie i wysiłek, do jakiego je bezlitośnie zmuszał. Smok jednak nie narzekał, nie opierał się. Opuścił tylko łeb i leciał wprost na

wrogów, którzy zabili jego pobratymca.

Kiedy obcy zaatakowali ponownie, chan Tesh stał akurat po przeciwnej stronie niż stanowisko karabinu maszynowego, zaimprovizowanej linii obrony.

*mi-tik*

Ognie Piekieł

**–Spokojnie, chłopcy! – zawołał niemal łagodnie. – Spokojnie!**

**Trzy wielkie stworzenia lekko rozluźniły swój szyk. Nadlatywały zachowując większe odstępy między sobą niż smoki, które przeprowadziły pierwszy nalot. Chan Tesh widział, jak Faraika śledzi pierwszego z potworów. Tym razem jednak strzał nie był już tak łatwy. Te smoki nadlatywały już rozsądniej, pod pewnym kątem do lufy i celowanie stanowiło teraz większe wyzwanie.**

**Raz jeszcze rozległy się suche trzaski karabinów, ale zwierzęta nie zmieniły kursu. 1 wtedy strzelec pokręcił korbą Faraiki. Podwójna lufa zaczęła pluć płomieniem i pociskami smugowymi. Żołnierz podążał wylotem lufy za swoim celem, kierując strumień ołowiu tak, by trafić nadlatującego smoka. Zabójcze pociski pomknęły ku górze... i dokładnie w tej samej chwili pośliznął się jeden z żołnierzy podtrzymujących trójnog karabinu.**

**W innych warunkach nie stałoby się przez to nic poważnego. Nie była to zresztą wina piechura. Utrzymanie podstawy szarpiącej brutalnie, ciężkiej broni nie było zadaniem łatwym. Buty ślizgały się w miękkim piachu. Pozostali żołnierze jeszcze przez chwilę starali się utrzymać Faraikę, ale nie byli w stanie zatrzymać efektu domina i karabin przewrócił się na bok.**

**Strzelec puścił korbę. Jego pomocnicy rzucili się na broń, by jak najprędzej ustawić ją z powrotem we właściwej pozycji. Nie byli jednak wystarczająco szybcy.**

**Chmurze... wzbił się w powietrze, mięśnie brzucha setnika instynktownie. Widział, jak dziwne pociski lecą, by spotkać się wiedział, że ciężki, chroniony grubą łuską żółty smok nie będzie w**

**I nagle ich strumień po prostu wygasł.**

**Oczyrna smoka zobaczył Sharonian walczących mozolnie, nieporęczną broń na powrót w odpowiedniej pozycji i jego wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.**

***100David Weber i Linda Evans***

**„Nie tym razem, dranie” – pomyślał zawzięcie.**

**Byli coraz bliżej celu. Geyrsof czuł jak inne miotane z dołu pociski łomocą o opancerzony brzuch smoka, ale nie wydawało się, by którykolwiek z nich zdołał przedrzeć**

**się przez grubą warstwę łusek. Zguba z Nieba i Ostrze Wichru sprawnie utrzymywały pozycję na skrzydłach zupełnie, jakby były z Szarą Chmurą powiązane niewidzialną liną. Setnik czuł, że zwierzęta są dumne ze swej odwagi i spokoju.**



**Chwilę potem celownik przestał migotać.**

**–Larkima! – szczechnął i starożytne mythalańskie słowo oznaczające „dusić”, odblokowało broń Szarej Chmury.**

**\* \* \***

**Coś oderwało się od smoków i pomknęło ku ziemi.**

**Chan Tesh zmrużył oczy i śledził wzrokiem spadające obiekty. Te przedmioty leciały jeszcze wolniej niż ogniste kule miotane przez poprzednio atakujące smoki. Nowe pociski były też większe. Większe i... inne. Ogniste kule wyglądały jak maleńkie, żarzące się nasionka, które po wystrzeleniu rosły, aż wreszcie osiągały rozmiary dwóch ludzkich głów. Potem utrzymywały te rozmiary aż do uderzenia w ziemię i eksplozji.**

**Te „nasionka” były jednak większe od samego początku i nie lśniły tą złowrogą poświatą, co ogniste kule. Były ciemniejsze i szybciej rosły. W momencie zetknięcia z ziemią przerastały swymi rozmiarami ogniste kule co najmniej trzykrotnie. Także nie eksplodowały jak tamte. Zamiast wybuchać, po prostu „rozlewały się”. Nie było przydymu, żadnego jaskrawego błysku czy fali gorąca. Bardzo przypominało to upadek wiadra z wodą, które rzucone uderza o ziemię i ochlapuje każdego w zasięgu. „Woda” z nowych pocisków rozprzestrzeniała się jednak coraz bardziej i coraz szybciej. Przypominała żółtozieloną mgłę.**

**Przez chwilę nie wydarzyło się zupełnie nic. Potem jednak zachwiał się pierwszy z żołnierzy chan Tesha. Padł na kolana i oburącz chwycił się za gardło. Jeden z jego towarzyszy obrócił się w tamtą stronę, jakby chciał pospieszyć z pomocą, ale i on za moment upadł wijąc się i dławiąc.**

## **Ognie Piekieł101**

**Oczy Balkara chan Tesha otworzyły się szeroko. Poczł przerażenie, silniejsze jeszcze od tego, które wywołały przed kilkoma minutami ogniste kule. Może było tak, ponieważ ogniste kule, przy całym swoim nienaturalnym pochodzeniu, nie różniły się zbyt od pocisków artyleryjskich, które oficer dobrze przecież znał. Nigdy dotąd natomiast nie widział – ani nie wyobrażał sobie – czegoś takiego.**

**Kolejni żołnierze padali martwi. Wszyscy, których objął ohydny wyziew potykali się, dusili, wymiotowali, kaszleli krwią buchającą z pękających płuc. Szarpali się na ziemi, zwijali w przedśmiertnej agonii.**

**Smoki, które zionęły tak straszliwą bronią przemknęły nad ich głowami, ponownie nabierając wysokości. Rozpacz ścisnęła serce Balkara chan Tesha niczym obręcz wykuta z lodowatego żelaza.**

**Dzięki temu jednemu przelotowi udało się obcym pokryć zabójczą mgłą dwie trzecie żołnierzy, stojących na otwartym terenie i około jednej czwartej bunkrów. Oficer rozglądał się dokoła. Wszędzie widział duszących się, umierających ludzi, którzy wyczołgiwali się z bunkrów i padali w kałużach własnych wymiocin, gdy tylko zaczerpnęli „świeżego powietrza” na zewnątrz.**

**Nikt – nawet oficerowie Imperialnej Piechoty Morskiej – nie spodziewał się podobnego ataku. Okrutna broń obcych spadła na nich bez najmniejszego nawet ostrzeżenia. Chan Tesh spojrzał po twarzach garstki żołnierzy – wokół niego stało ich tylko pięciu. Przeżyli oni atak smoczycich pocisków, ponieważ wiatr nie wiał w ich stronę. Pomyślał, że mają jeszcze czas. Że można jeszcze uciec, odsunąć od siebie widok tych umierających, szarpanych spazmami ludzi. Żeby uciec zanim powrócą smoki. Tę samą myśl zobaczył w twarzach swoich żołnierzy.**

**Ale – podobnie jak sam kapitan – żaden z nich nawet nie drgnął.**

**–No dobra, chłopcy – powiedział cicho, patrząc za zebranych, śledząc oczyma zakręcające wysoko na niebie smoki. –**

**102' *Darid Weber i Linda Evansj***

***n***

**Oni za kilka minut wrócą. I niestety, nie wydaje mi się, żeby-| śmy im mogli zrobić krzywdę kulami z karabinów.**

**Odwrócił głowę, oderwał wzrok od potworów i spojrzał na otaczających go ludzi.**

**–Bez względu na to, czym i w jaki sposób nas zaatakowali, musieli najpierw znaleźć się blisko – zauważył.**

**–Tak jest, kapitanie. 1 te ich smoki musiały przy tym otworzyć paszczę – dodał jeden z żołnierzy.**

**–Cenne spostrzeżenie – chan Tesh poklepał go po ramieniu i wskazał na karabin.**

**–Wszyscy macie granatniki – przypomniał.**

**\* \* \***

**Setnik Geyrsof przyglądał się ziemi oczyma Chmury, tymczasem Zguba z Nieba i Ostrze Wichru zajęły ponownie wyjściowe pozycje za jego smokiem.**

**Pierwszy nalot okazał się nawet większym sukcesem niż się tego spodziewał. Większość wrogów leżała już martwa lub umierająca, a żółte smoki, nie licząc**

**pomniejszych uszkodzeń błon w skrzydłach Chmury i Ostrza, wyszły ze starcia bez szwanku.**

**Powinien więc czuć wyłącznie zadowolenie, f owszem – czuł je. Ale nie było to jedyne uczucie, które go teraz przepelniało. Oczy Szarej Chmury okazały się aż nazbyt dobre. Dzięki nim zobaczył wszystko zbyt wyraźnie. Oglądał przez nie ludzi, których chwilę temu zabił, choć niektórzy z nich wciąż jeszcze żyli. Skręcali się, szarpały nimi konwulsje<sup>^</sup>cierpieli rzucając się jak ryby wyciągnięte na brzeg, gdzie dusił je morderczy tlen. Po raz pierwszy dotarło do niego, co mieli na myśli ci, którzy od tak dawna walczyli o zakaz hodowli żółtych smoków. Taka walka była brzydka... nieczysta.**

**„Och, pieprzyć to. Nieczysta... też mi coś” – skarcił ostro sam siebie. – „Trup to trup, Horban.” Nie ma lepszych i gorszych sposobów umierania. 1 naprawdę lepiej, że giną oni a nie my!”**

**[wiedział, że to także jest prawda... a jednak nie poczuł się ani trochę lepiej.**

**Ognie Piekieł**

Bez względu na to, co i jak odczuwał, w niczym nie zmieniało to jego obowiązków, ani tego, co musiał zrobić. Rzucił okiem na dwa pozostałe smoki, które zajęły pozycje na skrzydłach Szarej Chmury. Odczekał aż uformowały szyk do ataku i wtedy jego ręce w rowkach sterowniczych drgnęły. Smok Geyr-sofa raz jeszcze zaczął obniżać lot.

\* \* \*

–Lecą – powiedział cicho chan Tesh.

Jeden z żołnierzy wyszukał swojemu kapitanowi karabin Model 10, którego

poprzedni właściciel miał już nigdy nie potrzebować. Podobnie jak jego podkomendni, kapitan zamontował na lufie granatnik i załadował broń specjalną, ślepą amunicją, która pozwalała odpalić granat. Teraz stali ramię w ramię całą szóstką i obserwowali zbliżających się katów.

Gdzieś tam, za wirującymi oparami żółtozielonej mgły stali jeszcze inni Sharonianie. Chan Tesh słyszał jak zaczyna grzechotać ich broń. Serce wezbrało mu niezmierną dumą. Jego żołnierze walczyli nadal, nie uciekli i mimo wszystko stawiali opór.

Na jedną chwilę oderwał wzrok od nadciągających smoków. Przyjrzał się stojącym dokoła mężczyznom.

–Panowie – powiedział. – Czuję się zaszczycony. Dziękuję.

Żaden z nich nie odpowiedział ani słowem. Nie było takiej

potrzeby.

Chan Tesh powrócił wzrokiem do smoków. Zdał sobie sprawę, że tylko jeden z nich, ten, który leciał na lewym skrzydle arkaniańskiej formacji – znajdzie się w zasięgu granatników. Cóż, przynajmniej będą mogli skoncentrować ostrzał.

Potwory zbliżały się. Kawałek po kawałku. Bliżej i bliżej. Kapitan jakąś częścią umysłu zarejestrował, że tym razem nie leciały już tak szybko. Czyżby nadmiar pewności siebie? A może po prostu zwolniły, by zaatakować tym bardziej precyzyjnie. Możliwe też, że nadlatując z mniejszego pułapu po prostu nie zdołały rozwinąć tak wielkiej prędkości.

To jednak nie miało żadnego znaczenia.

Bliżej i bliżej.

**Granatów nie powinno się miotać z karabinów w standardowej pozycji strzeleckiej. Biorąc pod uwagę potężny odrzut, regulamin zalecał, by strzelać nimi po uprzednim wbiciu kolby w podłoże. Chan Tesh doskonale o tym pamiętał. Postanowienia regulaminu go jednak nie obchodziły. Nie tym razem.**

**Oparł mosiężne obicie kolby o ramię i spokojnie śledził nadlatującego smoka. Czekał.**

**Jeden z piechurów wypalił. Granat chybił i smoki znalazły się jeszcze bliżej. Po chwili, nie trafił kolejny żołnierz.**

**Chan Tesh i pozostała trójka czekali. Czekali.**

**–Larkima! – syknął setnik Geyrsof**

**Smok wypluł z siebie swoje pękate nasienie śmierci.**

**Wszyscy trzej żołnierze chan Tesha odpalili swoje granaty. Pierwszy chybił zupełnie. Z pozostałej dwójki, jeden trafił w błoniaste skrzydło, przebił je na wylot i nawet nie eksplodował. Trzeci granat uderzył w lewą przednią łapę potwora i wybuchł, wyrwijąc w kończynie zwierzęcia wielką, ziejącą ranę.**

**Balkar chan Tesh zaczekał jednak jeszcze chwilę dłużej. Cze kał nawet i wtedy, gdy już widział jak zbliżają się ku niemu pociski smoka. I wtedy wreszcie, gdy smok ryknął z bólu i otwo rzył paszczę, kapitan wystrzelił swój granat.<sup>4</sup>**

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Rithmar Skirvon siedział zapadnięty w krzesło. Strzępki tkanki mózgowej i krew pólsetnika Narshu powoli zasychały, tworząc skorupę na eleganckim, uszytym na miarę, cywilnym stroju dyplomaty. Arkanianin wiedział, że prawdopodobnie schnie też na nim nieco mózgu Uthika Dastiriego. Na twarzy Skirvona nie widać było już nic. Na pewno nie

było to dawne oblicze pewnego siebie, sprawnego negocjatora. Dorzon chan Baskay także to zauważył, spojrział gniewnie na obcego i poczuł jak świeża wściekłość wzbiera w jego żołądku niczym pulsująca magma.

Skirvon ciężko zapracował na to, by chan Baskay pozwolił mu żyć. Powiedział wszystko, co było trzeba, a nawet więcej. Bełkotliwie spowiadał się Sharonianinowi jak najdokładniej, byle tylko załagodzić jego lodowatą furję.

Co oznaczało, że teraz chan Baskay wiedział już, w jakiej dupie znalazł się on sam i wszyscy pozostali przy życiu żołnierze Hulmoka Arthaga.

–Jesteśmy gotowi – odezwał się za chan Baskayem czyjś głos. Kapitan odwrócił się i

zobaczył stojącego z tyłu Arthaga. Arpathianin stał obok swojego wspaniałego palomino,

mieszanej rasy Shikowr-Daykass. Karabin Model 10 miał zarzucony

*106David Weber i Linda Evans i*

na ramię. Jego ludzie siedzieli już na swoich koniach w pełnej gotowości do wymarszu. Do juków, z istic arpathiańską sprawnością nomadów, zapakowano już wszystko, co się dało i co mogło okazać się przydatne. Dwóch kawalerzystów zebrało także rzeczy chan Baskaya i chan Rothaga, i przyszykowało ich konie. Do siodeł przytroczone zostały także ciała wszystkich poległych Sharonian.

–Czy to naprawdę konieczne? – spytał bardzo cicho chan Baskay, wskazując martwych towarzyszy ruchem brody.

–Tak sędzę – odparł Arpathianin i chan Baskay nie zdołał ukryć swego zdziwienia. Arpathianie zasadniczo nie traktowali ciał swych zmarłych ze szczególnym sentymentem. W ich oczach, w chwili, gdy dusza opuszczała ciało, to ostatnie nie miało już większego znaczenia. Właśnie dlatego odpowiedź Arthaga wydała się oficerowi, co najmniej nietypowa.

**–Nie mamy czasu, by ich pochować – wyjaśnił Arthag, wi – ę dząc zmieszana i zaskoczona minę chan Baskaya – a jedną z rzeczy, których my, sprytni arpathiańscy nomadzi nauczyliśmy się ‘ już u zarania dziejów jest to, że wróg nie powinien wiedzieć jak ciężkie straty zdołał zadać. Niech sobie te bydlaki znajdą swoje trupy i żadnego naszego. Nie uważasz, że to wprawi ich**

**w co najmniej zakłopotanie i że, będą się głowić nad przebiegiem wydarzeń? – wzruszył ramionami. – Moim zdaniem, jeśli choćby na chwilę opóźni to pościg, to gra jest warta nieco do datkowego wysiłku:”**

**Chan Baskay popatrzył na niego przez chwilę, po czym przytaknął skinieniem.**

**–Brzmi sensownie – powiedział. – Oczywiście pozostaje przed nami jeszcze jeden, mały problem. Dokąd pójdziemy, wtedy, gdy oni będą się zastanawiać nad tym, gdzie się podziały nasze ciała?**

**–Rozumiem, że próba powrotu do kapitana Halifu nie ma większego sensu?**

**–Słusznie rozumiesz – mruknął ponuro chan Baskay. – Jestem pewien, że mistrz Skirvon ma nam jeszcze wiele do opowiedzenia, ale mam też wrażenie, że najistotniejsze informacje**

**/**

**Ognie Piekieł**

już z niego wycisnąłem. Między innymi to Hulmok, że dranie mają smoki.

–Smoki? – brew Arthaga uniosła się na ułamek cała ku górze. Chan Baskay prychnął niewesołym śmiechem.

–Owszem. Według Skirvona są ich dwa gatunki – pierwszy służący, przede wszystkim, do transportu i przenoszenia ciężkich ładunków i drugi – bojowy. Zieją ogniem i błyskawicami. I te cholerstwa latają jakieś dwieście mil na godzinę.

–Cudownie.

–Spokojnie, to jeszcze nie wszystko. Chcesz wiedzieć więcej o tych transportowych? – chan Baskay urwał i Arthag przytaknął. – Arkanianic potrafią dzięki nim przerzucić drogą powietrzną całe kompanie kawalerii i w ten właśnie sposób, przez cały czas trwania negocjacji podciągali ludzi, sprzęt, konie i kolejne smoki. Zgromadzili siły, równe jak się wydaje naszej lekkiej dywizji lub ciężkiej brygadzie. A w tej chwili prawdopodobnie to wszystko przetacza się przez pozycje kapitana chan Tesha.

–Rozumiem.

Arthag z namysłem przechylił głowę nieco na bok. Chan Baskay poczuł

niewiarygodną pokusę by strzelić Arpathianina w nos. W tej chwili jego kompletna niepodatność na wzruszenia doprowadzała Ternathianina do szału. A mimo to, w jakiś sposób dodawała też otuchy.

Ale tylko „w jakiś sposób”.

–Mają też inne stworzenia, które Skirvon nazywa „gryfami” – ciągnął chan Baskay zamiast bić towarzysza. – Twierdzi, że są mniej więcej rozmiarów dobrze zbudowanego kuca, tyle, że mają skrzydła, dzioby i wielkie, paskudne szpony, przy czym latają jeszcze szybciej niż te całe smoki. I są o wiele bardziej zwrotne. Choć podobno nie grzeszą inteligencją.

–Czy oni są w stanie nas zaatakować, jeśli będziemy pod osłoną drzew?

–To chyba jedyna dobra wiadomość, jaką od tego bydlaka otrzymałem – chan Baskay

pokręcił głową i zamaszystym ruchem ręki wskazał rozciągnięty nad ich głowami baldachim



**z liści i konarów potężnych drzew. – Przez to się nie przedrą, a co więcej, Skirvon utrzymuje, że smoki nie widzą zbyt dobrze pomiędzy gałęziami. – 1 nie kłamie?**

**–Potwierdził to Talent Trekara. Oczywiście trzeba pamiętać, że ten sukinsyn jest śmiertelnie przerażony, a Trekar twierdzi, że zdarza się, iż tacy wystraszeni zdrańcy potrafią sami siebie przekonać, że mówią przesłuchującemu prawdę i wtedy nawet jego Talent może się pomylić.**

**–Mhm – Arthag w zamyśleniu potarł czubek swojego nosa. – Ale co do tego powinniśmy mu chyba uwierzyć – odezwał się -] po chwili. – Przynajmniej w to, że nie są w stanie zaatakować nas bezpośrednio z powietrza – uśmiechnął się chmurnie. – Wiesz? To chyba pierwszy raz, kiedy szczerze się cieszę na myśl o tym, że te cholerne drzewa zasłaniają nam horyzont!**

**–Może masz rację. Z drugiej strony, same drzewa nie do Nowej Uromathii. Według Skir-vona ich konie są dużo lepsze**

**Teraz zachnął się nawet Arthag. Wyprostował się i sięgnął ręką do uszu Porannego Powiewu. Zmrużył oczy.**

**–Twierdzi – ciągnął chan Baskay – że  
szone” za pomocą tych przeklętych czarów.**

**szybsze i bardziej wytrzymałe od naszych.**

**uwagę, że ci goście są w stanie wyhodować smoki, to nie widzę**

**powodu, by kłamał akurat co do koni.**

**Arthag niechętnie skinął głową. TCrnathianin wzruszył ramionami.**

**–Zakładając, że Skirvon się nie myli, nie mam wątpliwości, że dopadliby nas na długo zanim dotarlibyśmy do Nowej Uromathii. Okazuje się też, że ich zwiadowcy dokładnie już sobie tamten portal obejrżeli. Jeden z ich ludzi był pod samym fortem Halifu i zdołał wrócić, jeszcze zanim zdobyliśmy ich bazę. Przez cały czas dobrze znali jego lokalizację i mają zamiar zaatakować, gdy tylko zabezpieczą portal na bagnach.**

**–Podejrzywałem, że trzymają coś takiego w zanadru – powiedział Arthag. – Co prawda nie brałem pod uwagę istnienia**

„smoków”, ale coś takiego – tu machnął ręką w kierunku usłanej ciałami polany – nie miałyby sensu, jeśli nie okazałyby się początkiem większej operacji. Tyle, że sądziłem, że uda nam się jednak uciec do Fortu Shaylar.

–No tak.

Teraz i Chan Baskay obrócił się ku polanie. Pomyślał ponuro, że plątanina powalonych drzew, pomiędzy którymi obcy zmasakrowali zespół badawczy Konsorcjum Chalgyn, widziała w ciągu dwóch miesięcy aż nazbyt dużo krwi.

Okazało się też, że ludzie Arthaga, podczas gdy on z Treka-rem zajęci byli przesłuchiwaniami Skirvona zrobili więcej niż tylko zwinięcie obozu i zapakowanie juków. Trzech ocalałych z potyczki Arkanian siedziało na zwałonym pniu z opuszczonymi ramionami i rękami związanymi na plecach. Z ich min i mowy ich ciał chan Baskay wyczytał coś, co jeszcze mocniej utwierdzało go w opinii, że Skirvon nie kłamał. Ci ludzie nie mieli pojęcia o tym, co się miało tu dziś wydarzyć. Dzisiaj nic nie byłoby w stanie wzbudzić w chan Baskayu ciepłych uczuć do jakiegokolwiek Arkanianina, ale tym trzem jeńcom – chcąc nic chcąc – współczuł.

Jednakże żadnego współczucia, nie miał dla Rithmara Skir-vona.

Zacisnął usta i przesunął wzrokiem po szeregu przerzuconych przez siodła ciał Sharonian. Było ich szesnaście, a dwudziestu trzech Arkanian leżących pod drzewami, w żaden sposób nie stanowiło rekompensaty za ich śmierć.

–Musimy stąd spieprzać – powiedział po chwili. Arthag przytaknął skinieniem i przechylił głowę.

–Do którego portalu?

–Dobre pytanie, nieprawdaż? – chan Baskay zaczął się usilnie zastanawiać. Zmrużył oczy i przebiegł w myślach wszystkie opcje z nader skromnego zestawu.

Chyba do Nowej Farnalii – powiedział w końcu. Arthag skrzywił się nieznacznie, co na twarzy Arpathianina

stanowiło odpowiednik wykrzyczanego głośno protestu. Chan Baskay wzruszył ramionami. – Mi też niespecjalnie się to podoba –

*I MII)avid Weber i Linda Evans*

tluihil iik\* |i-ś|i oni rzeczywiście mają smoki i te „gryfy”, to powinniśmy wykorzystać każdąmożliwąprzewagę. W tym ukształtowanie terenu. A skoro te ich bestie nie lubią latać w czymś takim raz jeszcze pokazał na korony drzew – to tropikalną dżunglę zniechęcą od razu.

**–To prawda – zgodził się Arthag – tyle, że do tamtego portalu jest o wiele dalej i jeśli oni rzeczywiście jeżdżą na szybszych koniach, to najprawdopodobniej uda im się nas wyprzedzić.**

**–Raczej pomyślą, że skoczyliśmy do Nowej Uromathii – odparł chan Baskay. – Wiedzą, że to nasza jedyna droga powrotna do Sharony, a ponadto Skirvon twierdzi, że to jedyny portal, jaki dotąd zlokalizowali i zbadali. Poza tym – z całych sił starali się dotąd ukryć przed nami istnienie smoków. Więc jeśli myślą, że nadal nic o nich nie wiemy, to będą pewni, że nam się wydaje, iż zdołamy wygrać wyścig do fortu kapitana Halifu.**

**–Ale jeśli przyjadą tu konno, to bez trudu stwierdzą, w którą stronę ruszyliśmy.**

**Ostatnie zdanie Arthaga mogło zabrzmieć jak sprzeciw, ale Arpathianin jedynie głośno się zastanawiał.**

**–Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nadal według mnie to naj-sensowniejsza droga ucieczki.**

**–Chyba masz rację – skinął głową Arthag. – Co więcej, wydaje mi się, że wiem w jaki sposób możemy nieco... opóźnić pościg.->\***

**\* \* \***

**–Wstawaj, pieprzony skurwysynu! – warknął miecznik Ke-raik Nourm.**

**Ranny, sharoniański żołnierz podniósł tylko oczy. Oczy, w których widać było nienawiść, szok, niedowierzanie i ból. Klęczał na ziemi, przyciskając do piersi straszliwie poparzone, lewe ramię.**

**–Wstawaj, powiedziałem! – ryknął Nourm i brutalnym kopniakiem wbił twardy czub swojego wojskowego buciora między żebra Sharonianina.**

**Ognie Piekieł III**

**Ranny żołnierz krzyknął z bólu i upadł. Spalona ręka uderzyła o ziemię. Nourm uniósł ciężką kuszę i zamierzył się jej kolbą w głowę leżącego.**

**–Mieczniku Nourm! Zostaw!**

Trzy słowa rozkazu świsnęły w powietrzu niczym bat i kusza Nourma zawisła w pół

drogi. Arkanianin odwrócił się i twarz stężała mu na widok oficera z dwiema srebrnymi gwiazdkami na kołnierzu. Półsetnik szedł ku niemu wściekłym krokiem.

–Co robisz, Nourm? – syknął surowo oficer.

–Zabezpieczam jeńców, półsetniku – odpowiedział nieco obrażonym tonem Nourm.

–Nie pieprzyć mi tu! – zazgrzytał oficer. – Ten człowiek jest poważnie ranny, mieczniku! Niech cię demony! Jesteś miecznikiem plutonu! Czego chcesz w ten sposób

nauczyć swoich ludzi?

Nourm otworzył usta, po czym zamknął je z niemal słyszalnym zderzeniem zębów. Twarz oblał mu purpurowy rumieniec – bardziej wyraz gniewu niż wstydu. Zaciśnął szczęki.

Dowodzący Pięćdziesięcioma Jaralt Sarma wziął się pod boki i złym okiem spojrzał na najstarszego podoficera swojego plutonu. Sarma był wściekły tym bardziej, że jak dotąd Nourm cieszył się jego jak najlepszą opinią.

Półsetnik pochylił się ku niemu, zniżył głos i odezwał się już nieco łagodniej.

–Wiem Keraik, że jesteś na nich nielecho wkurzony, ale to nie jest żadne usprawiedliwienie dla łamania Postanowień. Wiesz, że za to grozi sąd polowy.

–Postanowień, półsetniku? – Nourm obdarzył go takim spojrzeniem, jakby nie dowierzał własnym uszom.

–Tak, Postanowień – odparł Sarma. – Nie muszę ci chyba przypominać, że one obowiązują wszystkich?

Postanowienia Kerelli, spisane wiele stuleci temu przez Marszałka Housipa Kerellię ustalały oficjalną, andarańską doktrynę wojenną, w tym także i sprawy dotyczące traktowania jeńców wojennych. Armia Unii przejęła je od Andaran dwieście lat temu, czyli od razu w momencie powstania.

*112David Weber i Linda Evans*

–Ależ ci dranie nie są nawet z naszego wszechświata! – zaprotestował Nourm.

–Nie przypominam sobie, żeby prawomocność Postanowień została uzależniona od miejsca, w którym jeńcy przyszli na świat, mieczniku.

**–Ale, półsetniku...**

**–Nie zmuszaj mnie, bym ci musiał to wszystko powtarzać, mieczniku Nourm - powiedział bardzo cicho Sanna i przysadzisty podoficer zamknął usta, choć wyraźnie było widać, że zupełnie nie może się pogodzić z tym, co przed chwilą usłyszał od swojego przełożonego.**

**–Rozumiem twój gniew, mieczniku – odezwał się znowu Sanna, kręcąc głową. Teraz mówił już nieco spokojniej. – Ale gniew nie jest dobrym uzasadnieniem dla dopuszczania się rzeczy, których moglibyśmy później żałować.**

**–Chyba rozumiem, o co panu chodzi – powiedział Nourm po chwili. – Nie wiem tylko, dlaczego mamy stosować Postanowienia wobec tych byd aków.**

**–Postanowienia obejmują swoją mocą zarówno ich, jak i nas, Keraik. Nie ma znaczenia jak walczy przeciwnik. Liczy się natomiast to, jak postępujemy my i to, kim się przez własne uczynki stajemy.**

**–Z całym szacunkiem, nadal nie do końca łapię. Przecież te zwierzęta zasługują na wszystko, co najgorsze. I tak powinni być wdzięczni, że my nie skończyliśmy z nimi strzałami w tył głowy!?**

**Sarma ściągnął gniewnie wargi. Tym razem jednak jego wściekłość nie była skierowana na Nourma. W każdym razie nie cała.**

**„Neshok ty draniu” – pomyślał zjadliwie półsetnik. – „Ty i te twoje pieprzone ‘raporty’!”**

**–Przypomnę ci mieczniku – odezwał się po chwili dowódca**

**plutonu – i zrobię to tylko raz. Raporty, które masz na myśli,**

**nie zostały jak dotąd potwierdzone.**

**Nourm zacisnął zęby. Jeszcze mocniej niż przedtem. Przygarbił się nieco jak człowiek, który próbuje obronić się przed**

**Ognie Piekieł**

burzą. Sarma zaczerpnął głęboko powietrza. Poczuł ochotę, by raz jeszcze ostro syknąć na miecznika, ale powstrzymał się. Ani miejsce, ani czas nie sprzyjały przekształcaniu oddziału w kółko dyskusyjne.

–Posłuchaj – powiedział zamiast warczeć. – W tej chwili to, co czujesz lub co myślisz o tych ludziach, mieczniku Nourm, jest zupełnie nieistotne. Będziesz postępować zgodnie z duchem Postanowień i dopilnujesz, by podobnie traktowali obcych jeńców pozostali żołnierze z tego plutonu. I niech ci się ani przez chwilę nie wydaje, że ja przymknę na cokolwiek oko. Więc zastanów się dobrze, mieczniku. Zastanów się dobrze zanim, choć pomyślisz o ponownym znieważeniu któregokolwiek z jeńców, bez względu na to skąd pochodzi. Rozumiemy się, mieczniku Nourm?

–Tak jest, półsetniku – zachrypiął Nourm.

–Nie dosłyszałem, mieczniku.

–Tak jest!!!

–Od razu lepiej. A teraz... Ten człowiek, jak sądzę, wymaga opieki lekarskiej.

–Tak jest, półsetniku! Targająca Nourmem wściekłość była oczywista, ale równie jasnym stało się dla

Sarmy, że miecznik starał się ją powstrzymać, pozwolił więc wypalić się jej w milczeniu. Co

oczywiście nie znaczyło, że nie przyglądał się uważnie podoficerowi, kiedy ten pomagał wstać rannemu Sharonianinowi. Nie robił tego szczególnie delikatnie, ale nie był też brutalny i póki co Sarma gotów był taki stan rzeczy zaakceptować.

Przez chwilę wiódł wzrokiem za miecznikiem, który na pół ciągnął, na pół prowadził jeńca do Uzdrowicieli i westchnął.

Sarma zdawał sobie sprawę, że jego własny stosunek do Sharonian nie był szeroko rozpowszechniony. Co stanowiło niefortunny zbieg okoliczności, ponieważ sądził, że tak, jak on powinni czuć wszyscy zaangażowani w tę operację. Dwutysięcznik Harshu w swoich rozkazach podkreślał jasno i wyraźnie, że postępowanie zgodne z Postanowieniami jest oficjalną doktryną Unii Arkany także i w tym konflikcie. Niestety,

**0 ile Sarma zdołał się zorientować, wytyczne Harshu nie liczyły się zbyt dla nikogo.**

**Z goryczą pomyślał, że to wina pięćsetnika Neshoka. Pluton Sarmy należał do pierwszej fali posiłków, które dotarły do Fortu Rycharn. Dzięki temu zyskał możliwość porozmawiania z ludźmi pięćsetnika Kliana zanim jeszcze zebrała się tam reszta żołnierzy i smoków Harshu. Być może jeszcze ważniejsze było to, że eden z jego wujów służył z pięćsetnikiem Klianem w czasach, gdy byli młodymi giermkami. Pięćsetnik zaprosił więc bratanka swego starego przyjaciela na kolację.**

**1 przy tej właśnie okazji, Sarma dobrze poznał przedstawioną przez Kliana wersję**

**tego, co się stało, gdy Sharonianie zaatakowali przy tym samym portalu oddział Andaran.**

**I wersja ta znacznie różniła się od tej, przedstawionej w oficjalnych raportach pięćsetnika Neshoka i jego sztabu. Według Kliana, który rozmawiał bezpośrednio z arkaniańskimi świadkami naocznymi, Magister Halathyn vos Dulainah został przypadkowo zabity wystrzałem z arkaniańskiego smoka piechoty, chwilę po tym, jak został wyciągnięty ze swego namiotu przez sharoniańskiego kawalerzystę. Tymczasem według raportu pięćsetnika Neshoka, który tak samo, jak i jego ludzie przy każdej okazji ostrożnie podkreślał, że to nie jest jeszcze informacja potwierdzona, to Sharonianie wyciągnęli starego naukowca z namiotu, po czym z zimną krwią zabili. Sztabowcy Neshoka rozpowiadali też -oczywiście niepotwierdzone – historie o tym, że obcy metodycznie dobijali wszystkich rannych Arkanian, zamiast udzielić im pomocy lekarskiej.**

**Nie można było wymyślić niczego lepszego, co rozpałiłoby gniew arkaniańskich żołnierzy. Magister Halathyn był najprawdopodobniej najpopularniejszym człowiekiem we wszystkich, zbadanych przez Arkanian wszechświatach – może z wyjątkiem swego**

**ojczystego Mythal. Opowieść o Sharonianach, mordujących bezbronno staruszka z zimną krwią, rozpałala emocje ludzi takich, jak miecznik Nourm do białości. Sugerowane w raportach wywiadu zbrodnie, jakich obcy rzekomo dopuszczali**

**Ognie Piekieł**

się najeńcach, dodatkowo pogarszały sprawę. O ile oczywiście można tu było jeszcze cokolwiek pogorszyć.

Sarma pokręcił głową. Nigdy nie widział równie podminowanych żołnierzy. Wszyscy zdawali się szukać krwawej zemsty na „rzeźnikach z Sharony”. Gdy półsetnik zdał sobie sprawę, do czego taka postawa może doprowadzić, przeszył go zimny dreszcz strachu.

„Ale nie jest jeszcze za późno” – powiedział sobie. – „Na pewno nie jest. Dwutysięcznik Harshu wciąż może to jeszcze wyprostować, o ile tylko uda mu się nakłonić Neshoka, by trzymał się faktów.”

Tyle, że... dwutysięcznik niczego takiego jeszcze nie zrobił. To, czy zgadzał się w duchu z Neshokiem czy nie, było tutaj bez znaczenia. Nawet oficerowie, którzy kwestionowali raporty Neshoka i wskazywali na to, że ich treść wymaga jeszcze ostatecznego potwierdzenia, kierowali się obecnym zachowaniem dwutysięcznika, a nie jego ogólnymi wytycznymi. Tymczasem, jak dotąd Harshu nie zajął wyraźnego stanowiska w tej sprawie.

„Strach pomyśleć, czym to się może skończyć dla całej armii” – pomyślał z rozpaczą Sarma. – Co będzie, gdy otrząsnie-my się wreszcie i zobaczymy cośmy narobili? I co się stanie, jeśli sposób, w jaki my potraktujemy ich jeńców, rzeczywiście doprowadzi Sharonian do strzelania do naszych schwytanych rannych?”

Jaralt Sarma nie znał odpowiedzi na te pytania... ale bardzo się bał, że może je poznać

już wkrótce.

\* \* \*

Dowodzący Tysiącem Klayrman Toralk nie był człowiekiem szczęśliwym.

Pod jednym względem operacja przebiegła dokładnie w myśl planu. Całkowicie zaskoczyli obrońców portalu, co oznaczało, że Narshu musiał z powodzeniem zneutralizować telepatę na polanie. Także i tutaj, siły Sharonian zostały prawie wyeliminowane. W chwili obecnej mieli dokładnie tuzin jeńców, z czego połowa była ranna. Nie wydawało się, żeby liczba ta miała jeszcze znacząco wzrosnąć.



Mimo tych sukcesów, atak okazał się kosztowny. Na Graho-M lisa! Był potwornie kosztowny! Wystarczająco fatalna była już sama śmierć dwóch czerwonych smoków. Na domiar złego, trzy inne zwierzęta doznały poważnych obrażeń. Z pierwszej informacji można było wnieść, że przyjdzie im jeszcze, mimo asysty Uzdrowicieli, stracić smoka Berhali. Podobnie ciężko ranny był jeszcze jeden z czerwonych. Tak poważnych strat Toralk nie zakładał, a ich skala sugerowała, że te „karabiny”, którymi walczyli Sharonianie mogą się okazać naprawdę śmiertelnie zabójczą bronią.

I to wcale jeszcze nie było najgorsze. Tysięcznik nie miał I pojęcia, jak obcy nazywali te rzeczy, które nakręcali na końcu 1 i swoich karabinów, ale jedna z nich trafiła prosto w otwartą pasz – j czę Ostrza Wichru, pilotowanego przez Nairdaga Yorhana. j! Wybuch zabił żółtego smoka, a kark Yorhana trzasnął jak su – I cha gałązka, gdy ciało jego zwierzęcia wbiło się w ziemię z prędkością 11 kilometrów na godzinę. j j

Toralk wiedział, że żółte smoki stanowiły jego najsilniejszą broń. Oczywiście wydawało się też to, że były przynajmniej częściowo odporne na ogień z karabinów. Szara Chmura i Zguba z Niebios miały uszkodzone skrzydła, ale dziury w błonie były akurat tym rodzajem ran, z którym Uzdrowiciele radzili sobie sprawnie i szybko. Oba smoki miały także dziesiątki nadpalonych i pokruszonych łusek na brzuchach, ale żaden z pocisków broni obcych nie zdołał przedrzeć się przez naturalną zbroję zwierząt i oficer spodziewał się, że najdalej za pół godziny będą już zupełnie zdrowe.

Co sprawiało, że utrata jednej trzeciej ich stanu bolała tym bardziej. Skoro takiej ofiary wymagało zdobycie jednego tylko portalu, to...

Nagle poderwał głowę. W powietrzu rozległ się nieoczekiwany odgłos wybuchu. Zaciśnął zęby, gdy jego uszu doleciały świeże ludzkie krzyki.

„Ten drań Neshok!” – syknął w myślach tysięcznik. – „Skoro jest taki dobry, to dlaczego do diabła nie ostrzegł nas przed tym gównem?”

## Ognie Piekła117

Zanim ta myśl zdążyła na dobre ulotnić się z jego umysłu, zrozumiał, że nie był uczciwy w ocenie. Prawda była taka, iż większość dostarczonych przez Neshoka informacji okazała się wręcz zdumiewająco dokładna. Z tym, że Toralk nie był w odpowiednim nastroju do chwaleń aroganckiego oficera wywiadu. Nie teraz, chwilę po tym, jak stracił tak wiele swych smoków bojowych. I nie wtedy, gdy jedna z pułapek, przed którymi Neshok nie ostrzegł, kosztowała go już życie przynajmniej dwudziestu żołnierzy.

Nie miał pojęcia jak Sharonianie nazywali te diabelskie urządzenia, które zakopali dokoła swoich umocnień. Nie wiedział też – jeszcze nie – w jaki sposób działały. Ale

ich skuteczność zdążył już poznać aż nadto dobrze i obawiał się, że przez to paskudztwo spadnie morale jego ludzi.

„Ale może jednak nie” – pomyślał. – „Może po prostu to mój zbyt pesymizm. W końcu, czym się to różni od bojowego zaklęcia-pułapki?”

Spojrzał na sanitariuszy, szybko – lecz ostrożnie – zdążających do najnowszej ofiary i zrozumiał, że istniała przynajmniej jedna bardzo poważna różnica. To, co wybuchając zabijało jego żołnierzy nie dawało się wykryć żadnymi, będącymi na ich wyposażeniu zaklęciami lokalizującymi magiczne pułapki. Te urządzenia nie działały w oparciu o magię i nie można było się przed nimi w żaden znany na Arkanie sposób obronić. Dlatego właśnie na twarzach żołnierzy w maskach gazowych, którzy zajmowali dawne pozycje Sharonian, widział coraz większe wahanie.

–Tysięczniku... – odezwał się cicho jeden z członków jego sztabu. Toralk rzucił na niego okiem. Młody żołnierz wskazał ręką nad bagna. Toralk podążył wzrokiem za jego gestem i usta drgnęły mu lekko, gdy zobaczył zbliżającego się do lądowiska, smoka dowodzenia z dwutysięcznikiem Harshu na pokładzie.

Podziękował młodemu półsetnikowi skinieniem, odwrócił się i ruszył – by powitać swego przełożonego – ku bezpiecznej strefie po bagiennej stronie portalu, wyznaczonej tam, gdzie mieli już pewność, że nie ma żadnych wybuchających i zabijających ludzi niespodzianek.

### *11 Wavid Weber i Linda Evans*

Smok wylądował w fontannie wody i błota. Harshu zeskoczył z jego grzbietu, wywołując przy tym kolejny spory plusk. Nie zwrócił jednak na to najmniejszej uwagi. Ruszył rażno do brzegu, szczerząc się szeroko dokoła trzymanej między zębami fajki.

Tego rodzaju zachowanie dowódcy akurat niespecjalnie zdziwiło Toralka. Od dawna znał dwutysięcznika jako człowieka, który kocha wszelkie przejawy ekstrawagancji i żyje w taki sposób, jakby cały czas występował na teatralnych deskach przed licznie zebraną widownią. Na przestrzeni ostatnich kilku tygodni Toralk doszedł jednak do wniosku, że przynajmniej nie do końca miał rację i nieco źle oceniał osobowość Harshu. Dwutysięcznik istotnie nigdy nie schodził ze sceny i cały czas szukał poklasku, ale stanowiło to nierozzerwalną część jego stylu dowodzenia i ku zdumieniu Toralka, to działało. Działało nawet na wyższych oficerów – takich właśnie jak sam tysięcznik Klayrman Toralk – którzy przecież powinni być na takie sztuczki za mądrzy.

\* \* \*

Dowodzący Tysięcem Tayrgal Carthos zeskoczył w błoto zaraz za

dwutysięcznikiem. Potężnie zbudowany, rudowłosy Carthos dowodził u Harshu piechotą, stanowił więc odpowiednik Toralka tyle, że w siłach lądowych. Był mężczyzną starszym zarówno od Harshu jak i Toralka. Wokół kącików jego ust, w gęstej, prostokątnej brodzie zaczęły się już pojawiać białe pasemka. Jego twarz wyglądała tak, jakby był cz<sup>^</sup>mś bezustannie zmartwiony.

Wraz z Harshu przebrnęli przez głęboką po uda wodę rozlewiska. Wyszli na stały ład wysepki, na której wznosił się portal i przeszli na twardy grunt po drugiej stronie.

–Dwutysięczniku! – zasalutował służbiście Toralk. Harshu w odpowiedzi dotknął pięścią swej piersi.

–Zanim cokolwiek powiesz, Klayrman – rzucił obok swej fajki dwutysięcznik - chciałbym zauważyć, że ty i twoi ludzie wykonaliście kawał dobrej roboty. Nawet bardzo dobrej. Wiem, że straciliśmy więcej smoków niż zakładano – skrzywił się –

### Ognie Piekieł 119

ale przecież wszyscy wiedzieliśmy też, że ta pierwsza bitwa będzie raczej eksperymentem i poligonem doświadczalnym.

–Tak jest, niemniej ja...

–Nie twoja wina – głos Harshu zabrzmiał nieco ostrzej i dwutysięcznik pokręcił głową. – Powiedziałem, że zrobiliście wszystko dobrze i tak właśnie było. Dzięki zakłębciom oglądałem w kryształach przebieg wydarzeń i dokładnie wiem, co tu zaszło. Wiem, że setnik Geyrsok dokonał słusznego wyboru. Nie wiem, czym oni stracili naszego żółtego, ale cokolwiek to było – miało niewielki zasięg. Poza tym – przede wszystkim liczy się to, że zdobyliście portal.

–Tak jest – przytaknął Toralk i odsłonił zęby w grymasie, który tylko niewielu ludzi pomyliłoby z uśmiechem. – Niestety Sharonianie zostawili nam tu sporo nieprzyjemnych niespodzianek – pokręcił głową. – Ja jestem tylko prostym lotnikiem, a nie specjalistą od magii bojowej, ale mamy do czynienia z jakimś odpowiednikiem zakłębci-pułapek i nie będzie nam z tym czymś lekko.

–Przynajmniej do chwili, w której nie znajdziemy na to sposobu – zgodził się Harshu, spoglądając poza Toralka na piechurów, którzy cały czas ostrożnie parli naprzód wśród obcych umocnień.

–Rzeczywiście posuwamy się naprzód dość powoli – wtrącił Carthos – ale nie sądzę, że powinniśmy mieć to ludziom za złe. Nawet, jeśli opóźni się przez to cała operacja.

Toralk przytaknął skinieniem. O tej porze powinna już iść naprzód kawaleria, której

zadaniem było dotarcie do Polany Powalonych Drzew i złuzowanie Narshu. Niestety, te piekielne urządzenia, które zostawili Sharonianie poważnie zmieniły rozkład jazdy nacierających wojsk.

–Zgadza się – powiedział. W myśl doktryny wojennej połączonych sił armii Unii Arkany, on i Carthos znajdowali się teraz w niezbyt jasnej sytuacji. Operacje desantowe nominalnie podpadały pod dowództwo Sił Powietrznych, ale jedynie do momentu, w którym siły lądowe tego desantu dokonywały. Wtedy kontrolę obejmowali oficerowie piechoty, a ściślej rzecz i O

*Ihtyid Weber i Linda Evans*

liioiih. Mii|Nliirszty stopniem z nich. Technicznie było więc dwu-lysięc/nik I larshu, który był głównodowodzącym sił ekspedycyjnych, ale z drugiej strony to Carthos został wyznaczony na taktycznego dowódcę sił lądowych. W związku z czym, Toralk musiał zachować daleko posuniętą ostrożność za każdym razem, gdy chciał powiedzieć coś, co mogło zabrzmieć jak krytyka poczynań Sił Lądowych.

–Możliwe, że nieco za bardzo... uczuliliśmy młodszą kadre oficerską na konieczność oszczędzania zasobów ludzkich – zauważył.

–Możliwe – przyznał Harshu – ale ja i tak stawiałbym na to, że wloką się jak ślimaki tylko dlatego, że nie potrafią wykrywać tych wybuchowych paskudztw!

Dwutysięcznik zamilkł na chwilę. Wyraźnie intensywnie się nad czymś zastanawiał. Wreszcie wzruszył ramionami.

–Narshu musiało się powieść – powiedział. – Gdyby było inaczej, obcy byliby na nasze przybycie o wiele lepiej przygotowani. Wydaje się więc, że nasi kontrolują Powalone Drzewa. Nadal oczywiście musimy wysłać tam kogoś i potwierdzić, czy rzeczywiście Siły Specjalne razem z mistrzem Skirvonem trzymają rękę na pulsie, ale najważniejszą rzeczą nadal pozostaje przejęcie tej Ósemki i zdobycie ich fortu przy portalu. Razem z wszelkimi „Głosami”, którzy mogą tam siedzieć.

–Tak jest.

–Dobrze zatem – dwutysięcznik zwrócił się do Carthosa. – Zostawimy tu jedną z twoich lekkich dywizji kawalerii i batalion inżynierów. Jak tylko poradzą sobie z

oczyszczeniem terenu z tych ich pułapek, rzucimy kawalerię naprzód do Powalonych Drzew. Tymczasem – oficer rzucił okiem na Toralka – reszta sił ruszy na smokach prosto do Ósemki.

Nie mamy co prawda pewności, że nie mają w tym wszechświecie żadnych patroli czy oddziałów, które miały za zadanie spowalniać nasz przemarsz, ale jeśli zdobędziemy ten portal, to odetniemy im drogę odwrotu, i tak czy inaczej już nam nie uciekną.

–Tak jest, dwutysięczniku – powiedział Toralk.

–Zrozumiano – Carthos skinął głową. Ognie Piekieł<sup>121</sup> W tej sytuacji nie mógł powiedzieć niczego innego, ale To-ralk zwrócił uwagę na ton

głosu dowódcy piechoty. Jeśli cała ta operacja miała się powieść, to jedynie dzięki szybkości i mobilności, którą zapewniały smoki. Oznaczało to, że nie odnieśliby sukcesu, gdyby stanęła im na przeszkodzie rywalizacja między rodzajami broni. Toralk wiedział, że Carthos nie był szczęśliwy słysząc, że to znów Siły Powietrzne obejmowały kontrolę nad misją, lecz nie wyczuł w jego głosie żadnej złośliwości czy gniewu.

–W takim razie, tysięczniku, podnieś smoki w powietrze jak

najszybciej to będzie możliwe – rzucił Harshu i poklepał Toral-

ka po ramieniu. – 1 pamiętaj o jednym, Klayrman. Lekcja, któ-

rej udzielono ci dzisiaj rano nie była przyjemna, ale tak

czy inaczej, właśnie dzięki niej zdobyłeś przewagę. Dlatego, że

kimkolwiek nie jest facet dowodzący fortem przy portalu, to on

nie zaliczył jeszcze żadnej lekcji. I chyba najwyższy czas po

śłać go do szkoły.'.'!

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

–Przepraszam, kapitanie.

Kapitan Grafin Halitu, dowódca przyportalowego fortu, który otrzymał swą nową

nazwę ku czci zamordowanej telepatki – Shaylar Nargry-Kolmayr – oderwał oczy od rozłożonych na biurku dokumentów i z wyrazem wielkiej ulgi na twarzy przeniósł spojrzenie na młodszego zbrojnego Farzaka Parthę, który zastukał w futrynę drzwi do gabinetu dowódcy. Halifu nigdy nie należał do tego gatunku oficerów, którzy świetnie czują się wykonując papierkową robotę. Nie był w niej dobry. Wiedział o tym doskonale i radził sobie jedynie dzięki wytrwałej pracy i uporowi. Tak naprawdę, była to jedyna rzecz, której szczerze nie cierpiał w wybranym przez siebie zawodzie. A od chwili, gdy szaleńcy z Arkany wymordowali zespół badawczy Gharto-una chan Hagrahyła, sytuacja stała się jeszcze gorsza. I nie chodziło tu tylko o to, że papierów przybywało w lawinowym tempie. Halifu mógł także przysiąc na dowolną świętość, że sprawy, którymi się zajmował stawały się stopniowo bardziej i bardziej trywialne. W skład dzisiejszej porcji obowiązków kapitana, wchodziło na

przykład odnalezienie w dokumentach jakiegokolwiek śladu po trzech kawaleryjskich wierzchowcach, które najwyraźniej rozplynęły się w powietrzu.

Ognif Piekieł

123

„Niedługo może się okazać, że rzeczywiście się rozplynęły, ale wcale nie w powietrzu” – pomyślał zrzędliwie Halifu, wyglądając za okno gabinetu. Co prawda, w tej chwili z nieba nic nie padało. Co więcej, nie padało już prawie od ale wygląd nisko zawieszonych, ciemnych chmur nie wróżył, że ten stan rzeczy miał trwać wiecznie.

–O co chodzi, Farzak? – spytał szorstko, odwracając się od

–Młodszy kapitan Baulwan prosi o spotkanie, jeśli oczywiście... – Partha pracował w kancelarii Halifu już bez mała rok i teraz, gdy pozwolił sobie spojrzeć na plik papierzysk zawalających biurko dowódcy, jego oczy zabłyśły wesoło -...może się pan na chwilę oderwać od pilnych obowiązków, kapitanie.

–Pilnych obowiązków? – Halifu odsunął krzesło i uśmiechnął się szeroko do Parthy. Ja ci zaraz pokażę pilne obowiązki, Farzak! A szczerze powiedziawszy – kapitan zmrużył oczy i wyszczerzył się jeszcze szerzej – mam jeden taki, w sam raz w tajemniczych okolicznościach zaginęły trzy z naszych koni. Poproś kapitana Baulwana do mnie, a potem weź te rapoity – Halifu zebrał z biurka groźnie wyglądające naręcze dokumentów i wręczył je podwładnemu – przejdź się z nim do

**stajni i zobacz, gdzie się podziewają te nieszczęsne cha-bety.**

**–Oczywiście, kapitanie-odpowiedział Partha i w jakiś niezwykle sposób udało mu się w jednej minie zawrzeć godność wojskowego, wyraźne poczucie chwały męczennika i jednocześnie dać do zrozumienia, że bez względu na to, jak radził sobie – lub nie – z wyznaczonym zadaniem Halifu, to on sam nie przewiduje z nim żadnych większych trudności.**

**Rozbawiony kapitan parsknął krótkim śmiechem, podał podwładnemu jeszcze jakieś papiery i popatrzył za wychodzącym. Po chwili, drzwi otworzyły się na powrót i do gabinetu wszedł Shansaira Baulwana.**

**–Dzień dobry, kapitanie – młodszy kapitan stanął na baczność i zasalutował.**

*David Weber i Linda Evans*

–Dzień dobry, Shansaira – powitał gościa Halitu i odpowie dział nieco mniej służbistym salutem.

Baulwan trafił na ten posterunek ledwie niecały miesiąc temu i Halifu świetnie zdawał sobie sprawę, że Głos nie czuje się w jego obecności dobrze. Co więcej - podejrzewał, że Baulwan chowa się za murem wojskowych formalności właśnie dlatego, że nie czuje się przy nim zbyt komfortowo. Sam kapitan przywykł już niestety do takiego stosunku wszystkich swoich młodszych oficerów, pochodzących ze Wschodniej Arpathii. Sam wywodził się z Uromathii, a Uromathia – zwłaszcza, co Halifu z bólem serca przyznawał, pod rządami obecnego cesarza – nie żyła z Arpathią na szczególnie dobrosąsiedzkiej stopie.

Halifu sam nie lubił spotykać na swej drodze Arpathian, którzy od początku znajomości darzyli go antypatią jedynie z powodu miejsca urodzenia. Jednak nie miał im tego tak naprawdę za złe i czuł niezwykłą przyjemność za każdym razem, gdy tylko udawało mu się przebić gęstą zasłonę stereotypów i oddzielić obraz Uromathii od własnego wizerunku.

„Szkoda, że Hulmok jest w terenie” – pomyślał kapitan. – ”Z jego pomocą, oswojenie Baulwana poszłoby mi na pewno o wiele łatwiej.”

–Co mogę dla ciebie zrobić w tak piękny poranek, Shansair? – spytał gościa.

–Chodzi o to, że trochę się niepokoję, kapitanie – wyjaśnił arpathiański telepata. – Nie udało mi się nawiązać kontaktu z młodszym kapitanem Trayganem.

–No cóż, jest jeszcze w miarę wcześnie – zauważył Halifu. Nie wybiła jeszcze dziesiąta przed południem.

–Tak, to prawda kapitanie. Ale na Polanie Powalonych Drzew tak wcześnie już nie jest – przypomniał Baulwan i Halifu skinął głową. Telepata miał rację. Powalone Drzewa znajdowały się o trzy godziny na wschód od Fortu Shaylar (i – rzecz jasna-w zupełnie innym wszechświecie), co oznaczało, że była tam w tej chwili prawie trzynasta. – O tej porze powinni się już zabierać do obiadu, kapitanie – ciągnął Głos – i to właśnie o tej

**Ognie Piekieł 125**

porze Rokam, to znaczy młodszy kapitan Traygan, zazwyczaj przesyła mi sprawozdanie z porannej tury negocjacji.



**–Możliwe, że po prostu dzisiaj przeciągnęło im się dłużej niż zwykle – zasugerował Halifu.**

**–To oczywiście także możliwe, kapitanie. Ale przedtem, za każdym razem, kiedy coś podobnego miało miejsce, dostawałem krótką informację o opóźnieniu i jego przyczynach.**

**W końcu młodszy kapitan Traygan wie, że ja czekam na kontakt w obozowisku po drugiej**

**stronie portalu i stara się nie trzymać mnie tam dłużej niż to absolutnie konieczne do**

**odebrania transmisji.**

**Halifu zmarszczył czoło. Szczerze mówiąc i jemu zaczęło się wydawać, że brak znaku życia od Traygana jest, co najmniej dziwny. Zmarszczka na jego czole pogłębiła się jeszcze bardziej, gdy skojarzył niepokój Baulwana z podejrzeniami Artha-ga, o których informował wcześniej chan Baskay. Tak, to było bardziej niż tylko dziwne.**

**Z powrotem spojrzął na Baulwana i w oczach młodego telepaty zobaczył własne myśli. Oczywiście, przecież to właśnie Baulwan przekazał Halifu wiadomość od Arthaga. Ponadto ka-walerzysta był także Arpathianinem i to Arpathianinem coraz bardziej popularnym wśród swych pobratymców. Najwyraźniej Baulwan wziął sobie ostrzeżenia jego i chan Baskaya do serca.**

**–Rozumiem, co cię martwi, Shansair – powiedział po chwili kapitan. – Co więcej, teraz kiedy sobie to przemyślałem, sam też zaczynam się lekko denerwować – uśmiechnął się do telepaty. – Ale mam nadzieję, że obaj jesteśmy po prostu przewrażliwieni.**

**–Też tak myślałem, kapitanie – Baulwan widząc reakcję Halifu lekko się rozluźnił. – Dlatego właśnie, kiedy minął czas terminowego kontaktu, sam spróbowałem nawiązać z nim łączność. Bez rezultatu, kapitanie.**

**–Rozumiem.**

**Halifu skrzywił się brzydko i dźwignął z krzesła.**

**–Chodź ze mną – powiedział. Wyszli z biura i przeszli przez**

**śluzowaty dziedziniec Fortu Shaylar. Halifu lubił myśleć na po**

wietrze. W takich warunkach szło mu to o wiele lepiej, a w tej

*126 Darid Weber i Linda Evans*

chwili musiał dokładnie rozważyć wszystko, co usłyszał od Baulwana.

–Czy kiedykolwiek przedtem mieliście problemy z połączeniem, kiedy to ty inicjowałeś kontakt? – spytał telepaty, który szedł trzymając się z szacunkiem pół kroku z tyłu, po prawej ręce kapitana.

–Szczерze, kapitanie?-Arpathianin wzruszył ramionami. – Dwa razy zdarzyło się coś takiego. Raz, po prostu spał i próbowałem co najmniej sześć razy, zanim udało mi się go obudzić. Dragi taki wypadek miał miejsce, kiedy młodszy kapitan Tray-gan był na czymś bardzo skupiony i przez dobrą chwilę nie słyszał mnie zupełnie. Ale za każdym razem działo

się to poza standardowymi porami kontaktu. Tymczasem dzisiaj powinien był się mnie spodziewać skoro ja nie otrzymałem żadnej informacji od niego.

–Rozumiem – powtórzył Halifu.

Obaj żołnierze dotarli pod wysokie, strome, przypominające drabinę schody, które wyla się na szczyt wieży obserwacyjnej fortu. Dowódca ruszył na górę. Baulwan poszedł za nim. Wspinał się nie była prosta i Halifu po objęciu dowództwa fortu, postawił sobie za punkt honoru, że\* będzie pokonywać tę trasę, co najmniej trzy razy dziennie, wiedząc, że co go nie zabije, to pozwoli mu utrzymać stały rozmiar w pasie. Mimo ogarniającego go, coraz silniejszego niepokoju poczuł lekkie rozbawienie, gdy znacznie młodszy od niego Głos zaczął sapać, w dwóch trzecich drogi na szczyt.v”

Wreszcie znaleźli się na górze i Halifu podszedł do prostej, wykonanej z przeciętego pnia, barierki. Oparł się na niej łokciami i wyjrzał na widniejący przed nimi, potężny portal.

„Żeby naprawdę mówić o obronie tak wielkiego portalu, potrzebowalibyśmy, cholera, jeszcze z tuzin takich fortów jak mój” – pomyślał nie po raz pierwszy. Tak wielkiego przejścia między wszechświatami nie było nigdzie indziej i nie było większej potrzeby udawać, że Fort Shaylar stanowi cokolwiek więcej niż tylko centrum administracyjne. Regulaminowo Halifu powinien mieć do dyspozycji wystarczającą liczbę ludzi, by móc

Ognie Piekieł

wysłać patrole na całą szerokość strzeżonego portalu. Przy tym gigancie jednak nie miałyby ich tylu, nawet, gdyby nie odesłał żadnego ze swych żołnierzy na pomoc chan Teshowi.

Wrota Piekieł miały szerokość trzydziestu siedmiu mil, co oznaczało, że obszar, który należałoby objąć patrolami miał długość siedemdziesięciu czterech mil. Siedemdziesięciu czterech mil sieczonego bezustannym deszczem, niesłychanie gęstego, dziewiczego lasu.

W tych okolicznościach jedynym, na co Halitu mógł mieć nadzieję, było to, że uda mu się mniej więcej orientować w wydarzeniach i sprawnie przekazywać informacje między chan Te-shem, chan Baskayem i rodzimym wszechświatem Sharonian. Oczywiście swoich kawalerzystów utrzymywał w ciągłej gotowości na wypadek jakiegś nagłej potrzeby.

„Na dodatek całą cięższą broń wysłałem do chan Tesha” – przypomniał sobie gorzko. Oczywiście ani on, ani chan Tesh nie mieli wcześniej żadnego wpływu na sytuację i nie można było postąpić inaczej.

–Kiedy masz termin następnego przekazu w górę łańcucha?

–spytał Baulwana.

–Nie mam wyznaczonego, kapitanie – odpowiedział Głos. Halifu uniósł brew i młody Arpathianin wzruszył lekko ramionami. – Przepraszam, kapitanie. Myślałem, że pan o tym wie.

–Synu – powiedział Halifu uśmiechając się zbójcko – od kiedy nawiązaliśmy kontakt z tymi obcymi dzieje się tyle, że jesteś chyba ostatnim człowiekiem, który spodziewa się, że ja jeszcze cokolwiek wiem.

–Powinienem był się domyślić, kapitanie – powiedział Baul-wan dość sztywno. – Przepraszam.

–Nie musisz mnie przeproszać za to, że ja czegoś nie wiem

–oznajmił Halifu.

–Dziękuję, kapitanie – Baulwan nieco się rozluźnił i nawet

pozwoił sobie na nieznaczny uśmiech. – Szczerze powiedziaw

szy, to nie ustaliliśmy harmonogramu, ponieważ Rokam i ja się

**dzimy tu na szpicy sami. Reszta Głosów jest tak samo rozpro**

**szona wzdłuż łańcucha jak my, w związku z czym, mają wie e**

**12Warid Weber i Linda Evans**

**pracy i gdy tylko nie istnieje konieczność przesyłania czegokolwiek, po prostu odpoczywamy.**

**Halifu skinął głową. Zmęczenie stanowiło poważny problem dla każdego, kto był zmuszony nadużywać własnego Talentu. W najbardziej drastycznych wypadkach przeciążenie zdolności mogło doprowadzić do jej wypalenia, czyli całkowitej utraty, a nawet do śmierci Utalentowanego. Co gorsza zmęczenie Talentu działało bezobjawowo i nie dawało – przynajmniej na początku – żadnych wyraźniejszych oznak. Szczególnie narażeni byli na nie właśnie telepaci, zwłaszcza ci pracujący na ważniejszych węzłach sieci Głosów.**

**„Albo” – pomyślał smutno kapitan – „jeśli takiemu pechowcowi przyjdzie służyć jako jeden z dwóch dostępnych głosów, na jakimś zadupiu wszechświata, skąd bezustannie przesyła i odbiera korespondencję dyplomatyczną.”**

**–Kolejnym Głosem w łańcuchu jest Erthek Vardan – ciągnął Baulwan. – Ma on co prawda spory zasięg nadawania, ale odbierać może na dużo krótsze dystanse. Jest przy tym**

**młody – dużo młodszy nawet ode mnie, kapitanie. – Mimo swego arpa-thiańskiego pochodzenia młody telepata lekko się zarumienił. Halifu zaśmiał się łagodnie.**

**–Wiem, wiem – powiedział po chwili dowódca i przepraszająco poklepał Glosa po ramieniu. – Nie śmiałem się z ciebie, Shansair. Chodzi tylko o to, że z mojego punktu widzenia żaden z was nie jest szczególnie wiekowy.**

**–Rozumiem, kapitanie – na twarz Baulwana wypłynął lekko zażenowany uśmiech. Halifu pomyślał, że to dobry znak. Być może uda się jednak oswoić tego chłopaka.**

**–W każdym razie, chciałem powiedzieć – mówił dalej telepata – że wrażliwość Ertheka jest raczej niezbyt duża, a ponadto szybko się męczy. Traygan i ja natomiast jesteśmy oddaleni od siebie jedynie na piętnaście mil i on jest wrażliwy na tyle, że zazwyczaj Słyszysz mnie jeśli „krzyknę” odpowiednio głośno, nawet wtedy, gdy nie oczekuje kontaktu. Erthek siedzi prawie trzysta mil stąd i żeby mnie Usłyszeć, musi się wcześniej wprowadzić przynajmniej w płytki trans. Dlatego też, może mnie Usłyszeć**

**Jedynie w chwilach, w których mnie oczekuje. I jak już mówiłem, szybko się męczy. W zeszłym tygodniu, kiedy mieliśmy do przesłania ten przekaz od kapitana chan Baskaya, okazało się, że trzeba go było podzielić na dwie części. Zazwyczaj więc staramy się oszczędzać siły Ertheka. Oczekuje mojego kontaktu co dwie godziny, przez dwadzieścia minut. Od za dziesięć, do dziesięć po. O ile wiadomość do nas nie jest pilna, to on czeka z przesłaniem jej do mnie do chwili, gdy to ja nawiążę kontakt. Oczywiście kolejnym powodem tego, że to on czeka na mnie, jest także i to, że ja wiele czasu spędzam po drugiej stronie portalu oczekując na łączność z Trayganem. Poza tym, my pracujemy wyłącznie dla celów wojskowych, wojskowych i dyplomatycznych, więc dotąd ten system w niczym nie przeszkadzał.**

**–Ale w tej chwili Erthek nie będzie Nasłuchiwać twojego kontaktu?**

**–Nie, kapitanie. Ani w tej, ani w następnej... – Baulwanrzucił okiem na zegarek -... jeszcze jakieś półtorej godziny.**

**–Rozumiem.**

**Halifu potarł brodę i w zamyśleniu spojrzął przez Wrota Piekieł na ubarwione jesiennie drzewa, po drugiej stronie portalu. Pomyślał sobie, że to typowy pokaz boskiej fantazji. Na Nową Uromathię bogowie spuszczały z nieba niekończące się strugi deszczu, podczas, gdy we wszechświecie za Wrotami Piekieł od trzech tygodni nie spadła ani jedna kropla.**

**Wolałby, żeby Vardan mógł odebrać wiadomość od Baulwa-na w dowolnej chwili. Ale o ile Głos nie dysponował bardzo silnym Talentem, zwrócenie jego uwagi na niespodziewanie nadchodzący przekaz telepatyczny stanowiło bardzo trudne zadanie. Z tego, co przed chwilą usłyszał w przypadku Vardana i wzięwszy pod uwagę wszystkie dodatkowe okoliczności, w tym momencie było to prawie nie wykonalne. Grafin Halifu z całego serca pożałował, że nie może przesłać w górę łańcucha informacji o milczeniu Rokama Traygana już w tej chwili. Cisza telepaty z polany, z pewnością miała jakieś zupełnie niewinne wyjaśnienie, ale kapitan czułby się znacznie lepiej, gdyby dowiedział się o tym ktoś jeszcze.**

**130Darid Weber i Linda Evans**

**„Sieć Głosów nie jest wystarczająco przepustowa” – uświadomił sobie z goryczą. – Z drugiej strony nie została przecież zaprojektowana do działania w sytuacji takiego kryzysu, z jakim mamy ostatnio do czynienia. Oczywiście bogowie też nam nie pomogli. Przecież to właśnie ich rządzeniem obcy pojawili się akurat w takim miejscu multiwersum, gdzie Utalentowanych ze świecą szukać.”**

**Dopóki wszystko nie zważyło im się na głowę, nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak delikatnym tworem jest Sieć Głosów. Teraz, po zabójstwie Shaylar Nargry-**

**Kolmayr i po tym, jak Darcel Kinlafia ruszył w drogę powrotną na Sharonę, fakt nadmiernego rozciągnięcia sieci komunikacyjnej stał się dla kapitana aż nazbyt wyraźny.**

**–No dobrze, Shansair – odezwał się po chwili. – Być może obaj rzeczywiście martwimy się na wyrost, ale wolę to, niż przeoczyć coś, czym naprawdę powinienem się zająć. Jak tylko twój przyjaciel Vardan zacznie nasłuchiwać, prześlij w górę łańcucha informację o kłopotach w nawiązaniu łączności z Trayga-nem. Chyba – rzecz jasna – że on odezwie się wcześniej.**

**–Tak jest, kapitanie. Wedle rozkazu.**

**–Świetnie, Shansair – Halifu raz jeszcze poklepał młodego żołnierza po ramieniu, odwrócił się i ruszył z powrotem drabinką na dół, na dziedziniec i dalej ku swojej niedokończonej pracy w biurze.**

**\* \* \***

**Tysięcznik Toralk odkrył kolejny powód do zmartwień.**

**Z bagiennego portalu do giganta ochrzczonego mianem Wrót Piekieł (która to nazwa odnosiła się także do całego wszechświata) było ledwie trzydzieści mil lotem smoka. Nie było to jednak trzydzieści mil gładkiego terenu, a trzydzieści mil najeżonych gęstym lasem i ostrymi czubkami drzew. Jak większość pilotów latających na smokach, Toralk nigdy nie**

**czuł się zbyt dobrze nad terenem, w którym jego podopieczny nie mógł w razie nagłej potrzeby, w dowolnym miejscu, wylądować.**

**Nie to jednak stanowiło w tej chwili źródło jego niepokoju. Martwił się tym, że już od piętnastu minut, wraz z całym swym**

**Ognie Piekieł<sup>131</sup>**

**oddziałem kołował nad Polaną Powalonych Drzew, nie mogąc skontaktować się z Narshu ani ze Skirvonem.**

**„A przecież mam poważniejsze rzeczy do roboty niż fruwać sobie nad drzewami i podziwiać widoczki. Nawet tak fantastyczne jak te tutaj” – pomyślał zirytowany, rzucając spojrzeniem na północ, w kierunku Wrót Piekieł.**

**Portal był tak wielki, że z tej wysokości było go widać nawet z tak daleka. Zajmował niemal cały północny horyzont. Nie był też portalem samotnym. Klayrman Toralk i jego piloci mieli okazję oglądać coś, czego nigdy wcześniej nie oglądał żaden**

**człowiek. We Wrotach Piekieł znajdowało się skupisko portali.**

**Wynaleziony przez magistra Halathyna detektor portali, pozwolił im już poznać dokładne położenie każdego z powiązanych portali, ale w tej chwili Toralk nie potrzebował uciekać się do jego wskazań. Widział naraz aż cztery z nich jednocześnie – cztery półkoliste okna o różnych rozmiarach, choć każde z nich było wysokie i szerokie na co najmniej kilka mil. Okna te otwierały się na cztery zupełnie odmienne wszechświaty. Przez jeden z nich widział fragment nocnego, czarnego nieba, w kolejnym rosła gęsta, ciemnozielona dżungla, a w trzecim jego oczom ukazał się lodowaty, pokryty śniegiem zimowy krajobraz. Te niezwykle obrazy dominowały na horyzoncie, dając do zrozumienia jak niewiarygodnie cenny jest wszechświat, w którym się znajdowali i jednocześnie sprawiając, że gęsty las porastający Wrota Piekieł był tym bardziej frustrujący. Toralk widział wszystkie portale wyraźnie, był nawet w stanie dolecieć do każdego na swoim smoku, ale nie był w stanie wylądować nigdzie w tej głuszy. Nie widział nawet tego, co ma pod sobą.**

**Niemniej widoczność z ziemi powinna być o niebo lepsza i nawet mimo gęstego lasu, Skirvon i Narshu musieli już zauważyć, że nad ich głowami latają smoki. A w każdym razie powinni byli. Nawet, jeśli przeszkadzały im liście, to wyrzyta w lesie blizna powalonych przez wiatr, splątanych ze sobą gigantów, gdzie miała miejsce pierwsza potyczka z Sharoniana-mi znajdowała się tuż obok. Smok nie mógł tam wylądować,**

*132 David Weber i Linda Evans*

**a nawet gdyby udało się Toralkowi tego dokonać, to zwierzę nie dałoby rady ponownie wzbić się w powietrze. Narshu jednak powinien wykazać się rozumem na tyle, aby wystawić posterunek na środku polany, skąd mogliby nawiązać kontakt wzrokowy.**

**„Powinniśmy byli zabrać ze sobą gryfy” – pomyślał coraz bardziej rozzłoszczony Toralk. Choć oczywiście wiedział, dlaczego tego nie zrobili. Między innymi dlatego, że sam tak zdecydował. Odległość wynosiła jedynie trzydzieści mil, co oznaczało, iż nie będą potrzebować zbyt dokładnego rozpoznania. A gryfy stanowiły... problem. Jako broń wymagały starannego planowania i kłopotliwego programowania przed atakiem. W żadnym razie nie były stworzeniami, które chciało się mieć pod ręką, gdy w okolicy trwała chaotyczna walka piechoty.**

**Im dłużej się jednak zastanawiał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że mógł przynajmniej wysłać samotnego gryfa na patrol, na polanę Powalonych Drzew, dzięki czemu uzyskałby potwierdzenie tego, co się tam dzieje.**

**„Och, przestań już, Klayrman!” – skarcił się w duchu. – „Przecież gdyby rzeczywiście coś tutaj było nie tak, to cała operacja skończyłaby się spektakularnym**

fiaskiem już wcześniej. A gdybyś wysłał gryfa, to albo znalazłbyś Narshu spokojnie drzemącego w cieniu tych drzewek, albo gówno tak głębokie, że twoje lęki i tak nie miałyby już żadnego znaczenia.”

Popatrzył gniewniehd drzewa jeszcze przez chwilę i pokręcił głową. Nie mógł sobie pozwolić na, dłuższe kręcenie się w miejscu. Jednorożce Carthosa i tak dotrą tu najdalej za godzinę, a jego samego czekała przecież jeszcze inna misja.

–Lecimy dalej! - rzucił pilotowi.

–Tak jest!

Smok dowodzenia zmienił kurs i poleciał prosto na północ. Za nim *rozległ* się łopot setek, bijących miarowo, błoniastych skrzydeł... ... *m...-::-A-.0*



# ROZDZIAŁ SIÓDMY

–Już niedługo – mruknął chan Baskay.

Oficer ściągnął wodze i obrócił się w siodle. Spojrzał na drogę, którą tu przybyli, choć tak naprawdę nie spodziewał się, że zobaczy cokolwiek.

Jedną z rzeczy, na które od początku nalegał kapitan chan Tesh, była konieczność odnalezienia przynajmniej najbliższych z pomniejszych portali należących do skupiska Wrót Piekieł. Dzięki temu, że Darcel Kinlafia posiadał zdolność wyczuwania kierunków, w których znajdowały się portale, dowiedzieli się mniej więcej, gdzie powinni ich szukać.

Sharonianie ze zdumieniem stwierdzili, że w odległości nieprzekraczającej sześćdziesięciu mil od Polany Powalonych Drzew, znajdują się aż trzy inne przejścia między wszechświatami. Co więcej – dwa z nich oddalone były od miejsca masakry, która rozpoczęła wojnę o mniej niż piętnaście mil. Pierwszy z tej pary prowadził do Nowej Farnalii, a drugi wychodził na otwarte, rozległe równiny, pokryte o tej porze roku grubą warstwą wczesnego śniegu. Mogła to być równie dobrze Nowa Ternathia, jak i dziesiątki innych, podobnych miejsc.

W tej chwili, trzydziestu kilku ludzi, którzy tworzyli teraz oddział Dorzona chan Baskaya, znajdowało się nadal około pięciu

*134 Darid Weber i Linda Erans*

mil od portalu wiodącego do Nowej Farnalii. Jechali szybko, na tyle na ile pozwalał teren, wykorzystując wszystkie rezerwy sił swych wierzchowców. Ciągący się za nimi w lesie trop był tak wyraźny, że aż kłuł w oczy.

Póki co.

Wymyślony przez Hulmoka Arthaga plan zatarcia śladów ucieczki w pierwszej chwili mocno chan Baskaya przeraził. Chan Baskay większą część młodości spędził w swej rodowej posiadłości w Reyshar. Położona ona była w środkowej części kontynentu Chairifon, zagubiona wśród nie kończących się kniei, gdzie wszystko zaczynało się od lasu i na lesie kończyło. Młodzieńcze lata oficer spędził więc na polowaniach, łowieniu ryb i wędrówkach po głuszy bardzo podobnej do tutejszej. Wszystkie te doświadczenia spowodowały, że darzył drzewa wielkim szacunkiem... i na myśl o pożarach lasów czuł głęboki, dojmujący lęk.

Arthag z drugiej strony był dziecięciem stepu i lasy nie wywoływały w nim szczególnych wzruszeń. Prawdopodobnie właśnie dlatego to akurat jemu przyszedł do głowy ten pomysł. A kiedy już się to stało, chan Baskay – mimo targających nim

wewnątrz emocji -nie był w stanie wymyślić ani jednego, logicznego argumentu przeciw.

„Może poza tym, że nie wiadomo, czy zdołamy uciec przed skutkami tej naszej zabawy z zapalnikami” – pomyślał teraz chan Baskay.

Ale Arthag i na to miał gotową odpowiedź. Razem ze star-szym zbrojnym chan Hathasem, błyskawicznie, za pomocą kilku galonów nafty i świeczki skonstruowali prosty zapalnik czasowy i o ile ich szacunki były dość dokładne, płomień świecy mniej więcej w tej chwili powinien sięgać paliwa.

„Więc może przestałbyś oglądać się za siebie i skupił na czymś naprawdę istotnym” -złapał się w duchu chan Baskay. – ”Ostatnią rzeczą, jakiej ci teraz potrzeba, jest dać się złapać pożarowi.”

Oficer prychnął pod nosem, pokręcił głową i popędził piętami konia, by zrównać się z resztą oddziału.

## Ognie Piekieł 135

Smok Toralka przeniknął do następnego wszechświata, szybując tuż nad wierzchołkami drzew.

Mieli do dyspozycji całą szerokość ogromnego portalu. Mogli więc przejść na drugą stronę w takim miejscu, gdzie nie istniała najmniejsza nawet szansa, by spostrzegł ich którykolwiek ze stacjonujących w forcie, obcych żołnierzy. Dzięki sprawnie przeprowadzonemu przez andarańskiego miecznika rozpoznaniu, Arkanianie dokładnie znali lokalizację bazy Sharonian i wprowadzili jej współrzędne do swych przyrządów nawigacyjnych.

To były te dobre wiadomości. Jeszcze większym udogodnieniem natomiast obdarzyła ich natura, zawieszając dziś chmury na bardzo niskim pułapie.

Co prawda tego rodzaju pogoda sprawiała, że trudniej było o koordynację działań poszczególnych rodzajów broni – piechoty, kawalerii i Sił Powietrznych – lecz z drugiej strony doskonale maskowała smoki. Kiedy Toralk sporządzał pierwotne plany misji, zastanawiał się nad tym, by nie korzystać z tego rodzaju pomocy, ale poważne straty, jakie ponieśli w niedawnym ataku sprawiły, że wprowadził do planów kilka poprawek, które miały sprawić, iż skuteczność broni Sharonian nie będzie już tak przerażająca. Żałował, że nie miał czasu, by dokonać dalszych usprawnień i zmian, ale w Siłach Powietrznych od zawsze panowało przekonanie, że oficerowie powinni być zdolni do myślenia w biegu. Omówił więc nowy plan z dowódcami ataków na pospiesznie zwołanej odprawie, przy portalu na bagnach.

O tym, że zachmurzenie będzie dziś duże wiedział na sporo przed przekroczeniem

granicy portalu. Kłębiące się chmury przetaczały się przez wielki dysk do Wrót Piekieł, niosąc ze sobą obietnicę z dawna wyczekiwanego deszczu. Flary sygnalizacyjne, którymi dowódca dawał podkomendnym znać o wybranym wariantcie planu, zostały już odpalone. Toralk odwrócił spojrzenie i popatrzył za atakiem setnika Geyrsofa, znikającym w gęstych kłębach pary wodnej, daleko przed wolniej lecącymi smokami transportowymi.

„I

t

*H6David Weber i Linda Evans1*

**Shansair Baulwan nadal stał na szczycie wieży obserwacyjnej Fortu Shaylar.**

**Nie miał w tej chwili żadnych naglących obowiązków, a czekać na chwilę, gdy Erthek miał zacząć go Nasłuchiwać mógł przecież wszędzie. A tutaj, na wieży, było zdecydowanie najprzyjemniej. Telepata słyszał wcześniej od kolegów, że kapitan Halifu także często tu przychodził, żeby zebrać myśli i teraz, kiedy tak stał oparty o drewnianą barierkę i wyglądał na roztaczający się dokoła przepiękny widok, doskonale rozumiał dla – j j czego. Baulwan, podobnie jak Hulmok Arthag, był dzieckiem |:i stepów i dusił się w gęstych lasach tego wszechświata, nawet i gdy nie padało. A padało tu bezustannie. Tu, na górze, gdy mógł wreszcie spojrzeć ponad wierzchołkami drzew, jego umysł pracował znacznie lepiej.**

**Zaczynał mieć wrażenie, że źle zrobił wrzucając Halifu do jednego worka z Uromathianarni, z którymi miał wcześniej nieprzyjemność się zetknąć. Co prawda trudno było mu cały czas pamiętać, że nie wszyscy oni są tacy sami, ale przecież jako f Głos powinien mieć lepszą tego świadomość niż inni ludzie. Młody telepata postanowił więc starać się oceniać odtąd dowódcę bez dotychczasowych uprzedzeń.**

**Wyprostował się, przeciągnął i po raz kolejny rzucił okiem na zegarek. Za piętnaście minut Erthek miał zacząć oczekiwać kontaktu./’**

**Horban Geyrsof w życiu nie cieszył się bardziej na widok gęstych chmur.**

**Piloci smoków nie lubili latać w tak gęstej zupie, zwłaszcza, gdy nie byli w powietrzu sami. Zderzenia w locie zazwyczaj kończyły się paskudnie, tym bardziej, jeśli dochodziło do nich między smokami bojowymi, będącymi niezwykle nerwowymi stworzeniami i często gwałtownie przypominały o tym wszelkim istotom, które wpadały na nie podczas lotu.**

**Mimo to, po doświadczeniach znad bagien, Geyrsof był zachwycony, mogąc ukryć atak 3012. i jego siostrzaną jednostkę**

**Ognie Piekieł**

**–atak 4016. – w nisko płynących po niebie chmurach. Uzdrowiciele załatali dziury w błonach skrzydeł Szarej Chmury i Ostrza Wichru, ale oba żółte smoki nie całkiem jeszcze doszły do siebie. Zwierzęta nie tylko straciły towarzyszy, ale także przekonały się, że broń Sharonian potrafi sprawiać ból i byłyby o wiele szczęśliwsze,**

**gdyby obcym nie udało się już ich trafić. Zupełnym przypadkiem podobne lęki i nadzieje żywił sam Geyrsof.**

**Natomiast, co do ograniczonej widoczności, to wszyscy piloci z 3012. i 4016. ataków, byli doświadczonymi lotnikami i wiedzieli, że w takich warunkach powinni lecieć bliżej siebie i kierować się położeniem skrzydłowych. Wszyscy oni także doskonale radzili sobie z nawigacją w oparciu o wskazania przyrządów i potrafili kierować smokami bez potrzeby ufania zawodnym, ludzkim zmysłom.**

**„A dzięki chmurkom, te dranie z fortu nie zdążą w porę rozstawić swojej ciężkiej broni” – pomyślał z ponurą satysfakcją.**

**Jednym okiem śledził wskazania przyrządów, z drugiego nie spuszczał swego skrzydłowego. Oba ataki przekroczyły granicę między wszechświatami daleko na wschód od celu. Po chwili smoki zawróciły na zachód, kieając się wyznaczonymi przed startem punktami orientacyjnymi. Prosto nad fort Sharonian.**

**\* \* \***

**Młodszy kapitan Baulwan po raz kolejny spojrzął na zegarek i z zadowoleniem skinął głową. Za dwie minuty Erthek zacznie Nasłuchiwać. Telepata rozpoczął przygotowania do nawiązania kontaktu z drugim Głosem. Zamknął oczy, skupił się na swym Talencie. Pozwolił jego mocy wypłynąć z głębin umysłu, tak jak zimna, krystalicznie czysta woda górskiego źródła wypływa wśród skał na powierzchnię. W chwilach takich jak ta Baulwan wiedział, że szamani mieli rację opowiadając mu o tym, że Talent był w istocie wytworem cudownego dotyku bogów.**

**Odprężył się. Oddychał powoli i głęboko. Szykował się. Za chwilę miał sięgnąć poza siebie...**

***138Dcmd Weber i Linda Evans***

**W Forcie Shaylar nie spodziewał się ich nikt.**

**Piloci setnika Geyrsofa, kierowani wskazaniem swych przyrządów nawigacyjnych nieomylnie przybyli dokładnie na wyznaczone miejsce, o dokładnie wyznaczonym czasie. W lot nurkowy zaczęli wchodzić jeszcze w chwili, gdy wokół siebie widzieli jedynie wilgotne**

**klęby chmur, w których przez cały czas lecieli. Był to**

**dokładnie wiadomo, na jakim dokładnie pułapie kończą się chmury, ani też – w razie niewielkiej nawet pomyłki przyrządów nawigacyjnych – czy smoki nie natrafiają na jakieś przeszkody, ale dzięki podjęciu tego ryzyka aż do ostatniej chwili pozostawali poza zasięgiem wzroku obrońców. Nawet, gdyby w tej chwili ktokolwiek ze**

stacjonujących w forcie Sharonian podejrzewał istnienie smoków, to i tak nie byłby w stanie ich zauważyć.

Gruzłowate chmury wisiały tysiąc dwieście stóp nad ziemią. Na tak niskiej wysokości, smoki bojowe zaczęły wychodzić z lotu nurkowego zaraz po wydostaniu się z szarej zupy. Każdy z nich miał czas tylko na jeden atak i tylko kilka sekund na wyszukanie odpowiedniego celu. To jednak wystarczyło.

W Fortcie Shaylar, niemal jednocześnie, eksplodowało szesnaście ognistych kul.

\* \* \*

Grafin Halifu złożył, właśnie tryumfalny podpis pod raportem dotyczącym odnalezienia irytujących wierzchowców. Wtedy rozległy się pierwsze wybuchy. ^

Poderwał się z krzesła, schwycił pas z pistoletem i wypadł z gabinetu.

Zanim dotarł do biurka Farzaka Parthy, cały dziedziniec fortu przemienił się już w piekło płomieni.

Jego zszokowany, przerażony umysł powtarzał, że tam przecież nie ma co się palić. Tymczasem krzyki i wrzaski umierających ludzi rozdzierały duszę oficera. Krzyki i wrzaski jego żołnierzy – jego żołnierzy – płonących w ognistych podmuchach niczym żywe pochodnie. Ogień nadszedł bez zapowiedzi. Nie mieli czasu na jakiegokolwiek przygotowania. W jednej chwili

Ognie Piekieł139

wszystko toczyło się zwykłym rytmem, jak co dzień; w następnej dostali się w niepodzielną władzę zniszczenia.

Partha wyskoczył zza swojego biurka akurat na czas, by rzucić się na kapitana i pchnąć go z całych sił. Wszystkie, zbudowane z drewnianych bali, budowle fortu dymiły już i zwęglaly się od zewnątrz, atakowane niewiarygodnym żarem wywołanym ognistymi kulami czerwonych smoków. Niemniej ich ściany zapewniały jeszcze ochronę znajdującym się wewnątrz ludziom. Halifu ocalał tylko dzięki błyskawicznej reakcji podwładnego.

Kapitan ciężko upadł na podłogę. Na tyle ciężko, by zacząć myśleć. Wywinął się z uchwytu Parthy i poderwał na równe nogi dokładnie w chwili, gdy pierwsza fala uderzeniowa wyczerpała swą moc i rozplynęła się w powietrzu.

Ponownie ruszył naprzód. Tym razem w towarzystwie Parthy. Drzwi do budynku okazały się zablokowane. Potężny żar wypaczył je we framudze. Kapitan otworzył je kopnięciem i wyszedł prosto na scenę, na której rozgrywało się koszarne

**przedstawienie.**

**Najszczęśliwsi byli ci, którzy już nie żyli.**

**Wszędzie, gdzie nie spojrział, widział ciała. Ciała poskręcanych, połamanych, zwęglonych, martwych ludzi. Dymiły jeszcze z nieznośnym fetorem płonącego mięsa. Gdzieś pomiędzy zwłokami leżały wrzeszczące z bólu, wijące się w agonii postacie.**

**Żywi jeszcze, ohydnie poparzeni żołnierze. Znał ich. W większości wypadków po imieniu. A mimo to nie był w stanie rozpoznać nikogo.**

**Wyszedł na dziedziniec. Rozejrzał się. W ogniu stała już połowa budynków fortu. Wieża obserwacyjna płonęła niczym potężna, nasączona naftą pochodnia. Z platformy na jej szczycie zwisał człowiek przemieniony w coś przypominającego stracha na wróble, skrzyżowanego z gorejącą mumią. Umysł Halifu zaczął odmawiać posłuszeństwa. Nie chciał przetwarzać kolejnych obrazów. Rozpaczliwie potrzebował czasu, by dojść do siebie, ale tego czasu nie miał.**

**Coś sprawiło, że podniósł oczy akurat w porę, by zobaczyć ostatnią parę wielkich, niesamowitych stworzeń, które zniecka**

*fDavid Weber i Linda Evans*

wychynęły spomiędzy chmur. Mknęły w dół ku rozpalonej rzeźni, w którą przemienił się Fort Shaylar. Grafin Halifu poczuł w swej dłoni rewolwer.

Ciężka, długa lufa uniosła się w powietrze. Kciuk odciągnął kurek. Padły strzały.

Kapitan strzelał jeszcze, gdy dusząca chmura gazu ogarnęła wszystko dokoła.

\* \* \*

Dowodzący Setką Sylair Worka spojrział na swój chronometr i skrzywił się z niesmakiem.

Spóźniali się o całe dwie godziny. Nie mógł się za to winić, ale nie stanowiło to dla niego żadnego pocieszenia. Przez te cholerne pułapki Sharonian musieli się wlec jak nigdy przedtem, a pólsetnik Narshu nie miał nawet bręczka.

„Ale nie” – pomyślał Worka – „nie mogliśmy ryzykować, by obcy dowiedzieli się o istnieniu bręczków, prawda? Oczywiście, że nie! Tylko co będzie teraz, jeśli nie uda się nawiązać kontaktu, a wszystko weźmie w łeb?”

Na moment skrzywił się jeszcze bardziej i pokręcił głową. Część problemu stanowiło to, że żadna ze stron nie była pewna, co powinna ukrywać przed drugą. Arkanianie postanowili więc ukrywać niemal wszystko, co mogli... nawet, jeśli sprawiało to poważne kłopoty.

Worka miał nadzieję/że w tym wszystkim jest jakiś sens, ale wolałby jednak móc przesłać pólsetnikowi informację o spóźnieniu. Narshu też pewnie by wolał.

„Ech, tak czy inaczej, to już tylko jakieś pół godziny. W su mie powinienem się...”! |

^ Setniku!’ I

t

Worka podniósł oczy znad chronometru i zobaczył jednego z swych żołnierzy, który zbliżał się ku niemu galopem. Lekki, – t

kawaleryjski jednorożec potrafił biec z prędkością czterdziestu’\*

mil na godzinę i w przyzwoitych warunkach terenowych mógł’



utrzymać takie tempo przez półtorej godziny. Oczywiście w le-  
sie tak gęstym jak ten, nie było o podobnych wyczynach mowy,  
choć lansjer Ranlak i tak jechał dość prędko.

Ognie Piekieł

141

Jeździec zatrzymał się obok dowódcy i zasalutował.

–O co chodzi, Yurain? – spytał Worka.

–Miecznik Kalcyr twierdzi, że mamy problem.

–Problem? – Worka zeszywniał w siodle. Starszy miecznik Bar-can Kalcyr był szefem kompanii. Był wszędzie i doświadczył wszystkiego. Na pewno nie używał słowa „problem” bez powodu.

–Tak. Kazał przekazać, że wyczuwa dym. Dużo dymu.

Worka przez kilka chwil popatrzył na podkomendnego, po  
czym spiął wierzchowca piętami i pognął naprzód.

Ciągle podróże negocjujących z Sharonianami dyplomatów – nie mówiąc już o wojskach obcych przemieszczających się wcześniej spod Ósemki do portalu na bagnach -spowodowały powstanie wśród zarośli zaskakująco szerokiego, leśnego szlaku. Żołnierze Worki rozstąpili się na bok, ustępując dowódcy z drogi. Zanim setnik dotarł do Kalcyra zauważył, że jeżeli miecznik w czymkolwiek minął się z prawdą, to jego błąd polegał raczej na niedopowiedzeniu niż na przesadzie. Jednorożec setnika niespokojnie parsknął i rzucił głową w bok. Spomiędzy drzew wynurzały się pierwsze smugi dymu.

–Co się tu dzieje, Barcan? – spytał Worka zrównując się z podoficerem.

–Według przyrzędów mamy jeszcze jakieś pięć mil drogi – odparł Kalcyr – ale coś mi mówi, że przez to nie przejedziemy.

Wskazał na coś ręką, Worka powiódł wzrokiem za wskazaniem miecznika i poczuł jak tężeje mu szczęka. Wiatr wiał niemal pod kątem prostym do ścieżki i setnik zdał sobie sprawę, że dym, który wyczuł jadąc tutaj był tylko mało istotnym, przywianym zbląkanym powiewem. Oderwanym fragmentem potężnej ściany dymu, przewalającej się teraz na zachód od kawalerzystów.

**–Nie ma dymu bez ognia, setniku – zauważył Kalcyr tonem świadczącym o równym niesmaku, jaki czuł też sam Worka.**

**–To prawda mieczniku – przytaknął dowódca. – Prawdę mówiąc...**

**Urwał i wskazał ręką. Kalcyr aż jęknął. Obaj niemal jednocześnie zobaczyli pierwsze języki płomieni dobywające się z za**

*David Weber i Linda Evans*

kłębiącego się dymu. Nieco ponad dwieście jardów od nich stanął w ogniu jeden z leśnych gigantów. Płonął niczym pochodnia. Jednorożec Worki położył po sobie swoje rysie uszy. Zadrżały magicznie ulepszone mięśnie zwierzęcia. wierzchowca.

–Myślę, że na nas już czas, mieczniku – oznajmił setnik.

–Sam bym tego lepiej nie ujął – przytaknął żarliwie Kalcyt, patrząc na drugie, stojące właśnie w płomieniach drzewo. Dmuchnął w swój gwizdek.

Żołnierze ze szpicy zareagowali natychmiast. W końcu płomieni niż Kalcyt czy Worka. Setnik z miecznikiem odczekali do momentu, gdy mieli pewność, że sygnał dotarł do wszystkich, po czym zawróci i swe jednorożce i ruszyli z powrotem szlakiem, którym tu przybyli – bardzo pośpiesznie ruszyli.

Worka wiedział, że podjął właściwą decyzję, ale ani trochę nie podobały mu się jej implikacje. Rozumiał, że istniała jakaś możliwość, że ten pojedynczy, zbłąkany piorun, który uderzył z bezchmurnego

akurat w tym miejscu. Prawdopodobieństwo takiego zdarzenia było jednak znikome. Co gorsza nie przychodził mu do głowy żaden sensownie brzmiący powód, dla którego to półsetnik Narshu miałby wywołać ten pożar. To z kolei oznaczało, iż o ile pożar; nie wybuchł rzeczywiście przez przypadek – w co Worka wątpił z każdą chwilą mocniej – to las musiał podpalić ktoś inny.

Dotychczas wszyscy byli przekonani, że operacja przebiega pomyślnie. Setnik zaczynał i w to powątpiewać.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dowodzący Pięcioma Setkami Alivar Neshok podniósł wzrok znad notatek, które właśnie zapisał w swoim kryształce osobistym. Dwóch żołnierzy przydzielonych do sekcji wywiadu, wepchnęło właśnie najnowszych jeńców do dużego pomieszczenia, które Neshok wyznaczył na salę przesłuchań. Sala ta została przez Sharo-nian oczyszczona i przygotowana prawdopodobnie po to, by mogła służyć jako pomocnicza zbrojownia. W każdym razie

znajdowała się w tym samym budynku, co główna część zbrojowni, a przecież w formie wszyscy czekali na posiłki, dodatkowy sprzęt i amunicję. Tak czy inaczej w chwili, gdy Arkanianie objęli fort w posiadanie, pomieszczenie było puste.

Pięciu obcych stało z rękami skutymi na plecach. Twarze większości z nich były kredowo białe. Widać było jednak, że bladość ta wynikała z przeżytego szoku, a nie ze strachu.

Półsetnik powrócił spojrzeniem do swego kryształu, ignorując obecność jeńców w tak ostentacyjny sposób, jak to było tylko możliwe. Starannie dobrani i przeszkoleni strażnicy kopniakami i poszturchiwaniem zapędzili tymczasem Sharonian na miejsce.

Z garnizonu obcych przeżyło bardzo niewielu żołnierzy. W całym forcie jedynie jedenastu ludzi żyło na tyle długo, by zdążyli do nich dotrzeć Uzdrowiciele, a mimo to i spośród nich,

#### *44David Weber i Linda Evans*

dwójki nie udało się niestety uratować. Niestety – ponieważ jeńcy oznaczali informacje, a informacja – zwłaszcza w takiej wojnie jak ta – stanowiła najbardziej skuteczną broń ze wszystkich.

I to właśnie na Alivarze Neshoku spoczywało zadanie wyciśnięcia wszelkich możliwych informacji z tych sharoniańskich drani. Wiedział, że musi wyżyć ich do ostatniej kropli. Nie zawsze było to przyjemne, ale ktoś przecież musiał, a Neshok zdawał sobie sprawę, że jest w tym dobry.

Zbyt wielu spośród jego kolegów zdawało się zapominać o psychologicznych aspektach technik śledczych i metod przesłuchania. Neshok często przypisywał to ich rodowodowi i dotychczasowej ścieżce kariery. Zazwyczaj, przez ostatnie dwieście lat w wywiadzie służyli bowiem jedynie dodatkowo przeszkoleni policjanci. Przez dwa ubiegłe od utworzenia Unii stulecia nie toczono żadnych poważnych wojen i Arkanianie nie mieli także prawdziwych wrogów, których należało przesłuchiwać. W tej sytuacji koledzy Neshoka po fachu, zajmowali się wyciąganiem informacji z piratów, bandytów, rozbójników – słowem z tej szumowiny, która w niemal wszystkich pogranicznych wszechświatach starała się żerować na społeczeństwie. Z tego rodzaju praktyką fachowcy się po prostu rozleniwili. Przestępcy, z którymi mieli do czynienia nie mieli żadnego specjalistycznego treningu, ani żadnej motywacji, która kazałaby im milczeć i przesłuchujący zazwyczaj bez trudu dostawał to, czego chciał. Obie te rzeczy natomiast mieli żołnierze. Żeby ich zmusić do mówienia nie wystarczyły już tylko podstawowe zaklęcia weryfikujące, ani świadomość dodania krzywoprzysięstwa do listy zarzutów.

Z Sharonianami trzeba się było trochę pomęczyć. Dlatego właśnie, Neshok zaplanował tak staranne „przygotowanie” jeńców.

Uzdrowiciele nie pozwolili mu jeszcze na rozmowę z wszystkimi pacjentami. Wysoce niefortunny zbieg okoliczności. Gdyby Neshok mógł o tym decydować,

porozmawiałby sobie z tymi, tak zwanymi, pacjentami zanim jeszcze udzielono im jakiegokolwiek pomocy medycznej. Wszak ból i strach należą do najsilniejszych bodźców. Niemniej Dowodzący Pięcioma Setkami Dayr Yaynair, szef Uzdrowicieli dwutysięcznika Harshu miał

## Ognie Piekieł145

na podobne kwestie diametralnie odmienne spojrzenie. Wskoczył na swoją nadętą, andarańskąnutę i zaczął opowiadać o tym, jak to Postanowienia Kerelli obejmują swą mocą także i tych ludzi. Neshok z doświadczenia wiedział, że podobne poglądy podzielała większość Uzdrowicieli. Sam Neshok także był An-daraninem, ale nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, by jakiś staroświecki „kodeks honorowy” stanął mu na drodze do skutecznego wypełniania własnych obowiązków. Vaynar zasłaniał się swoją Przysięgą Uzdrowiciela i ani przez chwilę nie pomyślał, że ci ludzie zawzięcie skrywają informacje, które dowódcy armii Unii po prostu musieli poznać. Cała ta operacja przebiegała jak dotąd tak gładko, wyłącznie dzięki staraniom ludzi takich, jak Neshok, ale czy Vaynair to w ogóle zauważał? Czy rozumiał, że fakt, iż trafia do niego tak niewielu Arkanian miał miejsce właśnie jedynie dzięki wytężonej i skutecznej pracy Neshoka i jego wywiadowców?

Oczywiście, że nie! Był na to zbyt zaślepiiony swą pogardą dla szpiegów i ich metod pracy.

„Cóż, coś trzeba będzie w końcu zrobić z pięćsetnikiem Vay-nairem, prawda?” - pomyślał Neshok. – „Ale jeszcze nie teraz. Muszę z tym poczekać, aż moja pozycja będzie silniejsza.”

Dlatego właśnie, z powodu zakazu Vaynaira, Neshok musiał póki co zadowolić się przesłuchaniem tych jeńców, do których miał dostęp.

Jak do tej pory, rozesłane z fortu przez tysięcznika Cartho-sa patrole jazdy, schwytały ponad trzydziestu Sharonian, którzy w chwili ataku znajdowali się poza fortem. Większość z nich wykonywała drobne zadania pomocnicze, typowe dla każdej bazy wojskowej, w każdym wszechświecie. Zasłona drzew, tak samo gęsta po tej stronie Wrót Piekieł jak po tamtej, stanowiła poważny problem dla zwiadu powietrznego i dlatego właśnie Carthos musiał uciec się do pomocy jednorożców. Neshok podejrzewał, że kawalerzyści nie dopadli jeszcze co najmniej dwóch grup robotników leśnych, ale zdawał sobie też sprawę, że obcy nie zdołają kryć się przez Arkaniana-mi wiecznie.

*146David Weber i Linda Evans*

Wszyscy z jeńców, których do tej pory pojmano, w chwili ataku

znajdowali się na tyle blisko fortu, że widzieli sam nalot, wobec

**czego zdawali sobie sprawę, że bojowe możliwości Arkanian da – Jj**

**lecę przewyższały ich własne. Na własne oczy zobaczyli smoki, 0**

**eksplozje potwornego żaru, oglądali prawda chmur gazu, którym dopilnował, by zobaczyli skutki obu tym celu, kazał ich przeprowadzić**

**się jeszcze zdjęli kory**

**momencie, gdy eksplodowały**

**kule powstała tak wysoka temperatura, że kora ta uległa miastowemu spopieleniu i popiół ten odchodził teraz z każdej ściany zwróconej do wewnątrz dziedzińca.1**

**Nie uprzątnięto też jeszcze ciał. Umarli leżeli tam, dli. Ich ciała zastygły powykręcane i zniekształcone. Na rzach tych, którzy zginęli wdychając gaz, malowały**

**i niewyobrażalne cierpienie. Większość z szym nalocie, zabitych ognistymi kulami,**

**w ogóle. Na tych skurczonych, pozwijanych makabrycznie kach węgla nie zostało na tyle mięśni i skóry, by można było rozpoznać ludzkie rysy.1**

**Neshok wprowadził do swego KO jeszcze kilka notatek. Nie I było to tak naprawdę nic ważnego, ale stanowiło ważny ele – „: ment urządzanego na potrzeby jeńców przedstawienia. Uśmiechnął się do siebie w duchu i podniósł wzrok.**

**Jeńcy klęczeli przed nim. Jeden z nich – niski i chudy na końcu szeregu – przywodził Neshokowi na myśl Hulmoka Ar-thaga. Samo to wystarczyło, by wywiadowca natychmiast przestał go lubić. Bez względu bowiem na to, co poszło źle na Polanie Powalonych Pni, z pewnością stał za tym właśnie Arthag. Co gorsza, ten jeniec miał na kołnierzu bluzy munduru cztery czerwone gwiazdki starszego zbrojnego. Oznaczało to, że był mniej więcej odpowiednikiem oszczepnika, czy może nawet miecznika. Tyle przynajmniej Neshok zdołał do tej pory rozpracować z hierarchii stopni armii Sharonian.**

**Ognie Piekieł**

Oznaczało to zarazem, iż był wśród jeńców najstarszy stopniem, co w powiązaniu z jego hardym spojrzeniem i kamienną twarzą nie zwiastowało wywiadowcy zbyt łatwego sukcesu.

Pozostałą czwórkę tworzyli ludzie tak zróżnicowani pod względem wyglądu, jak byłaby zróżnicowana podobna grupka Arkanian. Jeden z nich – wysoki, barczysty, rudy gigant z dwiema gwiazdkami młodszego zbrojnego (drugi w kolejności szarż) – był chyba potężniejszy nawet od tego ich dyplomaty, Simra-tha. Pozostali trzej byli wzrostu pomiędzy podobnym do Ar-thaga starszym zbrojnym, a wielkim młodszym.

–No cóż – zaczął wreszcie Neshok w swoim języku, wiedząc, że kryształ przetłumaczy jego słowa na płynny ternathiański – mam nadzieję... panowie, że rozmiecie, iż teraz najważniejszy będzie dla was rozsądek.

Jeńcy milczeli, jak jeden mąż. Ich twarze stężały w niemym oporze. Neshok nieznacznie zmarszczył czoło.

–Rozumiem, że odczuwacie w tej chwili pokusę zostania bohaterami – wznowił po chwili. – Chciałbym jednak przypomnieć, że biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby to szczególną głupotą. Jestem zresztą głęboko przekonany, że to, co widzieliście po drodze na spotkanie ze mną, przemówiło do was wystarczająco dobitnie – uśmiechnął się kącikiem ust. – Niedługo wybieramy się z wizytą do kolejnego z waszych fortów. Jeśli dobrze pamiętam, nazywacie tamten wszechświat Thermyn? A potem dalej, w górę łańcucha. Oczywiście za jedną wycieczką nie dotrzemy aż do Sharony. Niemniej w chwili, w której dotrą tu wasze posiłki, będziemy już w stanie powitać ich, że

się tak wyrażę, z otwartymi ramionami.

Uśmiechnął się raz jeszcze. O wiele chłodniej niż przed chwilą.

–Sami widzieliście, co zostało z waszego pięknego fortu –

ciągnął. – Pragnę zapewnić, że fortyfikacje przy portalu na bagnach okazały się jeszcze mniej skuteczne. Zastanówcie się te

raz proszę, czym się skończy spotkanie naszych smoków /, kołumnami waszych wojsk, dajmy na to, w otwartym terenie.

Na oblicza dwóch jeńców wypłynął wyraz rezygnacji. Nic mieli pojęcia, jak znacznie oficer przesadził opowiadając o /ujęciu

*14 Wavid Weber i Linda Evans*

pozycji chan Tesha. Nie mogli także wiedzieć, że w tych kilku zdaniach wyjawiał im niemal wszystko, co sam wiedział na temat dalszych poczynań sił ekspedycyjnych Harshu. Neshokowi wystarczyło jednak to, że sprawiał na Sharonianach wrażenie doskonale poinformowanego. Potężny rudzielec i chudy starszy zbrojny nie wydawali się jednak wstrząśnięci. Na twarzy młodszego nadal brak było oznak jakichkolwiek emocji, choć oczywiście sam brak reakcji też stanowił znaczącą reakcję. Natomiast jego wyższy towarzysz wyraźnie nie był tak sprawny w ukrywaniu swych uczuć. Zmrużył oczy, zacisnął zęby i napiął ramiona.

„Świetnie” – pomyślał trzeźwo Neshok. – „Dobrze jest zacząć od największego, zwłaszcza jeśli to jeden z podoficerów, u których reszta mogłaby chcieć szukać oparcia. Potem pójdzie mi łatwiej z innymi.”

Pięćsetnik spojrział na jednego z dwóch strażników i lekko skinął głową.

Oszczepnik Lisaro Porath bez słowa odpowiedział na niemy

rozkaz. Wystąpił naprzód i uniósł swą ciężką kuszę piechura na wysokość piersi, po czym machnął jej kolbą pionowo w dół.

Uderzył młodszego zbrojnego w lewe ramię niczym młotem.

Cios kompletnie zaskoczył potężnego mężczyznę, który

wbrew sobie – boleśnie jęknął. Powstrzymał się jednak od krzyku. W cichości ducha, Neshok poczuł podziw dla wytrzymałości obcego. ’



**Ból i impet ciosu rzuciły jeńca twarząfa podłogę. Mając skrępowane na plecach ręce nie mógł nawet próbować złagodzić uderzenia o surowe bale. Ze spłaszczonego nosa i zmiażdżonych warg pociekła krew. Porath pochylił się, chwycił więźnia za włosy, szarpnięciem zmusił do ponownego klęknienia i brutalnie kopnął go kolaniem w kręgosłup. Kopniak ponownie rzucił Sharonianinem naprzód tak mocno, że garść włosów została w dłoni strażnika. Na żebra powalonego żołnierza spadły kolejne razy.**

**Drugi ze strażników czujnie obserwował pozostałych jeńców z gotową do strzału kuszą. Cała czwórka jednak była zbyt**

**Ognie Piekieł**

zaskokowana, by jakkolwiek zareagować. Także i Neshok przyglądał im się uważnie, pozwalając brutalnemu biciu jeńca trwać i trwać. Chciał, żeby byli w szoku, chciał żeby wiedzieli, co czeka każdego, kto odmówi udzielenia odpowiedzi.

Gdy pięćsetnik delikatnym ruchem wskazującego palca odesłał wreszcie zdyszanego Poratha z powrotem w tył, potężny młodszy zbrojny był już nieprzytomny. Uderzenie kolbą niemal na pewno złamało kości jego ramienia. Neshok wątpił też, by jeniec miał choć jedno całe żebro. Jego twarz przemieniła się w krwawą maskę. Czerwone bąbelki pękały na

wargach jeńca, który oddychał ustami, nie mogąc posługiwać się  
amanym nosem. Policzek

jeniec ma także obrażenia wewnętrzne. W jego oczach pojawił się

–Oszczepniku Porath, zabrać stąd to ścierwo i pozbyć się Tłumaczący kryształ posłusznie przełożył komendę na ternathiański, dzięki czemu poznali ją także i pozostali jeńcy. Żołnierz zaśmiał się surowo i okrutnie, c hwycił nieprzytomnego za kostkę i wyciągnął go z sali przesłuchań. Trące o podłogę ciało Sharonianina zostawiło za sobą krwawy ślad. Zmasakrowana twarz żołnierza uderzała o najeżoną drzazgami podłogę, co z pewnością spowodowało dalsze rany. Porath zatrzymał się na chwilę, ale tylko po to, by raz jeszcze kopnąć ofiarę w bok. Po chwili obaj zniknęli za drzwiami.

Gdy przebrzmiał szcęk zamka, Neshok powrócił spojrzeniem do pozostałych jeńców. Tak naprawdę, to świadomie pozwolił im teraz zobaczyć, że zwraca na nich ponownie uwagę, jakby wcześniej zapomniał, że kryształ przełożył rozkaz na ich język. Uśmiechnął się chłodno i spojrzał na drzwi, które ponownie stanęły

Do sali wrócił oszczepnik Portah. Kuszę zarzuconą m wsuwaniem miecza do pochwy. Zapiął paski dokoła rękojeści i be miejsce za plecami uwięzionych.

„Bardzo dobrze” – pomyślał z zadowoleniem Neshok.

Porath wziął sobie instrukcje dowódcy do serca, a ponadto wykazywał się niewątpliwym talentem aktorskim. Jeszcze przed chwilą Neshok obawiał się, że żołnierz zrobi coś równie oczywistego jak ostentacyjne wycieranie ostrza. Teraz ucieszył się, że Porath wykonał mniej kiczowaty, delikatniejszy, a równie sugestywny gest. W dodatku, zadowolenie malujące się na jego twarzy było dużo bardziej wymowne, niż jakikolwiek teatralny, złośliwy uśmieszek zabójcy.

„Dobrze, że nie popsuł mi materiału” – pomyślał Neshok, poważnie obserwując twarze jeńców, którzy powinni właśnie w tej chwili wyciągać właściwe wnioski.

**Żyłasty**

starszy zbrojny nie pokazał na zewnątrz absolutnie nic. Na jego obliczu nie zaszła najmniejsza zmiana. Może tylko oczy żołnierza patrzyły \ nieco bardziej hardym wzrokiem niż przedtem. Zupełnie inaczej jednak, miała się sprawa z jego towarzyszami. W nich Neshok dostrzegł wściekłość. Wściekłość, która rozgorzała teraz jeszcze bardziej niż wcześniej, ale był w ich spojrzeniach także inny element. Równie gorący jak nienawiść, był ich strach. Strach świeży i dławiący gardła. Najwyraźniej uwierzyli w to, w co wywiadowca chciał, żeby uwierzyli.

„Nie ma się im co dziwić. Mieliby prawo się bać nawet bez mojego przedstawienia” - przyznał w myślach pięćsetnik. – ”Ten bydlak zdechłby przecież od samego bicia, a oni w życiu nie słyszeli o prawdziwych Uzdrowicielach. A gdyby nawet słyszeli, to i tak mogliby się zacząć bać nji myśl o moich... bardziej zdecydowanych sposobach nakłaniania do współpracy. A przecież w końcu je poznają. W końcu...”

Najpierw jednak, rzecz jasna musiał rozwiązać problem Vaynaira. Jedną z rzeczy, której zabraniały Postanowienia Kerelli, było uciekanie się przy przesłuchiowaniu jeńców wo -\ jennych do pomocy Uzdrowicieli. Jednakże Alivar Neshok nie ‘ miał zamiaru pozwalać, by to krępowało jego swobodę postępowania. I to stanowiło główny powód, dla którego pięćsetnik Vaynair musiał odejść. Tym razem, na pewno pomógłby pobitemu młodszemu zbrojnemu, ale z pewnością nie zaaprobowałby stosowania tortur i odmówiłby leczenia fizycznych

**Ognie Piekieł**

skutków bardziej... rygorystycznych przesłuchań. A tego Neshok potrzebował, żeby wydobyć z jeńców, tak przecież potrzebne informacje. Tymczasem...

–Być może teraz wykażecie się nieco większą ochotą do współpracy? – zapytał i jeden z jeńców – młody chłopak, który na oko ledwie co przekroczył dwudziestkę – z trudem, głośno przełknął ślinę. Neshok odnotował to ze stale rosnącą satysfakcją.

–Jestem głęboko przekonany, że któryś z was zechce mi pomóc wyjawiając, na przykład, do którego z pozostałych portali uciekł wicehrabia Simrath i kapitan Arthag -dodał.

Odpowiedź nie padła i wywiadowca ukazał zęby w grymasie, którego nikt nie mógłby wziąć za uśmiech.

Już jakiś czas temu, okazało się z całą bolesną oczywistością, że bez względu na to, co zaszło na polanie Powalonych Drzew, Narshu nie wykonał swej misji ze stuprocentową skutecznością. Oczywiście, zanim będzie można potwierdzić podejrzenia, potrzebowali

jeszcze więcej czasu. Pożar lasu, który – Neshok był o tym przekonany do głębi – wzniecił Arthag, by zamaskować ślady ucieczki, przemienił się w prawdziwe piekło. Suchy jak pieprz, jesienny las ze swoimi grubymi kobiercami opadłych liści, okazał się wymarzonym miejscem zabaw dla sharoniańskich podpalaczy. Rozszalała, hucząca ściana ognia parła coraz dalej -zarówno z wiatrem, jak i pod wiatr. Nie istniała najmniejsza nawet możliwość opanowania, czy choćby kontrolowania tego pożaru, który całkowicie zablokował lądową drogę, wiodącą od portalu na bagnach do Wrót Piekieł. Neshok wiedział, że o ile nie nastąpi bezpośrednia ingerencja któregoś z bogów, to płomienie wkrótce osiągną obu portali. Nie mówiąc o rozprzestrzenianiu się we wszystkie inne kierunki.

Z perspektywy Sharonian, już sama blokada leśnego szlaku, byłaby wielkim sukcesem. Zwłaszcza, jeśli wywołali go nie wiedząc jeszcze o istnieniu Sił Powietrznych. Dla wojsk Arkany stanowiła poważny kłopot, nawet mimo możliwości wykorzystania smoków i zaklęć lewitacyjnych, choć bez nich ofensywa dwutysięcznika Harshu została by zatrzymana na długie dni,

*152David Weber i Linda Evans*

a może i na dłużej. Fakt, że przez pożar nie można było wytropić zbiegów, którzy wymknęli się z Polany Powalonych Drzew był dla Sharonian jedynie dodatkową premią. Neshok jednak nie zamierzał pozwolić, by na tym się skończyło. Jeśli Rithmar Skirvon i Uthik Dastiri nadal żyli, to on chciał ich dostać. Nie tylko dlatego,

że obaj byli dyplomatami Unii Arkany. Neshok nie powinien wiedzieć jak bardzo byli oni... zaprzyjaźnieni z dwutysięcznikiem mul Gurthakiem, ale był przecież oficerem wywiadu i jako taki dobrze wiedział, jak bardzo wdzięczny byłby mul Gurthak, gdyby Neshok zwrócił mu jego pupili całych i zdrowych.

–No dobrze, panowie – powiedział łagodnie przerywając zalegającą w sali ciszę. – Jestem pewien, że żaden z was nie chciałby mnie rozzłościć swoją... niechęcią do współpracy. Uwierz-’ cie mi. Nie spodobałoby się wam, gdybym się wściekł.

–Nie wiemy dokąd oni uciekli! – odezwał się nagle młody żołnierz.

–Dość, Sirda – powiedział cicho i bardzo spokojnie, niemal po przyjacielsku, starszy zbrojny.

Młodzieniec rzucił okiem na starszego mężczyznę, z wyraźnym wysiłkiem woli zacisnął szczękę i zapatrzył się w podłogę przed sobą, unikając kontaktu wzrokowego z Neshokiem.

–Nie, Sirda – odezwał się Arkanianin głosem tak samo ci

chym jak zbrojny, ale dalece bardziej zimnym. – Jeszcze nie

dość. Od dość jesteśmy na razie bardzo daleko.

Sirda zacisnął swoje skute na plecach ręce w pięści. Pobladł na twarzy i z całej siły ugryzł się w wargę. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Neshok skinął drugiemu ze strażników. Żołnierz pochylił się od tyłu nad Sirdą, wsunął dłoń we włosy jeńca i szarpnął jego głowę do tyłu. Chłopakowi nie udało się powstrzymać krzyku. Ręka ciągnąca go za włosy, zmusiła go do spojrzenia w górę, prosto w oczy Neshoka. Wywiadowca uśmiechnął się okrutnie.

–Ktoś mi w końcu powie wszystko, co zechcę usłyszeć –

powiedział powoli pięćsetnik. – 1 ten ktoś prawdopodobnie ocali

życie. Co do reszty natomiast...

Ognie Piekieł153

Opuścił wzrok i spojrzał na krwawą ścieżkę, którą na podłodze zostawiła twarz potężnego młodszego zbrojnego, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na Sirdę. Grdyka chłopaka pracowała gwałtownie. Na twarz wystąpił mu perlisty pot.

–W takim razie – powiedział spokojnie starszy zbrojny –

może to ze mną porozmawiasz?

Neshok pozwolił swym brwiom powędrować ku górze i spojrzał z namysłem na sharoniańskiego podoficera.

–Nie miałem pojęcia, że wykażesz się takim rozsądkiem,

starszy zbrojny – odezwał się. – Ale dobrze zatem. Do którego

portalu uciekli Simrath i Arthag?

Starszy zbrojny podniósł oczy, popatrzył przez chwilę na pięć-setnika i powiedział coś w języku, którego kryszał nie był w stanie przetłumaczyć. Długie zdanie – lub zdania -brzmiały gardłowo, ale płynnie. Przypominały niezwykłą, surową muzykę. Język ten nie był z pewnością ternathiańskim. Neshok zmarszczył czoło.

–Mów po ternathiańsku.

Wywiadowcy udało się wypowiedzieć te słowa spokojnie. Zdławił – w ostatniej

chwili – przemożną chęć, by syknąć na jeńca. Wiedział, że wykorzystywanie gniewu do wywoływania strachu u przesłuchiwanego jest dobrą techniką, ale równie dobrze zdawał sobie sprawę, że nie powinien pozwalać jeńcom na kierowanie jego emocjami. Byłoby to oznaką słabości.

–Och – powiedział zbrojny. – Czyżby wasz kamyk nie znał arpathiańskiego?

–Mów po ternathiańsku – powtórzył beznamiętnie Neshok. Klęczący żołnierz wzruszył ramionami.

–Skoro tak ci zależy. Ale już znasz odpowiedź na swoje pytanie. Nie wiemy, dokąd uciekli.

–Co jeszcze przed chwilą powiedziałeś? – zapytał spokojnie Neshok.

–Dosłownie brzmiało to tak: On ci już odpowiedział. Nie wiemy dokąd uciekli, ty zawszony ruchaczu wielbłądów, który wypadłeś maciorze spod ogona – odpowiedział starszy zbrojny uprzejmie i... uśmiechnął się.

*154David Weber i Linda Evans*

–Ach tak?

Neshok próbował mówić spokojnie, bez emocji. Poczł jednak nagle ukłucie rozpalonej do białości furii. Gniew narastał w nim coraz bardziej. Próbował, ale wiedział, że mu się nie udało. Usłyszał we własnym głosie iskry złości, czuł jak słowa

**drgają w powietrzu i dostrzegł w oczach jeńca zadowolenie.**

**Pięćsetnik nagle zdał sobie sprawę, że w tych oczach, podobnie jak w widniejącym pod nimi chłodnym uśmiechu, nie było nawet cienia strachu. To powodowało, że miał ochotę zrobić co tylko mógł najgorszego. Zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. Sharonianin rozmyślnie i skutecznie odwrócił uwagę i gniew Neshoka od młodego chłopaka i skierował je na siebie.**

**Wywiadowca obdarzył klęczącego złym spojrzeniem. Gdyby ktoś powiedział, że Neshok podjął decyzję, użyłby złego słowa. Podejmowanie decyzji, zakłada bowiem spokojne, przynajmniej na pół racjonalne, myślenie. Neshok próbował sobie potem wmówić, że tak było w istocie, że do działania pchnęła go konieczność sprzeciwienia się starszemu zbrojnemu i jego próbie przejęcia kontroli nad sytuacją. Wyszkolony, twardy śledczy nigdy jednak nie pozwoliłby, żeby słowa przesłuchiwanego – jedyna broń, jaką mógł posłużyć się jeńiec – napęłniły go tak nagłą i tak palącą wściekłością. Zadziałał nie myśląc.**

**Alivar Neshok popatrzył na strażnika stojącego za Arpathia-ninem. Uniósł zaciśniętą pięść do wysokości ramienia i opuścił ją w dół.**

**Jeniec musiał zrozumieć, co oznaczał ten gest, ale jego spojrzenie nawet nie drgnęło. Uśmiech nie zadrżał, ani nie zniknął. Za nim syknął wyciągany z pochwy, krótki miecz. Wolną ręką strażnik odgiął w tył głowę jeńca, odsłaniając jego gardło.**

**–No dobrze, Sirda – Neshok usłyszał swój głos na tle chlu-potu szerokiej strugi krwi,**

**która pachnąc intensywnie, buchnęła z rozciętego gardła zbrojnego – wydaje mi się, że zanim**

**nam przerwano, chciałeś mi coś powiedzieć.**



# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

–No proszę, czyż to nie wspaniały widok? – zagał Hulmok Arthag.

Dorzon chan Baskay pomyślał, że to jednak zdumiewające, ile ironii, sarkazmu i odrazy jego towarzysz potrafił wyrazić w krótkim, siedmiowyrazowym zdaniu.

Przy czym nie mógł się z Arpathianinem nie zgodzić.

Ternathiański oficer odwrócił się i spojrzał w stronę, z której przybyli. Portal, który przekroczyli, był o wiele mniejszy niż Wrota Piekieł. Liczył sobie jedynie trzy mile od krańca do krańca, przez co nie był większy nawet od portalu na bagnach. W tej chwili jednak, przypominał malownicze okno wychodzące na wszystkie ogniste piekła Uromathii naraz.

Rozniecony przez Arthaga pożar, podszedł już pod sam dysk dzielący wszechświaty. Gwałtowny, gnany ogromną temperaturą, podmuch gorącego w atru przerzucał przezeń płonące gałęzie, liście i inne drobne przedmioty. Północny las, który właśnie opuścili, nikał w chaosie płomieni i zniszczenia.

Szansa, by pożar przedostał się przez ten portal była jednak czuł na twarzy żar nawet tutaj, setki jardów od ognia, stojąc z korzeni potężnego drzewa. To ich drzewo wzbijało się ku niebu na imponującą

*156 David Weber i Linda Evans*

wysokość – sięgało w powietrze dobrze powyżej stu stóp. Stało na szczycie tej samej, ostrej grani, na którą starszy zbrojny chan Hathas właśnie prowadził pozostałych członków ich maleńkiego oddziału. Pozostałe drzewa, tysiące takich drzew, ciągnęły się jak okiem sięgnąć w całym wszechświecie, do którego niedawno przybyli. I o tych drzewach tutaj można było powiedzieć wiele, ale nie to, że były „suche jak pieprz”.

Według szacunków chan Baskaya, znajdowali się głęboko w porośniętym tropikalnym lasem dorzeczu potężnej rzeki Da-laza, która toczy swe wody przez rozległy interior kontynentu Nowej Farnalii. Oznaczało to deszcz. Dużo deszczu, spadającego codziennie, w wielkich ilościach. Deszczu, którego objętość mierzono tu nie w calach, lecz w stopach na rok. Zresztą teraz też padało. Lało tak bardzo, że górne warstwy, bujnego, zielonego listowia przemoknięte były do tego stopnia, iż płonące gałęzie przerzucane przez portal gasły z sykiem w tej samej chwili, w której czegokolwiek dotykały. Kiedy rozpętane przez Arthaga piekło wreszcie się wypali, portal będzie stać wśród pokrytego popiołami pustkowia, jak jakiś nienaturalny plaster gęstej zieleni.

**Bardzo wyraźny plaster gęstej zieleni.**

**–Może „wspaniały” nie jest tu najlepszym słowem – powiedział chan Baskay w odpowiedzi na uwagę Arthaga – ale w mojej skromnej opinii lepszego wyjścia zdaje się nie mieliśmy.**

**–Masz rację – przyznał Arthag. – Co jednak nie znaczy, że musi mi się tu podobać. I nie podoba. Mimo wszystko.**

**Chan Baskay prychnął, ale oczywiście doskonale rozumiał punkt widzenia Arthaga. Skoro Arpathianinowi nie podobał się chłodny, pełen iglastych drzew, północny las, to ten tutaj, trzypiętrowy las tropikalny, musiał stanowić dla niego środowisko jeszcze mniej zachęcające. Z drugiej strony, korzyści jakie mała grupka uciekinierów mogła odnieść dzięki takiemu środowisku, były nie do przecenienia.**

**Choć równikowe lasy deszczowe, bez wątpienia były siedliskiem dla najbardziej zróżnicowanej kolekcji gatunków zwierząt i roślin w całym multiwersum, znacznie różniły się od tego,**

**Ognie Piekieł**

co większość ludzi wyobraża sobie słysząc słowo „dżungla”. Składały się głównie z drzew, a nie z gęstych zarośli i paproci. Ziemię pokrywały tu grube dywany szybko gnijących, martwych liści i roślin, wśród których strzelały w górę młode drzewka i inne rośliny. Większość z tych niedojrzałych roślinek miała umrzeć przed osiągnięciem większych rozmiarów, a to dlatego, że zwarty baldachim liści powyżej, nie przepuszczał do ziemi wystarczająco dużo światła. Najwyższe piętro lasu zaczynało się już na wysokości stu trzydziestu stóp i tam też zatrzymywały się pierwsze promienie słońca, które potem przechwytywane były przez kolejne warstwy liści i gałęzi. Niemniej widoczność w takim lesie na poziomie gruntu nie była może doskonała, ale o wiele lepsza niż to mógł przypuszczać przeciętny Sharonianin.

Portal wznosił się w miejscu, który botanicy nazwaliby prawdopodobnie „strefą regeneracyjną”. Coś – możliwe, że było to właśnie pojawienie się samego portalu – powaliło wystarczającą ilość drzew, by w gęstej pokrywie liści, otworzyła się potężna dziura. Światło, które nagle szerokim strumieniem wdarło się w miejsca, gdzie dotąd panował półmrok, spowodowało nagłą eksplozję roślinności bardziej światłolubnych gatunków. Krzewy, trawy i kwiaty, wyrastały wszędzie dokoła, tworząc coś, co o wiele bardziej niż sam las, odpowiadało stereotypowi dżungli. Teraz proces ten był już w zaawansowanym stadium i szybko rosnące krzewy i drzewa, zaczynały już na powrót zacieniać zielony gąszcz, choć do pełnego powrotu, do stanu sprzed śmierci gigantów było jeszcze daleko. Póki co,

niewiarygodnie bujne masy roślinności nie pozwalały spojrzeć w którąkolwiek stronę dalej, niż na dziesięć lub piętnaście jardów. Także i strugi tropikalnej ulewy, przedzierały się tu do samej ziemi, dzięki mniej gęstemu baldachimowi z liści. Połączenie opadów w ilości dobrze przekraczającej siedemdziesiąt cali rocznie i bujnej, ciągle rosnącej roślinności sprawiało, że odnalezienie w tym lesie czyichkolwiek śladów było niemożliwością. Co być może w tych okolicznościach było jeszcze ważniejsze. Uciekający mieli tu niemal nieograniczone możliwości planowania zasadzek, więc ewentualny pościg musiałby poruszać się niezwykle

*15Wavid Weber i Linda Evans*

ostrożnie. A nawet, gdyby ktokolwiek ich jednak dogonił, to wkrótce przekonałby się, że nie wszystkie karabiny maszynowe Faraika I, zostały odesłane kapitanowi chan Teshowi. Co prawda chan Baskay miał tylko trzy sztuki tej broni, lecz przy założeniu, że odpowiednio by je rozmieścił i okopał, stanowiłyby śmiertelne niebezpieczeństwo dla każdego przeciwnika.

Awersję Arthaga wyjaśniało jednak to, iż ten zarośnięty, trudny do przejścia, wilgotny i słabo oświetlony las nie był terenem sprzyjającym koniom. Wielce

prawdopodobne było także, że ich ubrania i buty zaczną – być może dosłownie – gnić, a o tym, co taki klimat mógł zrobić z niewłaściwie zabezpieczoną bronią palną, szkoda było nawet myśleć. Uciekinierom udało się jednak zabrać sporo amunicji – znacznie więcej niż chan Baskay wcześniej podejrzewał, a karabinów mieli i tak dwa razy więcej niż ludzi zdolnych do walki. Na dodatek połowa oddziału wiozła ze sobą strzelby.

–Naprawdę sądzisz, że to możliwe, żeby przyszli tu za nami? – zapytał po chwili Arthag.

–Trudno powiedzieć – chan Baskay wzruszył ramionami. – Gdybym ja był na ich miejscu, to raczej dałbym sobie spokój z pościgiem. Przynajmniej na jakiś czas. Oni dobrze wiedzą, że nas nie może być wielu, a z tego, co powiedział Skirvon ich podstawowym założeniem jest dotarcie jak najdalej w górę łańcucha, zanim natkną się na oddziały generała chan Geraitha. Z drugiej jednak strony, z pewnością wpadną na to, że mamy ze sobą Skirvona i mogą zechcieć go odbić – chan Baskay parsknęła ostro. – Chociaż na ile zdołałem go poznać, na miejscu obcych wcale bym go z powrotem nie chciał. No, ale może u nich panują inne zwyczaje. Tak czy inaczej, przede wszystkim muszą się martwić o siły generała chan Geraitha.

–Czy obcy naprawdę wiedzą o tym, że generał jest już w drodze? – spytał Arthag. Chan Baskay popatrzył na niego ze zdziwieniem i Arpathianin wzruszył ramionami. – No co? Kiedy wy sobie gawędziliście, ja byłem trochę zajęty – usprawiedliwił się pospiesznie.

## Ognie Piekieł159

–No jasne, że tak – skinął głową chan Baskay. – A odpowiedź brzmi tak i nie. Oczywiście przy założeniu, że Skirvon wie, co mówi. W każdym razie najwyraźniej udało im się umieścić u nas „kryształy wywiadowcze”. Wydaje mi się, że w tych swoich „kryształach osobistych”, są w stanie zapisywać dźwięki i obrazy, więc nie widzę powodu, dla którego inne kamienie nie pozwalałyby im na zdobywanie istotnych danych wojskowych. Skirvon na pewno wie, że spodziewaliśmy się znacznych posiłków. Nie mam pewności, czy zdaje sobie sprawę z ich rzeczywistej liczebności i planowanego terminu przybycia. A to dlatego, że z kilku innych jego wypowiedzi wynika dla mnie, że obcy nie mają jednak pojęcia jak potężną siłą ognia dysponuje chan Geraith.

–Pocieszające, że nie tylko my potrafimy coś spieprzyć tak koncertowo – zauważył swobodnie Arthag. Chan Baskay skrzywił się nieładnie.

–Wiem, co chcesz przez to powiedzieć – przytaknęła Terna-thianin. – Żałuję tylko, że nie ma żadnego sposobu, byśmy mogli generałowi przekazać wszystkich tych informacji -albo samego Skirvona – zanim nasi wpadną prosto na tych bydlaków.

**–Może jednak komuś uda się go ostrzec – powiedział Arthag.**

**–Też mam taką nadzieję, ale obcy pomyśleli i o tym – powiedział nieco poważniej chan Baskay. Arthag rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.**

**–Hulmok, oni wiedzą o Głosach – powiedział chan Baskay. – Wymyślili więc odpowiedni plan postępowania z nimi. Taki sam zresztą, wedle którego potraktowali Rokama i chan Tre-skina. Według Skirvona, Arkanianie zabijają każdego telepatę, którego schwytają.**

**Nozdrza Arthaga zagrały, a spojrzenie Arpathianina zabłysło takim chłodem i pustką, że przez moment przestraszył się go nawet chan Baskay. Po chwili kawalerzysta odetchnął głębiej.**

**–Zawsze to jakiś pomysł – powiedział rzeczowym, niemal**

**pozbawionym emocji tonem, choć jego oczy nadal wyglądały**

**tak, jakby wyrzeźbiono je z samego serca obsydianowego lo**

**dowca. – Niemniej kogoś na pewno pominą.**

***160David Weber i Linda Evans***

**–Bez wątpienia. Pamiętaj tylko o tym, co stanowi największą słabość Sieci Głosów.**

**Poza tym, że nie mamy tylu telepatów, ilu potrzeba to problem stanowi fakt, że Głosy nie**

**mogą się porozumiewać przez portale. Skirvon twierdzi, że Arkania-nie o tym także wiedzą.**

**To najslabsze ogniwo w naszym łańcuchu i obcy skrzętnie to wykorzystają. Zanim**

**ktokolwiek zdoła przesłać wiadomość o inwazji, będą już siedzieć bardzo głęboko w naszym terytorium.**

**–Fakt. I na pewno będą jednocześnie wypatrywać odpowiedniego miejsca do zorganizowania obrony przed naszym kontratakiem – zauważył Arthag. – Potrzebują małego, nadającego się do ufortyfikowania portalu.**

**–Właśnie o to im chodzi – przyznał chan Baskay zaskoczony nie tyle sprawnością analizy Arpathianina, co szybkością, z jaką kawalerzysta ją przeprowadził. – Jeśli natomiast im się to nie uda, mogą się cofać i stale niszczyć nasze linie zaopatrzeniowe przy pomocy tych swoich przeklętych smoków.**

Tym razem Arthag tylko skinął głową. Chan Baskay ponuro zachichotał. Jeśli w multiwersum ktokolwiek znał wszystkie zalety niszczenia logistyki i zaopatrzenia przeciwnika, to musiał przyjść na świat w Arpathii.

–Wiesz, co? – powiedział po chwili Arthag. – Jesteśmy

w gównie. Po same uszy.;

\* \* \*

Pięćsetnik Neshok z zadowoleniem przyglądał się, jak strażnicy wyciągają pozostałych jeńców z sali przesłuchań. A trzeba ich było ciągnąć. Przynajmniej dwóch z nich nie byłoby w stanie iść o własnych siłach, w każdym razie nie bez asysty Uzdrowiciela. Ale z tym przecież nie było pośpiechu.

Wcześniej kazał przygotować dla więźniów specjalne cele, tuż na zewnątrz tej sali. Dzięki temu był w stanie oddzielić przesłuchanych już Sharonian od reszty pojmanych żołnierzy wroga. A przy okazji – dobrze było mieć ich pod ręką, tak by mogli usłyszeć odgłosy... pracy jego żołnierzy nad krnąbrnymi, którzy nie chcieli odpowiadać na pytania.

Ognie PiekiełM

„Poza tym”-przyznał w duchu Neshok – „cieszę się, że mam ich tutaj, bo tu nie będą mieli do nich dostępu idioci w rodzaju pięćsetnika Vaynaira.”

Oczywiście wywiadowca zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później pojawią się pytania i wątpliwości, co do stosowanych przez niego metod. Ten fiut Vaynair na pewno już tego dopilnuje. Ale zanim do tego dojdzie, on – Alivar Neshok – zdoła już zgromadzić wystarczająco dużo poważnych, wiarygodnych i przydatnych informacji, by dowieść jak śmieszne są zastrzeżenia i protesty Vaynaira. Arkana musi dostać te informacje, a Neshok wiedział, że wysocy rangą oficerowie cenią sobie podwładnych, którzy mieli jaja na tyle duże, by robić to co trzeba, nawet, jeśli naruszają przy tym dosłowną interpretację tego czy innego przepisu.

Dwutysięcznik mul Gurthak już teraz był jego dłużnikiem. I doskonale rozumiał jak dobrą robotę potrafi wykonać Neshok, o czym dobitnie świadczył obecny przydział. Niestety, bez względu na to, jak pomocny mógł się okazać w przyszłości patronat mul Gurthaka, faktem pozostawało, iż armia Unii Arkany zdominowana była przez oficerów wywodzących się z An-dary. W związku z tym, zyskanie sobie przychylności kogoś takiego, jak dwutysięcznik Harshu było wręcz niezbędne i nieocenione. A Harshu z pewnością nie zapomni oficera wywiadu, którego dokonania pozwolą mu na zwycięstwo w pierwszej kampanii, pierwszej w historii wojny między wszechświatami.

Usta pięćsetnika wygięły się w nieznacznym, pełnym samozadowolenia uśmiechu.

**Skinął głową żołnierzowi, który za pomocą wody lanej wiadrami na podłogę, próbował oczyścić deski i wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza, powietrza, które nie cuchnęło krwią i wymiocinami. Do przybycia następnej partii jeńców pozostało mu jeszcze jakieś pięć lub dziesięć minut. Przeszedł przez zabudowaną werandę, ciągnącą się wzdłuż całej ściany zbrojowni, oparł się na balustradzie i przyjrzał pracującym dokoła ludziom.**

**Budynki zbrojowni z kilku powodów okazały się wyspą spokoju pośród oceanu gwaru i zamętu. Pierwszym z nich było to,**

***162David Weber i Linda Evans***

**że sam Neshok osobiście nalegał na zapewnienie mu intymności, koniecznej do wytworzenia mocno oddziałującej na psychikę atmosfery, mającej pomóc w pracy nad Sharonianami. Drugim z tych powodów było niewątpliwie to, że tysięcznik Carthos nie chciał, by którykolwiek z jego żołnierzy bawił się nieznaną, obcą bronią, którą teraz zbierano z miejsc, w których ginęli obrońcy fortu. Wszystkie jej egzemplarze przenoszono do sharoniańskiej zbrojowni, gdzie miała spocząć pod strażą. W ten sposób dowództwo chciało zapobiec niebezpiecznym wypadkom.**

**Jego uszu doleciał potwornie głośny łopot. Podniósł oczy i zobaczył cztery taktyczne smoki transportowe, ciągnące ze sobą dwa zasobniki towarowe, w eskorcie jednego – nieco uszczuplonego, bo trzysmokowego lotu czerwonych. Bestie leciały prosto na północ, oddalając się od Fortu Shaylar, głębiej do wnętrza wszechświata, który Sharonianie nazywali Nową Uromathią. Neshok zdał sobie sprawę, że teren niespecjalnie sprzyjał tu operacjom powietrznym. Dzięki urządzeniom nawigacyjnym wojska dwutysięcznika Harshu, wiedziały dokładnie gdzie się znaleźli – na północno-zachodnim wybrzeżu Andary, a wynaleziony przez magistra Hałathyna wykrywacz portali poinformował ich, gdzie znajdą następny - wiodący w górę łańcucha – portal. Kiedy już mieli te informacje, łatwo było przewidzieć, iż**

**prawie trzysta mil, które dzieliły Fort Shaylar od wszechświata, ochrzczonego przez Sharonian mianem Thermyn, wypełnione były wciąż takim samym, smaganym nieustannymi deszczami, gęstym lasem. W tego rodzaju terenie, smoki nie mogły lądować a Sharonianie, poza wycięciem wśród lasu wąskiego szlaku, nie zrobili tu niemal nic.**

**Tym jednak Neshok nie przejmował się w tej chwili zanadto. Owszem, stąd aż do portalu Nowa Uromathią – Thermyn nie było żadnych wygodnych lądowisk, ale nie było też żadnej potrzeby by siły ekspedycyjne miały z nich korzystać. Następny portal był mniejszy od Wrót Piekieł – to wiedzieli już dzięki wykrywaczowi magistra Hałathyna, choć wszyscy byli o tym przekonani i bez uciekania się do jego pomocy. Nikt przecież**

# Ognie Piekieł



nigdy nie widział portalu równie wielkiego jak Wrota, nie mówiąc o jeszcze większym. Przesłuchiwanie jeńcy powiedzieli Neshokowi, że tamten następny miał niemal dziesięć mil szerokości... a *ten* tak zwany „fort”, który zbudowali przy nim Sha-ronianie nie był ani bardziej wyrafinowany, ani lepiej obsadzony od Fortu Shaylar. Świetnie wyposażone siły, które wysyłali w tamtym kierunku dwutysięcznik Harshu i tysięcznik Toralk nie powinny mieć najmniejszego kłopotu z przejściem na drugą stronę pod osłoną nocy, bez zwracania na siebie uwagi nieprzyjaciela.

Po drugiej stronie portalu teren zmieniał się nie do poznania. Fort Brithik położony był wśród rozległych, płaskich równin środkowej Andary, które w odróżnieniu od tych nieszczęsnych, mokrych puszczy czy dymiącej pustyni, którą pozostawił po sobie rozszalały we Wrotach Piekieł pożar – były idealnym terenem dla łączonych operacji powietrzno-lądowych. Dzięki przesłuchaniom Neshok wiedział także, gdzie szukać kolejnego fortu w łańcuchu, następnego po Brithik... poznał także położenie kilku stacji Sieci Głosów.

Oczywiście kierunek, w którym należało się udać, by dotrzeć do następnego portalu, poznaliby nawet i bez informacji wyciskanych przez pięćsetnika z jeńców, dzięki detektorowi Hala-thyna. Co więcej – Sharonianie nie dysponowali smokami, byli więc przywiązani do dróg i szlaków, które stanowiły doskonałą wskazówkę dla Arkanian. Niemniej, to właśnie dzięki Neshokowi znana już była odległość do portalu i lokalizacja posterunków tych przeklętych telepatów.

Na przykład przy portalu wiodącym z Nowej Uromathii do Thermyn, stacja taka znajdowała się po tej stronie. Odległość była na tyle mała, że obcym wystarczała tylko jedna. Ale podczas, gdy Fort Brithik został wzniesiony w Thermyn, gdzie nie było tak intensywnych opadów i lepsza widoczność, to posterunek telepaty znajdował się w Nowej

Uromathii. Sharonianie nie widzieli potrzeby, by chronić swego telepatę za palisadą, a utrzymując go po drugiej stronie portalu, uzyskiwali lepsze warunki do nawiązywania kontaktu z Fortem Shaylar, czy Głosem pracu-

*164 David Weber i Linda Evans*

jącym na polanie Powalonych Drzew. Neshok zgadywał, że dla obcych ważniejsze było sprawne przesyłanie informacji w górę łańcucha, niż przekazywanie tych, które nadchodziły z ich rodzimego wszechświata. Ten Głos był na tyle blisko portalu, by mógł go przekroczyć dla nadania wiadomości w górę łańcucha lub też wysłuchać wiadomości w dół o stałych porach, natomiast większość czasu spędzał w Nowej Uromathii, gdzie w każdej chwili mogła go osiągnąć pilna wiadomość od

**dypłomatów z polany.**

**Bez informacji, które Neshok wyciągnął z jeńców istniała duża szansa, że Arkanianie przeoczyliby posterunek telepaty, gdyż wcześniej spodziewano się, że Głos będzie stacjonować raczej w samym Fortcie Brithik. A gdyby tak się stało, telepata miałby czas i aż za dużo możliwości, by przejść w którymś miejscu przez portal i przekazać ostrzeżenie do Sharony.**

**Teraz jednak nie było to już możliwe. Specjalne techniki śledcze, które stosował Neshok, pozwoliły mu dowiedzieć się, że telepata obozował na wzniesieniu, które w odróżnieniu od nizin, stąd aż do Thermyn nie było porośnięte gęstym lasem. W takim klimacie i tego rodzaju terenie o pożar lasu było bardzo trudno i Neshok podejrzewał, że wzgórze zostało „oczyszczone” z drzew przez ogień płonących prerii, który przedostał się przez portal z Thermyn na długo zanim Sharonianie odkryli oba wszechświaty.**

**Nieważne zresztą, co spowodowało ów pożar. Ważne natomiast było to, że polanabyła na tyle rozległa, by smoki mogły wylądować nieopodal posterunku telepaty/ale jednocześnie na tyle daleko, by w ciemną, deszczową noc, były w stanie zrobić to skrycie.**

**A sam cel znajdował się na tyle daleko od portalu, by można było użyć na nim broń nieco mniej... spektakularną niż ta, którą posługiwali się Sharonianie, bez zwracania uwagi stacjonujących w fortcie obcych.**

**„Ajeśli cokolwiek pójdzie źle” – pomyślał spokojnie Neshok, nie odrywając wzroku od smoków znikających w oddali na wczesnowieczornym niebie – „to zawsze jeszcze pozostaje kolejny posterunek, ten za Fortem Brithik.”**

**Ognie Piekieł**

Zdolności telepatów zapewniały Sharonianom niesłychaną przewagę strategiczną, ale tylko dopóki, dopóty coś – lub ktoś – nie zniszczyło długiego i delikatnego łańcucha, jakim była Sieć Głosów. A teraz Arkanianie wiedzieli jak ten łańcuch zerwać.

Neshok uśmiechnął się ponownie. Wyszczrzył zęby do samego siebie. Był bardzo zadowolony. Wyprostował się. Nadszedł już czas by przybrać maskę, z którą zwykle witał

kolejną partię jeńców. Odwrócił się na pięcie i wrócił z powrotem do sali.

\* \* \*

–Prosiłeś o spotkanie, półsetniku?

Głos Dowodzącego Tysiącem Carthosa brzmiał oschle. Biorąc pod uwagę tysiąc i jeden drobiazgów, które miał w tej chwili na głowie, było to zupełnie zrozumiałe. W zdobyczym forcie wrzało jak w garncu. Wszędzie słychać było rozkazy, pytania, odpowiedzi i przekleństwa rzucające przez pozostające pod dowództwem tysięcznika, oddziały piechoty i kawalerii. Żołnierze przygotowywali się do mającego nastąpić nazajutrz skoku naprzód, na pozycje, z których mieli przypuścić atak na wszechświat, który Sharonianie nazywali Thermyn.

–Tak, tysięczniku. Dziękuję za poświęcenie mi czasu.

Półsetnik Jaralt Sarma mówił zdecydowanie i zwięźle – tonem, jakiego starszy oficer mógł oczekiwać od podkomendnego, który nie chciał niepotrzebnie tracić czasu swego dowódcy.

–A zatem? – ponaglił niecierpliwie Carthos.

–Tysięczniku – Sarma zaczerpnął powietrza i zebrał się w sobie – obawiam się, że mamy do czynienia z poważnym pogwałceniem Postanowień Kerelli.

–Doprawdy.

Starszy oficer wypowiedział to pojedyncze słowo płasko, bez najmniejszego śladu emocji. Tayrgal Carthos rozparł się wygodnie na krześle, które do niedawna należało do sharoniań-skiego komendanta fortu. Złożył na piersi splecione dłonie i nachylił głowę w bok.

–Na czym owo „pogwałcenie” miałyby polegać, półsetniku?

–zapytał po chwili.

*David Weber i Linda Evans*

–Tysięczniku – zaczął Sarma – chodzi o pięćsetnika Ne-shoka. Mój pluton pełni straż

przy zbrojowni. Widzieliśmy, jak jeden z żołnierzy pięćsetnika wyciąga obcego jeńca przez

drzwi bocznej sali, która została przerobiona na salę przesłuchać. I on – to znaczy ten

więzień, tysięczniku – był pobity. Ciężko pobity.

–I...? – odezwał się Carthos lekko marszcząc brwi. Sarma umilkł.

–Chwilę potem usłyszeliśmy krzyki – wznowił po chwili Dowodzący Pięćdziesięcioma. – Dużo krzyków. Z sali nie wyszedł żaden z jeńców. Aż do chwili, w której ludzie pięćsetnika Neshoka wyciągnęli kolejnego z nich – Sarma spojrzał dowódcy prosto w oczy – z poderżniętym gardłem. Ten Sharonianin został zamordowany.

Półsetnik z premedytacją użył tego właśnie słowa. Zobaczył jak spojrzenie Carthosa tężeje. Przez chwilę panowała cisza. Po chwili jednak, tysięcznik opuścił się wraz z krzesłem. Rozległ się stukot.

–Tak się składa półsetniku Sarma – powiedział – że dotarł

już do mnie raport na temat opisanego przez ciebie zajścia.

Według Dowodzącego Pięcioma Setkami Neshoka i zeznań pię

ciu obecnych wtedy na miejscu żołnierzy – zabity jeniec zaata

kował pięćsetnika. Wszystkie raporty potwierdzają, że obcy

wyrwał broń jednemu ze strażników, a pięćsetnik Neshok zabił

go w obronie własnej. „

Sarmie opadła szczęka. Nie był w stanie powstrzymać tego odruchu... udało mu się jednak powstrzymać od komentarza.

**Carthos spojrział jeszcze surowiej niż przedtem, ale jego głos pozostał spokojny.**

**–Muszę cię pochwalić za tę postawę, jakże zgodną z zaleceniami dwutysięcznika Harshu, który wielokrotnie podkreślał, że Postanowienia Kerelli obejmują wszystkich jeńców bez wyjątku. Pragnę też cię zapewnić, że każdy wypadek, gdy pojawi się choćby cień podejrzenia o złamanie tych przepisów, zostanie zbadany z najwyższą starannością. W tym jednak konkretnym wypadku, zgodne zeznania pół tuzina naocznych świadków...**

**Ognie Piekieł167**

**Podejrzewam, że akurat tutaj dopuściłeś się, półsetniku, nadinterpretacji. Nie znałeś wszystkich faktów.**

**Sarma zamknął usta i zacisnął zęby. Stłamsił w sobie gwałtownie narastającą ochotę, by zaprotestować. Wyrwał broń strażnikowi? Może więc tysięcznik Carthos byłby łaskaw wyjaśnić, jak to się stało, że zabity nadal miał skute ręce, kiedy wyciągano go ze zbrojowni jak tuszę z rzeźni. Ciekawe byłoby też usłyszeć, co było powodem tych wrzasków, oraz dlaczego pierwszy z jeńców został aż tak brutalnie pobity.**

**Ale tych pytań Jaralt Sarma nie odważył się zadać. Wiedział, że nie jest to ani miejsce, ani czas. Może nigdy nie będzie dobrego momentu, ale z pewnością nie było go także i dziś.**

**–Rozumiem, tysięczniku – usłyszał własny, spokojny głos. – Oczywiście, ma pan rację. Najwyraźniej brakowało mi po prostu pewnych informacji. Nie byłem też świadom, że został pan już o incydencie poinformowany. Przepraszam, że w takiej chwili zmarnowałem pana cenny czas.**

**–Nonsens, półsetniku – odparł Carthos. – Nikt nie marnuje czasu przychodząc do przełożonego w sprawie tak poważnej, jak ta. W końcu podejrzewałeś świadome pogwałcenie Postanowień Kerelli – tysięcznik pokręcił głową – a za to regulaminy przewidują dość jasno określoną karę.**

**–Tak, tysięczniku. To prawda. Niemniej dziękuję za wyrozumiałość.**

**Sarma był w duchu zaskoczony tym, że udawało mu się mówić bez zająknięcia.**

**–Proszę się nie martwić, półsetniku – Carthos uśmiechnął się, ale ten uśmiech pozostał na ustach i nie rozświetlił jego oczu. Dowódca przez chwilę milczał, po czym uniósł brew.**

**–Coś jeszcze, półsetniku Sarma?**

**–Nie, tysięczniku – odpowiedział. – To już wszystko.**

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**–Głosie Kinlafia?**

**Głowa Darcela Kinlafii skoczyła do góry niczym królik uciekający do swej nory.**

**Odwrócił się i spojrział na zastępcę szambelana. Jego ruch nie był tak nagły, by można go było opisać jako „zawirowanie w miejscu”, ale był równocześnie zbyt gwałtowny, by nazwać go w inny sposób.**

**–Tak? – słowo dobyło się z jego gardła na pół zduszone. Telepata energicznie odchrząknął i wściekle się zaczerwienił.**

**–Tędy, proszę uprzejmie – powiedział z lekkim uśmiechem, zastępca szambelana. Kinlafia nie musiał nawet dotykać tego człowieka, by poczuć kryjące się za tymiśmiejchem współczucie i zrozumienie. Od razu poczuł się lepiej. Najwyraźniej nie był pierwszym gościem Wielkiego Pałacu, który zastanawiał się, czy skoki ciśnienia krwi pozwolą mu dożyć końca audiencji. Podejrzewał, że powinien czerpać nieco pocieszenia z fak-**

**tu, że jednak większość z takich osób uchodziła z tej próby z ży ciem, ale w trudny do wytłumaczenia sposób myśl ta ani trochę go nie pokrzepiała. Szambelan prowadził go szerokimi, wyłożonymi marmurem korytarzami, których ściany zdobiły liczne gobeliny i malowidła, z których każdy wart był z pewnością co najmniej tyle, ile okup za życie dowolnego księcia.**

**Ognie Piekieł**

169

**„Nie bądź niemądry!” – skarcił się Kinlafia. – „Za większość z nich wykupiłbyś jedynie diuka. A poza tym, to miejsce nie nazywa się już przecież Wielkim Pałacem”**

**Zmiana oficjalnej nazwy zaskoczyła go bardziej niż tylko trochę. Ta potężna, bajeczna budowla, przez bez mała trzy stulecia znana była jako Wielki lub Wspaniały Pałac -w zależności od tego, jak ktoś chciał tłumaczyć shurkhaliańską nazwę. Teraz jednak powrócono do nazwy, którą pałac nosił przez ponad dwa tysiące lat: Pałac**

**Calirathów, starożytny i przyszły dom dynastii Calirath.**

**Nie wszyscy powitali zmianę nazwy z otwartymi ramionami. Nazwę pałacu zmienił jeden z pierwszych senesza, którzy objęli władzę w Othmaliz po wycofaniu się Ternathii. Dla wielu była ona najważniejszym z symboli dumy, z odzyskanej niepodległości i Kinlafia nie wątpił, że przynajmniej niektórzy z tutejszych mieszkańców odebrali to jako policzek ze strony dynastii, która rządziła tym krajem przez tak długi czas.**

**Oczywiście żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że tamten senesza zrobił to, co zrobił jedynie dlatego, że Calirathowie postanowili mu w niczym nie przeszkadzać. Zadziwiające było też, jak niewielu ludzi wiedziało, że pałac nigdy formalnie nie zmienił właściciela. Być może to z powodu cesarskiej polityki. Calirathowie przez prawie trzysta lat pozwalali korzystać ze swego domu władcom Othmaliz. Biorąc pod uwagę charakter obecny senesza, był to pewnie także jedyny powód, dla którego Pałac nie został sprzedany, czy zamieniony w luksusowy hotel.**

**Żaden z senesza nie wykazał się takim brakiem zdrowia psychicznego, by upubliczniać informację o tym, kto tak naprawdę pozostawał właścicielem pałacu (ani faktu, że budowla stała na terenie, który formalnie – na mocy układów o wycofaniu Imperium z Tajwany i Othmaliz w ogóle – nadal stanowił terytorium Ternathii). Kinlafia podejrzewał, że gdyby Wielki Pałac należał do jakiegokolwiek innego państwa, to już dawno któryś z senesza przejąłby go siłą. Nikt jednak nie był na tyle głupi, by wystąpić w ten sposób przeciwko**

*170 David Weber i Linda Evans*

**Calirathom i Kinlafia zastanawiał się, jak bardzo musiało to drażnić całe pokolenia władców Othmaliz, którzy mieli poczucie mieszkania w wynajętym im z łaski budynku... nie mówiąc już o tym, że nie mogli pobierać za pałac podatków.**

**Sądząc po reakcji obecnego senesza na decyzję, jego własnego” parlamentu, który postanowił wrócić do pierwotnej, oryginalnej nazwy najbardziej historycznego ze wszystkich pałaców Tajwany, musieli cierpieć bardzo. Sam senesza oczywiście robił dobrą minę do złej gry, ale jego stronnicy prowadzili w – zazwyczaj posłusznym – parlamencie zajadłą kampanię przeciwko tej ustawie. Nie udało im się jednak zablokować zmiany nazwy, co było dla senesza poważnym politycznym ciosem. Irytacja władcy była wyraźna i wiedzieli o niej wszyscy, mimo kwiecistego przemówienia jakie senesza wygłosił, kiedy decyzja parlamentu weszła ostatecznie w życie.**

**Kinlafia przypomniał sobie kilka krótkich, żołnierskich uwag, jakimi Shaylar zazwyczaj kwitowała postawę senesza i – zaskoczony własną reakcją – zachichotał. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo rozbawiłaby telepatkę niezręczna sytuacja, w której**



**władca Othmaliz znalazł się obecnie.**

**Szambelan spojrzął na niego przez ramię i tym razem Kinlafia zdobył się na o wiele bardziej naturalny i niewymuszony uśmiech. Urzędnik nieznacznie skinął głową, jakby zadowolony z tej zmiany. Po chwili stanęli przed wielkimi, pokrytymi płaskorzeźbami drzwiami, nad którymi, w kamiennym nadprożu, wyryto starożytną dewizę dynastii Calirath: „Stoję pomiędzy”. Drzwi pilnował uzbrojony strażnik, ubrany w zielono-złote barwy osobistej gwardii Calirathów. Mężczyzna spojrzął na telepatę i Kinlafia coś poczuł.**

**Nie był jednak pewny, co takiego poczuł. Czy raczej Poczul. Nigdy przedtem nie doświadczył niczego podobnego i zaczął się nagle zastanawiać, czy szeptane pogłoski o Talencie, którym mieli się wykazywać gwardziści, strzegący członków władającego Ter-nathią rodu, nie są przynajmniej w jakiejś części prawdziwe. Z pewnością, w chwili, w której spoczęły na Głosie oczy żołnierza, coś się wydarzyło. Kinlafia bez cienia wątpliwości Wyczuł,**

## **Ognie Piekieł171**

**że ktoś go... sonduje. Sonduje, czy może po prostu sprawdza. Nie był w stanie zdecydować, który z wyrazów lepiej to oddawał, ale fakt pozostawał niezmienny.**

**Trwało to może dwa mgnienia oka. Potem strażnik wyprostował się służbiście i skinął z szacunkiem głową.**

**–Głosie Kinlafia – odezwał się cicho – czekają na pana.**

**Telepata zastanowił się, czy powinien coś odpowiedzieć, ale zanim zdążył się namyślić, strażnik sięgnął za siebie wolną ręką (drugiej ani na chwilę nie zdejmował z broni) i otworzył drzwi. Głos zawahał się na chwilę. Wiedział, kto czeka nań za progiem i nagle odkrył, że nawet otrzymane od pana „mów mi Janaki” listy polecające, nie były w stanie zapobiec skomplikowanemu, arpathiańskiemu tańcowi, jaki właśnie zaczął wykonywać jego żołądek.**

**W tej jednej chwili, Darcel Kinlafia, mężczyzna, który towarzyszył z karabinem w dłoni żołnierzom kapitana chan Te-sha, w drodze przez portal na bagnach, człowiek, który po wielokroć stawał przeciwko bandytom i piratom, walczył ze złodziejami i rabusiami, miał na koncie potyczkę z bizonami, ricathiańskimi bykami, a nawet rozwścieczonym niedźwiedziem grizzly, postanowił, że trzeba uciec. A był dobrym biegaczem i gdyby rzeczywiście ruszył, przebyłby dzielącą go od dworca kolejowego drogę w dwadzieścia minut lub najwyżej pół godziny. A stamtąd...**

Marzenia telepaty o ucieczce przerwane zostały chrząknięciem szambelana. Kinlafia rzucił na niego okiem i urzędnik dyskretnie wskazał mu brodą otwarte drzwi. Głos jeszcze przez chwilę zupełnie poważnie rozważał wycofanie, ale okazało się, że na to też nie miał odwagi. Skinął więc szambelanowi w odpowiedzi i poszedł za nim. Zaskakująco równym i zdecydowanym krokiem.

Sala za drzwiami, w porównaniu z całością Pałacu Calirathów była niewielka, lub wręcz mała. Jej długie ściany liczyły sobie nie więcej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści stóp. Umieblowana była dziwnie zużytymi, wyściełanymi fotelami. Obok nich stała też, wyglądająca na niezwykle wygodną, kanapa. Stolik do

## Ognie Piekieł173

Głos zaczerpnął głęboko powietrza, po czym wyciągnął rękę i uściśnął dłoń najbardziej wpływowego, najpotężniejszego człowieka w dziejach świata.

Darcel Kinlafia wchodził do tego gabinetu z postanowieniem, by w żaden sposób nie naruszać prywatności cesarza, ale właśnie teraz dotarło do niego, że znalazł się w warunkach zbyt wielkiego stresu, by całkowicie wyłączyć swój Talent. Był oczywiście zbyt dobrze wyszkolony i miał zbyt duże doświadczenie, by pozwolić sobie na całkowitą utratę kontroli i nawet nie zbliżył się do momentu, w którym poznałby myśli władcy, ale zupełnie inaczej miała się sprawa z odczytywaniem uczuć gospodarza. Na ich przepływ w chwili zetknięcia się ich dłoni Kinlafia nie miał żadnego wpływu i poczuł jak ogarnia go coś bliskiego panice. Trwało to jednak bardzo krótko. Panika odeszła, zdmuchnięta przez falę ciepłego,

serdecznego powitania, które płynęło z Zindela niczym kojące, morskie fale. Po chwili

pojawiło się coś jeszcze. Telepata przypomniał sobie uczucie silnego magnetyzmu, którego

zawsze doznawał w obecności Janakiego. Brało się ono ze świadomości przebywania w

obecności potomka Erthaina Wielkiego w prostej linii. Teraz, gdy telepata uściśnął rękę

cesarza, pojawiło się takie samo uczucie, tyle, że wielokrotnie bardziej intensywne. Odczuł je

niemal fizycznie, jakby była to elektryczna iskra, która wyładowała się pomiędzy ich dłońmi.

Kinlafia zastanowił się, czy cesarz także zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę.

**–Syn zapisał na pański temat wiele stron papieru, Głosie Kinlafia – odezwał się Zindel. – Ma o panu nadzwyczaj dobrą opinię.**

**–Och, książę Janaki okazał się zapewne jak zawsze nazbyt uprzejmy, Wasza Wysokość – odparł Kinlafia.**

**–Z tych słów najbardziej ucieszyłaby się jego matka – uśmiechnął się cesarz i puścił dłoń telepaty. – Ja jednak znam Janakiego dość dobrze. Nie napisałby do mnie czegoś takiego – władca wskazałma kilka leżących na biurku, złożonych w pół kartek papieru – gdyby nie miał ku temu dobrego powodu.**

**174 David Weber i Linda Evans**

A pozwolę sobie też dodać, Głosie Kinlafia, że ja bardzo wysoko sobie cenię zdolność mojego syna w ocenianiu ludzi.

–Wasza Wysokość, ja nie...

Kinlafia urwał. Najzwyczajniej w świecie nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć. Zindel zachichotał.

–Proszę o wybaczenie, Głosie Kinlafia. Jestem pewien, że po długich miesiącach na pograniczu, wydarzenia ostatnich dni musiały się okazać dla pana przytłaczające. Podejrzewam, że samo natężenie mchu ulicznego w Tajwanie mogło stać się źródłem nielicznego szoku. A na dodatek ciągną jeszcze pana do pałacu na spotkanie z tym strasznym cesarzem...

W wyrazie twarzy Zindela pojawiło się rozbawienie i serdeczność tak szczere, że Kinlafia pozwolił sobie na lekki śmiech. Skinął głową.

–Nigdy nie powiedziałbym, że Wasza Wysokość jest straszny – powiedział z namysłem – co najwyżej nieco surowy...

–Prawdopodobnie, miałby pan rację. Z drugiej strony, w tej chwili jestem przede wszystkim ojcem, który od wielu miesięcy nie widział własnego dziecka. A pan, Głosie Kinlafia, jest człowiekiem, wybranym przez mojego syna do roli posłańca z listami do

rodzinnego domu. Nawet samo to, bez żadnych dodatkowych rekomendacji, wystarczyłoby bym powitał pana L szeroko otwartymi ramionami. Oczywiście to pan także jest jsołą, która przekazała nam ostatnią wiadomość Shaylar Nargry-Colmayr, a z tego co zdążyłem przeczytać w liście od Janakie-\*o, stanowi pan ponadto świetny materiał na posła do naszego iowego parlamentu. Lepszych referencji nie mógł pan sobie ymarzyć.

–Wasza Wysokość. To był pomysł księcia Janakiego. To zna-:zy, to księżę zasugerował, bym startował w wyborach. Zanim>n mi tego nie podsunął, podobna myśl nawet nie powstała mi v głowie.

**–Co samo w sobie świadczy o tym, że znakomicie się pan ia ten urząd nadaje -  
uśmiech Zindela stracił nagle wiele ze wej wesołości. – Większość kandydujących do  
parlamentu lu-zi, robi to jedynie z powodu żądzy władzy. A takim nie należy**

**Ognie Piekieł**

ufać. Oczywiście w pana uszach podobne słowa muszą brzmieć nieco dziwnie – a może nawet zakrawają na hipokryzję – kiedy wygłasza je osoba zajmująca moje stanowisko.

Kinlafia nie odpowiedział i na obliczu cesarza ponownie pojawił się wyraz rozbawienia.

–Widzę, że Janaki nie pomylił się także, pisząc mi o pana wrodzonym... talencie

dyplomatycznym, Głosie Kinlafia – zauważył władca. – Ale proszę się nie martwić. Nie będę

narażał pańskiego taktu na kolejne takie wyzwania. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Zindel chan Calirath obserwował opalonego, kasztanowo-włosego telepatę uważnie i ostrożnie... nie tylko oczami. Pamiętał fantastyczne plotki – czy raczej legendy – o tajemniczych Talentach, które w jakiś niesamowity sposób miały być udziałem jedynie członków rodu Calirath. Oczywiście, że je pamiętał; te nedorzeczne opowiadania znali przecież wszyscy. Jednak, czego większość ludzi nie wiedziała, a Zindel i owszem, był fakt, iż w ludzkim gadaniu kryło się sporych rozmiarów ziarno prawdy.

Krew Calirathów nie płynęła wyłącznie w żyłach najbliższych krewnych cesarza. Zresztą nie mogło być inaczej po upływie długich tysiącleci, w których cesarzowie Ternathii nie tylko akceptowali, ale także aktywnie popierali zawieranie związków małżeńskich z osobami spoza arystokracji. Dzięki takiej polityce, dziedzictwo Calirathów stawało się stopniowo udziałem coraz większej liczby ludzi. Mimo to, istniały Talenty, które, dosłownie przez całe milenia, ujawniały się w cesarskiej linii rodu, a bardzo rzadko – praktycznie nigdy

–nie manifestowały się poza nią. Poza Talentami, o których wiedzieli wszyscy, istniały także i inne, takie, o których nie wiedział niemal nikt i o których mówiło się jedynie szeptem.

Zindel chan Calirath od zawsze miał pewne wątpliwości, co do rozmaitych historii dotyczących mitycznej, półboskiej niemal postaci Erthaina Wielkiego, który miał stanowić źródło wszystkich Talentów. Innego wyjaśnienia informacji zawartych w rodowym archiwum Calirathów jednak nie widział.

*176 David Weber i Linda Evans*

To Ternathia obdarzyła ludzkość Talentami... ale ród cesarzy nie podzielił się z

**bliźniami całą swą wiedzą i wszystkimi umiejętnościami. Jedynie Calirathowie oraz ich najbardziej zaufani Uzdrowiciele i wysocy kapłani Triady, wiedzieli na przykład, w jaki sposób skorzystać z potencjału wróżebnych Przebłysków. Tak samo, jedynie Calirathowie i ci sami Uzdrowiciele potrafili rozbudzać i szkolić pozostałe z Talentów związanych z Uskrzydloną Koroną.**

**Zdarzało się niekiedy, że Zindel czuł się bardzo niezręcznie. Ciężko mu to, że dysponował tajemnicą, skrzętnie od tak dawna chronioną. Bywało, że zawadzał mu także fakt, iż nikt nie miał prawa jej poznać, o ile nie wyraził uprzednio i dobrowolnie zgody na zapieczerowanie tych informacji we własnej głowie przez Uzdrowiciela Umysłów. Za każdym razem jednak, gdy cesarz o tym myślał, dochodził w końcu do wniosku, że wiedza o tych Talentach i wyłączności na nie, jaką cieszył się cesarski ród, stanowi jedną z najważniejszych tajemnic państwowych Ternathii – była to przecież tajemnica, której istnienie, przynajmniej dwukrotnie, zupełnie dosłownie ocaliło imperium. Z tak potężnego oręża żaden rozsądny władca nie mógł beztrąsko zrezygnować.**

**A zatem, członkowie cesarskiej rodziny i jej rzecznicy zawsze z politowaniem uśmiechali się na wzmianki o „absurdalnych pogłoskach”, które opowiadały o istnieniu „sekretnych Talentów”. Nigdy jednak wyraźnie nie zaprzeczyli, że takie zdolności istnieją, z czego większość wyciągała wniosek, że plotki nie były zupełnie bezpodstawne. Niemniej zdolność cesarza Ternathii do oceniania wierności swych ambasadorów i doradców, do rozpoznawania tych, którymi kierowały wyłącznie osobiste ambicje, oraz do wyczuwania takich, którzy planowali zdradę, była wprost legendarna. Tak samo i teraz, gdy Zindel przyjrzał się Kinlafii, od razu zrozumiał, że Janaki nie pomylił się w swojej ocenie.**

**„Oczywiście Janaki nie powiedział Głosowi wszystkiego” – pomyślał cesarz. – „Ode mnie także wszystkiego się nie dowie. Jeszcze nie teraz. Żaden Przebłysk nie zdradził mi, dlaczego**

**Ognie Piekieł**

obecność tego człowieka w Tajwanie jest tak istotna dla Andrin. Ale w tym mój syn też się nie pomylił.”

–Obawiam się, że mój dzisiejszy kalendarz jest już wypełniony aż do przesady, Głosie Kinlafia. Szczerze powiedziawszy, mam ten problem codziennie. Aczkolwiek po zaznajomieniu się z listem od Janakiego i po własnej wstępnej ocenie sądzę, że moje dziecko słusznie oceniło zarówno pański charakter, jak i stosowność do urzędu. Wiem też, że przysłuży się pan nie tylko nowemu rządowi, nad którego powołaniem tu pracujemy, ale także Sharonie jako takiej. Zdaję sobie przy tyra sprawę, że wysłuchiwanie podobnych słów, najpierw od księcia koronnego Temathii, a potem także od cesarza może być nieco... onieśmielające.

–Onieśmielające, to spore niedomówienie, Wasza Wysokość – przyznał, krzywiąc się niezręcznie Kinlafia i Zindel zachichotał potakując skinieniem. Fakt, że Kinlafia potrafił zdobyć się na żart podczas pierwszej prywatnej audiencji u władcy świata, mówił wiele na temat psychicznej odporności telepały. Zindel podejrzewał, że Głos sam się czegoś takiego po sobie nie spodziewał.

–Mam nadzieję, że jakoś sobie z tym poradzimy – powiedział cesarz. – Będę z panem szczerzy. Mimo niewątpliwego prestiżu i władzy, jaką dysponuje dynastia Calirath i Uskrzydłona Korona, sojuszników politycznych nigdy nie jest zbyt wielu. I mam nadzieję, że stanie się pan jednym z nich. Nie z powodu ślepej lojalności wobec mojego rodu – przecież nie jest pan nawet Ternathianinem – ale dlatego, że obu nam szczerze zależy na pomyślności Sharony i dlatego, iż obaj wiemy, że ci, którzy w ten sposób myślą, powinni ze sobą współpracować.

–Wasza Wysokość – odparł Kinlafia powoli. – Doceniam le słowa. Jestem też niezmiernie wdzięczny, za wszystko to, co książę powiedział, namawiając mnie na start w wyborach. Ponadto, mam nadzieję, że naprawdę będziemy szli w tę samą stronę, o ile rzeczywiście uda mi się zostać członkiem przyszłego parlamentu. Aczkolwiek, jeśli moja kandydatura przypadnie ludziom do gustu i zasiądę w fotelu pośła, to moje decyzje będą



*David Weber i Linda Evans*

musiały od początku do końca pozostać wyłącznie moimi decyzjami. Mam nadzieję, że Wasza Wysokość rozumie, iż nie mówię tego z braku szacunku. Jeżeli jednak zajdzie sytuacja, w której obaj będziemy mieć na dany temat odmienne opinie, nie będę mieć wyjścia, jak otwarcie Waszej Wysokości o tym powiedzieć.

–Sprzymierzeniec, który zawahałby się przed otwartą rozmową w chwili, gdy uważa, że postępuję źle, nie byłby wart uwagi, Głosie Kinlafia – skomentował Zindel, któremu skrywanie zadowolenia przychodziło z coraz większym trudem. Rozmowa w cztery oczy, na prywatnej audiencji z cesarzem Ternathii, wymagała dużego hartu ducha i odpowiednio mocnego charakteru. Nie mówiąc o sile przebiccia, bez której w ogóle by do niej nie doszło. Ludzie, którzy łączyli w sobie wszystkie te cechy byli w ocenie Caliratha stanowczo zbyt cenni, by pozwalać im odejść.

–Cieszę się, że jest pan takiego właśnie zdania, Wasza Wysokość – odparł Kinlafia, którego ton głosu i wyraz twarzy wciąż jednak zdradzały pewną rezerwę. Zindel wzruszył ramionami.

–Jestem przekonany, że jeśli poróżnimy się w opiniach, a wedle mojej oceny, to pan nie będzie niieć racji, z pewnością przydarzy się nam... powiedzmy... bardziej żywiłowa dyskusja. Ale przecież moi Uzdrowiciele utrzymują, że okresy podwyższonego ciśnienia znakomicie wpływają na stan naczyń krwionośnych, więc nie sądzę; by stanowiło to jakiś poważniejszy problem. A przynajmniej nie – tu cesarz uśmiechnął się czarująco – z mojej perspektywy.

–Mam nadzieję, że zostanę dobrze zrozumiany – powiedział zmieszany telepata – ale Wasza Wysokość naprawdę szalenie przypomina własnego syna. A raczej to on przypomina Waszą Wysokość.

–Jego matka twierdzi, że to wszystko wina genów – zachichotał Zindel i Kinlafia zareagował uśmiechem. Po chwili wesołości cesarz spojrzał nieco poważniej.

–Mówiąc zupełnie szczerze i bez ogródek, Głosie Kinlafia, naprawdę jestem przekonany, że Janaki nie pomylił się, co do

Ognie Piekieł

pańskiej wartości jako przyszłego polityka. Podzielam też jego opinię, iż udzielenie panu pomocy na początku kariery leży w dobrze rozumianym interesie, zarówno

całej Sharony, jak i dynastii Calirath. Proszę jednak pamiętać, że zbyt silne i zanadto ostentacyjne wsparcie pańskiej osoby, mogłoby się dla mnie okazać fatalne w skutkach. Nie zamierzam proponować panu żadnego quid pro quo, nie zawrzemy żadnego „układu”, ani nie poproszę pana o zobowiązanie, by został pan „moim człowiekiem” w parlamencie. Po pierwsze, dlatego, iż uważam, że przyjąłby pan mojej pomocy, gdyby wiązały się z tym jakiekolwiek zobowiązania na przyszłość. A po drugie, dlatego, że ludzie, którzy raz sprzedadzą się w zamian za obietnicę władzy, prawdopodobnie zrobią to ponownie w przyszłości, lecz już dla

kogoś innego. Po trzecie wreszcie, dlatego, że ludzie którzy podzielają wiarę w nasze wartości i zgadzają się z prowadzoną przez nas polityką, dlatego że wierzą w ich słuszność są zwykle o wiele cenniejszymi sojusznikami niż ci, których lojalność, mówiąc brutalnie, kupujemy.

–Trzeba jednak pamiętać – ciągnął cesarz – że gdybym

wspierał pana w kampanii zbyt aktywnie, znaleźliby się z pew

nością i tacy, którzy nie daliby wiary, iż nie został pan przeze

mnie podkupiony obietnicą poparcia w zamian za późniejszy

rewanż. Mam nadzieję, że to jest dla pana zrozumiałe?

–Ależ oczywiście, Wasza Wysokość.

–Świetnie. Mając to wszystko w pamięci myślę, że możemy zaaranżować panu porządny start. Przy tym, najprawdopodobniej da pan opinii publicznej porządnego kopa.

–Wasza Wysokość?

–Jestem pewien, że wie pan już, iż nadchodzący tydzień pełen będzie – aż do przesady – wydarzeń mających uświetnić formalną ratyfikację Aktu Unifikacyjnego. Kulminacją uroczystości ma być bal koronacyjny i sama koronacja, która odbędzie się w następnym tygodniu. Można więc w zasadzie powiedzieć, że udało się panu wrócić w samą porę. Ceremonia podpisania aktu ma się bowiem odbyć już dziś wieczorem, w Wielkiej Sali Tronowej. Niestety będzie to jedna z tych nieznośnie nadętych

*110David Weber i Linda Evans*

uroczystości, w oficjalnych strojach i butach, od których ma się już odciski po pięciu minutach chodzenia. Na szczęście jednak, biorąc pod uwagę jak niedawno pan do nas przybył, a także fakt, że nikt nie spodziewa się, że przywiózł pan ze sobą

formalny ubiór, może pan uniknąć tego obowiązku.

Wyraz twarzy Kinlafii przypominał Zindelowi minę zapędzonego w kozi róg królika. Cesarz uśmiechnął się łobuzersko.

–Nie uniknie pan jednak – powiedział telepacie – zaplanowanej na jutrzejsze popołudnie parady. Z tego co wiem, to będzie tam po prostu wszystko, co wymyślono na potrzeby parad. A zatem cała impreza okaże się niezwykle jarmarczna. Będą platformy, orkiestry dęte, mimowie, żonglerzy. Oddziały wojsk z conajmniej dwóch tuzinów krajów i cokolwiek sobie można wymarzyć. A pan, Głosie Kinlafia, stanie się jedną z głównych atrakcji wieczoru.

–Słucham? – wyrwało się Darcelowi i cesarz zauważył, że głos przyszłego pośła zabrzmiał dziwnie sztywno.

–Proszę się tak nie dziwić. Jest ku temu wiele powodów. Być może najważniejszym z nich – i mówię to śmiertelnie poważnie – jest ten, że jest pan osobą, która wiąże nas z

postacią Shaylar-Zindel spochmurniał i spojrzał telepacie prosto w oczy. – Rozumiem, że dla

pana może się to okazać sytuacją niezręczną, ale tak już po prostu jest i obywatele Tajwany –

podobnie zresztą jak wszyscy mieszkańcy Sharony – muszą pana zobaczyć. Przekazy USMS

sprawiły, że stał się pan symbolem losu, który spotkał cały wasz zespół badawczy\* A teraz,

w okresie tak wielkiej niepewności i gdy cały porządek świata może w każdej chwili runąć,

waga symboli jest nie do przecenienia.

Widać było, że Kinlafia chce zaprotestować wobec analizy cesarza. Przez moment Zindel spodziewał się, że coś takiego właśnie zaraz usłyszy. Ale wtedy jednak, w oczywisty sposób wbrew własnej woli, Głos powoli skinął głową.

–Jednocześnie jednak – wznowił Zindel po chwili milcze

nia – polityka nie przestaje przez to wszystko być jednym z naj

bardziej pragmatycznych zajęć ludzkości. Mówiąc bez ogró

dek, w polityce chodzi o to, żeby przy każdym ogniu upiec naraz

## Ognie Piekieł181

jak najwięcej pieczeni. Proszę nie mieć złudzeń, Głosie Kinla-fia. Nawet mężowie stanu pełni jak najwznioślejszych idei, muszą postępować dokładnie tak, jak właśnie powiedziałem. Inaczej nie osiągnęliby niczego. W tym konkretnym wypadku – uroczystość skupiająca tak wiele uwagi, jak Parada Unifikacyjna zapewni panu bezcenną możliwość pokazania się i rozpoczęcia politycznej kariery. I – o ile nie będzie pan mieć nic przeciwko temu – osobiście dopilnuję, by jak najpełniej wykorzystał pan tę szczęśliwie nadarzającą się okazję.

–Przepraszam, ale chyba nie do końca rozumiem, Wasza Wysokość?

–Za kilka chwil szambelan odprowadzi pana do gabinetu Alazon Yanamar – Kinlafia zrobił nie rozumiejącą minę i Zin-del wyjaśnił – Alazon jest moim osobistym głosem i jednym z najcenniejszych członków Rady. Ale nie tylko. Jest też szefową mojego sztabu politycznego i – zaraz po Pierwszym Doradcy Taje – najważniejszym z moich doradców. To ona właśnie zajmie się tym, by pańska osoba została podczas jutrzejszych uroczystości jak najlepiej wyeksponowana. Alazon zajmie się także kwestią pańskiego odzienia.

Znów zabłysnął uśmiech na ustach Caliratha. Kinlafia odpowiedział swoim, choć grymas telepaty zdawał się być nieco bardziej nerwowy.

–Proszę mi zaufać, Głosie Kinlafia. Alazon zrobi to tak de

likatnie, że nawet pan nie poczuje. Poza tym, mam wrażenie, że się polubicie.

–Tego jestem pewien, Wasza Wysokość – odpowiedział uprzejmie Kinlafia.

–Jak już wspominałem, Alazon jest także spośród moich zaufanych osób, tą najbardziej odpowiednią do udzielania rad politycznym neofitom. Ona będzie wiedzieć, w jaki sposób Korona może się przysłużyć pana karierze, by nie było to zbyt ostentacyjne i natrętne.

–Rozumiem, Wasza Wysokość.

Zindel zauważył, że Kinlafia nie wyzbył się jeszcze wszystkich uprzedzeń, co do przyjęcia cesarskiej pomocy. I choć wiedział, że

mi

o iiiel. iomności charakteru telepaty świadczy to jak najlepiej, to miał równocześnie nadzieję, że Alazon przekona go ostatecznie, co do szczerości intencji Caliratha i do tego, że za jego ofertą pomocy nie kryje się żadne drugie dno.

„Przynajmniej nic w politycznym sensie” – poprawił się w myślach cesarz. – „Kwestie zobowiązań osobistych, to już przecież zupełnie co innego.”

Tyle, że Zindel wcale nie miał na myśli lojalności wobec własnej osoby.

–Po tym, jak spotka się pan już z Alazon i dopracujecie pański kalendarz na najbliższe dni – ciągnął władca – spodziewam się, że dołączy pan do nas na kolacji. Obawiam się, że dzisiaj, przez uroczystość podpisania Aktu, będzie ona wyjątkowo spóźniona.

–Kolacja?

Zindel dostrzegł rodzącą się w oczach Kinlafii panikę.

–Proszę się nie bać – wyjaśnił uspokajająco cesarz. – To nie będzie żadna sztywna uroczystość rangi państwowej. Tak naprawdę będzie pan naszym jedynym gościem. I zanim pan odmówi, proszę sobie przypomnieć, co powiedziałem na samym wstępie tej rozmowy. Żadne z nas od miesięcy nie widziało Ja-nakiego. Pan go widział. Jego matka, tak samo zresztą jak i ja, z niepokojem wyczekuje każdej wiadomości o swoim dziecku i z pewnością zechce papa poznać. Ponadto, tego rodzaju doświadczenie może się; panu bardzo przydać. Z całym szacunkiem, ale będzie pan miał okazję wejść na\*głęboką wodę w przy-jaznej, intymnej atmosferze. A na taką szansę nie powinien pan kręcić nosem.

–Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość – powiedział pospiesznie Kinlafia. – Doskonale rozumiem. I dziękuję.

–To nic takiego. Jak już mówiłem cesarzowa już od dawna wygląda możliwości porozmawiania z panem. Oczywiście pozna pan także moje córki.

# ROZDZIAŁ

## JEDENASTY

Drzwi do gabinetu Alazon Yanamar były znacznie mniej zdobne, niż do salki, w której cesarz przyjmował swych prywatnych gości. Z drugiej strony Kinlafia zauważył, że są i tak o wiele bardziej zdobione niż każde inne, jakie widział poza murami świątyni. Z goryczą przypomniał sobie, co jego politycznie zaangażowani rodzice myśleli o „cesarskich zbytkach”, a także o „zawodowych funkcjonariuszach politycznych”, do której to grupy z pewnością zaliczyliby kobietę oczekującą za tymi drzwiami. Bez względu na to, czy była Głosem, czy nie.

„Świetnie” – pomyślał. – „Po prostu świetnie. Moim politycznym strażnikiem będzie inny Głos, dysponujący wszelkimi metodami „dyskretnego nadzoru”! Zapowiada się niezła zabawa.”

Towarzyszący telepacie szambelan dyskretnie zastukał do połyskliwych drzwi. Zrobił to na tyle cicho, że Kinlafia miał przez chwilę poważne wątpliwości, czy ktokolwiek go usłyszał. Okazało się jednak, że martwił się niepotrzebnie, gdyż po chwili drzwi otworzyła młoda, złotowłosa kobieta o jasnoniebieskich oczach.

–Tak? – spytała.

–Głos Kinlafia do Alazon Yanamar – zaanonsował szambelan. Jasnoniebieskie oczy spoczęły na Darcelu.

*IS4David Weber i Linda Evans*

–Głos Kinlafia! – z tonu głosu dziewczyny biła szczerą, niekłamana serdeczność. – To prawdziwy zaszczyt móc pana poznać! Głos Yanamar oczekuje. Proszę za mną!

–Dziękuję – odpowiedział Kinlafia, trochę zaskoczony tak entuzjastycznym powitaniem i spojrzał na szambelana, który jak dotąd był jego linią ratunkową w obcym, pałacowym środowisku. – 1 dziękuję panu – dodał równie szczerze.

–Proszę bardzo – odpowiedział urzędnik. – To dla mnie zaszczyt – ukłonił się Kinlafii, potem wykonał drugi, nieco mniej głęboki, choć także pełen szacunku ukłon w kierunku młodej kobiety i zniknął gdzieś w nieskończonych korytarzach pałacu.

Dziewczyna uchyliła szerzej drzwi i cofnęła się. Telepata przyjął jej nieme zaproszenie i wszedł do przytulnie urządzonego gabinetu.

Nazywam się Ulantha Jastyr. Jestem asystentką Alazon Yanamar – przedstawiła się. Kinlafia skupił na niej swoją uwagę

**i zrozumiał, że także i ona jest silnie Utalentowaną telepatką, – Jak mówiłam ona już na pana czeka. Proszę za mną.**

**Darcel ruszył przez pokój za Jastyr i podeszli do kolejnych drzwi. W odróżnieniu od szambelana, dziewczyna nie zapukała. O przybyciu gościa poinformowała Yanamar myślami, po czym rzuciła Kinlafii uśmiech przez ramię, otworzyła drzwi i ustąpiła mężczyźnie.**

**–Dziękuję – powiedział Darcel raz jeszcze, minął asystentkę i wszedł do kolejnego dziś z niezliczonych gabinetów Pała cu Calirathów...**

*itr*

**Ten tutaj był wyższy niż salka, w której cesarz przyjął go na prywatnej audiencji, choć nie można było w żaden sposób powiedzieć, by nie był przestronny, a sufit wisiał zbyt nisko. Okna wychodziły stąd na ten sam ogród, a główny motyw dekoracyjny stanowiły tu konie. Wiele koni. Pojawiały się na licznych obrazach, dwóch gobelinach i kilku dużych, oprawionych zdjęciach zawieszonych na ścianach. Dodatkowo przez całą długość stojącego pod ścianą regału z książkami, biegła półka, na której ustawiono dosłownie tuziny ceramicznych, kryształowych i odlanych z brązu przedstawiających konie figurek. Kinlafia**

**Ognie Piekieł**

nie był co prawda znawcą sztuki, ale nie trzeba było nim być, by widzieć, że wiele z nich przedstawiało ogromną wartość artystyczną (a także rynkową).

Nadmiar koni z początku odwrócił uwagę telepaty od gospodyni biura. Trwało to jednak tylko przez chwilę. Po chwili Dar-cel odwrócił się ku niej – i zmarł.

Alazon Yanamar – ocenił – była kobietą mniej więcej w jego wieku. Smukła, zgrabna, o delikatnej budowie i jak na Terna-thiankę średniego wzrostu, co oznaczało, że była o jakiś cal niższa od niego. Od razu oczywiste stało się, że była także potężnie Utalentowanym Głosem – energię jej Talentu wyczuwał wyraźnie z odległości dziesięciu stóp.

Wszystko to była prawda. Nie to jednak od samego początku i z niezwykłą mocą przykuło jego uwagę. Nie. Gdy tylko na nią spojrzał, zobaczył przede wszystkim wielkie, niewiarygodnie głębokie i przejrzyste szare oczy oraz gęstwinę czarnych jak noc włosów, okalających owal twarzy, którą bogowie stworzyli specjalnie z myślą o śmiechu, wesołości i inteligencji.

Kinlafia natychmiast wpadł w pułapkę tych oczu. Od razu przypomniał sobie stare powiedzenie, w myśl którego oczy stanowią „zwierciadło duszy”. W odniesieniu do telepatów, powiedzenie to można było niekiedy traktować zupełnie dosłownie. Tak samo i

teraz, gdy Kinlafia zajrzał w otchłań tych konkretnych oczu, natychmiast Zobaczył siłę gorejącą w jej umyśle i sercu.

Dopiero wiele, wiele czasu później dotarło do niego, że Alazon Yanamar, mimo swej wyjątkowo zgrabnej figury, nie była kobietą piękną w jakimkolwiek zwykłym sensie tego słowa. Miała na to zbyt wysokie kości policzkowe, jej nos zadzierał się nieco zanadto ku górze, a broda telepatki była nadmiernie wyrazista. Tyle, że wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Ani wtedy, ani kiedykolwiek potem.

–Głos Kinlafia – jak na wypowiedziane kobiecym głosem, jej słowa zabrzmiały

niezwykle głęboko. Ton, którym się odezwała był bogaty i dźwięczny. Słysząc w nim było

rozmigotane nutki, które falowały niczym lustro przejrzystego jeziora

*186David Weber i Linda Evans*

nad łachą złocistego piachu. Darcel poczuł się tak, jakby zagrała mu słoneczna



harfa. **Zaczerpnął głęboko powietrza.**

**–Głos Yanamar – odparł nieco zbyt ochryple i zauważył, że**

**jej szare oczy rozszerzają się jeszcze bardziej.**

**Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zamknęła usta. Wiedział, że i ona Patrzy mu w oczy. Jej nozdrza zadrgały.**

**–O rany – powiedziała cicho. Kinlafia uniósł rękę i najdeli**

**katniej jak potrafił pogładził jej policzek.**

**Czegoś takiego nie zrobił nigdy w życiu. Z pewnością nie z kobietą, której nie widział nigdy wcześniej. W tej jednak chwili, był to najbardziej naturalny gest w całym multiwersum.**

**„Nigdy nie wierzyłem, gdy ludzie opowiadali mi o tego rodzaju sytuacjach” - pomyślał. – „To chyba kolejny dowód na to, że bogowie obdarzeni są jednak wielkim poczuciem humoru.”**

**–Cóż, to dość nieoczekiwana komplikacja – odezwała się po chwili. Kinlafia uśmiechnął się, jakby usłyszał najcudowniejszą piosenkę.**

**–Owszem – przytaknął. – Czegoś takiego się nie spodziewałem.**

**Zaśmiała się. Znów rozległ się ten przepiękny dźwięk i Kinlafia zauważył, że na jego usta samowolnie wypłynął szeroki uśmiech.**

**Gdzieś z tyłu głowy pomyślał, iż w każdej innej sytuacji czułby się jak idiota. Stał na środku biura, dotykał twarzy obcej kobiety, szczyrzył się do niej jak krety i miał wrażenie, że szybuje jakieś dziesięć cali nad podłogą. Teraz jednak nie chciał niczego innego i nie chciał czuć się ani trochę inaczej.**

**Niekiedy – bardzo rzadko – Głos spotykał Głosa i od pierwszej chwili, nie tylko rozpoznawali się nawzajem, lecz także odczuwali swoiste przeplatanie się własnych serc i Talentów. Pozostali, „zwykli” ludzie mówią co prawda często o „miłości od pierwszego wejrzenia”, ale jedynie w wypadku telepatów jest to szczerą prawdą... a jednak ta wspaniała chwila mogła obrócić się w najstraszliwszą tragedię dla obojga. Nic przecież nie gwarantowało, że ta dwójka „przeznaczonych**

**u**

**Ognie Piekieł187**

**sobie” Głosów mogła odnaleźć się na świecie i to jeszcze zanim, któreś z nich**

**pokocha osobę trzecią. Kiedy się już spotykali, a jedno z nich nie było wolne, tak głęboka zażyłość i pa-lsja powodowały niewysłowione cierpienia całej trójki. „Wcale nie kochałem Shaylar” – pomyślał Kinlafia, po czym zrugął się natychmiast. – „Nie, nieprawda. Kochałem ją i zawsze będę ją kochać. Ale to...” -1 co teraz zrobimy? – spytała, gdy śmiech opuścił już jej głos, lecz pozostał jeszcze w wesołym spojrzeniu.**

**–Mnie pytasz? – Kinlafia pokręcił głową. – Dziesięć minut**

**temu nie znałem nawet twojego nazwiska!**

**–A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – zapytała prostolinijnie.**

**–Żadnego – odparł, nie przestając pieścić jej policzka koniuszkami palców.**

**–To dobrze – na chwilę zamknęła oczy i otarła się policzkiem o jego dłoń. Potem wzięła głęboki wdech, podniosła powieki i wyprostowała się.**

**–To dobrze – powtórzyła. – Jestem pewna, że będę ci mogła o tym często przypominać. Teraz jednak, obawiam się, nie mamy zbyt wiele czasu, by zajmować się sobą.**

**–Tak, to prawda – przytaknął, ale w tej samej chwili jego Głos wyszeptał dalszy ciąg.**

**–„Ale znajdziemy ten czas dla siebie, moja pani. I to już wkrótce.”**

**„Och, oczywiście, że tak, ukochany” – obiecała. Jej myśli wygrywały tak samo piękną melodię, jak jej fizyczny głos.**

**Kinlafia zdawał sobie sprawę, że większość ludzi nigdy by tego nie zrozumiała. Z trudem by to przyszło nawet innemu telepacie. Darcel znał to z własnego doświadczenia. Gdy widział coś podobnego między dwójką innych Głosów, ciężko mu było pojąć, czy lepiej**

**–uwierzyć – że dwie zupełnie obce sobie osoby mogą na siebie spojrzeć i w jednej chwili**

**wiedzieć, iż bogowie stworzyli ich dusze jako dwie połówki jednej całości, że dwójka nieznajomych może być tak spokojnie i niewzruszenie pewna, że ich losy są ze sobą nierozzerwalnie splecione i że tak naprawdę, od zawsze byli ze sobą.**

**188Z)aviVI Weber i Linda Evans**

**„Zupełnie to do mnie nie docierało, mimo że Mayla i Hilas próbowali mi to nieraz**

wytłumaczyć” – pokręcił w duchu głową, wspominając parę przyjaciół, którzy kiedyś chcieli przekazać mu, co czują. – „Ale możliwe przecież, że w każdym indywidualnym wypadku jest nieco inaczej. Może każde z nas odczuwa to na swój niepowtarzalny sposób? Możliwe też, że czegoś takiego po prostu nie da się wytłumaczyć, nawet telepatycznie, może należy to przeżyć samemu?”

Na te wszystkie pytania nie znał odpowiedzi. Niemniej był pewien, że on osobiście nigdy nie będzie w stanie tego wyjaśnić. Ani tego, jak do tego doszło, ani jak bardzo potężnym było to doznaniem, ani jak magicznym. Wiedział, że nie umiałby też wytłumaczyć, w jaki sposób uczucie tak przemożne i poruszające do głębi, może jednocześnie być tak pełne spokoju i ufności w przyszłość. Przypominało to nieco sytuację człowieka stojącego w oku cyklonu. Cała niewiarygodna siła namiętności, energia cudu, którym jawiło się ich spotkanie, obietnica wszystkiego, co miało się jeszcze wydarzyć, szalały dokoła nich z siłą, która mogłaby zatrząść całym multiwersum, a oni sami stali w spokojnej, kryształowej komnacie i niczym złote rybki, powoli jak we śnie, pływali w przejrzystym powietrzu.

–Usiądź proszę – powiedziała cofając się o krok i wdzięcz

nym ruchem dłoni wskazała jedno z wygodnych krzeseł, usta

wionych łukiem dokoła stolika do kawy, gdzie tworzyły przy

tulny do rozmów zakątek. – Mamy wiele do omówienia. Mam

na myśli sprawy oficjalne, oczywiście. ™\*1\*

–Oczywiście – przytaknął i skorzystał z zaproszenia.

Kobieta odczekała, aż Kinlafia usiądzie, po czym podniosła

leżącą na biurku teczkę, obeszła mebel dokoła i sama usiadła, twarzą do gościa. Jeszcze przez chwilę patrzyła mu w oczy i gdy ten moment się skończył, wyciągnęła z kieszeni wieczne pióro, zdjęła zeń skuwkę i otworzyła leżącą na kolanach teczkę. Telepata zrozumiał, że w ten sposób ostatecznie oznajmiła, iż nadeszła pora zabrać się do pracy.

–A więc – powiedziała rzeczowo – parada zacznie się...

\* \* \*

Ognie Piekieł

Zindel chan Calirath uniósł wysoko brwi. Do jego prywatnej ladalni wprowadzono Yanamar Alazon i Darcela Kinlafię.

Sala ta położona była w Skrzydle Cesarskim, stosunkowo niedawno zmodernizowanej części pałacu (w Pałacu Calirathów „modernizacja” oznaczała niekończący się proces, który

rozpoczął się już dosłownie tysiące lat temu). Tutaj płomienie gazowe i lampy naftowe zostały zastąpione nowoczesnymi żarówkami. Osobiście Zindel nie miał dla nich serca. Dawały o wiele twardsze światło, niż oświetlenie stosowane poprzednio. Niemniej, ich blask był o niebo jaśniejszy i stanowiły przy tym ogromne ułatwienie dla ludzi, którzy (jak na przykład niektórzy cesarze, których nazwiska Zindel mógł wymienić w dowolnie wskazanej chwili) zmuszeni byli do przerabiania całych ton dokumentów i raportów dziennie. Cesarzowa Varena natomiast – w odróżnieniu od męża – lubiła nowy rodzaj oświetlenia. Być może dlatego, że przy nim o wiele łatwiej było nawlec nitkę. Ponadto, nawet cesarz przyznawał, że w blasku żarówek o wiele lepiej widać było ludzkie twarze, a co za tym idzie, łatwiej odczytywało się ich wyraz.

Co przydało się na przykład w tej chwili. Jak na dwoje ludzi, którzy poznali się dopiero dzisiejszego popołudnia, oboje telepaci zachowywali się wobec siebie z ogromną zażyłością. Cesarz niemalym wysiłkiem woli stłumił w sobie chęć, by wyszczerzyć się w łobuzerskim, tryumfalnym uśmiechu. Na widok bijącej od obojga, promiennej aury, ludzka część jego osoby poczuła jednocześnie wzruszenie i zazdrość. Podobnie jak większość Calirathów obdarzonych swym rodowym Talentem, Zindel często przeklinał fakt, że Przebłyski dawały znać tylko o wydarzeniach tragicznych, a nigdy nie zwiastowały sytuacji tego rodzaju. Nikt jednak nie potrzebował się uciekać do pomocy Przebłysków, by zrozumieć, co zaszło w tym wypadku i dlatego właśnie poczuł się zwycięzcą. W najśmielszych snach nie spodziewał się, nie marzył nawet, by mogło się wydarzyć coś takiego. Cesarska, polityczna, część jego osoby natychmiast zrozumiała, jak cenny mógł się okazać w przyszłości ten nieoczekiwany związek.

*190 David Weber i Linda Evans*

„Przestań, Zindel!” – zrugął się w duchu. – „Może byś tak, choć raz potrafił się ucieszyć cudzym szczęściem bezinteresownie i nie zastanawiał się, jak je wykorzystać do tej swojej cholernej pracy! Popatrz, Alazon jeszcze nigdy chyba nie wyglądała tak radośnie.”

– Głosie Kinlafia – powiedział podchodząc do telepaty i po raz drugi dziś wyciągając do niego dłoń. Lokaj, który wprowadził Darcela do komnaty zrobił na ten widok nieco

**zaskoczoną minę, ale tego wieczoru Zindel chciał koniecznie utrzymać spotkanie w wybitnie nieformalnej atmosferze.**

**–Wasza Wysokość – przywitał się Kinlafia i uścisnął cesarską rękę z dużo większą pewnością siebie niż za pierwszym razem. – To zaproszenie stanowi dla mnie prawdziwy zaszczyt – ciągnął Głos. – A byłoby jeszcze większym przywilejem, gdyby Wasza Wysokość zechciał zwracać się do mnie po imieniu.**

**–Och, myślę, że to się da zrobić – zapewnił telepatę Zindel, po czym odwrócił się i podał wolną rękę wysokiej kobiecie u progu średniego wieku, która pojawiła się u jego boku. Była osobą niezwykle urodziwą, z pierwszymi srebrnymi pasemkami, przeplatającymi gdzieś jej włosy. Mimo swego znacznego wzrostu, sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej, tym bardziej, że stała obok cesarza w prostej sukience, co do której jednak nawet Kinlafia był pewien, że musiała kosztować tysiące marek.**

**–To właśnie jest Dąrcel Kinlafia – przedstawił gościa Zindel. – A to, moja żona, Varena. Varena, kpchanie, poznaj proszę Głosa Kinlafię.**

**Lokaj, który zdziwił się widząc swobodne powitanie Zin-dela z telepatą, teraz sprawiał wrażenie człowieka, któremu szczęka wyskoczyła z zawiasów. Cesarz zauważył to z niekłamaną przyjemnością. Służący, pracujący w Sokolim Pałacu byli już wszyscy przyzwyczajeni do nieprzyzwoicie swobodnych manier cesarza. Wielu z nich rozumiało nawet, że ten, rozmyślnie stosowany, sposób bycia był w istocie jednym ze sposobów, dzięki którym Zindel mógł pozostać przy zdrowych zmysłach, gdy przychodziło do okazji bardziej formalnych,**

**Ognie Piekieł**

kiedy na podobne ekstrawagancje ani on, ani inni członkowie cesarskiej rodziny nie mogli już sobie pozwolić. Liczni służący obsługujący władcę tutaj, w Pałacu Calirathów, musieli jeszcze do tego dojść i póki co czuli bezustanne zgorzenie.

„Cóż, to dobrze, że zaczną się do tego przyzwyczajać od razu” – pomyślał. – „Jestem zbyt stary, żeby teraz zmieniać swój sposób bycia. Poza tym, moje zdrowie psychiczne jest dla mnie jednak dość istotne.”

\* \* \*

–Głosie Kinlafia.

Kinlafia zauważył, że swoją budowę Janaki musiał odziedziczyć po ojcu, a jednak, gdy spojrzał w oczy matki księcia, zobaczył w nich echo jego cierpliwości i wytrwałości. Z łatwością mógł sobie wyobrazić Janakiego dopuszczającego się wyczynów podobnych do osławionego wybuchu jego ojca na Konklawe, na którym cesarz krzychał o „pieprzonych rybach”, ale cierpliwość, której wymagało wysłuchiwanie raz po raz relacji Kinlafii... ona z pewnością przeszła na następcę tronu z krwią matki. Darcel Kinlafia ani przez chwilę nie wątpił w to, że Zin-del chan Calirath byłby tak samo metodyczny, że strawiłby na to tyle samo czasu i zmusił się do takiego wysiłku, jak uczynił to jego syn. A jednak delikatne, kojące współczucie Janakiego, wyraźne zwłaszcza w chwili, w której Kinlafia zmuszał się do

przeżywania po raz kolejny momentu straszliwej śmierci Shay-lar, stanowiło tyleż samo dziedzictwo wrażliwości Vareny, co niezłomnego poczucia obowiązku ojca.

–Wasza Wysokość – powiedział i pochylił się nad wyciągnię

tą przez cesarzową dłonią. Mieszkańcy Nowej Farnalii nie przy

wiązywali do całowania kobiet w rękę takiej wagi, jak niektóre

inne nacje, ale szkolenie Kinlafii – zarówno to, które odebrał

trenując swój Talent, jak i to, które musiał przejść w Zarządzie

Portali – zawierało w swoim programie wiedzę o podstawowych

zasadach dobrego wychowania, obowiązujących w niemal

wszystkich najważniejszych kulturach Sharony. Co prawda jego

**wykładowcy nigdy nie podejrzewali, że ich wychowankowi  
przyjdzie całować dłoń tak wysoko urodzonej osoby i pominęli**

*Darid Weber i Linda Evans*

wszelkie subtelności, jakich zapewne wymagało powitanie z rodziną niepodzielnego władcy całej Sharony, ale przynajmniej wspomnieli o tym jednym, za co telepata był im niezmiernie wdzięczny.

„Ona jest naprawdę bardzo miła i nie zażyczyłaby sobie twojej głowy na talerzu z tak błahego powodu, jak źle wykonany powitalny pocałunek” – głęboki, dźwięczny Głos Alazon, wyszeptał mu wprost w umyśle.

„Naprawdę? Cóż za ulga!” – odparł, prostując się i spoglądając w oczy cesarzowej.

–Bardzo się cieszę, że mogłam... cię wreszcie poznać, Dar-cel – powiedziała Varena. – Żałuję, że doszło to tego wskutek wydarzeń, które wywróciły życie nas wszystkich do góry noga- mi, ale wszystko, co czytałam i co mi mówiono, świadczy o tym, że bardzo dobrze jest mieć cię tu obok, a nie pod Wrotami Piekieł. Przykro mi jedynie – spojrzenie jej zmiękło i dokończyła nieco ciszej – że musiałeś znieść za nas wszystkich tyle bólu i cierpienia.

–Wasza Wysokość – odpowiedział – to, co stało się moim przyjaciółom i mnie, było wyłączną winą ludzi, którzy się tego dopuścili i niczyją inną.

–Być może to prawda – przytaknęła – niemniej faktem pozostaje, że to ty byłeś osobą, która dla dobra nas wszystkich przekazała ostatnią wiadomość od Shaylar Nargry-Kolmayr. Wobec czego, bez względu na to, w jakich okolicznościach przyszło tego obowiązku dopełnić, wszyscy, jesteśmy ci bardzo głęboko zobowiązani.

–1 będziemy zobowiązani jeszcze bardziej – wtrącił nagle Zindel. Kinlafia i cesarzowa spojrzeli na cesarza, który zachichotał.

–Darcel jest Głosem, moja droga. Mam wrażenie, że przywiózł nam coś więcej niż tylko listy od Janakiego.

–Aleja... – zaczęła Varena, tylko po to by zamilknąć, gdy Kinlafia delikatnie ścisnął dłoń, którą nadal trzymał w swojej.

–Wasza Wysokość, rozumiem, że nie jest pani telepatką. To jeden z powodów, dla których pozwoliłem sobie poprosić, by

193 dzisiejszego wieczoru mogła nam towarzyszyć Głos Yanamar. Dowiedziałem się



**bowiem, że ona posiada zdolność projekcji.**

**–„Jeden z powodów?” – w jego myśli wkradł się melodyjny Głos. – „Podobało mi się to!”**

**–„Ciszej, kobieto!” – odparł. – „Wiedz jednak, że to nie jest dyplomacja. To prawda!”**

**–Nie miałem pojęcia, że dowiedziałaś się już i tego – mruknął Zindel. – To nie jest coś, co chętnie rozgłaszamy całemu światu.**

**–Och, o licznych talentach osobistego Głosu Waszej Wysokości dowiedziałem się znacznie więcej – zapewnił cesarza Kinlafia.**

**–Świetnie. Ale, o ile wolno mi wrócić na chwilę do spraw zawodowych, to powiedzcie mi proszę, czy udało się wam z Ala-zon ułożyć jakiś sensowny program na tę jutrzejszą, przekłętą paradę, którą będziemy musieli jutro jakoś znieść?**

**–Owszem, Wasza Wysokość – odpowiedziała za Kinlafię, Alazon. – Chciałam też powiedzieć, że krawcy wywołali u Dar-cela poważny szok.**

**–Doprawdy? – oczy Zindela zabłyśły i Kinlafia wzruszył ramionami.**

**–Wasza Wysokość, mam nadzieję, że nikogo nie urażę mówiąc, że w życiu jeszcze nie miałem na sobie równie śmiesznego ubrania. Kiedy ci krawcy pokazali mi szkice, myślałem, że żartują!**

**–Przez pięć tysięcy lat dworska moda zdążyła już przejść przez wszystkie możliwe warianty – zauważył cesarz. – Krawcom nie zostało do wymyślenia już prawie nic nowego, więc mają okresowe ataki tak zwanych „inspiracji historycznych”. Cofają się wtedy w rozwoju i na nowo proponują nam wszystkim coś, co nosiło się już kiedyś w przeszłości. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to inspiracją dla naszych aktualnych... powiedzmy, że strojów, jest okres Wailiany Wielkiej. O ile znasz dzieje Ternathii, to pamiętasz, że było to niewiele ponad dziewięćset lat temu. Moje własne dociekania pokazały oczywiście, że krawcy Wailiany inspirowali się z kolei Okresem Podbojów,**

*David Weber i Linda Evans*

który – jak teraz przyjmujemy – zakończył się około sześciuset lat przed jej panowaniem.

Kinlafia spojrział cesarzowi w oczy. Przez chwilę był pewien, że Zindel stroi sobie z niego żarty, ale...

– „Och, nie. To nie żarty” – usłyszał myśli Alazon. – „Trze ba ci wiedzieć, że bycie spadkobiercą najstarszej dynastii w hi storii Sharony ma jednak swoje wady.”

– Nie miałem pojęcia, że te stroje cieszą się tak... szacownym rodowodem, Wasza Wysokość – powiedział Darcel. – Mam tylko nadzieję, że nie wybije nikomu oka za pomocą tego zabawnego rapiera, co do którego Głos Yanamar twierdzi, że bezwzględnie muszę go jutro przypasać. Szczerze mówiąc jednak, najbardziej zaskoczyło mnie coś innego, a mianowicie to, że usłyszałem, iż na ostatnią przymiarkę mojego stroju mam się zgłosić już jutro przed obiadem.

– Nasi ludzie, niestety, mają aż zbyt duże doświadczenie w radzeniu sobie z niewykonalnymi terminami – wyjaśniła z lekkim uśmiechem cesarzowa Varena. – Trzeba ci też wiedzieć, że bezwstydnie wykorzystujemy te ich zdolności!

– Owszem – przytaknął jej mąż. – Co więcej ja...

Zindel urwał, gdyż drzwi stanęły otworem i pojawiły się w nich jego córki. Kinlafia zwrócił się ku nowoprzybyłym, uniósł brew, po czym, już drugi raz w ciągu dzisiejszego dnia zamarł, jakby otrzymał silny cios prosto między oczy.

Poznawał je wszystkie. Potrafiłby dopasować imiona do twarzy na podstawie oglądanych niedawno w gazetach fotografii. Bogowie chyba tylko wiedzieli, w ilu miejscach widział zdjęcia i rysunki przedstawiające te dziewczęta, gdy – od chwili, w której dotarł do cywilizowanych wszechświatów – zajął się pożeraniem wszelkich czasopism i dzienników. Ale w tym, co poczuł w tej chwili nie chodziło jedynie o to, że wiedział, która z nich jakie imię nosi. On je naprawdę znał!

Najmłodsza, Anbessa. Uparta, nieposłuszna jedenastolatka, złotowłosa kłębek energii. Mały postrach otoczenia, cechujący się całą odziedziczoną po przodkach determinacją, ale jeszcze bez szlifów dojrzałości, która łagodziłaby jej zbyt ostre kanty.

**Dziewczynka, która gdyby tylko zdała sobie sprawę z pełni swej mocy, mogłaby wyciągnąć od swego ojca jego własne serce.**

**Raział, druga z córek Zindela. Podobnie jak ojciec ciemnowłosa, ale nie nosząca złotych pasemek. Ta była wyższa od Anbessy, miała piętnaście lat z całym dobrodziejstwem trzpio-towatości okresu dojrzewania i towarzyszącej mu burzy hormonów. Do tego dochodził dar zdumiewającej wprost wrażliwości i talentu do dostrzegania piękna w słowach. Raział była malarką™ to właśnie jej obrazy zdobiły ściany gabinetu Zindela. W szufladzie jej biurka natomiast leżały stosy kartek zapisanych wierszami, które rozbawiłyby nawet posąg, albo – w zależności od swego tematu – doprowadziły go do łez.**

**Wreszcie Andrin. Wysoka, milcząca Andrin oglądająca świat takimi samymi, jak u jej ojca i brata szarymi jak morze, błyszczącymi wiedzą oczyma. Jej włosy przyprószone były złotem Calirathów, a duszę nawiedzał dynastyczny Talent. Trzymała się prosto niczym struna. Mimo młodego wieku wyraźnie było widać w tej dziewczynie siłę charakteru i zdolności.**

**Andrin... której sama tylko obecność zdawała się chwytać Darcela Kinlafię za gardło.**

**Głos stał, niezdolny nawet by drgnąć i oglądał przelewające się w swoim umyśle obrazy. Andrin, stojąca prosto, z twarzą pobladłą i naznaczoną bólem i oczyma, w których płonął buńczuczny ogień niezgody. Stała przed mężczyznami i kobietami siedzącymi rzędami w ławach, w jakiejś pysznej komnacie, której Kinlafia nigdy przedtem nie widział. Andrin łkająca jak załamane dziecko. Andrin rozświetlona śmiechem, wypuszczająca w niebo siedzącego na jej ramieniu sokoła, który wzbijał się ku górze niczym błyskawica o barwie kości słoniowej. Andrin w podartej sukience, z dymiącym rewolwerem w dłoni i żądzą mordy w oczach. Andrin stojąca przed wysokimi kapłanami Triady, z dłonią złożoną na Księdze Podwójnej Trójcy, jak gdyby składała jakąś ciężką i ponurą przysięgę.**

**Wszystkie te obrazy, te wizje, w jednej chwili wypełniły jego umysł. Nic z tego, co ujrzał nie miało jeszcze miejsca, ale Kinlafia był pewny – był pewny – że wszystkie oglądane wydarzenia**

**;)**

***196David Weber i Linda Evans***

**spełnią się w sposób nieunikniony. Ujrzał także samego siebie. Ujrzał siebie obejmującego łkającą mu w rękaw Andrin. Ujrzał siebie stojącego u jej boku. Była teraz starsza. Spojrzała na niego ponuro. Kinlafia wręczał jej jakiś dokument. Zobaczył, że dostrzega w niej córkę. Nie po prostu dziecko Zindela i Vareny Ca-lirath,**

ale własną córkę. Córkę swego serca, związaną z nim tak silnie jakby zrodziła się z jego ciała i kości.

To dlatego Janaki tak usilnie nalegał, żeby Darcel wrócił na Sharonę!

Zrozumiał to w jednej chwili i poczuł coś na kształt wybuchu. Darcel Kinlafia, rozumiał, co się dzieje. Ta wiedza, wizje, wszystkie te wróżby, nie należały do niego. Czy raczej – nie należały wyłącznie do niego. Przez tę jedną, pełną pomieszania i oszołomienia chwilę wiedział, jak to jest posiadać Talent Calirathów, w tym rwanym momencie dzielił go z cesarzem Ternathii. To była wizja Zindela. Jego sposób widzenia córek, który wdarł się w umysł Kinlafii dzięki telepatycznym uzdolnieniom. Jak błyskawica, która połączyła dwa pylony wiszącego mostu nad cieśniną Ylani.

Jednocześnie Kinlafia dowiedział się, jakim przekleństwem jest Talent Calirathów. Wizje były jasne i napawały żelaznym, niezłomnym przeczuciem tego, że się ziszczą. A jednak były zupełnie od siebie oderwane. Nie istniało między nimi żadne powiązanie, nie łączyła ich żadna, najcieńsza nawet nić. Nie było nijakiego sposobu, by dowiedzieć siędlaczego Andrin płakała, czy dlaczego musiała stanąć przed tak znakomitym zgromadzeniem. Żaden kalendarz nie mógł mu pomóc w odpowiedzi na pytanie, kiedy wręczał jej ten dokument, po co to robił, ani dlaczego.

Stał tak, jak wryty przez całą wieczność. Dotarło do niego, że nie mylił się od początku, podejrzewając, iż Janaki miał więcej niż jeden powód, by namawiać Kinlafię do powrotu do Taj-vany. Zrozumiał także, dlaczego Janaki nie wyjawiał mu tego wszystkiego od razu. Nie brało się to z braku uczciwości, czy jakiegokolwiek chęci oszukania lub zwodzenia, ale wyłącznie dlatego, że Kinlafia w tamtej chwili i tamtych okolicznościach nie miała szansy zrozumieć żadnego z wyjaśnień księcia.

## Ognie Piekieł197

I wtedy, równie nagle, jak się pojawiła ta niemal nieznośna wizja się urwała. Skończyła się w nieuchwytnym momencie pomiędzy jedną sekundą, a drugą. Właśnie tyle czasu było potrzeba – mgnienie pomiędzy dwoma uderzeniami serca – by życie i przyszłość Darcela Kinlafii odmieniło się na zawsze.

Zamrugnął i świat dokoła na powrót stał się wyraźny. Wyczuł zaniepokojenie Alazon i rozumiał, że mimo, iż nie dzieliła z nim wizji Zindela, to Wyczuła wrażenie, jakie na telepacie wywarły oglądane obrazy. Chciał móc jej powiedzieć, by się nie martwiła, przekonać ją, że wszystko jest w porządku. Nie mógł jednak, ponieważ nie wiedział, czy wszystko rzeczywiście było „w porządku”... i czy kiedykolwiek jeszcze tak będzie. Wiedział jedynie, że wszystko toczyło się tak, jak potoczyć się musiało.

I wiedzę tę dzielił jedynie z Zindelem. Wiedzę, której nie mógł – absolutnie nie - posiadać nikt inny. A zwłaszcza nie An-drin. Jeszcze nie. Jeszcze i być może już nigdy

nie.

**–A oto i nasze córki – usłyszał głęboki, spokojny głos Zindela chan Caliratha. –  
Dziewczęta, poznajcie proszę. To Głos Kinlafia. Coś mi mówi... – w tej chwili Darcel  
obrócił się i popatrzył w nieruchome oczy Caliratha, w których widniał ponury ciężar  
przyszłości -...że będziecie się odtąd często spotykać.**

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

Erthek Vardan odchylił się wraz z krzesłem w tył. Oparcie zetknęło się ze ścianą, a przednie nogi mebla uniosły się w powietrze. Przekręcił książkę tak, żeby światło zawieszanej pod sufitem lampy naftowej padało na jej strony pod lepszym kątem.

Ściana za jego plecami wykonana była z ociosanych i dopasowanych do siebie pni. Szpary i nierówności pomiędzy nimi zatkało gliną. Wyglądało to surowo i prowizorycznie, ale konstrukcja była niezwykle solidna i podobnie jak stromy, chroniący wewnątrz przed deszczem dach, całkowicie wodoodporna. Na zewnątrz było jeszcze na tyle ciepło\* że nie musiał rozpalać ognia trzaskającego teraz w palenisku, ale jego ciepło stanowiło przyjemny dodatek, pozwalający skuteczniej radzić sobie z wszechobecną w powietrzu wilgocią. W połączeniu z nieustannym bębnieniem łomocącej o dach ulewy wszystko to tworzyło oazę spokoju, w której człowiek mógł niemal całkowicie zapomnieć o tym, że znajduje się na samym krańcu znanego ludzkości multiwersum.

Aczkolwiek Erthek nie był osobą o słabej pamięci.

Cieszył się oczywiście, z mocnego dachu nad głową i rozgrzewającego członki ognia, lecz brakowało mu rzeczy takich,

Ognie Piekieł

## IW

jak restauracje, teatr, a szczególnie gorących kąpeli, którzycli nie trzeba było w pocie czoła, wiadro po wiadrze, szycować i podgrzewać. Nikt nie nazwałby go, co prawda hedonistą, ale kiedy, chcąc zarobić na uniwersyteckie chesne, zgłaszał się na ochotnika na trzyletnią służbę w Zarządzie Portali, nie spodziewał się, że warunki pracy okażą się aż tak prymitywne.

Niemniej zdawał sobie też sprawę, że miał pewnego rodzaju makabryczne szczęście, iż trafił akurat tutaj.

To, co stało się z zespołem badawczym Konsorcjum Chal-gyn było rzeczą straszną, ale SZZP już pokazało tym barbarzyńcom z Arkany, że potyczka z sharoniańskimi żołnierzami to zupełnie inna sprawa, inna niż mordowanie zaskoczonych, nielicznych cywilów.

Oczywiście, Erthek nie był żołnierzem. Był cywilnym pracownikiem Zarządu Portali w trakcie odpracowywania swego pierwszego przydziału. Nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat i podejrzewał, że przełożeni skierowali go tutaj, ponieważ stwierdzili, że to właśnie on ze swoją młodzieńczą werwą, a nie jakiś dziadek po

trzydziestce, będzie w stanie wytrwać na tym trudnym posterunku. Wyjaśnienie mogło też jednak być o wiele prostsze. Co więcej -prawie na pewno takie było. W końcu był prawdopodobnie najmłodszym Głosem na liście płac Zarządu i kiedy wysyłano go do Thermyn nikt nawet nie podejrzewał istnienia Wrót Piekieł, a co dopiero tego, co czekało po ich drugiej stronie. Wtedy było to po prostu najmniej istotne ze wszystkich, stanowisko pracy dla telepaty, więc sensownym było odesłanie tu najmniej doświadczonego.

Okazało się jednak, że ten przydział niemal na pewno zagwarantował Erthekowi późniejszą karierę. Nikt przecież nie zapomni jego roli w przekazywaniu wiadomości, z i do Wrót Piekieł. Nazwisko Erthek Vardan miało trafić do podręczników historii. Prawda, że wspaniale? Sama myśl o tym oszałamiała, ale w tym oszołomieniu i zadowoleniu było też coś więcej. Twarde, żadne zemsty coś, co cieszyło się z każdego przekazu, mówiącego o klęskach morderców Shaylar Nargry-Kolmayr i jej towarzyszy, biegnącego w górę Sieci Głosów.

*David Weber i Linda Evans*

Wcześniej żadną miarą nie spodziewał się, że na tak wczesnym etapie pracy w Zarządzie przypadnie mu w udziale tak ważne zadanie. Szczerze mówiąc, ucieszył się nawet, gdy do Fortu Brithik dotarł wreszcie młodszy kapitan Waird chan Ly-rosk. Chan Lyrosk był Ternathianinem przydzielonym do służby w SZZP, wobec czego został nie tylko cywilnym przełożonym Ertheke w ramach Zarządu, ale miał także za sobą autorytet oficera. Erthek zdawał sobie sprawę, że zapewne zatęskni jeszcze za niezależnością, z której cieszył się, będąc do tej pory jedynym Głosem, pozostającym w dyspozycji komendanta fortu, kapitana chan Robarika... ta wada jednak nie przesłaniała ulgi, jaką poczuł na myśl o tym, że ktoś inny weźmie oficjalną odpowiedzialność za jutrzejszy krytyczny przekaz.

Skrzywił się na tę myśl, po czym oderwał wzrok od książki i spojrzał na zegar, miarowo tykający na kominku. Krople deszczu ze wzmożoną siłą łomotały w dach i Erthek po raz kolejny poczuł wdzięczność wobec losu za ciepły, trzaskający ogień. Pod tą wdzięcznością skrywało się jednak coś więcej, jakieś pęczniejące ziarno niepokoju. Nie było to uczucie na tyle intensywne, by mógł je nazwać strachem, ale z pewnością coś było na rzeczy. Nie spodziewał się co prawda niczego istotnego do przekazania, ale cały dzień bez

znaku życia od Shansaira Baulwana nie zdarzał się często. Jeżeli nawet nie było żadnej informacji, to Shansair wysiłał się przynajmniej na tyle, by dać Erthekowi znać, że wyłącza się na noc, by młodszy telepata nie musiał na darmo Nasłuchiwać według ustalonego schematu.

„No cóż” – pomyślał – „jeśli on nie odezwie się do mnie w ciągu następnej półtorej godziny, to ja wyślę mu wiadomość z pytaniem, czy będzie w porządku jeśli się położę. Powinien mnie przecież usłyszeć, chociaż ja nie potrafię tego zrobić bez wprowadzania się w trans. Tymczasem...”

Jeden z kurczaków mieszkających w kurniku stojącym tuż przy budynku stacji, załopotał skrzydłami i zagadał głośno, jakby czymś przestraszony. Erthek zaczął nasłuchiwać – problemy z rysiem zaczęły się już jakiś czas temu – i odruchowo spojrzał na wiszącą na ścianie strzelbę. Tyle, że dźwięk, jaki wydał z siebie

**Ognie Piekieł**



ptak brzmiał bardziej rozpaczliwie niż zwykle gdakanie przestraszonej kury. Z pewnością reakcja na widok skradającego się rysia byłaby zupełnie inna. Erthek zachichotał. Pewnie to deszcz zaczął zacinać przez siatkę z boku kurnika i zwierzęta dawały po prostu światu znać, jak bardzo to niemile.

Niemniej dźwięk zadziałał niemal jak budzik i Głos raz jeszcze rzucił okiem na zegarek, wsunął zakładkę między kartki czytanej powieści, zamknął książkę i złożył ją na kolanach. Zamknął oczy i wprowadził się we wstępną fazę telepatycznego transu. Dzięki niemu zyskiwał zwiększoną wrażliwość i poszerzał zasięg, na jaki mógł odbierać komunikaty. Zaczął Nasłuchiwać. Z całych sił Słuchał, czy nie nadchodzi jakikolwiek przekaz od młodszego kapitana Baulwana. Nic. Cisza. Zmarszczył lekko brwi i zaczął...

\* \* \*

Dowodzący pięćdziesięcioma Iftar Halesak, dowódca drugiego plutonu, kompanii A, Drugiej Andarańskiej Temporalnej Brygady Rozpoznawczej, poruszał się w przemokniętej, deszczowej ciemności, cicho niczym wąż. Nie prosił o to zadanie, ale dlatego tylko, że nic o nim wcześniej nie wiedział. A gdyby wiedział, założyłby z pewnością, że to przydział, który powinien przypaść Siłom Specjalnym. Niestety, okazało się, że dwutysięcznik Har-shu nie miał do dyspozycji tylu komandosów, ilu by sobie życzył. Dowódca sił ekspedycyjnych z pewnością się z tego zanadto nie cieszył, ale Halesak i owszem. Cieszył się tak bardzo, że do współczucia wobec dylematów oficera, musiał się zmuszać.

Jako oficer Drugiej Andarańskiej Halesak bez względu na wszystko inne pragnął zemsty za to, co Sharonianie zrobili kompanii C, za to, że zmasakrowali ją tak bezlitośnie. Niektórych z poległych Halesak znał ponad dziesięć lat, a wszyscy z nich byli przecież jego towarzyszami broni. Byli jego rodziną. Co więcej – jeden z zabitych był jego szwagrem. Z drugiej strony, jakąś częścią siebie czuł niemal wstyd na myśl o tym, jak niewiele w istocie los kompanii C dla niego znaczył... w porównaniu z innym wydarzeniem. Będąc jednym z niewielu oficerów armii Unii, należących do kasty *garthan* Iftar Halesak czuł, że

*202 David Weber i Linda Evans*

jego serce goreje białą, ślepą furią na myśl o tym, że rzeźnicy z Sharony zastrzelili magistra Halathyna vos Dulainaha jak psa. Jak wściekłego psa.

Halesak nienawidził całej kasty *shakira* i całego tego, wynaturzonego systemu, który *shakira* nazywali społeczeństwem. Od innych miał więcej szczęścia, ponieważ jego ojciec miał na tyle determinacji i odwagi, że udało mu się uciec z Mythal zanim

jeszcze Iftar przyszedł na świat. Okazało się to szczęściem tym większym, że chłopak przyszedł na świat z Darem, którego ojciec nie posiadał. Nie był to może Dar szczególnie mocny, ale – gdyby dziecko przyszło na świat w Mythal – wystarczyłoby do tego, by *shakira* odebrali małego Iftara biologicznym rodzicom i oddali na wychowanie rodzinie z własnej kasty.

Tak więc, ani półsetnik Halesak, ani jego dwie siostry nie zaznali osobiście, łamiącego karki jarzma kasty *shakira*. Iftar zdawał sobie jednak sprawę, że doświadczyli tego jednak inni członkowie jego rodziny, a także żona, gdy jeszcze była małą dziewczynką. I właśnie dlatego, że cierpieli to wszystko jego najbliżsi, półsetnik odbierał emocjonalnie to, co inni obywatele An-dary ogarniali jedynie rozumem. On wiedział, że społeczeństwo Mythal nie jest po prostu niefortunnie urządzone. Wiedział, że jest przesiąknięte do szpiku kości czystym złem. I przez to właśnie zdawał sobie także sprawę, jak szczególną i wyjątkową osobą był Halathyn vos Dulaujah. Wiedział, jak silny wewnętrznie musiał być człowiek, którego Dar i intelekt prowadził przez życie jako klejnot w koronie kasty *shakira*, iktóry mimo to zdecydował się odrzucić całą władzę, prestiż, przywileje dla siebie i rodziny, wyłącznie dlatego, że jego sumienie podpowiedziało mu, że tak właśnie będzie dobrze i słusznie.

Przez całe swoje życie Iftar Halesak nie spotkał ani jednego *shakira*, który byłby wart tego, by poświęcić za niego własne istnienie. Ale o Halathynie vos Dulainahu słyszał każdy *garthan*, tak samo, jak każdy *garthan* wiedział, ile naukowiec zrobił dla ich sprawy. A teraz, ten właśnie człowiek został zamordowany jak zwierzę. Tego nie mógł wybaczyć Sharonianom żaden *garthan* we wszystkich zajętych przez Arkanian wszechświatach.

## Ognie Piekieł2/;\

Półsetnik Halesak wiedział, że przemykając się teraz ostrożnie przez noc, niesie na swoich ramionach nadzieje, pragnienia i gniew całej swojej kasty.

Wraz ze swoimi ludźmi, ostatnie dwadzieścia jeden godzin spędził czekając w ukryciu wśród mokrych, ociekających deszczem drzew otaczających polanę, na której stał zajmowany przez Głos domek. Musieli oczywiście zachowywać ostrożność, ale nie było to zbyt wielkie wyzwanie dla kogoś, kto przeszedł szkolenie w Drugiej Andarańskiej. Teraz – o ile wszystko poszło zgodnie z planem – pierwszy pluton kompanii A miał zaatakować, dokładnie w tej samej chwili następną stację sieci Głosów za Fortem Brithik.

Zwolnił i zatrzymał się, gestem uniesionej ręki, rozkazując to samo żołnierzom ze swego plutonu. W kurniku zbudowanym obok budynku stacji, głośno zagdakała kura. Mimo targających nim płomieni gniewu czekał cierpliwie w strugach deszczu, aż hałaśliwe ptaszysko wreszcie się uspokoi. Nie trwało to zbyt długo, a czas

wyczekiwania półsetnik wykorzystał na porównanie tego, co widział z informacjami uzyskanymi wcześniej od pięćsetnika Neshoka. Dokładność dostarczonych przez wywiad danych okazała się wprost zdumiewająca. Kura zamilkła i Iftar ponownie ruszył naprzód.

W porównaniu z ciężarem kuszy, którą zwykle nosił, sztyletnia wydawała się absurdalnie wręcz lekka. Sztyletnie nosiło jako broń przyboczną wielu Obdarzonych, arkaniańskich żołnierzy. Niemniej rzadko używano ich w charakterze broni ofensywnej. Miały na to zbyt krótki zasięg. Jeśli na dodatek załadowane zostały ognistymi kulami – które były standardowym magicznym ładunkiem, umieszczanym w sztyletni – nie można też było polegać na ich celności, a dziwnym trafem, większość żołnierzy wołała jednak nigdy nie znaleźć się w polu rażenia własnych pocisków. Ponadto, Obdarzeni przeciwnicy z łatwością mogli wykryć obecność sztyletni, więc nie nadawały się one do tajnych operacji. W tym jednak wypadku, już od dawna było wiadomo, że zbudowany z bali budynek stacji nie ma okien, przez które mogłyby wydostać się zdradziecki błysk

#### *204 David Weber i Linda Evans*

światła, a walcząc z barbarzyńskimi obcymi nie należało się martwić o magiczną detekcję sztyletni. Sharonianie nie znali czarów i jeszcze trzy miesiące temu nie podejrzewali nawet ich istnienia. Halesak uśmiechnął się do siebie pod nosem.

Minęła jeszcze jedna chwila i wraz ze swoją najbardziej wysuniętą drużyną, dotarł tuż pod drewniany budynek. Półsetnik zdawał sobie sprawę, że to zadanie powinien powierzyć miecznikowi swojego plutonu i zdecydował, że być może zrobi tak następnym razem. Ale nie tej nocy. O nie. Tej nocy na pewno nie mógł tego zrobić.

Skorzystał z chwili czasu i raz jeszcze rozejrzał się dokoła. Kiedy uznał, że wszystko jest w porządku położył lewą dłoń na klamce i zaczerpnął głęboko powietrza. Drzwi okazały się otwarte, a klamka łatwo ustąpiła pod naciskiem jego ręki. Rzucił się naprzód. Uderzył ciężkie, drewniane skrzydło ramieniem i wpadł jak błyskawica do wewnątrz.

Według informacji uzyskanych przez pięćsetnika Neshoka, w budynku stacji, na stałe mieszkało jedynie trzech ludzi, z których tylko jeden był Głosem. Halesak spodziewał się, że i ta informacja, podobnie jak wszystkie pozostałe okaże się dokładna. Nie przypuszczał jednak, że tak szybko stanie twarzą w twarz z obcym telepatą. Przez chwilę nie chciał wierzyć, że wszystko poszło tak gładko. Ale wtedy na cywilnej kurtce mężczyzny zobaczył

brązową oznakę w kształcie sokoła.

**Erthek Vardan uniósł gwałtownie głowę i otworzył szeroko oczy. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Nie wiedział nawet, skąd wziął się dźwięk, który tak gwałtownie wyszarpnął go z lekkiego transu.**

**I nigdy już się nie dowiedział.**

**Podniósł co prawda powieki, ale gdy Iftar Halesak uniósł swoją sztyletnię i odpalił pierwsze z niesionych w niej zaklęć, nie zdążył jeszcze nawet skupić wzroku. Przez pomieszczenie przemknęła magiczna, na wpół materialna, błyskawica. Trafiła Ertheka prosto w pierś. Serce i płuca telepaty dosłownie eksplodowały w jego, w żaden sposób nie chronionym przed magią, ciele.**

**Ognie Piekieł**

Umarł zanim zdążył zobaczyć swojego zabójcę.

\* \* \*

Kwaśny, drażniący gardło dym, nadal wzbijał się we wcześnie-snoporanne niebo z ruin sharoniańskiego fortu, który niegdyś strzegł portalu pomiędzy Nową Uromathią i Thermyn. Pierwsi jeńcy zostali już przepędzeni na powrót do Nowej Uromathii.

Alivar Neshok stał na zewnątrz zdobytego przez Arkanian posterunku Głosów i przyglądał się wszystkiemu z uwagą. Miał nadzieję, że jego strategia oślepienia Sharonian przez eliminację kolejnych telepatów nadal działała tak skutecznie, jak o tym zapewnił dwutysięcznika Harshu. Jak dotąd jednak wszystko zdawało się przebiegać pomyślnie i Neshok nie spodziewał się większych kłopotów.

Stuprocentowej pewności nie miał, ale od jakiegoś czasu podejrzewał, iż ktoś złożył na jego metody śledcze skargę u ty-sięcznika Carthosa lub tysięcznika Toralka. Mógł to być

na przykład pięćsetnik Vaynair, który nigdy nie ukrywał swojej opinii na temat pracy wywiadowcy. Jednak nawet, jeśli Uzdrowiciel poszedłby ze swymi narzekaniami wyżej, to -Neshok tego był pewien – nikt nie zechciałby go wysłuchać.

„Już prędeż kazaliby się temu dupkowi wynosić” – pomyślał pełen samozadowolenia Neshok.

Satysfakcja jednak szybko ustąpiła skupieniu na widok podkomendnych, którzy kopniakami i poszturchiwaniem, przeprowadzali przez portal kolejną grupę Sharonian. Tym razem udało się im schwytać więcej jeńców. W Fortcie Brithik stacjonował bardziej liczny garnizon, a ponadto większa ilość ludzi znajdowała się w chwili nalotu, w dających ochronę przed ogniem budynkach. Siły ekspedycyjne całkowicie zaskoczyły obrońców, między innymi dzięki temu, że półsetnik Halesak z powodzeniem zneutralizował telepatę w posterunku w Nowej Uromathii.

Teoretycznie taki sam los powinien też spotkać już Głos, który stacjonował w następnej stacji przekaźnikowej za Fortem Brithik. Tu sprawa jednak była bardziej problematyczna, gdyż Neshokowi nie udało się wyciągnąć od przesłuchiwanego jeńców, tak samo dokładnych informacji, co do lokalizacji tamtego

posterunku. Niemniej, żołnierze znali obszar w jakim należało się go spodziewać, więc Neshok pozwolił sobie nalegać na ty-sięcznika Toralka, by tym razem zrezygnowali z wykorzystania smoków żółtych. Wywiadowca podkreślał, że w samym forcie nie powinno być żadnego Głosu, a kolejni jeńcy byli bardzo potrzebni. Zresztą nawet, gdyby się okazało, że jakiś telepata znajduje się w forcie, to następne ogniwo ich sieci także już najprawdopodobniej nie istniało. Tysięcznik w oczywisty sposób nie darzył Neshoka zbyt gorącymi uczuciami, ale musiał przyznać, że uzyskanie kolejnych informacji stanowi w obecnej sytuacji priorytet.

Zatem smoki bojowe wynurzyły się z ciemności nad fortem i wypełniły noc swoim ogniem. Nawet bez trujących wyziewów żółtych, czerwonym smokom udało się zabić ponad dwie trzecie załogi Fortu Brithik. Do niewoli dostało się prawie stu sześćdziesięciu jeńców i Neshok za wszelką cenę chciał przerzucić ich na drugą stronę portalu, zanim ewentualnym, znajdującym się wśród nich Głosem udałoby się przekazać wiadomość w górę łańcucha, co było szczególnie ważne póki nie było jeszcze pewności, czy sieć została skutecznie zerwana.

Jeśli ta mała, arogancka suka mówiła prawdę na temat tego, że portale uniemożliwiają działanie zdolności telepatów, tak samo, jak uniemożliwiały rzucanie zaklęć, to przeniesienie jeńców do Nowej Uromathi powinno – przynajmniej teoretycznie – uciszyć ewentualnych bohaterów.

„Chociaż, nie wierzę, że ta dziwka mówi prawdę na jakikolwiek temat! Cholera. Nie dałbym jej wiary nawet, gdyby mi powiedziała, że jutro też wszędzie słońce! Ten pieprzony idiota Olderhan uwierzy natomiast we wszystko, co mu powiedzą jego cenni *shardonai*. Ja jednak nie mam zamiaru przez niedopatrzenie ryzykować powodzeniem całej operacji!”

Wykrzywił usta przypominając sobie, że to właśnie brak kompetencji setnika doprowadził do wybuchu całej tej wojny. Po chwili jednak zebrał się w sobie i ruszył w stronę miejsca, w którym jego ludzie ustawiali zebranych po tej stronie portalu jeńców.

Ognie Piekieł

–Pięćsetniku! – zawołał oszczepnik Porath i stanął na baczność, gdy Neshok wyszedł z panującej przed świtem szarówki. Wywiadowca uśmiechnął się.

Porath cały czas wykazywał się niezmiennym entuzjazmem oraz wyjątkową sprawnością. Tak samo, jak tu, zachowywał się w Forcie Shaylar. Z przeznaczonych Neshokowi żołnierzy kilku okazało się sprawnymi, choć było też i parę osób, co do których się rozczarował. Porath jednak był z nich wszystkich zdecydowanie najlepszy i pięćsetnik postanowił, że wystąpi o przeniesienie oszczepnika do wywiadu, gdzie jego niewątpliwe zdolności będą mogły zostać znacznie pełniej wykorzystane.

–Spocznij, Lisaro – powiedział.

–Tak jest, pięćsetniku – rzucił oszczepnik. – 1 co my tu mamy? – ciągnął Neshok. Oficer wywiadu splótł ręce na plecach i obrócił

się twarzą do świeżo przybyłej grupy przerażonych, zszokowanych jeńców. Większość z nich była ubrana tylko częściowo. Spali jeszcze, kiedy na fort runął arkaniański atak. Kilku jednak miało na sobie mniej lub bardziej kompletne mundury. Ci bez wątpienia mieli akurat służbę, lub właśnie się do niej szykowali. Wszyscy spoglądali na niego z coraz lepiej znaną Neshokowi mieszaniną przerażenia i chęci oporu.

–No cóż, pięćsetniku – odezwał się Porath. – Obawiam się,

że znalazłem coś takiego.

Wyciągnął rękę do przełożonego. Neshok zmarszczył brwi i odebrał od oszczepnika niewielki, brązowy znaczek w kształcie sokoła. Przez moment poczuł skurcz żołądka.

Uświadomił sobie bowiem, iż informacje, które zdobył podczas wcześniejszych przesłuchań wcale nie były dokładne. Przyjrzał się odznace i prychnął. Wiedział już, że Sharonianom zależało na jak najszybszym przerzuceniu posiłków do strefy kontaktu. Najwyraźniej, część uzupełnień udało im się podciągnąć prawie na czas.

–Podejrzewam, że nie znalazłeś tego na niczym ubraniu, prawda, oszczepniku? – spytał Neshok z zimnym uśmiechem.

–Nie, pięćsetniku. Znalazłem tylko to – to znaczy, znalazł to jeden z moich żołnierzy. Leżało na szlaku łączącym ten posterunek z fortem.

–Co zdaje się sugerować, że ktoś z siebie tę błyskotkę zdjął i bardzo chciał ją zgubić? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć, oszczepniku? – zapytał pogodnym tonem Neshok.

–Tak jest, pięćsetniku. Uważam, że dokładnie tak było.

–Cóż, myślę, że masz rację – Neshok zaczął się bawić, podrzucając znaczek w powietrze i łapiąc go w garść. Po dwóch czy trzech razach, zwrócił się bezpośrednio do jeńców.

–Ja doskonale wiem, co to oznacza – powiedział, korzystając z zakłęb tłumaczących i uniósł odznakę nieco wyżej. – Przynajmniej jeden z was jest tym, kogo nazywacie „Głosem”. Chcę teraz wiedzieć ilu z was i kto.

Nikt nie odpowiedział i Neshok wyszczerzył zęby. Bez względu na to, który z nich - lub którzy – był Głosem, odznaczał się najwyraźniej wyższą od pozostałych inteligencją. Nie mógł co prawda wiedzieć, jaki los Neshok szykował dla ludzi z jego uzdolnieniami, ale w oczywisty sposób zdawał sobie sprawę, że Arka-nianie mogli poznać znaczenie brązowego znaczka z sokołem.

–Pytam was uprzejmie – oznajmił pięćsetnik. – 1 pytam was

w ten sposób po raz pierwszy i ostatni.

Nadal nie odezwał się żaden z jeńców. Uśmiech Neshoka stał się jeszcze szerszy. Z jednej strony, przy założeniu, iż Shaylar w swoich zeznaniach przynajmniej niekiedy zbliżała się do prawdy, ukrywający się wśród sharoniańskich jeńców Głos, został zneutralizowany przez sam fakt przeprowadzenia go na tę stronę portalu. Z drugiej strony – Shaylar raczej na pewno kłamała, przynajmniej w tych kwestiach, w których mogła mieć nadzieję, że mijanie się z prawdą ujdzie jej na sucho. A biorąc pod uwagę głupotę Olderhana, do tej drugiej grupy należało prawie wszystko. Zresztą-nawet, gdyby telepata rzeczywiście został już unieszkodliwiony, to Neshok i tak nie mógł zrezygnować z tak świetnej okazji do wywarcia psychologicznej presji na pojmanych.

Poza tym – jego osobiste spotkanie z Shaylar, nie zostawiło w nim szczególnie sympatycznych uczuć w stosunku do Głosów.

–Oszczepniku Porath? – odezwał się Neshok i wyciągnął

dłoń.

Ognie Piekieł209

Porath podał mu egzemplarz zdobytej na wrogu, podręcznej broni – jeden z „rewolwerów”. Neshokowi bardzo się ona nie podobała. Nie lubił jej bolesnego (i –



choć do tego nie lubił się przyznawać nawet sam przed sobą – budzącego lęk) odrzutu, a ponadto ciężko mu się było przyzwycząić do potężnego huku i jaskrawego błysku, towarzyszącego każdemu strzałowi. Niemniej, zmusił się, by zdobyć przynajmniej średnią biegłość w posługiwaniu się rewolwerem, choć w chwilach uczciwości wątpił, czy potrafiłby trafić w cokolwiek bardziej oddalonego. Ale zmusił się, ponieważ potrzebował broni, którą Sharonianie dobrze znaliby z widzenia. Skinął Porathowi głową i oszczepnik na chybił trafił wyciągnął szarpnięciem za kołnierz bluzy jednego z jeńców. Sharonianin miał ręce skute na plecach i nie miał innej możliwości, jak poddać się żołnierzowi. Porath popchnął go ku Neshokowi.

–Czy może teraz Głos zechce się nam przedstawić? – zapy

tał wywiadowca i mocno przycisnął lufę zdobyczej broni do skroni jeńca.

Jeńcy niezmiennie milczeli. Neshok wzruszył ramionami.

–Jak chcecie – powiedział obojętnie i nacisnął spust.

Był to pierwszy raz, gdy użył „rewolweru” zgodnie z jego przeznaczeniem. Odrzut

broni był równie nieprzyjemny jak wcześniej, ale na to był przygotowany. Tym, na co nie był zupełnie gotowy, był plusk jaki wydała z siebie głowa jeńca, gdy ołowiany pocisk rozerwał ją na strzępy. Krew i fragmenty tkanki chlapnęły na oficera, ale udało mu się zachować kamienną twarz. Zwłoki jeńca poleciały do tyłu i ciężko runęły na ziemię.

Reszta Sharonian obserwowała to szeroko otwartymi oczyma. Najwyraźniej nie mieściło im się w głowie, że oto jeden z nich został z zimną krwią zastrzelony.

„No cóż” – pomyślał. – „Przynajmniej już wiedzą, do czego jestem zdolny. I bardzo dobrze.”

–Czy Głos zmienił może zdanie? – spytał, przyglądając się

Porathowi, który wybrał – znowu losowo – następnego jeńca.

Drugi z Sharonian potknął się, szarpnięty. Twarz miał spiętą i bladą. Próbował zapierać się piętami, ale bez pomocy rąk

*210David Weber i Linda Evans*

wszelkie próby oporu były daremne. Portah zaciągnął go na miejsce, w którym zginał jego towarzysz i Neshok po raz drugi dziś przyłożył wylot lufy do ludzkiej

skroni.

–Stój! – zawołał jeden z Sharonian.

Neshok obrócił spojrzenie, uniósł brew i przyjrzał się badawczo jeńcowi. Sharonianin wydawał się nieco starszy od większości jeńców. Powyżej pasa ubrany był jedynie w pozbawioną rękawów podkoszulkę, co oznaczało, że nie nosił na sobie żadnych insygniów. W jego oczach czaiło się jednak coś twardego, buńczucznego, podobnie jak w oczach chudego starszego zbrojnego w Forcie Shaylar.

–To ja jestem Głosem – oznajmił Sharonianin.

–Czyżby? – Neshok przyjrzał mu się jeszcze przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i odepchnął wylosowanego przez Poratha jeńca z powrotem do szeregu. – Chodź no tu.

Człowiek, który twierdził, że jest telepatą podszedł prosto do Neshoka i spojrzał mu w twarz.

–A więc to ty jesteś Głosem?

–Tak – przytaknął Sharonianin, ale Neshok pokręcił głową. Uniósł do oczu swój kryształ osobisty. Zamigało w nim jaskra-woczerwone światło i wywiadowca ciężko westchnął.

–Obawiam się, że jednak nie – powiedział. – Właśnie skorzystałem z zaklęcia prawdy. I ono pokazuje, że mnie okłamujesz.

–Nie obchodzi mnie, co pokazuje ci twój kamień – odparł jeniec. – Chciałeś Glosa, więc jestem.

–Owszem. Jesteś. Ale nie jesteś Głogom. A ja nie lubię lu

dzi, którzy są ze mną nieszczerzy.

Drugi strzał był równie donośny jak pierwszy. Ciało drugiego Sharonianina upadło ukośnie na zwłoki zabitego przed chwilą jeńca.

–Jeśli wam się to rzeczywiście tak bardzo podoba, to ja mogę długo – oznajmił pozostałym jeńcom Neshok i znowu dał Po-rathowi znak skinieniem.

–To nie będzie konieczne – odezwał się inny z Sharonian. Jego oblicze pełne było stężalej nienawiści. Z własnej woli wystąpił naprzód. – To ja jestem Głosem.

Neshok przyjrzał się jeńcowi przez chwilę, po czym rzucił okiem na swój KO. Tym razem w kryształach nie pojawił się czerwony błysk i oficer nieznacznie skinął głową.

–1 jesteś tu jedynym Głosem? – spytał spokojnie, nie odrywając wzroku od kryształu.

–O ile mi wiadomo, jestem jedynym, pozostałym przy życiu Kryształ nadal nie świecił.

–A kim był ten kolega? – zapytał Neshok wskazując zabitych jeńców.

–Kapitan chan Robarik – zazgrzytał Głos. Neshok ledwie przekleństwa. Typowe. Udało im się pojmać żywcem dowódcę fortu, ale za chwilę zabili go z własnej, czystej głupoty.

–Szkoda, że nie ujawniłeś się wcześniej. Uratowałbyś mu życie – powiedział.

–Żaden Sharonianin nie zmusił cię do naciśnięcia spustu – stwierdził Głos.

–Być może jest w tym cień racji – przyznał Neshok i przechylił głowę nieco na bok. – Powiedz mi, czy to prawda, że telepaci nie mogą się ze sobą porozumiewać przez portale?

–Oczywiście, że to prawda – odpowiedział jeńiec.

–Wszyscy mi to powtarzacie. Wydaje mi się, że muszę wam zaufać – powiedział Neshok i raz jeszcze rzucił na swój KO. – Ale mimo to, lepiej nie ryzykować, prawda?

Głos rzucił mu gniewne spojrzenie. Neshok wzruszył ramionami i ponownie uniósł rewolwer.

–A teraz – zwrócił się do pozostałych jeńców chwilę później. Swój własny głos

słyszał dziwnie oddalony i zmniejszony przez dzwonienie w uszach. – Ufam, że reszta z was

– poznała już zbawczą właściwość prawdomówności w rozmowie ze mną. Bo jeśli nie

– spojrzał na groteskowo rozciągnięte na ziemi trzy ciała – to obawiam się, że będę musiał

– przeładować, prawda?

# ROZDZIAŁ TRZYTIASTY

Kinlafia zrozumiał, że parada będzie dokładnie tak jarmarcz-la, jak to zapowiedział cesarz.

„A moja skromna osoba wydatnie się do tego przyczyni” -)omyślał.

Spojrzał w dół na rękaw swojego płaszczka i skrzywił się. Nie-iwykle obciste spodnie -dopiero krawcy i niezwykle (prawie lo granic obrzydzenia) uprzejmi służący powiedzieli mu, że lazywają się one „pantalonomi” – wyglądały (i takie samo wrażenie sprawiały po założeniu) jakby zostały na jego nogach na-nalowane. Telepata doskonało rozumiał, dlaczego ta moda wyszła z użycia tyle stuleci temu, w żaden sposób jednak nie)otrafiał ogarnąć

rozumem, z powodu jakiego zmącenia umy-iłów powróciła do łask. Cieszył się jedynie z tego, że surowe:ycie pracującego w terenie dla Zarządu Portali Głosu, pozwo-iło mu utrzymać jako taką sylwetkę... w odróżnieniu od niektórych dworzan i polityków, którzy w tych zbyt ciasnych stro-ach wyglądali jak balerony.

Buty nie były najgorsze, chociaż nie miał czasu ich odpo-viednio rozchodzić a złocone, upstrzone diamencikami frę-lzelki uznał za lekką przesadę. W dodatku, na prawym obca-icie, pyszniła się zdobiona zawilými wzorami srebrna ostroga.

Ognie Piekieł

213

Jedwabna koszula z długim rękawem przyozdobiona była natomiast w taką ilość wstążek, zmarszczek i falbanek, że gdyby nie płaszcz, Kinlafia przypominałby zirytowanego gołębia. Ach, właśnie! Płaszcz. Ten element ubioru ważył co najmniej trzydzieści funtów, z którego to ciężaru przynajmniej połowę stanowiły niezliczone warstwy jedwabnych półksiężyców, powiewających mu na ramionach. Alazon „półksiężyce” prawidłowo nazywają się „pelerynkami” i Kinlafii

równie dobrze mogłyby się nazywać „peleryniskami”. Ale dlaczego ktoś postanowił marnować tyle świetnego – i obrzydliwie drogiego – materiału, tego już nie był w stanie pojąć.

Całości dopełniał rapier. Ten okropny, nieznośny, cholerny rapier. Przeklęta broń była nie tylko długa na cztery stopy, ale wykonana została z najprawdziwszej, hartowanej stali, w związku z czym, ostrze ciążyło mu u lewego boku niczym kotwica i kołysało się z tyłu jak... jak...

Nie potrafił dobrać odpowiedniego słowa. Nie znał aż tylu przekleństw.

Jedną z rzeczy, które pokochał pracując w zespołach badawczych, był fakt, że w dziczy nigdy nie musiał się przejmować starannym, formalnym ubiorem. Znoszone, bawełniane spodnie, wysokie buty i wygodna koszula – plus rzecz jasna pas z pistoletem, który w lesie stanowił nieodzowną ozdobę – rozwiązywały wszelkie, związane z modą kwestie. I nie musiał się czuć jak klaun w cyrku.

Niestety dzisiaj jego zwykły strój był nie do zaakceptowania. Oczywiście w prywatnej opinii telepaty, mówiło to wiele o zdrowiu psychicznym sławnych projektantów mody. Niemniej, nie miał wyjścia, wpadł w pułapkę konwenansów i przy swoim zupełnym braku doświadczenia w tych sprawach, nie pozostawiał mu żadnego wyboru poza całkowitym zdaniem się na opinię innych. Dokonał przy tym odkrycia, iż jest to bardzo

niezręczna sytuacja. Na szczęście miał Alazon, która troskliwie o niego zadbała. Kinlafia musiał przyznać, że płowy, niemal bursztynowy jedwab, który wybrała na jego śmieszny

*214 David Weber i Linda Evans*

płaszcz, rzeczywiście robił wrażenie, zgodnie z obietnicą cesarskich krawców, zwłaszcza w zestawieniu z czarnymi „pan-talonami” i połyskującymi, wysokimi butami. Gdybyż jeszcze tylko udało mu się zawrzeć jakiś układ pokojowy z tymi niezliczonymi falbankami, komicznie dyndającym rapierem, jedwabiami, futrzanym obramowaniem płaszcza i piórami, których nie powstydziliby się nawet górale z Bernith.

„Och, przestałbyś już, Darcel!” – roześmiał się w jego głowie melodyjny Głos. – „Aż tak źle to chyba nie jest, poza tym” – Głos zabrzmiał nagle o wiele poważniej, z odcieniem ciepła i miłym, kosmatym echem pożądania w tle – „w odróżnieniu od wszystkich pozostałych nieszczęśników, ty masz do tego stroju figurę i odpowiednią karnację. Powiem ci nawet, że wyglądasz prawdopodobnie najlepiej spośród wszystkich, obecnych tu mężczyzn.”

„To miło, że tak myślisz” – odpowiedział. – „Nawet, jeśli wynika to z zupełnie innych i mniej obiektywnych przyczyn.”

„Nonsens. Oczywiście, że nie jestem w stosunku do ciebie obiektywna, ale także i ty nie jesteś najwłaściwszą osobą do oceniania własnej urody. Dodam jeszcze, że od tyłu wyglądasz nie mniej świetnie, niż z przodu, a te pantalony bardzo wydatnie to podkreślają!”

Kinlafia parsknął śmiechem i pokręcił głową.

„Gdzie jesteś?”

**„Już właśnie schodzimy” – zapewniła i telepata odwrócił się przodem do schodów.-’i”**

**Zajmowane przez Alazon stanowisko szefa sztabu politycznego Zindela sprawiło, że niejako automatycznie została asystentką marszałka parady. Do ostatnich chwil dziś rano była niewiarygodnie zajęta dopinaniem szczegółów, choć oboje będąc Głosami, mieli w porównaniu z innymi ludźmi i tak ułatwiony ze sobą kontakt. Co więcej, Kinlafia zauważył, że w każdej chwili wie, gdzie jest Alazon, tak samo, jak ona bez przerwy wiedziała, gdzie jest Darcel. Tej cechy więzi nie spodziewało się żadne z nich i oboje byli tym nieco zaskoczeni. I on i ona, nadal jeszcze nie wyszli z pierwszego szoku, w jaki wprawiła ich**

## **Ognie Piekieł215**

**intensywność i głębia wspólnego przeżycia i zdawali sobie sprawę, że przywyknęcie do tego stanu rzeczy zajmie jeszcze trochę czasu.**

**Kinlafia zawsze zazdrościł znajomym małżeństwom siły ich wzajemnej więzi. Szczególnie mocną była ta, która połączyła Jathmara i Shaylar. Od razu wyczuwał to każdy**

**Głos. Teraz jednak zrozumiał, że to, co związało jego i Alazon będzie z czasem jeszcze mocniejsze, bardziej intymne. Oboje byli przecież telepatami. W związku z tym poczuł coś w rodzaju lekkiego poczucia winy wobec zamordowanych przyjaciół. Odniósł wrażenie, że to, iż ich śmierć doprowadziła do jego spotkania z Alazon było czymś... niewłaściwym.**

**„Nigdy nie miałam okazji poznać ani Jathmara ani Shaylar, kochanie” – delikatnie Powiedziała Alazon. – „Ale Widziałam i Słyszałam przekazaną przez ciebie wiadomość od niej. Sam pewnie nie zdajesz sobie sprawy ile pobocznych treści dotarło razem z nią. Zarówno jej, jak i twoich. Zaufaj mi. Ludzie, których tak bardzo kochałeś – i którzy ciebie darzyli równie silną miłością – nigdy nie mieliby nam naszego szczęścia za złe.”**

**„Nigdy nie twierdziłem, że jestem osobą szczególnie racjonalną” – odpowiedział Kinlafia.**

**„Owszem, zdążyłam już to zauważyć. Reagujesz na wszystko dosyć... impulsywnie, prawda?”**

**„Ale tylko wtedy, gdy zakochuję się w pięknych kobietach.”**

**Usłyszał w myślach wybuch jej śmiechu i sam się uśmiechnął. Po chwili jednak uśmiech zniknął. Telepatka pojawiła się u szczytu schodów.**

**„O bogowie, jakaś ty piękna!”**

**Zatrzymała się w pół kroku, uniosła głowę i Kinlafia ujrzał jak jej policzki przybierają intensywną, ciemnoczerwoną barwę.**

**„Jak to możliwe, że ktoś z taką wadą wzroku dostał się do zespołu badawczego?”**

**„Oświadczam ci, że wzrok mam doskonały, moja pani” – odpowiedział na tyle swobodnie, na ile mógł, czując jak serce podchodzi mu do gardła.**

**216David Weber i Linda Evans**

**Pokręciła głową i zeszła ze schodów. Kinlafia nawet nie zarejestrował, że razem z Alazon przyszła Ulantha Jastyr i czwórka innych osób.**

**Podczas, gdy pracujący dla cesarzowej Wailyany, projektant męskich strojów musiał być idiotą, ubiorami dam zajmował się ktoś zupełnie inny. Możliwe także, że cesarzowa po prostu ścinała kolejne głowy, aż wreszcie dobrała sobie krawca, który rzeczywiście potrafił szyć. Bez względu na to, jak wyglądała prawda, Darcel Kinlafia był zachwycony osiągniętymi przez monarchinię rezultatami.**

**Alazon miała na sobie suknię w kolorze głębokiej, bogatej zieleni, która doskonale uzupełniała się z kruczą czernią jej włosów i cerą barwy przydymionej kości słoniowej. Suknia nie miała ramion, co jednocześnie uwydatniało pierś kobiety i przyciągało uwagę do jej smukłych rąk i zgrabnej, długiej szyi. Piękny, szmaragdowy naszyjnik i odpowiednio do**

**niego dobrane kolczyki i bransoletka połyskiwały w słońcu. Długa do podłogi spódnica była na tyle lekka, że swobodnie wiła się przy każdym poruszeniu dokoła długich, kształtnych nóg kobiety. Wcięcie w pasie podkreślało jej znakomitą figurę. We włosy Alazon wpięła złote grzebienie, w których lśniły kolejne szmaragdy. Fryzura wyglądała zarazem efektownie i naturalnie, była pełna wdzięku, co odróżniało ją od innych, dużo bardziej wymyślnych koafiur, które Kinlafia miał już dziś okazję obejrzeć.**

**Alazon zeszła na sam dół i podeszła do telepaty po marmurowym, pałacowym chodniku. Wyciągnęła obie ręce. Wziął je i stwierdził, że wysokie obcasy zniwelowały ich zwykłą różnicę wzrostu. Spojrzał głęboko w jej szare oczy... i pomyślał, że jeśli mają się trzymać planu dnia, to jednak nie powinien był tego robić.**

**–Nie ma mowy, żebyś miał doskonały wzrok – powiedziała, po czym uwolniła z jego chwytu jedną rękę i dotknęła jego policzka. – Ale wygląd i owszem. To znaczy jest doskonały.**

**-1 mówisz, że to ja mam chore oczy – Kinlafia pokręcił z uśmiechem głową. – Ale skoro uważasz, że tak świetnie wyglądam, to może byś mi jeszcze poradziła w jednej sprawie.**

**Ognie Piekieł**



–Tak, a w jakiej?

–Mogłabyś mi powiedzieć, jak do wszystkich piekieł Arpa-thii, mam z tym czymś chodzić?! – wskazał ręką na przytroczony do boku długi i cienki rapier. – Ciągłe się w to zaplątuję, wykułem dziurę w tapicerce, rozprułem obicie kanapy i sprawiłem, że dwóch lokajów trafiło do szpitala.

–Nie żartuj – zaśmiała się, a jej oczy zaczęły tańczyć.

–No, co do tych lokajów, to faktycznie lekko ubarwiłem-przyznał. – Opatrzono ich na miejscu. Ale w całym moim mieszkaniu naprawdę aż furczy od pierza. Sama możesz sprawdzić, jeśli nie wierzysz, że zadźgałem tę okropną poduchę-uśmiechnął się i pokręcił głową. – Ale pytam poważnie. Jak ludzie sobie z tym radzą?

–Oj Darcel, nieszczęśniku. Nie mamy już czasu na lekcje poruszania się w oficjalnym stroju. Czekaj... pozwól mi... oj rany... hmm... No, dobrze. Przy chodzeniu trzymaj lewe ramię przy ciele, o tak...

Dotknęła jego nadgarstka, by nagiąć rękę i Kinlafia poczuł bijące od niej przyjemne mrowienie. Oboje jednak postanowili, że nie wolno im teraz się na nim skupiać... jeszcze nie.

–O tak. Jeśli będziesz chodził w tej pozycji, to te falbanki nie będą zbytnio furkotać. Chyba, że zerwie się wiatr – z uśmiechem poprawiła ułożenie spoczywających na jego ramionach, niezliczonych warstw tkaniny. – A to, powinno się znaleźć tu, nad ramieniem -poprawiła bogato zdobiony pas, na którym wisiał rapier. – Tym też trochę przyciskasz te falbanki. No i musisz przez cały czas zwracać uwagę na to, gdzie jest koniec broni. Obawiam się, że niczego więcej nie wymyślę.

–Świetnie. Jestem pewny, że walnę tym cesarzową, diuka albo prezydenta. Ha! Albo podstawię to diabelstwo komuś pod nogi i przewrócę. I to dopiero będzie znakomity początek mojej politycznej kariery.

Alazon ponownie wybuchnęła śmiechem i pokręciła głową.

–Przepraszam, Darcel. Nie z ciebie się śmieję. To znaczy

z ciebie, ale... – raz jeszcze pokręciła głową. – Rzecz w tym, że większość dworzan nie może się wręcz takich okazji doczekać.

Aż przebierają nogami z tęsknoty za chwilą, gdy będą mogli

założyć takie stroje. Taki na przykład earl Ilforth nie zajmuje się właściwie niczym innym. Dlatego właśnie spotkanie z kimś, kto nienawidzi tych ubrań równie gorąco jak ja, jest bardzo odświeżającym przeżyciem.

Kinlafia spojrział szeroko otwartymi oczyma.

–Jak to nienawidzisz? Naprawdę nienawidzisz sukni, w której wyglądasz jak bogini? Dlaczego? – zapytał zaskoczony. Pro-stoduszność aż biła w tej chwili z jego twarzy. Jeszcze bardziej zaskoczyła go jej natychmiastowa replika.

–Dlatego, że waży jakieś sześćdziesiąt funtów, gorset jest ze stali, przez te niebotyczne buty bolą mnie stopy, a łydki wyją do nieba. Na domiar złego, ta lejąca się spódnica i nedorzecznie długie rękawy wszystkiego się czepiają. Na przykład cudzych mieczy, posągów sprzed trzech tysięcy lat i róż.

–Och – tym razem, to on się roześmiał. – O rany. Zastanawiam się, czy którekolwiek z nas dotrwa do końca tego dnia.

–Dotrwamy. Trzeba tylko zacisnąć zęby, uśmiechać się i myśleć o długiej, gorącej kąpieli i leszczynowej różdze na otarcia i siniaki.

–Siniaki?

–Naprawdę nie chcesz znać szczegółów – zapewniła. – Chyba wspominałam, że gorset jest ze stali, prawda? – uśmiechnęła się do niego promiennie. – Powinniśmy się

cieszyć, że mamy się przed kim wyżalić, „No, ale teraz musimy już ruszać. Marszałek zarezerwował dla ciebie honorowe miejsce.

Telepatka nie żartowała na temat roli, jaką Kinlafia miał odegrać na paradzie. Przekonał się o tym, gdy dotarli wreszcie na wyznaczoną platformę. Upstrzony chorągiewkami pojazd, ciągnięty przez doskonale dobraną, siwą dwójkę wałachów rasy Shikowr był mniejszy niż inne... ale za to jechał pomiędzy platformą dyrektora naczelnego Zarządu Portali, a tą, w której podróżowała rodzina cesarza.

I w odróżnieniu od dyrektora naczelnego Limany oraz cesarskiego rodu, Kinlafia miał swoją platformę tylko dla siebie.

Odwrócił się do Alazon i otworzył usta, ale kobieta uprzedziła go i odezwała się pierwsza.

**Ognie Piekieł**



–Po pierwsze – powiedziała z naciskiem – jest stanowczo za późno, żeby zmieniać cokolwiek w organizacji parady. Po jedziesz na tym i koniec. Po drugie, pomysł powierzenia ci od dzielnej platformy powstał co prawda w głowie dyrektora Li many, aleja także myślę, że to bardzo dobry pomysł. Po trzecie -jego wysokość chciał, by twoja polityczna kariera miała od powiednio wyrazisty początek. Innymi słowy. Nie masz wyj ścia, więc wspinaj się tam na górę i udawaj, że bardzo ci z tym dobrze.

Niemal zaczął się klócić. Na szczęście, zanim zdążył zrobić z siebie skończonego idiotę, przyszło mu na ratunek poczucie własnej śmieszności i posłusznie pochylił głowę.

–Tak, proszę pani – powiedział uniżenie.

–Widzisz? Od razu lepiej! Na górę!

Przegoniła go machnięciem ręki. Kinlafia upewnił się, że ra-pier przynajmniej przez chwilę nie zamierza się donikąd wybierać i ruszył po krótkiej, stromej drabince.

Udało mu się cało i zdrowo dotrzeć na górę. Nie zabił też przy tym żadnego niewinnego przechodnia. Usiadł na siedzeniu, które okazało się zaskakująco wygodnie. To, co Alazon uparcie nazywała „platformą”, okazało się na dobrą sprawę zwykłym, choć nieco niestabilnym i niezbyt praktycznym powozem. Mimo zapewnień telepatki, która utrzymywała, iż nawet dwukołowe platformy „nigdy się nie przewracają”, Kinlafia patrzył z tej wysokości na świat z pewną dozą niepewności. Spokojowi jego ducha nie sprzyjał także

fakt, że siedzenie wyposażone zostało w pasy bezpieczeństwa. Oczywiście zapiął je skwapliwie i poczuł wdzięczność wobec losu, za przynajmniej takie zabezpieczenie.

Gdy już miał jako taką pewność, że nie skręci sobie karku spadając w dół, odetchnął głęboko i rozejrzał się dokoła.

Gospodarzem dzisiejszego popołudnia miało być wciąż oficjalnie niepodległe królestwo Othmaliz. Na czele parady maszerowali żołnierze tego właśnie państwa. Za nimi jechali dragoni z gwardii seneszala, za którymi z kolei pojawiła się kompania ternathiańskiej piechoty morskiej. Kolejni szli

Platformy jechały pomiędzy oddziałami pieszymi i jazdą. Ta, którą zajmowała cesarska rodzina, znajdowała się pod koniec całego pochodu. A nie było to blisko. Mimo, że bulwar cesarza Daerhy, na którym odbywała się parada, był prosty niczym linijka, maszerujących żołnierzy prawie nie było widać z powodu samej tylko odległości.

Platformy różniły się od siebie rozmiarami. Ta przeznaczona Kinlafii, okazała się jedną z najmniejszych, a największa była bez wątpienia platforma cesarza. Platforma telepaty miała dwa koła i zaprzężona została jedynie w parę Shikowrów. Platforma cesarza spoczywała na sześciu kołach i ciągnęła ją szóstka wysokich, karych rumaków rasy Chinthai. Wielkie zwierzęta pociągowe, które wywodziły się od starożytnych koni ciężkiej kawalerii, w kłębie wyższe były od Kinlafii. Ich powiewające grzywy i ogony, ozdobiono kokardami i jedwabnymi, zielonymi i złotymi wstęgami. Barwy Calirathów.

Sam Zindel chan Calirath zasiadał na tronie, który wznosił się znacznie wyżej niż fotel telepaty, z tym, że szersza platforma zapewniała mu większą stabilność.\*Taką przynajmniej nadzieję miał Kinlafia. Myśl o upadku przyszłego cesarza Sharo-ny z takiej wysokości nie była przyjemna, a podobny wypadek z pewnością źle odbiłby się także na wizerunku władcy.

Obok męża, równie wysoko, siedziała cesarzowa Varena i we własnych tronach, wszystkie trzy cesarskie córki. Z miejsca, w którym siedział Kinlafia widać było jak na dłoni, że młoda Anbessa nie jest zachwycona paradą, ale z równą oczywistością widać było, iż jej matka skutecznie „przemówiła małej do rozumu”. Z drugiej strony, Razial wydawała się niezwykle podekscytowana. Wierciła się przez cały czas, nie mogąc się doczekać rozpoczęcia spektaklu.

I była też Andrin. Kinlafia przyjrzał się jej przez kilka sekund, próbując ze sposobu w jaki trzymała ramiona i głowę odczytać jej emocje. Nie potrafił jednak. Nie potrafił i potrafił

zarazem.

## Ognie Piekieł221

Skrzywił się i pokręcił głową. Czy naprawdę poprawnie interpretował jej emocje? Czy może tak mu się tylko wydawało? Ile z tego, co teraz czuł wynikało z prawdziwych uczuć Andrin, a ile po prostu stanowiło echo tamtej wstrząsającej chwili, w której wraz z cesarzem doznał Przebłysku?

„Nikt chyba nie mógłby powiedzieć, że przez ostatnie dwa lub trzy miesiące wiodłeś nudne życie, Darcel” – pomyślał. – ”Ale ostatnie trzydzieści sześć godzin to zupełnie nowy rekord. Nawet jak na ciebie. Prywatna audiencja u cesarza, spotkanie z Alazon,

zaproszenie na prywatną kolację z całą cesarską rodziną i wreszcie Jej Wysokość, Wielka Księżniczka Andrin.”

Wydawało się to niemożliwe. Niemniej, przynajmniej w tej chwili, nie miał czasu by poważniej się nad wszystkimi niedawnymi wydarzeniami zastanowić. Co było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ podejrzewał, że kiedy w końcu nadarzy się okazja, usiądzie i głębiej je przemyśli, to zacznie się bać. 1 to bardzo bać. Zupełnie czym innym było przecież planowanie startu w wyborach, przewidywanie typowej, przeciętnej poselskiej kariery w parlamencie, a czym innym odkrycie, że on – Darcel Kinlafia, wywodzący się z sennego, zagubionego w pampie Nowej Farnalii, małego miasteczka uniwersyteckiego – zaplątał się w wydarzenia, które wiązały go z osobą, stojącą w kolejce do Uskrzydłonej Korony Ternathii... a teraz do tronu całej Sharony.

Westchnął i pomyślał, że jego życie już nigdy nie stanie się na powrót nudne.

\* \* \*

Finena poruszyła się niespokojnie na oparciu zdobnego krzesła. Andrin uspokoiła ją cichym, kojącym głosem. Samo słowo było ledwie słyszalne. Niemal całkowicie zagłuszyły je inne dźwięki otoczenia, ale sokół nie musiał słuchać swojej pani fizycznym słuchem. Ptak przekrzywił łebek i ostry jak brzytwa dziób, łagodnie musnął szyję księżniczki. Po chwili drapieżnik wyprostował się raz jeszcze i znieruchomiał w pełnej dumy pozie.

*222David Weber i Linda Evans*

Dobłą stroną całego tego zamieszania był fakt, iż Finena miała już za sobą kilka podobnych parad. Złą natomiast, było to, iż żadna z nich nie mogła równać się przepychem z nadchodzącą. Podniesione głosy, które tak niepokoiły ptaka, pochodziły niemal wyłącznie od ludzi zatrudnionych w Pałacu Calirathów. Andrin miała wrażenie, że pracowało tu mniej

więcej czternaście milionów służących. I to nie licząc prywatnej służby jej rodziny. Księżniczka zdawała sobie też sprawę, że kiedy już wyjdą poza pałacowe bramy i przy wtórze aplauzu tysięcy widzów ruszą trasą parady, będzie jeszcze gorzej.

–No już dobrze – mruknęła i pocieszająco pogłaskała złożone skrzydła Fineny. – Już dobrze, kochana. Pamiętaj, że jeśli okaże się to dla ciebie zbyt ciężkim wyzwaniem, zawsze będziesz mogła polecieć z powrotem do pałacu – uśmiechnęła się krzywo. – Żałuję, że ja nie mogę zrobić tak samo – dodała.

Ojciec spojrział na nią tak, jakby usłyszał jej słowa. Oczywiście było to niemożliwe - mówiła na to zbyt cicho, a panujący dokoła zgiełk był zbyt natarczywy. Ale wcale też nie musiał jej słyszeć. W ciągu ostatnich kilku tygodni Andrin pojęła, że ojciec zna ją

o wiele lepiej, niż do tej pory przypuszczała. Nigdy nie wątpiła w jego miłość, nie wątpiła także, że zawsze znajdzie czas dla swoich dzieci. Niemniej, od chwili straszliwych wydarzeń we Wrotach Piekieł, Zindel wykazywał wręcz przerażającą świadomość tego, co działo się w jej duszy. Wiedział, co Andrin czuje, czego się obawia, o czym marzy i razem z nią czuł jak niepowstrzymanie wciąga ich w swój wir przyszłość. Z jednej strony dawało jej to niezmierne poczucie bliskości, ale z drugiej, w jakiś niezrozumiały sposób, napawało lękiem.

„Nie bądź niemądra” – złącała się w myślach. – „I nie bądź też tchórzem. Bardzo dobrze wiesz, dlaczego tak się tego boisz!”

Rzeczywiście, wiedziała. Bała się, ponieważ zbyt wiele wiedziała na temat Talentu Calirathów. Wiedziała jak intensywnie, jak ciężko i boleśnie, jej ojciec przeżywa kolejne Przebłyski. Rozumiała to doskonale, ponieważ sama przechodziła to samo. A jednak -między jej wizjami, a tymi, które nekły cesarza, istniała ogromna różnica.

## Ognie Piekieł221

Ludzie obdarzeni – tudzież obarczeni – Talentem Calirathów, nie widzieli wydarzeń z własnego życia. Zdarzało się oczywiście – wcale nierzadko – kiedy Przebłysk Caliratha obwieszczał komuś coś, co miało dotyczyć jego lub jej osobiście, ale nawet i wtedy pozostawał... ślepy punkt. Pustka. Miejsce wycięte z wizji, w którym powinien się znajdować bohater Przebłysku, który sam siebie nie mógł zobaczyć. Nikt nie widział swoich działań... Swojego przeznaczenia. Nikt nie wiedział, dlaczego tak jest, ale tak ta umiejętność po prostu działała. Z jednym wyjątkiem.

Istniał jeden rodzaj Przebłysków, którego doznawała większość osób noszących aktywny Talent Calirathów. I nie było to nic przyjemnego do oglądania. Był to bowiem Przebłysk, wieszczący gwałtowną śmierć danej osoby. Nie chodziło o wypadki czy choroby, ponieważ Talent Calirathów tak nie działał. Przebłyski wieszczły wyłącznie konsekwencje

działań ludzkich, takich, które wynikały ze świadomych decyzji. Nie ukazywały natomiast przypadków, czy zwykłych wydarzeń losowych. Ta cecha Talentu stanowiła jeden z powodów, dla których przez tysiące lat przeprowadzono tak niewiele skutecznych zamachów na władców z dynastii Calirath. Żadnemu zabójcy nie jest przecież łatwo podkraść się do osoby, która wcześniej Oglądała moment planowanego zabójstwa. Nie było to niemożliwe -historia udowodniła, że i to mogło się powieść – niemniej było bardzo trudne.

Andrin nie martwiła się jednak swoją własną, zbliżającą się nieuchronnie, śmiercią. Niepokoiła się – rozpaczliwie i głęboko – powtarzającymi się raz po raz Przebłyskami na temat Ja-nakiego. Bardzo chciała, żeby się wreszcie ukonkretniły. Chciała móc wydobyć z nich samą esencję prawdy, poznać przyszłość. Wciąż jednak pojawiało

się w nich zbyt wiele osób, zbyt potężna dawka przemocy i stanowczo za wiele obrazów, które nie miały żadnego wyraźnego sensu.

Jeszcze bardziej niż to, martwiła ją możliwość, że jej ojciec już coś wiedział. Oczywisty niepokój i troska o córkę, jaką wykazywał ostatnio Zindel oznaczały, że cesarz doznawał złowróżbnych Przebłysków na jej temat. Jednocześnie Andrin

### *224David Weber i Linda Evans*

zdawała sobie sprawę, że ojciec byłby gotów znieść wszystko, byle tylko uchronić od nieszczęść ją i jej siostry. Dlatego też, coraz bardziej przerażała ją możliwość, że tym razem cesarz zobaczył w Przebłysku coś, przed czym nawet i on nie będzie mógł jej ochronić.

„I co ma z tym wszystkim wspólnego Głos Kinlafia” – zastanowiła się, rzucając przez ramię spojrzeniem na przystojnego, brązowowłosego mężczyznę, który siedział wysoko na jednoosobowej platformie za nią. Wiedziała, że on także śmiertelnie się boi. Triada tylko raczyła wiedzieć, jak bardzo sama była zdenerwowana, a przecież brała udział w podobnych paradach od chwili, gdy była jeszcze młodsza niż Anbessa teraz. Zatem Kinlafia musiał się bać, a jednak bardzo skutecznie ukrywał swój lęk i zmieszanie.

To był bardzo dobry znak. Andrin już jakiś czas temu odkryła, że sławni, czy po prostu ważni, ludzie często nie dorastają do oczekiwań, jakie żywią wobec nich inni. Nic była jeszcze w stanie stwierdzić, czy Kinlafia jest tą osobą, jakiej się spodziewała czując siłę i wściekłość, bijące z przekazu telepatycznego, który USMS przedstawiła całej Sharonie. Wydawało się jej, że ktoś taki powinien być wyższy, jeszcze lepiej zbudowany, ze szczęką przypominającą kamienne posągi herosów i spojrzeniem, które przeszywa na wylot.

Tymczasem spotkała mężczyznę, któremu kamienna szczeka i żelazny wzrok nie wydawały się wcale potrzebne. Jego brązowe oczy niczego nie przeszywały, Eaczej zdradzały światu, jak bardzo ich właściciel został zraniony, a mimo to pozostawały ciepłe i

pełne współczucia. Spotkała mężczyznę, którego serce zostało wystawione na ogromnie ciężką próbę, a jednak nie zasklepiło się w sobie ze strachu przed bólem. Kinlafia wydawał się jej człowiekiem, który sam jeszcze nie jest do końca świadom własnej siły. Zastanawiała się, czy nie jest to czasem echo Przebłysku, którego musiał doświadczyć jej ojciec, gdy pierwszy raz zobaczyła Kinlafię na własne oczy.

„Nie znam cię... jeszcze nie” – pomyślała rzucając na telepatę kolejne ukradkowe spojrzenie. – „Ale poznam, Wiem, że cię



# Ognie Piekieł

poznam i czuję też, że mój ojciec zaakceptuje wszystko to, co się wtedy wydarzy. Ale Przebłyski nigdy nie ukazują nam przyjemnych, szczęśliwych zdarzeń, prawda Głosie Kinlafia? Powiedz mi więc, ile łez, ile bólu nas jeszcze czeka? I powiedz, czy myślisz, że pewnego dnia przeklniesz godzinę, w której stałeś się uczestnikiem przeznaczenia czekającego nas – Calirathów?”

Nie знаła odpowiedzi na te pytania. Parada wreszcie się rozpoczęła i Andrin zwróciła naprzód swoje niespokojne, szare jak morze oczy. Odwróciła je od brązowowłosego mężczyzny, modląc się w duchu do wszystkich bogów, którzy mogli ją usłyszeć.

„On utracił już wystarczająco wiele” – szeptała bezgłośnie. – „Nie chcę, żeby przeze mnie spotkały go kolejne nieszczęścia. Błagam. Nie chcę zaciągać takiego długu.”

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Shaylar Nargra-Kolmayr zamknęła leżącą na jej kolanach książkę, odchyliła się z westchnieniem do tyłu i wyjrzała za okno.

–Zmęczona, kochanie? – rozległo się pytanie. Kobieta spojrzała na drugą stronę niewielkiego przedziału na Jathmara – swojego męża – i lekko się uśmiechnęła.

–Nie fizycznie – odpowiedziała, wiedząc, że on tak naprawdę nie potrzebował werbalnej odpowiedzi. Wyczuwał przecież jej stan ducha poprzez łączącą ich małżeńską więź. – Przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale za to moja dusza już czuje znużenie.

–Tak, znużenie duszy, to chyba dobre określenie – przytaknął Jathmar. – W końcu jesteśmy tak daleko od domu, jak jeszcze nigdy nie dotarł żaden Sharonianin.

Shaylar ściągnęła na moment usta, po czym wzruszyła ramionami. Jathmar miał oczywiście rację. Jakiś czas temu dotarli do końca znanego ludzkości multiwersum i natknęli się tam na wielki portal, za którym nawiązali katastrofalny w

skutkach kontakt z armią Arkany. Aż ciężko było uwierzyć, że przez niecałe dwa miesiące, które upłynęły od ich pojmania, przebyli niemal dwadzieścia dziewięć tysięcy mil. Nie mieściło się im

Ognie Piekieł

też w głowach, że nadal nie pokonali jeszcze jednej trzeciej drogi ze wszechświata zwanego przez Arkanian Mahritą, do ich celu położonego w Nowej Arkanie. Według map, które pokazali im obcy, znajdowali się obecnie we wszechświecie zwanym Górskim Grzbietem. Mknęli z wielką prędkością wzdłuż wąskiej, przypominającej wąwóz drogi, wyciętej w wysokiej dżungli tu, gdzie na Sharonie znajdowała się Słoneczna Dziedzina Garmoy, w południowo-wschodniej Uromathii.

–Wiem, że oboje chcieliśmy oglądać multiwersum – odezwała się cierpko po chwili i wskazała ramieniem na migające w nadchodzącym wieczorze drzewa – ale ja chyba miałam na myśli nieco krótsze wycieczki. To męczące, mimo, że zwiedzamy światy w tak porządnym warunkach.

Pojazd, który Arkanianie nazywali „ślizgaczem” przypominał nieco sharoniańskie koleje... ale tylko trochę. Po raz pierwszy wsiedli do ślizgacza niemal tysiąc mil wcześniej, we wszechświecie o nazwie Ucala. Od razu poczuli, że ten rodzaj środka transportu odpowiada im o wiele bardziej, niż loty na smoczym grzbiecie. Owszem, podczas lotów nadal – pomimo tego, że przebyli w powietrzu już wiele tysięcy mil – czuli coś w rodzaju lekkiego zachwyty i oszołomienia. Ale wygodne, obite miękkimi poduszkami koje, okazały się jednak niewysłowionym luksusem.

Pod wieloma względami, ślizgacz przypominał wagon kolejowy pierwszej klasy, ale różnice między nim, a dowolnym innym pociągiem, jaki w życiu widziała Shaylar tym bardziej rzucały się w oczy, właśnie z powodu dostrzeganych na pierwszy rzut oka podobieństw.

Po pierwsze ślizgacz był pojedynczym pojazdem. W trakcie podróży widzieli już co prawda kilka ślizgaczy połączonych ze sobą w „pociągi”, ale wynikało to jedynie z zatłoczenia na torach. Nie istniało natomiast nic takiego, co stanowiłoby tu odpowiednik lokomotywy. Zamiast niej, w każdy ślizgacz wbudowany był zasobnik z zakłęciami i to właśnie zawarta w nim magia poruszała ten niezwykły wagon po specjalnym torze. To znaczy, nie był to „tor” taki, jak tory na Sharonie.

## *22 Wavid Weber i Linda Evans*

Takiego wcale nie było. Tor ślizgacza stanowiła seria „węzłów”, które umieszczone na trwałe w podłożu, wskazywały kierunek napędzającym pojazd zakłęciom. Sam ślizgacz sunął niezmiennie około osiemnastu cali nad podłożem, z prędkością jakichś pięćdziesięciu mil na godzinę. Jeśli dwa ślizgacze spotykały się na jednym torze, poruszając się w przeciwnych kierunkach, jeden z nich po prostu odsuwał się na bok i przepuszczał pojazd jadący z naprzeciwka, po czym wracał na tor i jechał dalej.

Każdy ślizgacz musiał oczywiście co jakiś czas zwalniać. Okazywało się, że nawet magia nie potrafiła sobie poradzić z krętymi górskimi serpentynami czy tunelami, bez których gdzieś tam nie można się było obejść i które potrafiły się ciągnąć

dosłownie całymi milami. Shaylar podejrzewała nawet, że w sumie, biorąc pod uwagę średnie odległości, ślizgacz nie był wcale szybszym środkiem transportu, niż pasażerskie czy towarowe pociągi Kolei Trans-Temporalnych. Niemniej jego cisza, stabilność i elastyczność stanowiły kolejny dowód na to, jak bardzo różniła się technologia stosowana przez Arkanian od tej, którą oboje znali z Sharony.

–Najważniejsze, Shay, jest to, że nadal żyjemy – cichy głos Jathmara wyrwał ją z zamyślenia. – 1 cały czas jesteśmy razem. Ponadto – w głos mężczyzny, niemal niezauważalnie, wkradło się nieprzyjemne brzmienie – bez względu na wszystko, mamy cholerne szczęście, że Jasak w głębi duszy, okazał się porządnym człowiekiem. ?;›

–Tak, to prawda – ciemne, piękne oczy Shaylar spojrzały na niego ciepło i zgodnie. Jathmar poczuł przez małżeńską więź, że ona zgadza się z nim zupełnie i potwierdził jej niewypowiedzianą prośbę własnym, nieco łobuzerskim uśmiechem.

–Przecież się staram, kochanie.

–Och, wiem o tym – powiedziała Shaylar. – Wierz mi, Jath. Wiem.

To była prawda. Nie tylko wiedziała, ale i dokładnie rozumiała powody, dla których uczucia Jathmara wobec Sir Jasaka

## Ognie Piekieł229

Olderhana pozostawały dość... by użyć eufemizmu, złożone. Gadrial Kelbryan - magister Gadrial Kelbryan – podrzuciła jej jakiś czas temu pojęcie, którym można było opisać zarówno Jasaka jak i Jathmara. Shaylar nie słyszała go nigdy wcześniej, ale gdy tylko Gadrial wyjaśniła jej jego znaczenie, Sharonianka musiała przyznać, że trudno było o lepsze. Pojęciem tym był „samiec alfa” i obie kobiety z mieszaniną obawy, frustracji, niecierpliwości i szczerego rozbawienia obserwowały, jak dwaj mężczyźni z mozołem starają się jakoś odnaleźć w owej, trudnej dla wszystkich sytuacji.

Nie było to zadanie łatwe. Co więcej – nie byłoby łatwe dla nikogo, bez względu na to czy byłby on samcem alfa, beta czy jeszcze kimś innym.

Nikt przecież nie mógł się spodziewać, że Jathmar zapomni, iż to właśnie żołnierze Jasaka Olderhana zabili wszystkich członków ich zespołu badawczego. Zabili ich i byli bardzo bliscy zabicia także Shaylar i jego samego. Prawda wyglądała tak, że gdyby nie pomniejszy Dar Uzdrawiania Gadrial Kelbryan, umarłby przynajmniej Jathmar, a Shaylar z dużym prawdopodobieństwem dołączyłaby do niego już po niedługim czasie.

Tak. Nikt nie mógł się dziwić, że Jathmar nienawidził nawet ziemi, po której stąpał Jasak, ani nie można się było dziwić wścieklej, barbarzyńskiej radości, jaką poczuł na wieść o tym, że wojska Sharony, niemal do nogi, wybiły żołnierzy Arkania-nina po tym, jak dowództwo nad nimi przejął setnik Hadrign Thalmayr. Pewne było jedno – z pewnością nie dziwił się temu sam Jasak.

Ale Shaylar była Głosem, człowiekiem obdarzonym doskonałą pamięcią darem łatwego uczenia się obcych języków. Od chwili, gdy trafiła do niewoli do dziś, nauczyła się już płynnie mówić po andarańsku – w oficjalnym języku armii Unii Arkany. Dzięki temu dowiedziała się, że Jasak ani przez chwilę nie chciał niczyjej śmierci. To, co tamtego dnia wzięła za rozkaz do otwarcia ognia, okazało się rozkazem wzywającym do jego wstrzymania.

### *230David Weber i Linda Evans*

Rozkazem, którego jeden z jego podkomendnych, człowiek o głupocie, którą przewyższało jedynie jego tchórzostwo, nie usłuchał.

Gdy Shevan Garlath zastrzelił Ghartouna chan Hagrahyła, w chwili, gdy szef zespołu badawczego próbował rozmawiać i wstał bez broni w rękach, Jasak był przerażony niemal tak samo, a pod niektórymi względami nawet bardziej niż Shaylar i Jathmar. Kiedy jednak rozwścieczeni Sharonianie odpowiedzieli na morderstwo chan Hagrahyła ogniem z karabinów, o których istnieniu nikt wtedy na Arkanie nie wiedział, Jasak zrozumiał, że nie ma wyboru i musi stoczyć bitwę, której nikt nie chciał. Tak się też stało... i pod koniec potyczki okazało się, że jedynymi pozostałymi przy życiu Sharonianami, byli Shaylar i bardzo poważnie ranny Jathmar.

–Mamy prawdziwe szczęście, że oboje, on i Gadrial, są porządnymi ludźmi – przyznała kobieta. – Dobrze też, że on jest Andaraninem.

–A na dodatek wyjątkowo staroświeckim Andaraninem – odezwał się czyjś głos.

Shaylar i Jathmar odwrócili się i zobaczyli inną kobietę – nieco starszą od Shaylar i nieco od niej wyższą (zasadniczo, wszyscy byli od Shaylar „nieco wyżsi”) – która stanęła właśnie w drzwiach przedziału.

–Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam przeszkadzać, ale zbliża się pora kolacji. Jestem pewna, że Jasak i miecznik Threbuch polecili już stewardom nakryć w przedziale jadalnym. Czy zechcecie do nas dołączyć?

–W zasadzie, to muszę przyznać, że umieram z głodu – powiedziała Shaylar. – Szczerze mówiąc nie rozumiem, dlaczego. Przecież w ciągu kilku ostatnich dni nie spałam zbyt wielu kalorii. Wciąż tylko jedziemy...

**–Owszem, nie spalamy – zgodziła się Gadrial Kelbryan. – Ale sama jestem tak głodna, że zjadłabym chyba smoka. Sama się nad tym zastanawiałam... Może to dlatego, że wreszcie sytuacja pozwala nam trochę odetchnąć, przestać się martwić i skupić na takich rzeczach, jak wołający o kolację żołądek?**

## **Ognie Piekieł231**

**Arkanianka uśmiechnęła się szelmowsko i Shaylar prychnęła z mieszaniną rozbawienia i irytacji.**

**Gadrial była Ransaranką, co oznaczało, że przyszła na świat w arkaniańskim odpowiedniku Uromathii. Z tym, że Ransar bardzo różniło się od Cesarstwa Uromathii. Ransaranie bardzo przypominali natomiast Ternathian – albo nawet mieszkańców Nowej Farnalii, w rodzaju Darcela Kinlafii – i cechowali się tak silnym uwielbieniem wolności i praw jednostki, że ukształtowana w Shurkhal wrażliwość Shaylar, kazała jej niekiedy myśleć, że jeśli nawet nie był to fanatyzm, to z pewnością poważna obsesja. Oczywiście Sharonianka nie miała zamiaru narzekać. Tej ransarańskiej... czarodziejce zupełnie dosłownie zawdzięczała życie Jathmara i pomimo strasznych, i wyjątkowo niesprzyjających okoliczności, w jakich przyszło się obu kobietom poznać, Gadrial stała się jedną z najbliższych, nieutalentowanych przyjaciółek Shaylar.**

**Lecz mimo to, smukła, potężnie Obdarzona magicznie magister, pozostawała jednym ze strażników Shaylar. A fakt, że Gadrial okazała się przy tym oddanym obrońcą sharoniańskich jeńców, i zademonstrowała swoją gotowość niesienia im pomocy, zupełnie dosłownie stając między Shaylar i rozwścieczonym smokiem, sprawiał, iż ich wzajemne relacje były tym bardziej... skomplikowane. Uczucia, które Shaylar wyczuwała w Ransarance za każdym razem, gdy ta patrzyła na Sir Jasaka Olderhana dodawały tylko jeszcze jedno, specyficzne pasmo do niesłychanie splątanego węża, którym bogowie powiązali ze sobą losy całej czwórki.**

**–Naprawdę jest staroświecki – stwierdziła Gadrial, gdy całą trójką wyszli z przedziału**

**i ruszyli wyłożonym dywanem korytarzem, w stronę luksusowego przedziału jadalnego**

**ślizgacza.**

**–Kto? Jasak? – zapytał Jathmar.**

**–Nie, miecznik Threbuch – odparła krzywiąc się Gadrial. – Oczywiście, że Jasak!**

**–No przecież tylko pytam! – zauważył Jathmar z godnością w głosie. Jego andarański poprawiał się z każdym dniem, choć nadal dużo mu brakowało do**

**płynności, z jaką w obcym języku**

**232David Weber i Linda Evans'**

**mówiła jego żona. Biorąc pod uwagę jej zupełnie nie-andarańską, przywodzącą na myśl drzewo sandałowe cerę, rozmigotane, ciemne oczy, wspaniałe, kruczoczarne włosy i egzotyczny, śpiewny akcent, Shaylar nigdy nie mogłaby zostać wzięta za osobę urodzoną w Andarze, ale posługiwała się tamtejszym językiem przynajmniej równie dobrze, jak Gadrial.**

**–Ona wie, że tylko pytasz, Jath! – pokręciła głową Shaylar i dźgnęła męża palcem pomiędzy żebra. Podniosła wzrok na Ransarankę. – Mam wrażenie, że się z tobą zgodzę, Gadrial, ale co dokładnie miałaś na myśli?**

**–Czasem mi się wydaje, że Jasak myśli, iż żyje w czasach Melwaina Wielkiego - odpowiedziała magister. Mówiła pogodnie, niemal żartobliwie, ale Shaylar wyczuła głęboko w niej szczere zmartwienie, skryte pod powierzchowną wesołością.**

**–Melwaina Wielkiego? – powtórzyła i Gadrial wzruszyła ramionami.**

**–Melwain był jednym z królów Andary. Żył dobrze ponad tysiąc lat temu. Do tej pory jego postać zdążyła już do tego stopnia obrosnąć legendami, że nikt już nie wie, która część opowieści o nim jest prawdziwa, a która fikcyjna. Choć to tak naprawdę nie ma większego znaczenia. Chodzi bowiem o to, że ten władca, z powodu swojego życia i niezwykłego poszanowania kodeksu honorowego stał się niemal świętym patronem Andary.,;.**

**Gadrial wzniosła oczy do nieba, z tak typowo ransarańskim wyrazem rezygnacji i niezrozumienia, że Shaylar zachichotała.**

**–Śmieję się, śmieję – powiedziała surowo Gadrial. – Nie do**

**rastałaś w tym samym wszechświecie, w którym leży Andara...**

**Tamtejsi ludzie...!**

**Raz jeszcze pokręciła głową. Do rozbawionej miny Shaylar dołączył teraz głębszy, niższy śmiech Jathmara.**

**–Ja wcale nie żartuję – wznowiła po chwili Gadrial, której**

**ton głosu i mina stały się rzeczywiście bardziej poważne.**

**Większość ludzi spoza Andary uważa, że rodacy Jasaka są nie**

**co trudni do zrozumienia. Mythalanie nie uznają, że pojęcie „honoru” – o ile w ogóle**

są w stanie je pojąć – rozciąga się poza

**Ognie Piekieł**



kasty shakira i multhari. A moi pobratymcy z kolei, spędzili już stanowczo zbyt wiele czasu, zastanawiając się, jak ktokolwiek może definiować samego siebie na podstawie kodeksu liczącego sobie ponad tysiąc lat i który składa się głównie z serii zobowiązań, mających swoje źródło w tym, kogo sobie człowiek wybierze z własnie są. I naprawdę nadal żyją w ten sposób. Przynajmniej niektórzy.

–Nie wszyscy jednak, zdają się podzielać poglądy Jasaka w kwestii wymagań kodeksu – zauważył ponuro Jathmar. Ga-drial przytaknęła.

–Właśnie to miałam na myśli, mówiąc, że jest staroświecki. On nie jest jedyny. Jest wielu Anda-ran, tak samo konserwatywnyc się nadziwić temu, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy zaczęłam bardzo cieszyć. Ale poza nimi istnieją też ludzie, których możn „nowej generacji”. To osoby takie, jak ta ropucha Neshok, którego s nawet pięćsetnik Grantyl, którego pamiętacie z Fortu Wyvern. Takich, jak Neshok kodeks honorowy nie obchodzi wcale. On sam uważa go wręcz za zupełnie niepotrzebny najlepszym razie, a za godny pogardy w najgorszym. Z drugiej strony pięćsetnik Grantyl po prostu sądzi, że zasady honorowe wyszły z mody. Gotów jest zaakceptować fakt, że wielu ludzi nadal je wyznaje i, że z ich powodu musi do części z zasad stosować się sam, ale dla niego to wyłącznie jeden z elementów świata, który odchodzi w zapomnienie, a nie wskazówka, czy drogowskaz na przyszłość.

–Jasak się z tym nie zgadza – ciągnęła Gadrial. – Ani on, ani jego ojciec. Przynajmniej tak o diuku mówią inni. Obaj wierzą w honor, Jathmar, i obaj zrobią to, czego dawne zasady będą od nich wymagać, bez względu na cenę, jaką im przyjdzie zapłacić. To te kodeksy określają ich obu, jako osoby i szczerze mówiąc, to także dzięki nim polityczna pozycja diuka jest taka mocna. Nawet ci Andaranie, którzy nie są już tak chętni i gorliwi w podporządkowywaniu się starym zasadom, darzą tych, którzy postępują zgodnie z nimi, głębokim

*234David Weber i Linda Evans*

szacunkiem. Takich, którzy żyją honorowo i akceptują wszelkie związane z tym koszty.

–Gadrial – Shaylar zatrzymała się w półkroku i wzięła Ran-sarankę pod rękę. Zatrzymała ją i obróciła ku sobie – ty się martwisz. Dlaczego? Mówiłaś przecież, że ojciec Jasaka jest najpotężniejszym arystokratą w Andarze.

–Bo jest – Gadrial przez chwilę wyglądała przez okno, po czym zwróciła wzrok z powrotem na Shaylar. – Jest – powtórzyła – i wiem, że zaakceptuje fakt, iż Jasak uczynił was swymi *shardonai*. Będzie was chronił tak samo, jak opiekuje się pozostałymi członkami swego rodu – bo tak naprawdę, to staliście się członkami jego

rodu – i zrozumie motywy, którymi kierował się Jasak biorąc was w *shardon*. Ale z drugiej strony nie zrobi nic, nie zrobi, bo zabrania mu tego to samo poczucie honoru, by dzięki swej pozycji uratować karierę Jasaka, albo w jakikolwiek sposób wpłynąć na decyzję sądu wojennego, przed który jego syn może trafić.

–Sądu wojennego? – powtórzył ostro Jathmar.

–Naprawdę myślałeś, że politycy i starsi oficerowie armii Unii nie będą chcieli znaleźć sobie kozła ofiarnego? Zwłaszcza, jeśli sprawy obiorą zły obrót? – spytała z goryczą w głosie Gadrial. – Jasak jeszcze ze mną o tym nie mówił. Ledwie kilka półsłówek. Ale tak naprawdę nie musi. Ktoś musi odpowiedzieć, za to, co stało się z waszymi towarzyszami, Jathmar. A jeśli wybuchnie wojna, ktoś będzie musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za jej rozpętanie. A czyja osoba jest łatwiejszą ofiarą – a przy tym bardziej oczywistą – niż człowiek, który dowodził oddziałem, który wymordował wasz zespół badawczy?

–Ale... – zaczął Jathmar i szybko zamknął usta, walcząc ze swymi własnymi, mieszanymi uczuciami.

Częścią siebie nadal nie potrafił wybaczyć Jasakowi tego, co stało się z jego przyjaciółmi. Podejrzewał, że bez względu na to, co jeszcze przyjdzie mu przeżyć, bez względu na to, jak mogą się jeszcze zmienić jego uczucia w innych sprawach, to nadal pozostanie w nim ta mała, bolesna drzazga, w której będą

Ognie Piekieł

się zbierać cierpienie, strach i poczucie pustki. I tą częścią siebie był gotów patrzeć jak Sir Jasak Olderhan pokutuje za to, co stało się z zespołem, z samym Jathmarem i z jego żoną.

Ale resztą swej duszy zdawał sobie sprawę, że Jasak jest przyzwoitym, wrażliwym i honorowym człowiekiem, który zrobił wszystko co mógł, by tej masakrze zapobiec. Owszem, popełnił błąd i postąpił zgodnie z własnym regulaminem, nie odbierając dowodzenia nad plutonem Shevanowi Garlathowi, ale też jasnym było, że tego błędu sam

nigdy sobie nie wybaczy. Poza tym jednym, setnik zrobił naprawdę wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby powstrzymać rzeź, a Jathmar i Shaylar żyli i byli traktowani tak dobrze wyłącznie dzięki jego staraniom. Jeżeli wśród Arkanian była choć jedna osoba, która od samego początku zachowywała się wobec nich konsekwentnie honorowo, to był nią właśnie Jasak.

–Ale to nie powinno się wydarzyć – Jathmar usłyszał swój własny głos. Cichy, niemal brzęmiący żalem.

–Oczywiście, że nie. Ja to wiem, ty to wiesz. Shaylar to wie. Wszyscy to wiedzą... wszyscy poza samym Jasakiem – zdenerwowana Gadrial załamała rękę. – On z całą pewnością wie, że ja się z nim nie zgadzam. I właśnie dlatego nie chce ze mną na ten temat rozmawiać. Kiedy próbuję przejść do tego tematu, on tylko wzrusza ramionami. Raz nawet oskarżyłam go o masochizm, o to, że podświadomie chce, żeby go ukarano za to, co wyrządził wam i waszym towarzyszom. Ale to także nie to. Wiem o tym i on sam też to świetnie rozumie. On wcale nie chce trafić pod sąd, nie chce żeby to na niego zrzucono odpowiedzialność za wywołanie pierwszej w historii, wojny między wszechświatami. Jasak po prostu nie chce nawet spróbować tego uniknąć, nie chce uciekać, na tej samej zasadzie, z tych samych powodów, z jakich jego ojciec nie wykorzysta swych wpływów, by zapobiec postawieniu syna w stan oskarżenia. Diuk z pewnością zrobi wszystko co możliwe w trakcie procesu, by obronić swoje dziecko, ale nawet nie kiwnie palcem, żeby ewentualny sąd zablokować.

–Gadrial, ja...

*David Weber i Linda Evans*

–Nie, Shaylar – Gadrial pokręciła głową. – Nie mów tego. Jasak nie obwinia o nic ani ciebie, ani Jathmara. Ja także żadnego z was nie winię i nie będzie też was o nic oskarżać nikt z jego rodu. Tacy już po prostu są Andaranie. Przynajmniej niektórzy – na jej twarzy malowała się dziwna mieszanka przykrości, złości i niecodziennego, naznaczonego rozpaczą, odruchu dumy. – Nie można ich zmienić. A nawet gdyby, to przestaliby być tymi ludźmi, którymi są teraz. Straciliby samych siebie, prawda?

–Chyba masz rację.

–Ale to, co powiedziałam wcześniej, że i Jasak i jego ojciec są staroświeccy - powiedziała Gadrial – znaczyło, iż są dokładnie tak samo uparci, twardogłowi, przestarzali i posługują się beznadziejnie romantycznym pojęciem honoru, co zarazem oznacza, że diuk Garth Showma bez względu na wszystko, będzie bronić życia *shardonai* swojego syna.

u

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

–Dobry wieczór, Wasza Wysokość – jego koronowana emi-nencja, seneszał Othmaliz

przywitał gościa, którego wprowadzono właśnie do jego prywatnego apartamentu w budynku, znanego jeszcze kilka tygodni temu jako Wielki Pałac.

–Dobry wieczór, Wasza Eminencjo – odparł Chava Busar, cesarz Uromathii.

Obaj mężczyźni pod wieloma względami wyraźnie się od siebie różnili.

Seneszał był niskim, pulchnym człowiekiem, który wiele uwagi poświęcał zdobieniu swych, już i tak niezwykle wyrafinowanych i bogatych, religijnych szat, dodatkowymi klejnotami, złotymi haftami, koronkami i perłami. Na jego palcach lśniły niezliczone pierścienie. Kiedy chodził, dosłownie błyszczał, a piękne, maleńkie srebrne dzwoneczki, dekorujące jego wyjątkowe, cylindryczne, złożone kapłańskie nakrycie głowy, dźwięczały melodyjnie.

Chava Bursa, był podobnie jak jego gospodarz niezbyt wysoki. Jednakże na tym podobieństwa między nimi się kończyły. Podczas, gdy seneszał był tak opasły, że wydawało się, iż zamiast chodzić przelewa się po posadzkach swego pałacu, Cha-va

był smukły i atletycznie zbudowany, co mogło imponować,

### *23 Wavid Weber i Linda Evans*

zwłaszcza u człowieka pod sześćdziesiątkę. W odróżnieniu od okrągłej jak księżyc, gładko ogolonej twarzy seneszala, oblicze cesarza zdobiła schludnie przystrzyżona, starannie ukształtowana, trójkątna broda, a jego brwi – jak na Uromathianina, wręcz krzaczaste – unosiły się nad skośnymi oczyma niczym nieruchoma tafla jeziora w ciemną, bezksiężycową noc. W oczach Busara błyszczało coś twardego, niczym obsydianowa muszla, połyskująca tuż pod powierzchnią wody. Jak na mężczyznę swojego wzrostu miał bardzo szerokie ramiona i poruszał się tak, jakby cały wszechświat należał – a przynajmniej powinien należeć – wyłącznie do niego.

Mimo kontrastu w powierzchowności obu władców, ich wnętrza nie były już tak bardzo odmienne. Co więcej, to właśnie te wewnętrzne podobieństwa przywiodły cesarza do tej komnaty, na to prywatne spotkanie. Spotkanie utrzymywane w tak ścisłej poufności, że nie uczestniczył w nim żaden z doradców, czy gwardzistów. Seneszał nie przyprowadził też ze sobą ani jednego ze swoich ulubionych służących, którymi tak chętnie się zazwyczaj otaczał.

–Proszę, Wasza Wysokość – zaprosił gościa władca Othma-liz, wskazując na dwa wygodne, stojące przodem do siebie krzesła. Nad nimi unosił się, dominujący w wystroju

apartamentów seneszala, pełen chwały portret Bergahla. – Proszę spocząć.

–Dziękuję.«;

Chava skorzystał z zaproszenia i w iście królewski sposób zasiadł we wskazanym mu

krześle. Oba siedzenia, co zauważył, przypominały nieco trony, choć mebel seneszala był nieznacznie większy i bardziej bogato rzeźbiony. Busar zastanowił się nad tym i jego usta minimalnie drgnęły. Cesarz spodziewał się tego typu psychologicznych sztuczek. Bardzo pasowały do stylu, w jakim seneszał uprawiał politykę.

Gospodarz odczekał do chwili, gdy jego gość znieruchomiał, po czym sam usiadł. W pobliżu, w zasięgu ramion obu mężczyzn, znajdował się mały stolik z butelką wina, ciastem sezamowym i tacą pełną delikatnych kanapek. Seneszał uśmiechnął się do cesarza i osobiście rozlał wino do kryształowych kieliszków.

Ognie Piekieł

–Mam nadzieję, że zasmakuje Waszej Wysokości – uśmiechnął się ponownie. – Powstało z winorośli, rosnących w jednej z moich prywatnych winnic. Osobiście jestem z niego bardzo dumny.

–Dziękuję – powtórzył Chava, wziął do ręki kieliszek i upił skromny łyk. Jego krzaczaste brwi uniosły się nieco i skinął z uznaniem głową. – Miał pan rację, Wasza Eminencjo. Znakomite.

–Cieszę się, że nie uraziłem podniebienia – uśmiech nie zniknął z twarzy seneszała, choć tym razem jego grymas był cierpki jak ałun. – Cieszę się, mając wreszcie okazję podejmować gości, którzy potrafią docenić te skromne przyjemności, jakie mogę zaoferować.

–Och, rozumiem doskonale, Wasza Eminencjo. – Chava koniuszki zębów. – Będąc zupełnie szczerym, muszę przyznać, że

tolerancji i wyrozumiałości eminencji, w obliczu tego całego Konklawe, które wyrzuciło

porządek w mieście do góry nogami. – Cesarz pokręcił głową. ugoszczenia władców z każdego zakątka Sharony, musiała w kłopotów.

–Skłamałbym, gdybym powiedział, że wszystkie te wydarzenia nie spowodowały poważnych trudności. Naprawdę wielkich – przytaknął ponuro seneszał. – Najgorsza być może okazała się konieczność przeniesienia wszelkich stołecznych urzędów. Ponowne zaprowadzenie porządku w tym państwie może zająć całkiem długą chwilę.

–Nie mówiąc o pewnych... zmianach, które zaszły we własnym domu Waszej Eminencji – zauważył Chava. Z rozbawieniem i zadowoleniem przyjrzał się ciemnemu rumieńcowi, wypływającemu na twarz seneszała.

–Jestem tylko seneszalem Zakonu Bergahla – powiedział po chwili gospodarz. – Wielki Pałac nie jest moją prywatną własnością, a miejscem słusznie przynależnym Zakonowi. Miejscem symbolizującym władzę człowieka, którego Zakon wyniesie na swój szczyt. Tym niemniej – seneszał zaczerpnął

*240 David Weber i Linda Evans*

głęboki oddech – muszę przyznać, że konieczność zapewnienia odpowiednich kwater dla tak znacznych i możnych postaci, spowodowała w tym pałacu pewne, znaczące

perturbacje. Chava skinął współczująco głową. Obaj doskonale myśli, mówiąc o „perturbacjach”. Zanim do Tajwany przybył Calirath, seneszał zamieszkiwał w Cesarskim Skrzydle pałacu. o powrocie do domu swych przodków – do budynku, który be

trudnym położeniu. Oczywiście władca Othmaliz nie odważył

z komnat, które przedstawiciele dynastii Calirath zajmowali tradycyjnie od dosłownie tysięcy lat. Oczywiście apartament, w którym zamieszkał teraz, był luksusowy aż do przesady i równie jak jego poprzednie mieszkanie, bogato zdobiony bezcennymi dziełami sztuki, ale nie było to już jednak Skrzydło Cesarskie i cierpienie seneszala z tego powodu było aż nazbyt wyraźne.

–Szczególne wrażenie wywarło na mnie, Wasza sprawnie poradziłeś sobie, z tymi niedogodnościami, wraz z pozostałymi możliwymi zakonu -dodał po chwili Chava. – Po dwóch stuleciach niepodległości, musiało to stanowić ciężkie wyzwanie. Mam na myśli stanięcie twarzą w twarz z cesarzem Ternathii. Często zdarza mi się myśleć, że Calirathowie nie zdają sobie sprawy z,«tego, że instynktownie traktują innych nieco... z góry – uśmiechnął się na krótką chwilę. – Oczywiście nie należy im się dziwić. W końcu to najstarsza dynastia w dziejach Sharony. Z pewnością byliby uczciwie złościć się na nich za to, że następują innym na odciski. W końcu odruchowo zakładają, że dzięki stojącej za nimi tradycji są lepsi od innych.

–Owszem – zgodził się seneszał. Upił z kielicha, odstawił go na stół i spojrzał cesarzowi prosto w oczy.

–Jestem wdzięczny, słysząc wyrazy zrozumienia i sympatii ze strony władcy tak potężnego, jak wielki cesarz Uromathii.

Ognie Piekieł

Niemniej mam wrażenie, że to spotkanie nie ma swego jedyne go powodu w tym, by Wasza Wysokość miał okazję mi powiedzieć, jak przykro mu z powodu zmian zachodzących w mojej stolicy.

–Nie. Oczywiście, że nie – przyznał Chava i przypomniał sobie, że bez względu na swój pulchny i śmieszny wygląd, seneszał nie otrzymał – w odróżnieniu od samego Busara -swej władzy w spadku. Człowiek, który przyszedł na świat jako Fa-roayn Raynarg, drugi w kolejności, najmłodszy syn handlarza wydmiakami – który większość dzieciństwa i lat chłopięcych Faroayna spędził w więzieniu, do którego trafił za paserstwo – o własnych siłach dostał się na szczyt zakonu, w którym wcale nierzadko, kolejnym pretendentom do władzy przydarzały się nieszczęśliwe, śmiertelne wypadki. Owszem, działo się to wiele lat temu i zupełnie możliwe, że czas, który dawniej chudy i wiecznie głodny „ojciec Faroayn”, spędził w charakterze koronowanej eminencji, stępił nieco jego pazury proporcjonalnie do tego, jak zaokrąglił mu boki. Tak czy inaczej, nie należało zapominać, że nie był on do końca – a przynajmniej nie przez cały czas – nędznym, małym bufonem, który sam siebie poniżył w dniu przyjazdu Zindela chan Caliratha do Tajwany.

–W rzeczy samej, Wasza Eminencjo – podjął po chwili Uro-mathianin. – Poprosiłem o to spotkanie, gdyż mam wrażenie, że odkąd, ostatnim razem cesarz Uromathii rozmawiał z seneszałem Bergahla, jak jeden władca z drugim, upłynęło już wiele wspaniałych stuleci.

Seneszał wyraźnie zesztyniał w swoim krześle i na dźwięk słów „wiele wspaniałych stuleci” zastygła jego tłusta twarz. Na dnie małych oczek zapłonął, na wpół skryty pod pulchnymi powiekami, gniew. Chava zauważył to z milczącym zadowoleniem. Chwilowo część tego gniewu mogła być oczywiście skierowana na niego, w odwecie za przypomnienie seneszałowi doznanego przezeń na własne życzenie upokorzenia, ale to akurat Chavie nie przeszkadzało. Był pewien, że główna część wściekłości kapłana skupiała się dokładnie na tej osobie, na której sobie tego życzył.



*David Weber i Linda Evans*

„Zastanawiam się, czy ten gruby dureń naprawdę myślał, że znaczenie tamtej wymiany zdań zrozumiał tylko on i Ternathia-nie?” – pomyślał złośliwie cesarz. – „Czyżby myślał, że ja nie dysponuję historykami? I że nie mam szpiegów? Czyżby Uro-mathia zapomniała o swoich podstawowych narzędziach tylko dlatego, że przez dwieście lat nie były w użyciu?”

Niemniej, oddał w duchu sprawiedliwość seneszalowi. Epizod, który miał na myśli nie był szczególnie szeroko znany, a udawana przyjaźń między Zakonem Bergahla i dynastią Ca-lirath pomogła skryć go głęboko w mrokach zapomnienia. Chava jednak znał historię konfrontacji pomiędzy ostatnim cesarzem Ternathii, który władał Tajvaną i ówczesnym seneszalem Bergahla.

Cesarz Gariyan VII nie miał o Zakonie Bergahla wysokiego mniemania. Nie ufał tej organizacji ani trochę. Widział, jak przez wiele dekad kapłani podsycają niepokoje w stolicy Imperium. Między innymi, stąd brał się ferment w całym państwie. Nie było to coś, co groziło rychłym rozpadem cesarstwa, ani zbrojnym powstaniem przeciwko Ternathianom, ale tak czy inaczej powodowało... niepewność jutra. Nikt do końca nie znał przyczyn, dla których ojciec Gariyana rozpoczął stopniowy proces redukcji terytorialnej Imperium. Oficjalnie twierdzono, że infrastruktura państwa rozciągnęła się ponad wszelką sensowną miarę i administracja przestała spełniać swe funkcje, ale argument ten nie wytrzymał dokładniejszego namysłu. Imperialne podatki były podówczas śmiesznie niskie i nie byłoby ani trudne ani niemożliwe, by dostosować je do nowych warunków i naprawić to, co było do naprawienia.

Ale nikt nie miał lepszej teorii co do motywów, dla których Gariyan VI podjął decyzję o porzuceniu – czy też, w zależności od punktu widzenia, zwróceniu niepodległości - wschodnich części szalenie rozległego imperium. Ternathianie nie napotykali na zbrojny, zorganizowany opór wobec swojej „tyranii”, choć gdzieś zdarzały się odosobnione przypadki nacjonalistycznych wybryków, o których Chava nie omieszkał wspomnieć w trakcie debaty nad Aktem Zjednoczenia. Co więcej,

**Ognie Piekieł**

niemal we wszystkich rejonach świata, które przed okrojeniem Ternathii stanowiły podległe Tajwanie prowincje, podnosiły się głosy na rzecz pozostania poddanymi Uskrzydłonej Korony. Koniec końców jednak ci, którzy chętnie widzieliby siebie nadal w roli poddanych cesarza Ternathii zostali zdominowani przez połączone siły swoich rodaków, wołających wolność od zwiększonych podatków i tych także, którzy rzeczywiście czuli się źle pod tak długą „obcą okupacją”.

Tak więc, na przestrzeni dwóch pokoleń, granice Ternathii skurczyły się, cofnęły na zachód o ponad trzy tysiące mil, w efekcie czego znaczna część świata przeżyła następne dwa lub trzy stulecia podzielona na wiele niepodległych państw.

Gariyan VII jednak wyraźnie nie żywił żadnych złudzeń, która z frakcji politycznych zajmie dominującą pozycję w Othmaliz. Miał też niemal niezbitą pewność, że dążenie Zakonu Bergahla do przejęcia władzy w tym państwie sponsorowane jest uromathiańskimi pieniędzmi. Wezwał więc ówczesnego seneszała do Pałacu Calirathów, zanim jeszcze jego rodzina przeniosła się na zawsze – jak wtedy wszyscy podejrzewali – do Estafel i Sokolego Pałacu.

Nie było zgody – nawet w źródłach, do których miał dostęp Chava – w ocenie tego, co tak naprawdę zaszło pomiędzy odchodzącym cesarzem, a rosnącym w siłę kapłanem, który już wtedy ze wszystkich sił próbował umożliwić zakonowi pełną kontrolę nad nowym państwem. Większość relacji jednak zgodna była co do tego, że Gariyan nie był szczególnie delikatny, a wszystkie informacje potwierdzały, że to właśnie wtedy seneszał dowiedział się, iż Calirathowie nie mają najmniejszego zamiaru zrzec się prawa własności do swojego pałacu na rzecz królestwa Othmaliz.

Jasne też było, że seneszałowi ta ostatnia informacja nie przypadła do gustu. Zapewne – tak, jak i obecny – nie mógł się doczekać, kiedy posadzi swój zadek na tronie w Wielkiej Sali Tronowej, z którego przez tak długi czas rządzono tak wielką połacią świata. Kiedy więc Gariyan obwieścił, że właścicielem pałacu pozostanie dynastia Calirath, seneszał zagroził nacjonalizacją

#### *244 David Weber i Linda Erans*

całego kompleksu, nawet wbrew woli Ternathian. Nawet Cha-va dokładnie nie wiedział jakimi... argumentami posłużył się Gariyan, by zapobiec tak karkołomnej operacji, ale argument ten w oczywisty sposób pozostał w mocy przez następne trzy stulecia.

Zakon Bergahla nie zdobył się nigdy na to, by wypróbować jak bardzo Calirathowie są zdeterminowani by pozostać właścicielami pałacu, ale dawny Seneszał wściekł się nie na żarty. Gariyan prowadził rozmowę z lodowatym spokojem, a kapłan ział

ogniem i ryczał. I to właśnie w trakcie tamtej... rozmowy, tuż zanim rozgniewany seneszał wypadł z sali przyjęć, padły słowa, które każdy rozsądny człowiek zinterpretowałby jako groźbę.

–Minie wiele wspaniałych stuleci, zanim do tego miasta powróci dziedzic Calirathów i będzie się rozkoszować wygodą komnat tego pałacu – rzucił kapłan. – Sztylety Bergahla są ostre, a pamięć jego sług niezawodna!

Obecny seneszał nie postąpił najrozważniej, przypominając Zindelowi chan Calirathowi słowa swojego poprzednika z dawnych czasów. Chava Busar rozumiał to dobrze. Oczywiście długie tygodnie, na pół historycznych wieców poparcia dla Calirathów, które przygotowały grunt pod przybycie cesarza Ternathii, rozjuszyłyby każdego władcę,

zwłaszcza tu, w tym konkretnym mieście. A konsekwencje ewentualnego, niezależnego śledztwa w sprawie korupcji w rządzie tak na nią podatnym, jak administracja seneszala, mogły okazać się druzgocące. Desperacja potrafi pozbawić rozsądku nawet tych zazwyczaj rozsądnych. Co prawda, niewielu ludzi nazwałoby seneszala Othmaliz rozsądnym, na pewno nie ostatnio, ale być może władca nie spodziewał się, że Zindel zrozumie aluzję, albo myślał, że zrozumie i w – choćby nieznacznej – obawie o własny los... na nieokreślony czas zawiesi pomysł przeprowadzenia kontroli w Zakonie.

Jeśli jednak tak było w rzeczywistości, to albo był idiotą, albo wyjątkowo źle sprawili się jego szpiedzy, którzy przecież powinni byli mu przedstawić dokładną charakterystykę Zindela chan Caliratha. Chava nienawidził cesarza Ternathii tak zajadle, że wielkość tego uczucia można było porównać do największych

Ognie Piekieł,,245

dział sztuki, ale nigdy nie popełniłby błędu, polegającego na niedocenianiu przeciwnika.

–Tak – odezwał się wreszcie seneszał – wiele już czasu mi

nęło, odkąd seneszał rozmawiał z cesarzem Uromathii o trudach

i obowiązkach sprawowania niezawisłej władzy.

Uśmiechnął się chłodno i umilkł. Raz jeszcze zaczerpnął wina, odstawił kielich i lekko pochylił głowę na bok.

–Czy mam może słuszność Wasza Wysokość, sądząc, że wła

śnie o takich trudach i obowiązkach chciałeś ze mną tego wie

**czoru pomówić?**

**–1 to z kilku perspektyw – przyznał Chava. Oparł się wygodniej na krześle, łokcie ułożył na oparciu, palce splótł na piersi, skrzyżował nogi i z namysłem przyjrzał się seneszalowi. – Wydaje mi się Wasza Eminencjo, że należymy do tej, tak niefortunnie nielicznej grupy delegatów na Konklawe, którzy rzeczywiście rozumieją, co się tu dzieje i o jaką stawkę toczy się gra. Z prawdziwym żalem muszę przyznać, że bardzo wielu spośród naszych... kolegów okazało się być ludźmi fatalnie zaślepionymi.**

**–W rzeczy samej – seneszal także zmienił pozycję na wygodniejszą. Słuchał z uwagą. – A dokładnie, o jakich to skutkach ich zaślepienia Wasza Wysokość życzyłby sobie pomówić?**

**–Jest dla mnie oczywiste – odpowiedział Chava – że pod wieloma względami to Konklawe okazało się farsą, zwykłą przykrywką. 1 jako takie, planowane było od samego początku. Z pozoru jest to błyskawicznie zwołane zgromadzenie władców i głów państw,**

**spowodowane potencjalnie krytycznym zagrożeniem z innego wszechświata. Z pozoru była to spontaniczna decyzja dyrektora naczelnego Limany i Zarządu Portali. Ale ani Wasza Eminencja, ani ja nie jesteśmy przecież dziećmi i nie damy się chyba zwieść, kiedy rozgrywamy partię, w której idzie o prawdziwą władzę.**

**–Ach tak?.**

**–Wasza Eminencjo – powiedział Chava, kręcąc głową z nie  
znacznym, zmęczonym uśmiechem doświadczonego polityka  
miejsce kontaktu z tymi „Arkanianami” znajduje się czterdzieści**

***246David Weber i Linda Evans***

**osiem tysięcy mil od Sharony. A jak dotąd, jeśli chodzi o ich zdolności bojowe, to co widzieliśmy? Kusze? Miecze? Cesarz zaśmiał się pogardliwie.**

**–No oczywiście – machnął ręką lekceważącym gestem – sły  
szeliśmy też o tych ich „miotaczach płomieni” i „wyrzutniach  
błyskawic”, ale jak się skończyło ich spotkanie z regularnym  
oddziałem Sił Zbrojnych Zarządu Portali? Czy te ich „czaro  
dziej skie” zabawki w czymkolwiek im pomogły? Czy przewyż**

**szyły skutecznością nasze karabiny, broń maszynową, czy też  
moździerze? Oczywiście, że nie! A od chwili, w której rozpo  
częliśmy z nimi negocjacje, co nowego pokazali? Fruwające  
stoliki? Gadające kamienie? – cesarz prychnął. – Czy napraw  
dę jesteśmy dziećmi, żeby bać się tak tandetnych sztuczek?  
Owszem – te ich zabawki są przydatne, ale gdyby obcy rzeczy  
wiście dysponowali uzbrojeniem tam straszliwym jak to suge  
rowali nam niektórzy delegaci na tym Konklawe, to po co mie  
liby w ogóle zasiadać z nami do rozmów? Sądzę, że to dość  
oczywiste, zwłaszcza w świetle tego, jak łatwo poradziło sobie  
z nimi odpowiednio dowodzone i wyposażone, regularne woj  
sko. Oni po prostu nie stanowią dla nas realnego zagrożenia  
militarnego. Co więcej, sami dobrze o tym wiedzą. Inaczej nie  
rozmawialiby z nami na temat prawa własności do skupiska  
portali o takiej wartości, jak Wrota Piekieł. Czy Wasza Emi  
nencja na ich miejscu negocjowałaby z ludźmi, których uważał  
by za słabszych? ’:**

**Seneszał popatrzył na cesarza uważniej i po chwili zastanowienia pokręcił głową.**

**–Oczywiście, że nie! – prychnął raz jeszcze Chava, z jesz cze większą niż przedtem  
dozą pogardy. – Gdy w grę wchodzi wygrana takiej wartości, obowiązek zyskania jej  
dla własnego narodu staje się tak ważny, że trzeba siłą brać to, co wziąć trze ba. Na  
dyplomację i normalizację stosunków zawsze przycho dzi czas potem. Ale –  
powtarzam – potem, a nie w chwili, gdy okazja wymyka się z rąk!**

**A jednak – ciągnął cesarz – ci Arkanianie wybrali negocjacje, co mówi nam bardzo  
wiele o tym, jak postrzegają wzajemny**

**Ognie Piekieł**

stosunek sił. I mimo to, Konklawe dało się pokierować siewcom paniki. Mężczyznom – i kobietom – którzy pod pretekstem tego, jakoby nieuchronnego zagrożenia – mimo dzielących nas czterdziestu ośmiu tysięcy mil – chcą nas wpędzić w tę historię z ogólnoświatowym imperium. Według mnie takie rozwiązanie jest szczególnie korzystne dla Zarządu Portali, który od dawna korzysta z wielu Temathiańskich rozwiązań i który powstał -jak obaj doskonale pamiętamy – wyłącznie dzięki naciskom Terna-thii. To także Zarząd najgłośniej krzyczał o konieczności zwołania tego Konklawe, na którym jeden z jego szefów osobiście zaproponował, by to właśnie władca Ternathii stał się panem i władcą świata. Rzecz jasna, dyrektor Kinshe przemawiał oficjalnie w charakterze posła z Shurkhal, czyż nie? I któż mógłby wątpić w niezmierną wręcz uczciwość owych Przebłysków, owych wizji zagłady i zniszczenia, które – jakżeby inaczej – na-wiedzajajedynie Calirathów. I któż, mógłby śmieć podać w wątpliwość to tak zwane „spontaniczne” poparcie, jakiego delegaci Farnali i Bolakinu udzielili wnioskowi Shurkhalian, by koronę świata wsadzić na łeb Caliratha?

Słowa Chavy aż ociekały drwiną. Seneszał mocniej zacisnął szczękę. Othmaliz od dawna spoglądało na Shurkhal z zazdrością. Jedną z jej przyczyn była kwestia Wielkiego Kanału Ter-nathiańskiego. Korzyści, jakie kanał miał przynieść – zwłaszcza w połączeniu z kontrolą nad samą Tajvaną i Cieśninami Ibrala – były dla wszystkich oczywiste jeszcze na długo, zanim budowa została w ogóle rozpoczęta. Dla wszystkich, a w tym dla kilku pokoleń seneszałi. Stosunkowo niewielka liczba ludności Shurkhal sprawiała, że myśl o szybkim podboju, okazała si ę wyjątkowo kusząca. Co więcej, dwa razy podjęto nawet próby takiej inwazji – obie zakończone niesławnymi klęskami, co jeszcze bardziej tylko roznieciło tradycyjną niechęć pomiędzy Othmaliz a bitnym, pustynnym królestwem.

–Nie mogę się z Waszą Wysokością nie zgodzić – oznajmił wreszcie seneszał. –

Niestety, wydaje się, że jest już nieco za późno, by odwrócić bieg wydarzeń. Akt

Zjednoczenia został już ratyfikowany i choć Wasza Wysokość ma jeszcze możliwość

*David Weber i Linda Evans*

sprzeciwienia się jego postanowieniom, to ja – niestety – mam na głowie parlament, przed którym odpowiadam za swoje działania.

„Co z pewnością bardzo cię irytuje” – skomentował ironicznie w duchu Chava. – „Zwłaszcza po tych wszystkich latach, kiedy twój parlamencik automatycznie zgadzał się na wszystko, co mu zaproponowałeś ustami swoich popleczników.”

–Owszem – zgadzamy się w obu punktach. Jest już za późno i rzeczywiście fatalna sprawa z tym parlamentem – powiedział cesarz. – Tym niemniej, jako ludzie, na których ciąży odpowiedzialność za tych, którymi rządzymy, powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by ograniczyć zasięg wpływów panikarzy. I chociaż nigdy nie chciałbym zasugerować, ani też poprzeć pomysłu jakiegokolwiek, bezprawnego oporu wobec decyzji ciała, które wszak będzie prawowitym, regulaminowo powołanym rządem światowym, to myślę, że to samo poczucie odpowiedzialności każe nam oprzeć się ewentualnym nadużyciom władzy przez koterię, która w oczywisty sposób dąży do zapewnienia Terna-thii dominacji we wszystkich nowo odkrytych wszechświatach.

–Całkowicie się zgadzam, że należy wystrzegać się wszelkich bezprawnych środków – odparł seneszał. – Nawet, jeśli by się komuś cokolwiek powiodło za ich pomocą, to z pewnością osłabiłyby jego późniejszą pozycję. W końcu, jeśli ktoś wykracza poza ramy prawne w, dążeniu do własnych celów, to jakąż może mieć gwarancję, iż inni nie skorzystają z tych samych metod do osiągnięcia własnych korzyści? % tym jednak zastrzeżeniem -władca spojrział Chavie prosto w oczy – że mówimy tu o sytuacji, kiedy wiedza o stosowaniu nielegalnych metod, przedostaje się do opinii publicznej, prawda?

Chava zdziwił się lekko w duchu. Czyżby seneszał jednak wiedział o niektórych działaniach tajnej policji w Uromathii? Cóż, cesarz nigdy nie spodziewał się, że pozostaną one tajemnicą na zawsze.

–Tak, mówimy o wyłącznie takim wypadku... i z założeniem, że ktokolwiek chciałby się do podobnych metod uciekać – do dał świętoszkowato.

i

–Oczywiście, że z takim założeniem – zgodził HIC; uprzejmie seneszał i zamyślił się ścigając usta. – Wasza Wysokość, rozmowa z tobą była dla mnie niezwykle przyjemnym przeżyciem i doceniam szczerą, z jaką wypowiedziałeś się na temat naszych wspólnych trosk. A jednak to przecież Wasza Wysokość jest w sytuacji człowieka, który wkrótce ujrzy na tronie światowego imperium swojego wnuka. W tym świetle nie wydaje mi się, by stopień cierpienia naszych narodów pod przyszłą dominacją Ternathii można było określić mianem... identycznego.

–Tak i nie, Wasza Eminencjo – westchnął Chava. – Oczywiście z jednej strony twoje spostrzeżenie jest słuszne, ale z drugiej jest przecież tak, że tak samo, jak ja uznaję dziecko powstałe w wyniku wiadomego związku za własnego wnuka, to Zindel chan Calirath bez wątplenia uznaje także za swojego. I mając w pamięci, że korona spocznie na głowie Zindela, a nie mojej, obawiam się, że o ile nie wydarzy się nic nieoczekiwane, to dziecko będzie dorastać pod wpływem Ternathian. W tym dziecku popłynie moja krew, Wasza Eminencjo, ale spojrzysz ono na Uromathię oczyma Calirathów.

–Gdyby do tego rzeczywiście doszło, będę współczuł z Waszą Wysokością. Tymczasem jednak będę się za Waszą Wysokość modlił do Bergahla. Jest on wszakże bogiem sprawiedliwym, a jeżeli jakkolwiek sprawiedliwość w ogóle istnieje, to machinacje Zindela, który chce wykorzystać obecny kryzys dla własnych korzyści, nie ujdą bezkarnie.

–Dziękuję za twą modlitwę, Eminencjo. Obawiam się też, że ma Eminencja rację - ambicje Zindela powstrzymać może chyba tylko bezpośrednia boska interwencja. On z pewnością miał podobne zamiary jeszcze przed pojawieniem się tych „Arkanian”, którzy jedynie dostarczyli mu odpowiedniego pretekstu.

–Być może – zgodził się seneszał.

–A jednak – Chava wyprostował się w krześle i uśmiechnął promiennie, jak człowiek, który ma silne postanowienie odnalezienia jasnych stron niekorzystnego wydarzenia – należy wierzyć i mieć przynajmniej trochę zaufania, że bogowie jednak

*250 David Weber i Linda Evans*

staną po słusznej stronie. Oczywiście istnieje możliwość, że ja jestem zbyt pesymistą w odniesieniu do losów dziecka księcia Janakiego i jednej z moich córek. W końcu na charakter takiego dziecka będzie miała wpływ niezliczona liczba czynników. Jeżeli moja córka zajdzie w ciążę i urodzi dziecko zdrowe na ciele i umyśle, zdolne udźwignąć w przyszłości na swej skroni koronę Sharony, złożę odpowiednią ofiarę bogom i będę ich błagać, aby rosło bezpieczne i wolne od



**złowrogich uprzedzeń.**

**–Święte słowa, Wasza Wysokość – raz jeszcze przytaknął seneszał.**

**–Co więcej – ciągnął Chava, któremu temat wyraźnie się spodobał – myślę, że słusznie by było, gdybym złożył ofiarę nie tylko Dosaru, lecz także i innym sprawiedliwym bóstwom świata. W końcu mój wnuk pewnego dnia będzie rządzić nami wszystkimi, więc prośby trzeba zanieść do bóstw, co najmniej większości przyszłych jego poddanych.**

**–Świątobliwi ludzie ze wszystkich zakątków świata, doceniłoby tak szczodry gest Waszej Wysokości – skomentował ciepło seneszał.**

**–W takim razie – Chava zmrużył oczy i wbił się nimi między powieki seneszala - Pocieszyciele Bergahla otrzymaj ą znaczący datek, gdy tylko dziecko przyjdzie na świat i okaże się, że zdolne jest rządzić.**

**Oblicze seneszala przez moment znieruchomiało. Po chwili, skinął powoli głową.**

**–Tak, to bardzo odpowiedni gest, wążga wysokość – powie**

**dział. – Bardzo odpowiedni.√...**

# ROZDZIAŁ SZESNASTY

–Siada, siadaj, Klayrman!

Dowodzący Tysiącem Toralk skorzystał z serdecznego zaproszenia Dowodzącego Dwoma Tysiącami Harshu i zajął miejsce po przeciwnej stronie pokrytego śnieżnobiałym obrusem stołu. Namiot dowodzenia Harshu rozbity został w takim miejscu, że z rzadka tylko czuć było w nim dym – i woń spalonego ciała – wzbijające się znad zgliszczy Fortu Brithik. Niemniej, co chwila zapachy te dolatywały i tutaj, gdzie w zestawieniu ze srebrem, porcelaną i kryształami połyskującymi na stole wywoływały u oficera Sił Powietrznych... dziwnie niezręczne skojarzenia.

–Wina? – zachęcił Harshu, po czym – jeszcze zanim Toralk zdążył odpowiedzieć - skinął ręką na ordynansa. Żołnierz nalał rubinowego płynu z butelki, której etykieta bez żadnych wątpliwości nie została wydrukowana w Arkanie. Dwutysięcznik uśmiechnął się.

–Cokolwiek by nie mówić o obcych, to jedno jest już pewne. Na winie znają się doskonale – zauważył. – Skosztuj. Mam wrażenie, że powinno ci zasmakować.

Toralk posłusznie upił niewielki łyk. Skinął głową. Rzeczywiście trunek był doskonały. Przypominał nieco lepsze gatunki hilmarańskiego czerwonego wina.  
*252David Weber i Linda Evans*

–Rzeczywiście dobre, dwutysięczniku – przyznał i Harshu zachichotał.

–Dobre? – gospodarz pokręcił głową. – 1 tylko tyle? A ja do tej pory żyłem w przekonaniu, że wszyscy oficerowie Sił Powietrznych są prawdziwymi koneserami drobnych

przyjemno-stek życia. Ale cóż, pewnie nie można mieć wszystkiego. W takim razie ograniczę się do pochwał wobec znakomitej roboty, jaką wykonujesz od początku operacji, Klayrman.

–Cieszę się, że jest pan zadowolony, dwutysięczniku – odparł Toralk.

–„Zadowolony”, to stanowczo zbyt małe słowo – powiedział Harshu. – Jak dotąd każdy wyznaczony cel osiągniecie przed planowanym czasem. Żołnierze Sił Specjalnych poradzili sobie znakomicie z wyłączeniem łańcucha Głosów, a ponadto od czasu bitwy o portal na bagnach, nie straciliśmy ani jednego smoka. Czuję się z tym świetnie, Klayrman. Wyjątkowo świetnie.

–Dziękuję, dwutysięczniku.

**Toralk wyraźnie chciał coś jeszcze dodać, ale zrezygnował i zamiast tego upił kolejny**

**łyk wina...**

**–Czy coś cię niepokoi, Klayrman? – spytał Harshu i tysiąc-  
nik podniósł wzrok. Miał nadzieję, że przełożony nie dostrzegł  
jego gestu, ale najwyraźniej zapomniał jak spostrzegawczy i by-  
stry był dwutysięcznik. /**

**–No cóż. Prawdę mówiąc jest parę rzeczy, które... mocno mnie zastanawiają –  
przyznał Toralk. \*\*\***

**–No to lepiej nie duś ich w sobie – zachęcił Harshu i prychnął  
krótkim śmiechem. – W tej chwili masz u mnie spory kre-  
dyt zaufania, Klayrman, więc pora jest odpowiednia, żeby z nie-  
go skorzystać.**

**–A więc, chodzi o to, że nie jestem... że nie do końca podobają mi się plotki, które  
od  
pewnego czasu do mnie docierają. Plotki na temat sposobu, w jaki obchodzimy się  
z jeńcami  
wojennymi.**

**Toralk patrzył prosto w oczy dwutysięcznika. Harshu zmarszczył leciutko brwi.  
Ognie Piekieł253**

**–Rozumiem, że mówisz o pięćsetniku Neshoku? – po chwili milczenia upewnił się  
dowodzący sił ekspedycyjnych.**

**–To nazwisko pojawiło się kilkakrotnie w tym kontekście. Z drugiej strony, nie tylko  
o nim mówi się wśród ludzi. Obiło mi się o uszy kilka innych nazwisk,  
dwutysięczniku.**

**–A o jakich dokładnie plotkach mówimy? – zapytał Harshu i pociągnął łyk wina.**

**–To, co słyszałem, skłania mnie do obaw, że mamy do czynienia z wieloma**

przypadkami pogwałcenia Postanowień Ke-relli. Mówi się o jeńcach, którzy nigdy nie wracają do celu. O jeńcach, którzy w „tajemniczy sposób” znikają gdzieś pomiędzy miejscem ich pojmania, a klatką jeniecką, do której powinni zostać odprowadzeni. Mówi się także o innych Sharonianach, którzy poddawani są przez strażników systematycznemu biciu. Takich wypadków mamy podobno wiele. Według mnie to efekt uboczny plotek dotyczących sposobu, w jaki zginął magister Halathyn. Martwię się także i tym, że wywiad nie był w stanie tych historii potwierdzić, ani im zaprzeczyć. Bardzo mnie to wszystko niepokoi, dwutysięczniku. A w dodatku do tej... bezradności – Toralk znów popatrzył wprost w oczy Harshu – coraz częściej mówi się imiennie o pięćsetniku Neshoku i jego... nieodpowiednich metodach zdobywania informacji od przesłuchiwanym.

Oficer Sił Powietrznych usiadł wygodnie na swoim krześle. Czekał. Harshu obrócił swój kieliszek pod światło i zapatrzył się w jego szkarłatne serce, jakby trzymał w ręku czarodziejską kulę, z której można było wywróżyć przyszłość. Trwał tak przez kilka chwil, po czym zwrócił się na powrót do Toralka.

–Do mnie także dotarły niektóre z tych pogłosek – odezwał się wreszcie, ciszej i mniej radośnie niż na początku spotkania.

–I myślę także, że części z tych wydarzeń nie da się uniknąć.

Szczerze też przyznam, że wolę takie zachowanie żołnierzy, niż gdyby mieli się wahać na polu walki. Z drugiej strony przyznam ci jednak, że z tego co wiem z pewnych źródeł, rzeczywiście miało miejsce kilka przypadków poważnego naruszenia Postanowień.

*David Weber i Linda Evans*

Toralk otworzył usta, ale zaraz je zamknął i znów czekał. Harshu wzruszył ramionami.

–Nie podoba mi się to, że źle traktujemy jeńców, Klayrman. To pogwałcenie Regulaminu, zachowanie niegodne sił zbrojnych Arkany, a podobne wypadki mają też fatalny wpływ na dyscyplinę. Nic bardziej nie zmienia żołnierzy na froncie w swych własnych wrogów, niż zbytńia skłonność do okrucieństwa. Niemniej – ciągnął dwutysięcznik – znaleźliśmy się teraz w sytuacji szczególnego rodzaju. – Nie znamy obcych, a obcy nie znają nas. Nie wiemy także, jak wygląda ich odpowiednik Postanowień Kerelli. Nadal nie udało nam się jeszcze

dowiedzieć, jak daleko musimy się wbić w ich terytorium, żeby znaleźć to wąskie gardło, dzięki któremu zapewnimy bezpie czeństwo Wrotom Piekieł.

–Owszem, tylko czy w sytuacji, gdy nie znamy ich wersji Postanowień – zauważył cicho Toralk, gdy dowódca umilkł – nie postąpilibyśmy mądrzej dbając szczególnie o to, byśmy sami stosowali się do naszej? Jak sam pan powiedział, nadal nie wiemy jak daleko musimy wejść w głąb ich łańcucha, ani jak długo potrwa walka z tymi ludźmi. Czy – na dłuższą metę – nie byłoby bardziej rozsądnym, byśmy od początku dali im jasno do zrozumienia, że nie zależy nam na żadnych „okrucieństwach”, że nie jest to nasz tradycyjny sposób prowadzenia wojny? To chyba istotne, o ile oczekujemy tego samego z ich strony?

–W jakiejś części podobne wypadki zdarzają się i zdarzać będą na każdej wojnie. Bez względu na Regulamin, nasze pobożne życzenia, czy też to, co czytaliśmy w wybielonych historyjkach z przeszłości – zauważył Harshu. – Tak jest zawsze, Klayrman. Nawet, jeśli mielibyśmy do dyspozycji najszlachetniejszych żołnierzy multiwersum. A teraz jeszcze, biorąc pod uwagę fakt, że to my ich zaatakowaliśmy i to w trackie rozmów pokojowych, szczerze wątpię, żeby ktokolwiek z Sharonian żywił do nas ciepłe i przyjemne uczucia. Bez względu na to, jak ściśle trzymalibyśmy się Postanowień.

**–To z pewnością racja, dwutysięczniku – dokładnie z te**

**go powodu, Toralk miał wątpliwości do całej operacji od**

**Ognie Piekieł255**

**samego jej początku – ale przecież kiedyś to będzie musiało się skończyć. Chyba, że**

**planujemy toczyć z obcymi wieczną wojnę. Poza tym, proszę mi czy później oni także będą mieli jeńców wojennych. Arkanian. I ma jaki my obchodzimy się z ich jeńcami może mieć znaczący wpływ naszych.**

**–Bez wątpienia. Niemniej przyznam ci, że gotów jestem tu chwili front się ustali. Mam zamiar być wtedy już dużo głębiej w ich terytorium niż teraz, ale wreszcie się przecież zatrzymamy, Klayrman. A kiedy to się stanie, postaramy się o nowe otwarcie negocjacji. Być może pojawi się wtedy konieczność rozmów o wymianie jeńców i zupełnie prawdopodobnie obie strony wystąpią z żądaniem ukarania tych, którzy dopuścili się zbrodni wojennych. Jak to będzie dokładnie wyglądało nie wiem i nie chcę w tej chwili spekulować. Wiem tylko, że bez względu na to, jak bardzo wkurzone będą obie strony, to na wszystko będzie można spojrzeć wtedy inaczej i o wszystkim spokojnie porozmawiać. Obcy mogą sobie nas nie lubić, mogą nam nie ufać jeśli im się tak podoba, ale wcześniej czy**

**później wszyscy będziemy musieli zacząć używać rozumu. I zaczniemy. Bez względu na to, co pomiędzy nami wcześniej zajdzie.**

**–Dwutysięczniku, czyja dobrze rozumiem, że według pana niegodne traktowanie jeńców wojennych nie ma żadnego znaczenia? – zapytał ostrożnie Toralk.**

**–Tego nie powiedziałem – odparł Harshu nieco chłodniej. – Twierdzą tylko, że w tej chwili istnieją pewne aspekty naszej sytuacji i szczególne wymagania naszej misji, którymi przejmuję się o wiele bardziej niż plotkami – nie, nazwijmy je raczej po imieniu -doniesieniami, które tak niepokoją ciebie. Klayrman – kontynuował dwutysięcznik -poruszamy się tutaj zupełnie po omacku. Gównu wiemy o tych ludziach! Jasne, zdobyliśmy sporo map i innych danych, ale niestety nasze zaklęcia tłumaczące nie pozwalają jeszcze na przekład tych dokumentów. Ich odczytanie – według danych wywiadu – nie będzie możliwe**

**256David Weber i Linda Evans**

**jeszcze przez, co najmniej kilka tygodni. Z map, które udało nam się do tej pory zdobyć nie wydaje się, żeby terytorium Sharonian było choć trochę zbliżone obszarem do naszego. Pewności jednak nie mamy. Aj a muszę wiedzieć, co czeka nas po drodze, jeżeli mamy zamiar uniknąć jakichś niespodzianek i ciężkich strat. A**

**pamiętaj, że za nami nie ma nikogo, kto mógłby odeprzeć ewentualny kontratak obcych, więc nie za bardzo nas stać na jakiegokolwiek straty. I to tym właśnie przejmuję się o niebo bardziej niż jeńcami.**

**Toralk popatrzył na swojego przełożonego przez kilka chwil, które zdały się miniaturowymi wiecznościami.**

**–Dwutysięcznik – powiedział wreszcie, bardzo cicho – jeżeli nie położysz temu kresu, to ta sprawa na zawsze przylgnie do pańskiego nazwiska. Straci pan całą swoją znakomitą reputację.**

**–Pieprzyć moją reputację – odparł beznamiętnie Harshu. Toralk otworzył oczy szeroko ze zdumienia, na co dwutysięcznik zareagował wybuchem ostrego śmiechu. – Och, nie będę tu udawać skromnisa. Co więcej, przyznam ci się, że moim ego można by obdarować trzech innych, dowolnie wskazanych ludzi! No i co z tego? Moja reputacja w porównaniu z powodzeniem misji warta jest tyle, co pierdnięcie wobec burzy. Mam pod sobą czternaście tysięcy ludzi. I to na mnie spoczywa odpowiedzialność za ich los. Za nich i za całość operacji. Informacje, których dbstarcza mi ten nędzny bękart Neshok są mi bezwzględnie potrzebne. Bez rąh nie udałoby mi się utrzymać moich ludzi przy życiu i nie wykonałbym powierzonego nam zadania.**

**„A więc to o to chodzi” – pomyślał Toralk. – „Doskonale wiesz z czym przychodzę, wiesz, kto jest problemem i jesteś gotów to akceptować w imię własnych korzyści.”**

**Tysięcznik zdał sobie jednak sprawę, że nie jest do końca uczciwy. „Własna korzyść” to bardzo brzydkie sformułowanie, a ponadto Harshu miał rację wspominając o losie powierzonych mu żołnierzy. A najbardziej ze wszystkiego zaskoczyła Toralka obojętność dwutysięcznika – zazwyczaj usilnie**

## **Ognie Piekieł<sup>257</sup>**

**goniącego za sławą – na to, co potomność będzie kojarzyć z jego nazwiskiem.**

**–Dwutysięcznik – odezwał się lotnik po chwili. – Nie je**

**stem pewien, czy mogę się z panem zgodzić. Mojego sprzeci**

**wu nie wywołuje to, co mówił pan o życiu pańskich ludzi, ani**

**waga jaką przykładają pan do sukcesu misji. Martwię się jednak**

**tym, co z ignorowania naruszeń Postanowień może wyniknąć**

**dla nas. Nie dla naszego przeciwnika. To na nas spoczywa mo**

ralna odpowiedzialność za los jeńców z Sharony i jeśli się od niej uchylimy, to ona nas zatruje.

Zaległa długa cisza. Wreszcie Harshu zaczerpnął głęboko powietrza.

–Być może masz rację, Klayrman. Pewnie ją nawet rzeczywiście masz.

Umilkł na kolejną wieczność, po czym wzruszył lekko ramionami.

–Podejrzewam, że zanim do mnie z tym przyszedłeś zrozumiąłeś już, że rzeczywiście nie ma tych wypadków aż tak wiele. Owszem zdarzają się, ale to naprawdę małe piwo w porównaniu z innymi twoimi wątpliwościami. Zdaję sobie jednak sprawę, że te wydarzenia stoją w oczywistej sprzeczności z moimi własnymi rozkazami, w których podkreślałem konieczność przestrzegania Postanowień Kerelli, więc jeśli chcesz rozmawiać z kimś z Parlamentu, przekonywać, że nieodpowiednie traktowanie jeńców jest występkiem i kopać ich po dupach, aż wreszcie raczą coś z tym zrobić, to nie mam nic przeciwko.

Z drugiej jednak strony, nie musimy przed sobą udawać, że nie wiemy, co cię tak naprawdę martwi. To, że się do mnie zwracasz świadczy o tobie dobrze jako o oficerze, a także jako o człowieku. Masz za to mój szacunek. Ale ja muszę otrzymywać te informacje. Nie potrafimy czytać ich dokumentów, ale dzięki przesłuchaniom mamy dość informacji by w miarę sprawnie odcyfrowywać sharoniańskie mapy. Byłbym dużo bardziej szczęśliwy, gdyby udało się nam już zorientować je jakoś wobec naszych map i



przeliczyć właściwie ich skale. I naprawdę chciał bym móc to zrobić bez konieczności przesłuchiwania jeńców.

## *25 Wavid Weber i Linda Evans*

Ale póki co nie mogę. Dlatego muszę korzystać z informacji, które przynosi mi Neshok. Dzięki niemu wiemy na przykład, że ten łańcuch się rozdziela – i, że splata się z powrotem w miejscu zwanym Traisum, dokąd sięga to coś, co nazywają „koleją” a co jest jakimś odpowiednikiem naszych ślizgaczy i ciągnie się aż do ich rodzimego wszechświata. Wiemy już, że w drugiej odnodze tego łańcucha stacjonują bardzo niewielkie siły i mamy też szczególnie ważne informacje, dzięki którym, nasze siły specjalne będą mogły odnaleźć kolejne ogniwa w sieci Głosów. Właśnie takie informacje są mi niezbędne.

Głos dwutysięcznika był bezbarwny, monotony. Toralk siedział nieruchomo. Po długiej chwili odchrząknął.

–A co się potem stanie z ludźmi, którzy je dla pana zdobywają? – spytał cicho.

–Potem? – Harshu uśmiechnął się blado. – Jestem przekonany, iż pięćsetnik Neshok ma świetlane wizje awansu, władzy. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że on sądzi, że ja także zostanę awansowany za moje wspaniałe zwycięstwa. 1 spodziewa się pewnie iż parasol, jaki nad nim roztoczę, pomoże mu wystrzelić wraz ze mną w górę. Ale nic takiego się nie wydarzy. Oczywiście, jest możliwe, że zostanę awansowany a nawet, że stanę się bohaterem w oczach opinii publicznej... przynajmniej na krótką chwilę. Bo przecież, Klaynnan, wreszcie ludzie zaczną zadawać te same pytania, które ty uczciwie odważyłeś się postawić mi dzisiaj. Zaczną dowiadywać się, skąd brałem potrzebne informacje i jak sądzę, wtedy skończą się awanse. Skończy się kariera dowódcy. Nikt nie zostawi w spokoju oficera, który przymykał oczy na to, że jego podkomendni torturowali, a nawet zabijali jeńców.

–A Neshok? – zapytał jeszcze ciszej Toralk.

–A Neshok, Klayrman – blady uśmieszek Harshu nagle przybrał okrutny wygląd - Neshok dowie się, że nigdy nie autoryzowałem żadnego z jego wybryków, żadnego z wypadków naruszenia Postanowień. Mi to, rzecz jasna, w niczym nie pomoże, ale jego także nie ocali. Nie będzie się mógł zasłaniać niczymi rozkazami, nie będzie mógł powiedzieć: „Robiłem tylko to, co

## **Ognie Piekieł259**

mi kazano”. Sam powiedziałaś, że Sharonianie zaczną się domagać, by osoby odpowiedzialne za złe traktowanie jeńców zostały ukarane? No cóż, jak sądzisz, kogo

ukarzą? Ja wiem, z jakiego powodu Neshok składa raporty bezpośrednio do mnie, dlaczego nie ma pomiędzy nami żadnego łącznika. Ale czy ty to rozumiesz, Klayrman?

„Vothon” – pomyślał Toralk. – „Planowałeś to od dawna. Wykorzystujesz Neshoka, ale zaraz upewniasz się, że kiedy on wreszcie poleci, to nie pociągnie za sobą nikogo więcej. Być może nikogo poza tobą.”

–Dwutysięczniku...

–Nie, Klayrman. Nie będziemy już na ten temat rozmawiać. Przynajmniej nie dziś wieczorem. Teraz zjemy razem kolację, porozmawiamy na temat najnowszych informacji, których dostarczył mi pięćsetnik Neshok i ustalimy, jak powinny one wpłynąć na nasze dalsze plany. Postanowiłem – ciągnął – że będziemy musieli rozdzielić nasze siły. Nie możemy zostawić w spokoju tej drugiej odnogi ich łańcucha, gdyż stanowiłoby to zaproszenie dla Sharonian, żeby wjechali sobie tamtędy prosto w nasze tyłki. Co wydarzyłoby się na pewno, zwłaszcza, jeśli podwinęłaby się nam noga w tym ich Traisum. Zaraz rano wyślę, więc Carthosa w górę tamtej drugiej odnogi. Zanim dotrze do Traisum będzie musiał przejść przez cztery wszechświaty. Tymczasem przed nami będą jedynie dwa, ale według danych od pięćsetnika – dwutysięcznik uśmiechnął się niewesoło – tamte cztery, to bardzo niedawno odkryte wszechświaty i wciąż niezbyt dobrze obsadzone. Carthos zatem nie powinien natrafić na jakiś poważniejszy opór. Oczywiście czeka go dłuższa wyprawa. Będzie musiał przebyć dwa razy dłuższą drogę niż my i nawet ze smokami będzie mu trudno. Trudno też byłoby poruszać się tamtędy obcym, gdyby rzeczywiście nie oddali nam Traisum i chcieli tamtędy wskoczyć nam na plecy. Z tego powodu, dla obu stron tamta odnoga łańcucha musi się okazać teatrem drugorzędym i to my napotkamy na ich opór w Fail-cham i Karys, a nie on na swojej drodze. Z kolei – Harshu nie przerywał – wynika z tego także i to, że ja będę potrzebować

*! 60David Weber i Linda Evans*

i siebie swojego najlepszego dowódcę Sił Powietrznych, dla-ego zatrzymam cię tutaj. Obawiam się, że będziesz teraz pod tvoją bezpośrednią komendą, a Carthosowi udzielię nieco szer-zych prerogatyw – dwutysięcznik popatrzył Toralkowi prosto v oczy. – Przykro mi. Przykro mi, ponieważ to na niego spadną lochwały za każdą z decyzji, od taktycznych począwszy do tych lotycznych zaopatrzenia... oraz metod zdobywania informa-ji. Nie sądzę natomiast, żeby ktoś ciebie szczególnie chwalił; a podobne decyzje, jakie podejmiesz podczas naszej operacji utaj.

Toralk odpowiedział na spojrzenie dowódcy i zrozumiał, i czym tak naprawdę mówi Harshu.

**„Nie powinienem” – pomyślał. – „Nie powinienem mu na to ‘ozwolić. Powinienem albo otwarcie poprzeć jego decyzje, albo ‘oprosić o przeniesienie. Nie powinienem się beczynnie przygadać temu, jak on ratuje mój tyłek, a Carthosa i Neshoka rzuca na pożarcie smokom... a także i siebie.”**

**Przez długą, pełną wahania chwilę, zastanawiał się, czy nie owinien wypowiedzieć tej myśli na głos, ale wtedy...**

**–Rozumiem, dwutysięczniku. Nie będę udawać, że jestem tego powodu szczęśliwy, ale ma pan rację przynajmniej w jed-jej kwestii. Mamy tu coś do zrobienia i wydaje mi się, że już ajwyższy czas, żebyśmy zakasali rękawy.**

Generał dywizji chan Geraith wyszedł z przyjemnego, ogrzewanego wnętrza na platformę z tyłu wagonu. Hałas stalowych ół dudniących o żelazne szyny, wycie wiatru, rozedrgane ścia-y i szyby, wszystkie te dźwięki w jednej chwili wypełniły jego szy. Panowało przejmujące zimno (choć zdawał sobie sprawę, e już za kilka tygodni zrobi się o wiele zimniej). Ogromny po-iąg pędził przez noc.

Rozległa Równina Grocyra rozciągała się na północ i na 'schód. Bezgraniczna kraina bagien, brzozowych i iglastych isów, znajdująca się w centrum ogromnego kontynentu Chairi-)n. Podwójny tor miał długość trzech tysięcy dziewięciuset iii lotem ptaka, od jeziora Arau u wschodnich podnóży gór

Ognie Piekieł

## 261

Arau aż do południowozachodnich gór Harkali, do miejsc starożytnego miasta Aeravas. Ten wielki pociąg, wypełniony po pojazdami i działami pierwszej brygady, trzeciej dywizji dragonów

nie był jednak ptakiem. Ustępstwa, jakie niechętny do współpracy teren wymuszał na inżynierach i budowniczych Kolei Trans-Temporalnych, powodowały, że do odległości w linii prostej należało doliczyć jeszcze co najmniej siedemset mil.

Znajdowali się mniej niż w połowie drogi przez wszechświat o nazwie Faryika. Wściekle gnali w kierunku Traisum. Do przebycia zostało im jeszcze bez mała dziewięć tysięcy mil. Na całe szczęście czekała ich jeszcze tylko jedna przeprawa morska. Gorszą wiadomością było to, że to morze było szerokie na ponad tysiąc mil i, że w słabo zaludnionym wszechświecie Salym nie było łatwo o statki. Generał wiedział, że przerzucenie jego ludzi i sprzętu przez ten akwen zajmie bardzo dużo czasu.

„Czas” – pomyślał. – „Proszę cię Vothan, daj mi więcej czasu! To nie powinno być tak, że samo dotarcie moich wojsk w rejon konfliktu zajmuje długie miesiące! W Akademii nikt nie przygotowywał żadnego z nas na podobne sytuacje. Ani – jego myśl zabarwiła się ponuro – na wojnę, w którą to wszystko może się obrócić.”

Chan Geraith rozpiął kilka górnych guzików swego płaszcza i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął płaską, cienką papierośnicę. Otworzył ją i wyjął ze środka długą, ręcznie zwijaną cygaretkę z Nowej Ternathii. Schował papierośnicę do płaszcza. Przez chwilę napawał się bogatą wonią tytoniu, przesuwając cygaretkę pod nosem, po czym odciął końcówkę, włożył do ust i zapalił zapałkę. Złożył dłonie i otulił nimi

delikatny płomień, pozwolił wypalić się wszelkim ewentualnym, chemicznym posmakom, po czym powoli zapalił cygaretkę, dokładnie obracając jej koniec, tak by płomień objął ją z każdej strony. Odrzucił zapalną za pociąg. Przyjrzał się łukowi, który ta krótkotrwała kometa zakreśliła w powietrzu. Widział jak umiera, porwana wiatrem poza tory.

## *262 David Weber i Linda Evans*

Podszedł do prawej krawędzi platformy i oparł się na barierce. Wyjrzał na ciągnące się na zachodzie równiny. Gęste, brzozowe zagajniki migały co jakiś czas po obu stronach. Srebrno białe, połyskujące pnie lśniły w świetle księżyca. Gdzieś widać było kępy iglastych drzew. Obok pociągu, po ziemi, pędziły równym tempem światła wylewające się z okien wagonów. Jasne plamy podskakiwały gwałtownie na gładkich i innych przeszkodach. Nad głową generała migotały błyszczące gwiazdy, a szybujący po północnym, granatowym nieboskłonie księżyc, otaczało lodowate halo. Daleko w przodzie, niewidoczne z miejsca, w którym stał chan Geriath, trzy potężne lokomotywy pędziły niczym demony przez diamentową jaskinię wykutą w ciemności, przez silny czołowy reflektor pierwszej z nich. Gruby warkocz dymu z kominów, ciągnął się za pociągiem niby powiewający sztandar. Światło księżyca znaczyło go srebrem i czernią.

Stanowili jedyną ostoję życia i światła – przynajmniej ludzkiego życia – na przestrzeni dosłownie tysięcy mil. W tym wszechświecie na stałe mieszkało ledwie dwadzieścia tysięcy ludzi. Oznaczało to, że trzy tysiące żołnierzy pierwszej brygady, zwiększyło jego zaludnienie o ponad piętnaście procent. Oznaczało to też, że te marne dwadzieścia tysięcy było niczym w porównaniu z rozmiarami ogromnego, pustego świata.

Wspaniałe Paladyny, które ciągnęły ich pociąg musieli wcześniej zostawić za sobą. Żaden z dostępnych statków transportowych, które przewiozły ich przez morze w Haysam, nie był w stanie wziąć na pokład tak ogromnych lokomotyw. Poza tym, Paladyny były bardzo potrzebne kolejnym oddziałom zdążającym trasą z Sharony do Haysam. Hayrdar Sheltim,

zawodowca przydzielony do obsługi pociągu chan Geraitha, potrzebował aż trzech lokomotyw Ostrze Wichru J 2-8-4 produkowanych przez zakłady Norgamar, żeby zastąpić parę Paladynów. Nie czuli jednak wielkiej straty. Ostrza były zwinniejsze od swoich większych kuzynów i lepiej przystosowane do jazdy w górskim terenie, jaki czekał ich po drodze do Harkali.

Generał zaciągnął się mocniej cygaretką. Spojrzał na jarzący się przez chwilę jaśniej koniuszek. Cieszył się chwilą, którą



wykroił z wieczoru tylko dla siebie. Podziwiał świeże, czyste piękno świata, który mknął po obu stronach torów tak samo, jak podziwiał bogaty smak dymu. Uwielbiał takie momenty. Minuty, gdy mógł odetchnąć od towarzystwa swoich oficerów sztabowych i dowódców podległych mu jednostek. Chwile, kiedy mógł przestać na jakiś czas być szefem dywizji i pozwalał sobie zejść ze sceny, na której odgrywał przedstawienie pewności siebie i determinacji.

„Wydaje mi się, że to trochę żalosne, iż aby znaleźć to, co Misanya nazywa moją „strefą bezpieczeństwa” muszę odmrażać sobie tyłek” – pomyślał.

Myśl o żonie wywołała na jego twarzy uśmiech. Była zarówno żoną, jak i córką żołnierza i doskonale rozumiała wszystko, co się z tym wiązało. Od początku wiedziała, że ich wspólne życie musi zostać niekiedy poddane surowym wymogom jego zawodu. Z tego samego jednak powodu, była fantastycznie nieczuła na wszelkie przejawy uzalania się nad sobą i dramatyzowania, jakie czasem wykazywali niektórzy ich znajomi. Z równą nieczułością wypatrywała ich u męża i w razie potrzeby bezwzględnie je likwidowała, za co zresztą chan Geraithbyłlej za każdym razem niezmiernie wdzięczny.

Po chwili, uśmiech zniknął. Generał pomyślał o tysiącach mil uciążliwej drogi, które oddzielały go od żony.

„Przestań Arlos!” – zrugął się w myślach. – „Nie jesteś jedynym facetem, który tej nocy tęskni za żoną „.

To była prawda. Poza tym, miał na głowie inne zmartwienia. Choćby to jedno szczególnie paskudne. Nie podobał mu się raport, który kapitan Lisar chan Korthal - sztabowy Głos chan Geraitha – przekazał z negocjacji. Wiadomości od kapitana chan Baskaya mówiły o wyjątkowo obstrukcyjnej postawie obcych, co generałowi nie wydawało się wcale bardziej sensowne niż samemu chan Baskayowi. Podobnie niepokojące były

podejrzenia chan Baskaya i Arthaga, o których mówiły inne, przesłane w górę łańcucha wiadomości.

„Te dranie coś kombinują” – pomyślał chmurnie. – „I nie jest to wyłącznie moja tradycyjna paranoja. Nie wiem tylko, co

*264 David Weber i Linda Evans*

wymyślili... obawiam się jednak, że już wkrótce się tego dowiemy.”

**Wyciągnął cygaretkę z ust. Skrzywił się porządnie i wsunął ją z powrotem między zęby.**

**„Dobrze przynajmniej, że od kilku dni ani chan Tesh, ani chan Baskay nie przysyłają więcej żadnych alarmujących informacji. To już coś. A fakt, że ci przekłęci Arkanianic nic mają pojęcia jaką siłą ognia dysponuje cała brygada dragonów, to jeszcze zupełnie inna sprawa. Choć z drugiej strony, ja także nie wiem, jakie zabawki oni tam szykują, prawda?”**

**Prychnął cierpko. Nic pierwszy raz już przyszła mu do głowy ta myśl. Podejrzewał też, że nic ostatni.**

**„Będzie mnie to męczyć dopóki – o ile się o tym nie przekonam na własnej skórze. A jeśli do tego dojdzie to dlatego, że wszystko poszło się... Tak. To zdaje się jest jedna z tych tajemnic multiwersum, których nic chciałbym, jeśli Triada pozwoli, nigdy rozwikływać.”**

**Pokręcił głową i zapatrzył się w dziewicze piękno gwiazd i księżyca. Zastanowił się, jak długo tu jeszcze wytrzyma, zanim chłód zagna go z powrotem do wagonu.**



# ROZDZIAŁ

## SIEDEMIĄSTY

Nith mul Gurthak ostrożnie zamknął drzwi swego gabinetu, podszedł do biurka i usiadł. Za oknem widział otulone płaszczem mroźnej, bezksiężycowej nocy zabudowania Fortu Talon. Uśmiechnął się krzywo. Nie było żadnego powodu, dla którego musiał to robić pod osłoną mroku, a jednak zawsze sprawiało mu to nie do końca zrozumiałą satysfakcję.

„Chyba po prostu spiskować należy zawsze po ciemku, bez względu na to, jak szczytne cele zamierza się osiągnąć” – pomyślał i sięgnął po leżący na blacie, zdobny nóż *rankadi*.

Podniósł ostrze, zamknął oczy i raz jeszcze spojrzął w mrok. Tym razem jednak nie swoim fizycznym wzrokiem, a mocą swego Daru. Swoim bardzo potężnym Darem, którego istnienia nie podejrzewał nikt, poza osobami zasiadającymi w Radzie Dwunastu i jego najbliższymi krewnymi.

Rezygnacja z ujawniania takiego Daru nie była łatwa. Nie było łatwo wyrzec się jego stosowania i wcisnąć w pijący mundur oficera armii Unii Arkany. Nith mul Gurthak urodził się jako Nith vos i mul Gurthak, jako członek kasty shakira i potomek jednego z tradycyjnie wojskowych rodów Mythal. Niemniej już od lat chłopięcych, systematycznie ukrywał potęgę swego Daru. Szkolili go prywatni nauczyciele, którzy brutalnie, z bezlitosnym

*266 David Weber i Linda Evans*

rygorem, uczyli go wykorzystywać moc. Ten jego trening rozpoczął się o całe lata wcześniej niż to bywało w przypadku innych dzieci kasty *shakira*. Nikt nie potrafiłby zliczyć nocy, które młody Nith spędził łkając w poduszkę, lecz ani razu nie uchylił się od swoich obowiązków, nigdy nie narzekał. Do swej roli został wybrany, wytypowany przez kastę, zanim jeszcze przyszedł na świat. Stało się to w dniu, kiedy zaplanowano małżeństwo jego pochodzącego z kasty *shakira* ojca, z matką wywodzącą się z rodu *multhari*. Rozumiał, że spotkał go zaszczyt, którego żaden *shakira* godny przynależności do swej warstwy społecznej nie mógłby odrzucić. Siła jego Daru i zręczność, z jaką potrafił nie tylko go wykorzystywać, ale i ukrywać, stanowiły jedynie potwierdzenie słuszności wyboru jego osoby.

Teraz, właśnie dzięki swemu Darowi upewnił się, że wszystkie zapewniające prywatność zaklęcia chroniące gabinet były aktywne i nieznacznie rozluźnił ramiona. W zabezpieczających czarach nie było nic specjalnego. Były to standardowe zaklęcia stosowane przez armię Unii Arkany, w celu zapewnienia oficerom odpowiednich warunków podczas wykonywania ich obowiązków. Mul Gurthakowi to nie

przeszkadzało. W całym Forcie Talon – a nawet w całym wszechświecie Erthos – nie było drugiej osoby, która choćby dorównywała mu siłą Daru, a nawet i od niego przełamanie tych czarów, wymagałoby wielogodzinnych przygotowań. Bez jego wiedzy nie pokonałby ich nikt.

Zadowolony z tego, że nikt nie może go podpatrzeć, podwinął lewy rękaw swej wojskowej bluzy i wyciągnął połyskujące, ostre jak brzytwa, ostrze noża *rankadi*. Podniósł je do światła i spojrzał na nie lekko mrużąc oczy. Oczyszczył swój umysł ze wszelkich pobocznych myśli i skupił się na lśniącej stali. Stali, która została do tej pory już jedenaście razy wykorzystana, do oczyszczenia jego rodu ze słabości i upadku. Stali poświęconej Wielkiemu Zadaniu *shakira* za pomocą rozlanej przez sztylet krwi i przez honor, który ta broń pomogła zachować.

Poczuł jak serce i umysł wchodzi w zgodny rytm, myśli i uczucia zlewają się w jedną emocję, odpowiednio zestrojoną ze świętym celem. Na usta mul Gurthaka wypłynął pełen spokoju

Ognie Piekieł

uśmiech i niemal dotarł aż do jego oczu. Oburącz przytknął chłodny sztylet do swego czoła i wymamrotał słowa drugiego wersu z czwartego rozdziału Księgi Tajemnic, po czym, nie otwierając oczu, przycisnął niesłychanie ostre ostrze noża do odsłoniętego lewego przedramienia. Na jego ciemnej skórze pojawiła się strużka krwi. Oficer wprawnymi, świadczącymi o długiej praktyce ruchami zebrał płyn na trzymanym na płask ostrzu.

Ponownie otworzył oczy i przesunął nóż *rankadi* nad stojący na biurku kryształ osobisty. Wypowiedział pojedyncze słowo w starożytnym języku Mythal, po czym ostrożnie przekręcił swój prawy nadgarstek i spojrzał na pojedynczą kroplę krwi, która stoczyła się na wielki jak pięść kryształ. Zamigotała na jego powierzchni niczym rubin. Trwało to być może dziesięć sekund, po których bez żadnej zapowiedzi ani dymu, skrzenia czy innych manifestacji magii kropla zniknęła... a wewnątrz KO zajarzyło się blade światło.

Mul Gurthak nabrał głęboko powietrza. Spojrzał na krótkie menu dostępnych poleceń. Robił to już wiele razy, zwłaszcza, od kiedy zaczął się piąć po kolejnych szczeblach drabiny awansów w armii Unii, a mimo to, zawsze czynności tej towarzyszyło pewne napięcie, wyczekiwanie, zupełnie jakby gdzieś głęboko wewnątrz siebie obawiał się, że magiczny przedmiot naprawdę mógłby się zepsuć od czasu, gdy używał go ostatnim razem. Oczywiście był to bardzo śmieszny lęk. Zaklęcia opracowywane w Akademii Mythal Falls nie zawodziły nigdy.

Wziął do ręki rysik i stuknął w wybraną opcję. Oparł się wygodniej na krzesło, zasłonił oczy obiema dłońmi i pochylił głowę w rytualnym geście wyrażającym zarazem uległość i powitanie.

–Najwspanialsii panowie – odezwał się w dialekcie tak starożytnym, że potrafiła go zrozumieć jedynie garstka ludzi w całym multiwersum – najmarniej szy z waszych sług błaga,

byście zechcieli przyjąć mój raport i rozważyć moje działania, które mogą przynieść chlubę

kaście *shakira* i najświętszej ze świętych misji ukończenia Wielkiego Zadania.

Odczekał nadal pochylony, pełne dziewięćdziesiąt sekund, po czym pozwolił rękom opaść na blat i wyprostował się. 268

*David Weber i Linda Evans* Odchrząknął i odezwał się znowu, tym razem we współczesnym mythalańskim.

**–Najwspanialsii panowie, ufam, iż otrzymaliście już moje wcześniejsze wiadomości.**

**W miarę własnych możliwości staram się przekazywać wam jak najbardziej zwięzłe**

**informacje na temat moich postępów w dziele realizacji Wielkiego Zadania. Jak zawsze, czujnie też nasłuchuję poleceń od was.**

**Gdyby ktokolwiek poza najbardziej zaufanymi sługami Rady Dwunastu, uzyskał dostęp do wiadomości, które zapisywał przez długie dziesięciolecia i raportów, które słał do Rady i jej członków, konsekwencje byłyby katastrofalne. Szkoda uczyniona Wielkiemu Zadaniu byłaby nie do oszacowania, a skutki dla samego mul Gurthaka, byłyby o wiele sroższe niż po prostu śmiertelne. Dowodzący dwoma tysiącami nigdy jednak nie martwił się o bezpieczeństwo tych treści.**

**Zaklęcia za pomocą których je tworzył i zachowywał należały do najbardziej wyrafinowanych w całym multiwersum. Co więcej, nikt poza Radą nie wiedział o ich istnieniu. Naukowcy z Akademii Mythal Falls, nie zważając się ze swoich badań nikomu, opracowali i udoskonalili technikę, dzięki której informacje można było kompresować w stosunku pięciuset tysięcy do jednego. Jedna sekunda nagrania w kryształach, mogła zatem zawierać informacje ze stu czterdziestu godzin normalnie zapisanego dźwięku czy obrazu. Standardowe, przesyłane przez mul Gurthaka raporty były krótkie, a zatem trwały jedynie mgnienie, niedostrzegalne i nie do przechwycenia przez kogoś, kto nie dysponował odpowiednimi zaklęciami, którymi można było je przywrócić do normalnej postaci, przed kompresją. Dodatkowo raporty Mul Gurthaka ukryte były starannie wśród długich i niezwykle rozwlekłych listów, które co jakiś czas wysyłał do szwagra. Mąż jego trzeciej siostry oczywiście nie miał pojęcia o zadaniu mul Gurthaka, ani o potędze jego Daru. Nikt też nie miał pojęcia, że listy te były każdorazowo przechwytywane przez pracowników poczty i przekazywane wysłannikom Rady Dwunastu, którzy odczytywali ukryte w korespondencji raporty i dopiero potem odsyłali list adresatowi.**

**Ognie Piekieł**

Już sam ten system przekazywania informacji, stanowił tak mocne zabezpieczenie, że nikt chyba nie mógł sobie życzyć niczego lepszego, lecz Rady to nie zadowalało. Nawet, gdyby ktoś, kiedyś, przechwycił któryś z raportów mul Gurthaka, nie zdołałby go odcyfrować. Wszystkie kodowane były programami szyfrującymi, opartymi o zaklęcia opracowane w wyniku tajnych badań w Akademii. Wyjątkowość tych zabezpieczeń polegała na tym, że nie istniał żaden klucz, za pomocą którego niepowołane osoby mogłyby ewentualnie rozszyfrować treść. Szyfr zawarty był w samym kryształ, który kodował wiadomość, a odkodować ją mogły jedynie dwa inne kryształy w całym multiwersum. Wszystkie trzy zostały wyposażone w odpowiednie zaklęcia jednocześnie i jeden z nich trafił

do mul Gurthaka. Pozostałymi dysponowali dwaj członkowie Rady Dwunastu. Te i tylko te trzy KO, potrafiły odczytywać materiał powstający dzięki sekretnym zaklęciom wywoływanym, wypowiedzianym przez mul Gurthaka hasłem. Ponadto, nikt nie byłby w stanie uaktywnić tych zaklęć – ani nawet stwierdzić ich obecności – bez dostępu do pewnej ilości krwi prawowitego właściciela KO i wykonania odpowiedniego rytuału w celu jej pozyskania.

Gdyby, którykolwiek z nie-mythalańskich przełożonych mul Gurthaka dowiedział się kiedyś o istnieniu tych złożonych zaklęć, pojawiłyby się z pewnością pytania. Na nieszczęście dla ewentualnej ciekawości oficerów w podobnej sytuacji na mul Gurthaku nie ciążyłby żaden prawny obowiązek udzielania wyjaśnień. Dwutysięcznik uważał to za swego rodzaju ironię losu, ponieważ to Ransaranie nalegali na uznanie prawa do tajemnicy korespondencji, która zabraniała różnorakim policyjnym i wojskowym instytucjom uzyskiwania dostępu do prywatnych kodów szyfrujących i treści wiadomości w ten sposób zabezpieczonych.

–Jak już informowałem – ciągnął, skupiając się na powrót na bezpośrednim zadaniu -nieoczekiwane pojawienie się tych „Sha-ronian” i udział Olderhana w pierwszym kontakcie, nie wspominając niewiarygodnej nieporadności Boka vos Hovena nie zostawiają mi innej możliwości, niż poleganie na improwizacji.

i

:l

*270David Weber i Linda Evans\*

Zdał sobie sprawę, że zdaniem, w którym wspominał vos Ho-vena dość poważnie ryzykował. Powiązania rodziny tego niekompetentnego idioty były dokładnie tak szerokie, jak sam utrzymywał, a uczynienie sobie wrogów z osób postawionych tak wysoko mogło... znacznie skrócić czas pozostały oficerowi do śmierci. Z drugiej strony jednak, mul Gurthak przez ponad dwadzieścia ostatnich lat wykazywał się zaradnością, słuszością osądów, sprawnością i posłuszeństwem wobec poleceń Rady. Miał własnych patronów, tak samo wysoko postawionych, jak krewni vos Hovena, a nawet, gdyby ich nie było, to przecież wynajdywanie, ocena i usuwanie wszystkiego, co mogło stanąć na przeszkodzie realizacji Wielkiego Zadania, stanowiło centralny punkt wyznaczonej mu misji. Jakakolwiek próba zamie-cenia sprawy niedociągnięć vos Hovena pod dywan nie byłaby niczym innym, jak zdradą i występkiem wobec kasty.

–W mojej ocenie wszystko jak dotąd układa się po naszej myśli. Na szczęście członkowie Rady skorzystali ze swej mądrości i wyposażyli mnie w szeroki zestaw uprawnień i możliwości, i to mimo tak znacznego oddalenia od Arkany. Dzięki czemu mogłem zapanować nad pewnymi wydarzeniami, które bez tych dodatkowych prerogatyw mogłyby spowodować komplikacje. Z drugiej jednak strony, jeśli chodzi o przeznaczonych mi ludzi, to obawiam się, że niewielu z nich przeżyje. Co więcej, odnoszę wrażenie, iż ó.jle pozostaliby przy życiu po wyczerpaniu się ich przydatności, mogliby stwarzać znaczne zagrożenie dla skutecznej realizacji Wielkiego Zadania. Według ostatnich raportów od dwutysięcznika Harshu, Rithmar Skirvon zniknął. Albo został zabity w uwięzionej powodzeniem misji Sił Specjalnych, których oddział zlikwidował sharoniańskiego Głosa na Polanie Powalonych Drzew, albo dostał się do niewoli garstki obcych, którym jak dotąd udaje się nam wymykać. Nie żywię złudzeń, że przez tak długi czas udało mu się zachować milczenie. Szczęśliwie jego wiedza jest ściśle ograniczona, tak samo zresztą, jak ewentualność, że ci, którzy go pojmali mogliby ją w jakikolwiek sposób wykorzystać. Tym niemniej, według mojej oceny rozsądnie byłoby poczynić przygotowania

Ognie Piekieł

do jego eliminacji, którą należałoby przeprowadzić od razu po jego odbiciu z rąk Sharonian. Najlepszym wyjściem byłoby, gdyby zginął przy próbie odbicia i już rozpocząłem dyskretne działania w celu organizacji tego rodzaju rozwiązania. Z innych informacji -tysięcznik Carthos dostał pod swoją samodzielną komendę siły, z którymi posuwa się wzdłuż jednej z odnóg łańcucha obcych wszechświatów. Z jednej strony pozbawiło go to możliwości wpływu na wydarzenia w głównych siłach ekspedycyjnych, ale z drugiej oznacza także, że ani Toralk, ani Har-shu nie patrzą mu już na ręce. Co jest istotne, ponieważ jego naturalny stosunek wobec Sharonian jest bardziej zbliżony do naszego, niż do tego, który żywią wyżej wymienieni oficerowie. Jestem pewien, że nawet, gdyby nie moje... instrukcje, to i tak sam na własną rękę dopuściłby się odpowiedniej liczby, tak zwanych, zbrodni wojennych. Sam Harshu okazał się o wiele bardziej... kłopotliwy niż się na początku operacji spodziewałem -ciągnął mul Gurthak. – Na nieszczęście jego starszeństwo sprawiło, że to on – a nie ja – został wytypowany na głównodowodzącego sił ekspedycyjnych. Dobrą wiadomością jednak jest to, że w odpowiedni sposób zareagował na „poufne instrukcje”, które mu przesłałem. Jak sądzę do tej pory już stało się dla was jasne, że ani słowem nie poleciłem mu rozpoczęcia ataku. Co więcej, w przeciągu kilku następných dni zamierzam wysłać mu pismo, w którym upomnę go za zbyt samodzielną inicjatywę, jaką była decyzja o przeprowadzeniu podboju

wszechświatów, leżących poza Wrotami Piekieł. Kopie tego dokumentu prześlę też oficjalnymi kanałami Wysokiemu Dowództwu. Oczywiście teraz, kiedy działania wojenne są już w toku, nie mam innego wyjścia i muszę wspierać Harshu jak tylko potrafię.

Mul Gurthak zatrzymał nagrywanie i oparł się wygodniej na krześle. Splótł palce na piersi i zastanowił się nad treścią swego raportu. Myślał przez kilka sekund, po czym wyprostował się i ponownie uruchomił zakłęcie.

–Niestety obawiam się równocześnie, że Harshu planuje coś na własną rękę. Nie jestem jeszcze pewien, co zamierza, ale

*272David Weber i Linda Evans*

podejrzewam, iż jest on jeszcze bardziej oddany staroświeckiemu andarańskiemu kodeksowi honorowemu, niż się tego z początku mogłem spodziewać. O ile się nie mylę, Harshu próbuje wytworzyć sytuację, w której ewentualna wina za zbrodnie wojenne popełnione w tracie naszej operacji, spadnie na jego i wyłącznie jego barki. Jeśli mu się to powiedzie, wzburzenie opinii publicznej może okazać się słabsze niż planowaliśmy. Pomimo tego ufam, iż uda się nam osiągnąć główne, wytyczone wcześniej cele. Pięćsetnik Neshok sprawuje się szczególnie dobrze. Jego

osobowość okazała się dokładnie tak wykrzywiona, jak sugerowały to nasze zaklęcia i raz po raz dodaje kolejne występki do przypadków naruszeń Postanowień Kerelli. I bez względu na kombinacje Harshu, działania Neshoka z pewnością ukształtują opinię publiczną tak, jak zamierzamy. Oburzenie Ransaran będzie olbrzymie, tak samo bardziej konserwatywne środowiska Andary zakrzyknąw przerażeniu. A to, że Neshok, Carthos i Harshu sami są Andaranami sprawi, że cień spadnie na cały ich korpus oficerski. To przecież właśnie Andaranin – Harshu – z powodu swojej wybujałej ambicji i nadmiaru tradycji wojskowych zdecydował się na ofensywę, co wykraczało poza moje, przesłane mu instrukcje. A dwaj inni Andaranie – Neshok i Carthos – okazali się przy okazji rzeźnikami i sadystami. Nie miałem możliwości przekazać Neshokowi zbyt wyraźnych sugestii, co do jak najlepszego wykorzystania dla naszych celów śmierci zdrajcy vos Dulainaha. Jednakże w tej chwili jest już jasne, że sam bardzo dobrze rozumie, jak należy to zrobić;; Okazał się też bardziej subtelny niż mogłem przypuszczać w swym upartym twierdzeniu, że jego śledztwo w sprawie okoliczności śmierci vos Dulainaha, pozwala jedynie na „najlepszą możliwą teoretyczną rekonstrukcję wydarzeń”, gdyż opiera się jedynie o „relacje, których prawdziwości obecnie nie można bezspornie potwierdzić”. Dzięki temu zyskał dla siebie – a pośrednio i dla mnie – pewien stopień swobody w tej kwestii. Niemniej, mimo tych zastrzeżeń co do sposobu, w jaki zginął zdrajca, na tle pogłosek miało miejsce już

kilkadziesiąt przypadków pogwałcenia Postanowień, z których wszystkie zostały popełnione przez

### Ognie Piekieł<sup>273</sup>

Andaran lub przez zbiegłych garthan. Te zbrodnie położą się jeszcze większym cieniem na wizerunku korpusu oficerskiego z Andary, zwłaszcza w oczach Ransaran.

Urwał raz jeszcze. Starannie nie pozwalał żadnej emocji odbić się na twarzy, choć wewnątrz pełgała w nim złośliwa radość, jaką przepelniała go myśl o wykorzystaniu śmierci zdrajcy Halathyna vos Dulainaha by ostatecznie pozbawić Andaran wpływu na Wysokie Dowództwo. To, że rzekome morderstwo, jakiego dopuścili się na starcu Sharonianie, stanowiło iskrę zapalną, przez którą Andaranie i zbiegli *garthan* dopuszczali się zbrodni wojennych, wbije się też klinem w polityczne przymierze Andary z Ransar. Sojusz stojący od dawna solą w oku My-thal. Ta ostatnia myśl była jeszcze słodsza.

–Fakt, że zostałem zmuszony do improwizacji zupełnie bez żadnego uprzedzenia sprawił, iż musiałem podjąć w kilku punktach ryzyko – wznowił raport po chwili. – Szczególnie martwi mnie powiązanie pomiędzy mną, Bankiem Centralnym a Carthosem. Ponadto, mniejsze ryzyko płynie z osób Neshoka i pięćsetnika Kliana. Problem Neshoka zniknie jak tylko zdecyduję, że nie jest nam już dłużej przydatny. On nie ma pojęcia, że jeden z żołnierzy, których odesłałem mu do pomocy otrzymał



**bardzo... specyficzne instrukcje, co do osoby pięćsetnika.**

**Mul Gurthak pozwolił sobie na nikły uśmiech. Oczywiście, że Neshok „nie miał pojęcia” o tych „instrukcjach”, ponieważ nie miał o nich pojęcia nawet sam oszczepnik Lisaro Porath. Nie istniał też żaden powód, dosłownie nic, co mogłoby wzbudzić podejrzliwość Neshoka. Technika, której mul Gurthak użył do wszczęcia oszczepnikowi tych rozkazów wymagała bardzo silnego Daru. A nikt poza Radą Dwunastu nie wiedział, że mul Gurthak taką moc posiada. Ponadto, technika ta była oficjalnie zakazana, wraz z pozostałymi sposobami wpływania na umysł, w momencie zawiązania Unii Arkany. Na nieszczęście jednak dla świętoszkowatych reformistów z Ransar, Rada Dwunastu istniała w tamtym momencie już od kilku stuleci i jej członkowie podjęli odpowiednie kroki w celu zachowania wiedzy, którą tak**

*David Weber i Linda Evans*

wielu innych – wliczając w to niemało członków kasty *shakira*, choć ci akurat powinni być rozsądniej si – postanowiło po prostu puścić w niepamięć.

W chwili, w której Porath otrzyma sygnał aktywacyjny od mul Gurthaka, wykona polecenia zaszczone przez tysięcznika w jego umyśle. Alivar Neshok zginie szybko, a tuż potem sam Porath cierpiąc z powodu poczucia winy za popełnione na rozkaz Neshoka zbrodnie – znajdzie najbliższe drzewo i się powiesi.

Najzabawniejszym dla mul Gurthaka aspektem całej sprawy było to, że sygnał aktywacyjny zakodowany zostanie w standardowym dokumencie, w rozkazie zawierającym awans Poratha z oszczepnika na miecznika, uzasadniony wychwalającymi żołnierza pod niebiosa relacjami Neshoka.

–Carthos jednakże jest poza moim bezpośrednim zasięgiem, to samo dotyczy także i Harshu – ciągnął dwutysięcznik. – Zawsze oczywiście musimy mieć nadzieję, że jeden z nich lub nawet obaj padną w walce, gdy tylko Sharonianie wreszcie skonsolidują obronę. Niestety tak pomyślnego obrotu spraw nie wolno nam zakładać. Mimo wszystko w mojej ocenie, żywy Harshu może się nam przysłużyć tak samo bardzo, jak martwy. W najlepszym wypadku trafi pod sąd polowy za przemykanie oczu na wyraźne przypadki pogwałcenia Postanowień Kerelli, co samo w sobie będzie bolesnym ciosem dla Andary. Gdyby nie to, że Carthos jest bezpośrednio powiązany z Bankiem i ze mną, także i jego proces – czy przynajmniej utrata honoru i popadnięcie w niesławę – byłyby dla nas niemal równie pożyteczne. W jego wypadku jednak, jakiegokolwiek dochodzenie prowadzone przez Biuro Inspektora Generalnego, z dużym prawdopodobieństwem zdołałoby wykryć nasze powiązania. Mógłby je ujawnić – wraz z „sugestiami”, którymi podzieliłem się z nim, gdy ruszał do Harshu – sam Carthos, na przykład w zamian za zmianę kwalifikacji przestępstwa czy złagodzenie kary. W związku z tym uważam, że jego likwidacja jest koniecznością. O ile nie otrzymam innych poleceń zamierzam, w celu usunięcia tego człowieka w pierwszej dogodnej chwili, skorzystać z Protokołu Gorhadyna.

i

Ognie Piekieł

Piękno Protokołu Gorhadyna – poza faktem, że nikt poza Radą Dwunastu nie miał pojęcia o jego istnieniu – polegało na tym, że skutki jego użycia były niemal niemożliwe do odróżnienia od skutków naturalnego zawału serca. Wykryć go mógłby jedynie potężnie Obdarzony magistron, który miałby już uprzednie podejrzenia, że mogło dojść do jego zastosowania. A i wtedy sekcja zwłok musiałaby zostać przeprowadzona nie więcej niż dwanaście do osiemnastu godzin po zgonie ofiary.

Wadą użycia Protokołu Gorhadyna było oczywiście to, że gdyby w pewnym momencie nagle spora liczba osób zmarła na zawał, wzbudziłoby to co najmniej zdziwienie.

–W jednym ze swych poprzednich raportów, przedstawiałem już swoją propozycję

rozwiązania kwestii setnika Olderhana i jego rodziny – ciągnął mul Gurthak – i jeśli Rada

zaakceptuje te sugestie zaistnieje także konieczność usunięcia pięćsetnika Kliana. Jednakże

nawet, jeśli moja strategia nie znajdzie akceptacji Rady, śmierć Kliana nie zaszkodzi, a

zmniejszy liczbę osób wiedzących, w jaki sposób zginął naprawdę vos Dulainah. Zamierzam

się więc nim zająć w odpowiedniej chwili. Na razie zastanawiam się nad innym sposobem

zglądzenia go, by nie uciekać się do kolejnego użycia Protokołu Gorhadyna. Będzie to jak

sądzę rozsądne, z punktu widzenia potrzeby zachowania istnienia Protokołu w jak

najściślejszej tajemnicy. Jednocześnie, gdyby nasi agenci w Arkanie i Nowej Arkanie,

mogliby przekuć doniesienia na temat zbieżności śmierci Kliana i Carthosa w podejrzenia, że

jacyś wysoko postawieni Andaranie rozkazali ich likwidację, by zamknąć im usta na temat

prawdziwej natury Andaran, ich arogancji i popełnianych zbrodni w rodzaju tej,

jakiej

dopuszczył się młody Olderhan na sharoniańskich cywilach, mogłoby to okazać się wielkim

pożytkiem dla naszej sprawy. Z ciekawością wysłucham waszej opinii w tej kwestii, choć jest

zupełnie możliwe, że odpowiedź otrzymam już po tym, gdy zostanę zmuszony do podjęcia

działania wobec Kliana. Jeśli jednak tak się nie stanie, postaram się, jak zwykle, wypełnić

wolę Rady jak najdokładniej.

Urwał po raz kolejny i zastanowił się nad wszystkim, co do tej pory powiedział. Jak zawsze miał zamiar całą wiadomość

*276David Weber i Linda Evans*

odśluchać co najmniej raz, przed jej kompresją i umieszczeniem zakodowanych informacji w liście do szwagra. Wiedział jednak, że nie będzie musiał wprowadzać zbyt wielu poprawek i na jego usta wypłynął skromny uśmiech zadowolenia. Biorąc pod uwagę katastrofalny dla Wielkiego Zadania efekt pojawienia się Sharonian, a zwłaszcza fatalną niekompetencję Bokavos Hovena, jego wysiłki w naprawianiu wszystkiego, co możliwe, były wprost świetną robotą i zdawał sobie z tego sprawę. Falszywa skromność nie była występkiem dla żadnego *shakira* i mul Gurthak nie miał żadnych wątpliwości, że Rada doceni jego postawę w krytycznych chwilach.

Oczywiście w tekście zawsze można było wyszukać kilka szczegółów do poprawienia, ale tym mógł się zająć potem. Teraz nadszedł czas na zmianę tonacji i przedstawienie Radzie wszystkiego, czego do tej pory zdołali się dowiedzieć o Sharo-nianach i ich „Talentach”.

–W dodatku do czysto militarnych informacji, które Neshok

zbiera dla Harshu – zaczął – dowiedzieliśmy się także wielu

nowych rzeczy na temat samych Sharonian. Wydaje się, że ich

tak zwane Talenty – przynajmniej w nikłym natężeniu – są o wie

le szerzej rozprzestrzenione w ich społeczeństwie, niż Dary

w naszym. Mimo to, osób z silnymi Talentami nie jest tam wię

**cej, niż wśród nas jest osób Obdarzonych znaczną mocą. Z tego, czego Neshok zdołał się dowiedzieć do dziś, wypadki, że ktoś z nich posiada więcej niż jeden czy dwa Talenty są nie zwykle rzadkie i bez względu na ich siłę, dana osoba nic więcej zrobić nie potrafi. Podczas, gdy człowiek Obdarzony potrafi skorzystać z niemal dowolnego zaklęcia, Utalentowani Sharonianie są w stanie wykorzystywać tylko swoją wrodzoną umiejętność.**

**W związku z powyższym uważam, co następuje...**

**Człowiek, który nigdy, z wyjątkiem bardzo intymnych chwil,**

**nie nazywał sam siebie w myślach Nith vos Gurthak, siedział zatopiony w sercu ciemności swego biura i ciągnął szeptem swój raport.**

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Sir Jasak Olderhan siedział tył na przód na obrotowym krzeselku. Skrzyżowane ręce oparł na zagłówku i złożył na nich brodę. Patrzył w zamyśleniu przed siebie. Na zewnątrz kopuły obserwacyjnej przemykały dziewicze lasy wszechświata o nazwie Dystria. Było wczesnie rano. Wilgotne powietrze kythijskiej równiny wisiało przejrzyste złotą mgiełką. Slizgacz mknął ku wybrzeżu i czekającemu tam statkowi pasażerskiemu, który miał przewieźć ich przez tysiąc pięćset mil słonej wody do następnego portalu w Paerystii.

„Trzydzieści pięć tysięcy mil” – pomyślał. To właśnie była odległość, jaką przez ostatnie dwa miesiące pokonał w towarzystwie swoich *shardonai* i Gadrial Kelbryan. – „I nadal nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi do Nowej Andary. Zastanawiam się tylko, czy...”

Z zamyślenia wyrwał go odgłos czyichś kroków. Obejrzał się przez ramię i jego oczy pojaśniały. Z poziomu wypoczynkowego wspinała się do kopuły Gadrial.

–A więc tu się schowałeś – powiedziała. – Brakowało nam ciebie przy śniadaniu.

–Przepraszam – uśmiechnął się na chwilę. – Nie byłem rano głodny. *278Dcmd Weber i Linda Evans*

–Tak właśnie myśleliśmy. Ale nadal nie wiemy, dlaczego?

Jasak zastanowił się przez chwilę nad jej tonem. W ciemnych oczach kobiety pojawił się karcący błysk. Splotła ręce na piersi i pochyliła głowę na bok. W tej pozycji niezwykle przypominała nianię, czekającą aż pozostające pod jej opieką dziecko wymyśli nową wymówkę. Uśmiechnął się w duchu. Po chwili, grymas opuścił jego wargi i lekko wzruszył ramionami.

–Według moich obliczeń pierwszy raport pięćsetnika Kha

na powinien być dotrzeć do Nowej Andary dziś, około czwartej

rano naszego czasu – powiedział.

Spojrzenie Gadrial pociemniało, wesołość zniknęła z jej oczu. Dotknęła lekko jego ramienia.

–Nie pomyślałam o tym – przyznała.

–Nic dziwnego – uśmiechnął się do niej szelmowsko. – Mamy za sobą ledwie czterdzieści procent drogi do domu, a już wydaje się, że podróżujemy całą

wieczność. Czasem sam mam wrażenie, że takie miejsce jak „dom” w ogóle nie istnieje. Jest tylko ta bańka dokoła nas, pełna smoków, ślizgaczy i okrętowych kabin. Myślę, że tylko się nam wydaje, że jeszcze jest jakieś „gdzie indziej”.

–To rzeczywiście dziwne – zgodziła się. – Do Mahrithy droga zajmowała przecież tyle samo czasu, ile w drugą stronę, ale teraz faktycznie czuję się mniej... związana ze wszystkim dokoła niż wtedy...;

–Może dlatego, że wtedy wszystko było nowe?

–Częściowo pewnie tak, ale nie wydaje mi się, żeby to była główna przyczyna tej zmiany.

Gadrial zmarszczyła brwi. Wyjrzała za okna kopuły obserwacyjnej i najwyraźniej zapomniała, że jej smukła dłoń nadal delikatnie spoczywa na ramieniu Jasaka.

–Wydaje mi się, że drogę w tę stronę odbieramy inaczej, dlatego że inny jest teraz powód podróży – powiedziała po chwili. Oficer skinął głową.

–Oczywiście, że tak. I szczerze mówiąc jakaś część mnie bardzo by chciała, żebyśmy mogli na zawsze zostać w tej małej, bezpiecznej bańce. Ale to niemożliwe, prawda?

Ognie Piekieł 279

–Obawiam się, że nie – jej dłoń ścisnęła ramię Jasaka na moment nieco mocniej.

Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Wcześniej, czy później dotrzemy do domu, czy tego teraz

chcemy, czy nie. Tylko, co się wtedy stanie?

–Nie wiem – przyznał. – Jak myślę, dowiemy się tego za jakieś dwa miesiące. W tej chwili jednak, bardziej się przejmuję tym, jak na wiadomość z brzeczka zareagują mój ojciec

i matka.

Gadrial powoli skinęła głową. Unia Arkany nie posiadała żadnego odpowiednika sharoniańskiej Sieci Głosów. Była zmuszona więc, w szybkiej komunikacji dalekodystansowej, polegać na magicznie ulepszonych, specjalnie hodowanych „brzeczka”. Oczywiście „szybko” jest pojęciem względnym. Z tego, co wyjawili dotychczas Shaylar i Jathmar, pierwsza wiadomość Shaylar dotarła do ich rodzimego wszechświata w niecałe dwa tygodnie. Sharonianie jednak nie chcieli

powiedzieć, jaką odległość musiała pokonać i ani Gadrial, ani Jasak nie mieli im tego za złe. Niemniej kilka razy wymknęło się im coś, z czego Gadrial zdołała wywnioskować, że dystans ten był znacznie krótszy niż odległość dzieląca Mahritę i Nową Andarę. Niemniej nie mogło to być blisko. W końcu, przekaz Shaylar – w odróżnieniu od wiadomości pięćsetnika Kliana -podróżował dosłownie z prędkością myśli, z wyjątkiem miejsc, gdzie telepaci musieli przebywać morza czy oceany.

Bez względu jednak na rzeczywistą odległość, pętla komunikacyjna pomiędzy portalem na bagnach, a Sharona była o całe osiemdziesiąt procent krótsza, niż ta pomiędzy Fortem Ry-charn i Nową Andarą. Gadrial nie była wojskowym, ale nawet i ona potrafiła dostrzec implikacje, jakie tego rodzaju przewaga wywierała na prowadzenie walki.

Aczkolwiek, w tej chwili jej umysł zajęty był zupełnie czymś innym.

–Wiem, że martwisz się o rodziców – powiedziała po chwili.

–To nie twoja wina. Ale powiem ci, że podczas lat spędzonych w Garth Showma, dowiedziałam się co nieco o diuku. A jeszcze więcej ty powiedziałeś mi na jego temat.

Odwrócił się ku niej i uniósł brew. Zaśmiała się. 280*David Weber i Linda Evans*

–No, nie jest tak, Jasak, że cały czas opowiadasz o rodzicach, ale kiedy już wchodzisz na ten temat czuję w tobie ogromne pokłady miłości... i zaufania. A potem – obserwując twoje zachowanie wobec Shaylar i Jathmara – zrozumiałam, jakie wartości wpoili ci rodzice. Stąd wiem także, co jest dla nich ważne. Jest dla mnie jasne, że będą zmartwieni, ale z pewnością zrozumieją co zrobiłeś i zaakceptują motywy, którymi się kierowałeś.

–Wiem – Jasak głęboko zaczerpnął powietrza. – Naprawdę wiem o tym. Niestety to nie uśmierza mojego żalu. Ja po prostu bardzo bym chciał... skoro już musieli usłyszeć coś takiego – to chciałbym móc przekazać im to osobiście.

–Żal oczywiście pozostaje, ale spójrz na to inaczej. Tak, jak się to ułożyło teraz, masz przynajmniej dwa miesiące na to, żeby wszystko sobie poukładać w głowie, jeszcze zanim się z nimi zobaczysz. A i twój ojciec z pewnością tego czasu nie zmarnuje.

–Bogowie, mam taką nadzieję – przyznał cicho Jasak. Gadrial raz jeszcze mocniej ścisnęła jego ramię.

Zaczęła coś mówić, ale zawahała się i zrezygnowała z podjęcia tematu. Jasak zdążył



już dobitnie powiedzieć, że nie życzy sobie rozmawiać o nieuchronnym dochodzeniu, ani o sądzie polowym, którego ewentualność, przecież także nad nim ciążyła.

–Jak myślisz? Jak zareaguje Parlament? – zapytała więc zamiast tego.

–Myślę, że wybuchnie tam cholerny zamęt – odparł beznamiętnie. – Mythalanie, na tyle na ile ich znam, wpadną w prawdziwy szał. I obawiam się, że przynajmniej część konserwatywnych posłów z Andary zgodzi się z nimi przynajmniej w jakiś ogólny sposób.

–Naprawdę?

–Ale nie z tych samych powodów – Jasak energicznie pokręcił głową. – My, Andaranie nie wpadamy w ksenofobiczne nastroje tylko z tego powodu, że i wśród nas znajdują się czasem jacyś ksenofobowie. Nie sądzę, by większość z nas miała za złe Sharonianom to, że nie mają bladego pojęcia o magii. Ale to, co ich wojsko zrobiło z Thalmayrem podczas ataku na portal... to poważnie wzburzy i mocno zaniepokoi wielu Andaran.

Ognie Piekieł281

–Wydaje mi się, że rozumiem. Tylko, czy w obliczu tamtej klęski staną się bardziej ostrożni, czy wręcz przeciwnie, bardziej wojowniczy?

–Co do tego, to nie mam pojęcia – wyznał uczciwie Jasak. – Osobiście byłbym za wzmożoną ostrożnością, ale obawiam się, że reakcja odwrotna jest co najmniej tak samo prawdopodobna. Szczerze mówiąc, wiele zależy od tego, co jeszcze stało się tam, w Mahricie, już po naszym wyjeździe.

–A tego już nikt z parlamentu nie jest w stanie zmienić.

–Nie. I to właśnie martwi mnie najbardziej – rzek Jasak. – Nawet, jeśli parlament zrobi wszystko, co w jego mocy, by ostudzić całą sytuację – a wiem, że tego będzie chciał na przykład mój ojciec – to i tak te decyzje zapadną na jednym z końców dwumiesięcznej pętli komunikacyjnej. Z tego wynika, że tak naprawdę, wszystko co się tam teraz dzieje, zależy od dowódców niższego szczebla i tak już chyba zostanie.

–Masz teraz na myśli dwutysięcznika mul Gurthaka, prawda?

–Tak – Jasak ściągnął wargi i głośno wypuścił powietrze. – Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej niepokoi mnie fakt, że wyprosił mnie z gabinetu, żeby porozmawiać z tym dyplomata, Skirvonem. Powtarzam sobie, że wpadam w paranoję, że jestem zbyt pesymistyczny. Ale ciągle do tego wracam.

–Tylko, dlaczego?

**–Dlatego, że on dobrze wie, kim jest mój ojciec i zna nasze poglądy. A co, jeśli nie chciał rozmawiać przy mnie dlatego, żebym nie poznał jego prawdziwych zamierzeń?**

**Gadrial odwróciła się od okna i zmrużyła oczy.**

**–Wiesz, że ja także nie pałam do Mythalan gorącym uczuciem – powiedziała, używając olbrzymiego niedomówienia – ale dlaczego on miałby chcieć czegoś takiego?**

**–Powiedziałem ci, że zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo paranoicznie to brzmi - przypomniał Jasak. – Ale gdybym to ja był tam najstarszym stopniem oficerem i znał kogoś, kto jest blisko związany z diukiem Garth Showma i kto na dodatek jest w drodze na Nową Andarę, to wyposażyłbym tego kogoś w ścisły raport dotyczący swoich zamiarów. I nie**

*David Weber i Linda Evans*

mówię tu o oficjalnych dokumentach Gadriał. Chodzi mi o rozmowę w cztery oczy, podczas której wyjaśniłbym, co i jak. On miał doskonałą okazję, żeby wykorzystać mnie w charakterze umyślnego. Więc może ma jakiś powód, dla którego nie chce, żeby ojciec poznał jego rzeczywiste plany.

Gadriał otworzyła usta, żeby zapewnić oficera, że istotnie jego słowa brzmią paranoicznie, ale zaraz je zamknęła. Może nawet tak brzmiały, ale jak często powtarzał jeden z jej kolegów naukowców z zespołu z Garth Showma: „Nawet schizofrenicy miewają czasem realnych prześladowców”.

„A mul Gurthak jest przecież Mythalaninem”-przypomniała sobie.

–A jak myślisz? Co takiego chciał ukryć przed twoim ojcem? – spytała.

–Nie wiem.

–Ale widzę, że coś podejrzewasz. Inaczej przecież aż tak by cię to nie martwiło.

–Po prostu nie rozumiem, dlaczego chciał rozmawiać o swoich instrukcjach dla dyplomatów, przy zachowaniu aż takiej... poufności. Okoliczności wcale tego nie wymuszały.

–Może po prostu miał wrażenie, że bez ciebie rozmowa odbędzie się nieco swobodniej – podsunęła. – Ty przecież dowodziłeś podczas pierwszego incydentu. Może odniósł wrażenie, że bez ciebie bardziej otwarcie porozmawiają sobie o różnych

możliwościach prowadzenia negocjacji i o konsekwencjach tamtej potyczki. Mówiłeś też, że mul Gurthak nie ucieszył się z twojej decyzji wzięcia Jathmara i Shaylar w *shardon*. Może naprawdę obawiał się, że udało im się w jakiś sposób na ciebie wpłynąć i chciał zminimalizować ryzyko, że ty z kolei wpłyniesz na to, co powie lub pomyśli Skirvon.

–To oczywiście możliwe. Poza tym, powinienem też pamiętać, że on jest

dowodzącym dwoma tysiącami, a ja jestem tylko zwykłym setnikiem... przynajmniej jeszcze

nim jestem – znów ściągnął mocno usta. Oczy Gadriał zablęsnęły. Ostatnimi czterema słowami

**Jasak przyznał – najbardziej dotąd otwarcie – że niepokoi się prawdopodobnymi konsekwencjami niedawnych**

**Ognie Piekieł283**

**wydarzeń dla swojej wojskowej kariery. – Żadna z tych rzeczy jednak nie zmienia faktu, że nie miał lepszego ode mnie eksperta – czy po prostu źródła wiadomości z pierwszej ręki – na temat ludzi, do których posyłał Skirvona na rozmowy. Nawet, jeżeli nie chciał, żebym był obecny przy tamtej rozmowie, to dlaczego nie przysłał do mnie Skirvona po dodatkowe informacje? Jasne, miał mój raport na piśmie. Mój i twój. Ale gdybym to ja był dyplomatą wybierającym się na rozmowy z przedstawicielami zupełnie nieznannej cywilizacji, to chciałbym mieć do dyspozycji każdy możliwy strzępek informacji.**

**–Zaczynam się przez ciebie denerwować – przyznała powoli Gadrial. – Czyżbyś sugerował, że mul Gurthak przekazał im coś na osobności? Że dał im jakieś tajne rozkazy, które chciał zachować tylko między nimi?**

**–Właśnie czegoś takiego obawiam się najbardziej – przytaknął Jasak.**

**–Ale jakie to mogły być rozkazy?**

**–Nie wiem. Choć ciśnie mi się na myśl mythalańska tradycja ksenofobii.**

**–Chyba nie chcesz powiedzieć, że on zmierza do...?**

**Gadrial urwała w pół słowa. Nie była w stanie, albo nie chciała, dokończyć pytania. Jasak się skrzywi.**

**–Nie chce mi się wierzyć, że nawet Mythalanin mógłby światomie dążyć do wojny, zwłaszcza z ludźmi, którzy zdążyli nam już pokazać swoją wartość w boju. Naprawdę nie chcę w to wierzyć. Ale martwię się, jak twardą linię negocjacji nakazał dyplomatom mul Gurthak. Przecież to my na początku postąpiliśmy niesłusznie. Co będzie, jeśli on zakaże im się do tego przyznawać? Co jeśli postanowi nakreślić w błocie bagien grubą kreskę? Tak jak setnik Thalmayr?**

Gadrial bardzo powoli skinęła głową. Jej pełne wyrazu, ciemne oczy pokrył cień lęku. Hadrign Thalmayr był skończonym idiotą, ale przynajmniej jego procesy myślowe – jakie by nie były i ile by ich nie było – były jasne i prostolinijne. Był arogancki, głupi i o wiele za bardzo przepełniony hasłami o „militarnym honorze” Arkany i swoim własnym, ale Gadrial miała

### *284 David Weber i Linda Evans*

wątpliwości, czy był to człowiek zdolny do jakichkolwiek subtelnych intryg. Wydawało się jej, że ma na to stanowczo za mało komórek mózgowych.

Tymczasem Nith mul Gurthak był zupełnie innym człowiekiem. Wszystko, co do tej pory o nim słyszała mówiło jej, że z pewnością nie jest idiotą. Oczywiście mogło się okazać, że nie była to aż tak dobra wiadomość, jak z początku myślała. Biorąc pod uwagę typowy, mythalański stosunek do nie-Obdarzonych, a także nieuchronną odrazę, którą Mythalanie poczują na myśl o ludziach, których Talenty mogły zagrozić prymatowi Obdarzonych, „ksenofobia” mogła okazać się zbyt delikatnym słowem na reakcję, jaką Mythal powita nagłe pojawienie się Sharonian. Jeżeli więc mul Gurthak zareagował jak Mythalanin a nie jak oficer Unii Arkany, mógł rzeczywiście przekazać Rithmarovi Skirvonowi twardsze i groźniejsze instrukcje niż to się wydaje.

–Teraz zdenerwowałam się już nie na żarty – zwinęła dłoń na jego ramieniu w małą piąstkę i uderzyła go lekko w czubek głowy. – Będę musiała wymyślić jakiś odpowiedni sposób odwzięczenia ci się za obarczenie mnie tą paranoją.

–Przepraszam-złapał jej rękę w nadgarstku i spojrzał w górę. Nawet, gdy siedział w krześle, a ona stała obok, nie musiał zbytnio zadzierać głowy. Gadrial zobaczyła w jego oczach ciepło i gdzieś wewnątrz niej, coś odpowiedziało drżeniem. Oficer jednak wydawał się, zupełnie nieświadom wyrazu własnej twarzy. Pomyślała o tym i poczuła ukłucie frustracji.

–Wysłałeś przodem list do ojca? Ppdzieliłeś się z nim tymi podejrzeniami? – spytała po chwili.

–Jeszcze nie. Dopiero o tym myślę. Ale chyba wyślę brzęczka, gdy wreszcie dotrzemy do Paerystii – wzruszył ramionami. – Tak naprawdę, to właśnie chciałem z tobą o tym porozmawiać. Chyba miałem nadzieję, że powiesz mi, że zwariowałem do reszty.

–Żałuję. To znaczy żałuję, że ci tego nie mogę powiedzieć. To znaczy, nadal myślę, że możesz się mylić, ale na pewno nie oszalałeś. Prawda jest taka, że sama zaczęłam się obawiać, że możesz mieć rację.

–No to świetnie.

Zdawało się, że Jasak nieco zmałał. Pokręcił głową z głębokim, płynącym prosto z serca westchnieniem.

–W takim razie chyba napiszę ten list. Myślę też, że nie ma potrzeby rozmawiać o tym z Shaylar czy Jathmarem.

–Na Rahil! Nie! – Gadrial pokręciła zdecydowanie głową. – Nic gorszego w tym momencie nie moglibyśmy zrobić. Nie ma żadnego powodu dorzucać im kolejnych zmartwień.

–Jestem dokładnie tego samego zdania.

Podniósł się z krzesła. Rękę, która przez cały czas spoczywała na jego ramieniu wziął w obie dłonie. Potrzymał ją tak przez chwilę. Uśmiechnął się do Gadrial i wyprostował.

–A teraz, skoro już wywęszyłaś mnie w mojej tajnej kryjówce, przyznam ci się, że naprawdę jestem głodny. Zechciałabyś towarzyszyć mi do przedziału restauracyjnego?

Mogłabyś napić się herbaty, a ja ziryтую obsługę, prosząc ich o coś do jedzenia.

\* \* \*

–Dokąd poszła Gadrial? – spytała Shaylar.

–Wydaje mi się, że na górę do kopuły obserwacyjnej. Szukała Jasaka – odpowiedział Jathmar, podnosząc głowę znad rozłożonej na kolanach książki. Wyprostował się i uniósł brwi. Przez małżeńską więź wyczuł milczącą konsternację żony. – Co się dzieje?

–Muszę... oboje musimy z nią porozmawiać, Jath.

W pięknych, brązowych oczach Shaylar pojawił się niepokój. Jathmar odłożył książkę, wstał i wziął ją w ramiona.

–Ale o co chodzi? – zapytał. Kobieta odchyliła się, spojrzała mu w oczy. Jathmar wzruszył lekko ramionami. – Wiem, że już od kilku dni się czymś martwisz, kochanie. Nie mam tylko pojęcia czym. No, ale pomyślałem, że w odpowiednim czasie sama mi powiesz. Czyżby więc to dziś nastał dobry moment?

–Nie wiem, czy jest dobry czy nie, ale obawiam się, że jest jednak sprawa, którą powinniśmy omówić – powiedziała nieszczęśliwym głosem. – Szczerze mówiąc to

fakt, że sam nie byłeś w stanie się domyślić jest częścią tego problemu.

–Co? – Jathmarowi nie udało się ukryć w głosie cienia zawodu i urazy. Shaylar pospiesznie przyciągnęła go mocniej ku sobie.

*286David Weber i Linda Evans*

–Oj, źle mnie zrozumiałeś – zapewniła natychmiast. – Chodziło mi o to, że zawsze dotąd byliśmy, z powodu naszej małżeńskiej więzi, bardzo wrażliwi na wszystko, co dzieje

się z drugim. I niemal zawsze wiedzieliśmy, albo potrafiliśmy się domyślić, co nurtuje ciebie czy mnie. Ale teraz to się tobie nie udało, prawda?

–No wiesz, nie chciałem cię naciskać...

–Oczywiście, ale też nie o to mi chodzi.

–No to, o czym ty mówisz? – zapytał, z niezwykłą jak na siebie irytacją w głosie.

–Mówię o naszej więzi, Jathmar – wyjaśniła cicho, z niepokojem w oczach.

–O naszej więzi? – Jathmar wyraźnie nie wiedział, o co jej chodzi. Kobieta westchnęła.

–Nie jesteś Głosem, więc może dlatego tego nie widzisz. ‘

–Czego nie widzę?

–Jest słabsza, Jath – wyjaśniła bardzo cicho. – Nasza więź osłabła.

–Co? – Jathmar spojrzał na żonę ze zdumieniem.

–Nasza małżeńska więź słabnie – powtórzyła. – Oczywiście nie jest z nią tak źle jak wtedy, gdy miałam ranę głowy. Wtedy praktycznie zniknęła. Tym razem jest inaczej. Bardziej tak, jakbyśmy tracili niektóre kanały komunikacji. Kiedy telepaci Mówią do siebie, wraz z informacjami właściwymi przekazują sobie różnego rodzaju ślady poboczne -odcienie emocji nie w pełni pomyślane, lecz już obecne refleksje i urywki wspomnień. Uczy się nas filtrować ten szumi<sup>^</sup>kupiać na treści przekazu, ale te zakłócenia przecież nie znikają. Więź małżeńska jest pod tym względem podobna, zwłaszcza tak mocna, jak była nasza do tej pory.

–Nigdy nie zwróciłem na to uwagi – przyznał powoli Jathmar. – W każdym razie nie myślałem o tym w ten sposób, w jaki o tym opowiadasz.

**–Zwróciłeś, zwróciłeś – sprostowała Shaylar – ale dlatego, że nie jesteś Głosem nie zdawałeś sobie sprawy, ile jest tych śladów, które pogłębiają i wzbogacają uczucia, które przepływają między nami w obie strony. Ja jednak jestem telepatką**

**Ognie Piekieł287**

**i odbieram je wszystkie. I właśnie teraz, z jakiegoś powodu jest ich coraz mniej.**

**–Co chcesz przez to powiedzieć? – Jathmar, po raz pierwszy od początku rozmowy poczuł strach na myśl o tym, do czego zmierza Shaylar. – Chyba nie to, że z jakiegoś powodu tracimy naszą więź?**

**–Nie wiem. Nie wiem i żałuję. W tej chwili na pewno mogę stwierdzić, że w jakiś sposób zaczęliśmy tracić ten poboczny szum. Stało się to jakiś wszechświat albo dwa temu. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje i nie mam także pojęcia, jak daleko ten proces**

**postąpi. Nigdy o niczym takim nawet nie słyszałam, więc nie będę nawet próbowała zgadywać.**

**–1 co z tym teraz zrobimy, kochanie? – Jathmar mocno przytulił żonę.**

**–Nie wiem – powtórzyła po raz kolejny i podniosła oczy. – Próbowałeś może ostatnio używać swojego Talentu?**

**–Tak naprawdę, to nie – odpowiedział powoli. – Nigdzie nie zatrzymywaliśmy się na tyle długo, bym mógł dobrze Przyjrzeć się otoczeniu.**

**–Cóż, może powinieneś spróbować zaraz na następnym postoju – podsunęła. – Ja jestem jedynym Głosem w całym wszechświecie. Nie mam partnera, z którym mogłabym przetestować swój Talent, ale ty drugiego Kartografa nie potrzebujesz.**

**–Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza nasza rozmowa – powiedział smutno Jathmar.**

**–Nie podoba mi się kierunek, w którym ją prowadzę – odpowiedziała.**

**–1 naprawdę uważasz, że powinniśmy o tym porozmawiać z Gadrial? – spytał po chwili, próbując nie zwracać uwagi na niezdrowy wyraz jej twarzy, który – tego był pewien -stanowił odbicie jego własnej miny.**

**–Nie znam nikogo innego, z kim moglibyśmy o tym pomó**

**wić – odparła Shaylar z nikłym, słabym uśmiechem. – Nie znaj**

**dziemy w pobliżu innej, Utalentowanej osoby. A ona może mieć**



przynajmniej jakieś sugestie, co do przyczyn słabnięcia naszej

288Z)aviVI *Weber i Linda Evans*

więzi. Nawet, jeśli nie udzieli nam żadnych odpowiedzi, może pokaże nam kierunek, w którym powinniśmy jej szukać.

–Tylko, że wtedy dowie się o wszystkim.

Shaylar zmrużyła oczy. Wyczuła płynącą od Jathmara, mroczniejszą falę emocji.

–Oczywiście, że się dowie. To źle?

–Shaylar, ja wiem, że Gadrial jest naszą przyjaciółką. Wiem też, że – dodał nieco bardziej niechętnie – Jasak i jego krewni zrobią wszystko, co w ich mocy, by nas bronić. Ale o ile te negocjacje nie doprowadzą do pokojowego rozwiązania konfliktu i o ile nikt inny nie zginie, to oni nadal pozostają naszymi wrogami, kochanie. Może nie osobistymi, ale z pewnością nieprzyjaciółmi Sharony. A oboje są ludźmi honoru, którzy z powagą traktują swoje zobowiązania. Jeżeli rzeczywiście coś złego dzieje się z naszą więzią, z naszymi Talentami – być może dlatego, że spędzamy zbyt dużo czasu w obecności osoby Obdarzonej -czy naprawdę powinniśmy się z nimi tą informacją dzielić? Nawet, jeśli żadne z nich nigdy

nie wyrządzi nam dwojgu żadnej krzywdy, to nadal będą mogli wykorzystać tę wiedzę przeciwko innym Utalentowanym. Sama dobrze wiesz, że Jasak na pewno, a Gadrial niemal na pewno, będą Czuli się w obowiązku poinformować o tym swoich przełożonych.

–Ale skoro nie możemy o tym porozmawiać nawet z Gadrial, to z kim? – spytała zbolalym głosem Shaylar.

–Nie wiem, kochanie – odpowiedział cicho Jathmar. – Na prawdę nic wiem. ‘ \*Ł.›

*Ciąg dalszy nastąpi...*

# SŁOWNICZEK

**Aeravas** - sharoniańskie miasto w Harkali; zbudowane mniej więcej w miejscu, gdzie w naszym świecie znajduje się irański Sziraz.

**Akademia Mythal Falls** - najstarsza i najbardziej prestiżowa placówka; " badawczo-szkolcniowa arkaniańskich magów.

**Alathia** – jedna z prowincji Cesarstwa Ternathii, trans-temporalny odpowiednik Włoch.'.,

**Andara** - arkaniański odpowiednik Ameryki Północnej. Na tym

kontynencie powstały wojownicze królestwa Andaran, z których ' i:.' rekrutuje się większość żołnierzy służących w armii Unii Arkany.

**Arau, Góry** - sharoniański odpowiednik, znajdującego się na wschód od jeziora Bajkał, łańcucha Gór Jabłonowych.

**Arkana** - rodzimy wszechświat i Ziemia Unii Arkany. Świat, którego fizyka oparta jest na magii.

**Arpathia** - Sharoniański odpowiednik obszaru rozciągającego się od Morza Kaspijskiego przez syberyjską tundrę na północ od Mongolii, aż po Ocean Spokojny. Terytorium to nie posiada jednego scentralizowanego rządu, lecz często określany bywa mianem Septentriona, będącego w istocie zawiązanym przez Septów związkiem o charakterze unii handlowej (patrz Septowie i Septentrion).

**Aruncas zwany Mieczem, Aruncas od Miecza** - uromathiański bóg wojny

**Awaryjna Sieć Głosów** - telepatyczna sieć o zasięgu ogólnoplanetarnym, utworzona by umożliwić wszystkim szefom rządów Sharony komunikację w czasie rzeczywistym.

**Awaryjny System Transportowy** - Ogólnoplanetarny system transportu teleportacyjnego na Sharonie, zdolny do przenoszenia z miejsca na

*290David Weber i Linda Evans*

miejsce niewielkich grup pasażerów. AST powstał na potrzeby

dyplomatów i głów państw, wykorzystywany jest wyłącznie w sytuacjach

kryzysowych. Bank Centralny Mythal - największy, najbogatszy i najpotężniejszy

mythalański bank. BCM, w odróżnieniu od innych, prywatnych banków w Mythal, jest bezpośrednio podległy nadzorowi rządowemu. Jedną trzecią zarządu tego banku stanowią osoby bezpośrednio nominowane przez tamtejszy rząd. *Baranal* - ze staroandarańskiego, dosłownie „obrońca”. Osoba,

na której

spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo ludzi wziętych w *shardon*. *Barkesh* - miasto na Sharonie, znajdujące się w miejscu będącym trans-temporalnym odpowiednikiem hiszpańskiej Barcelony. *Bergahl* - Główne bóstwo w

panteonie Zakonu *Bergahla*. Bóg wojny

i sprawiedliwości. Zakon *Bergahla* to zakon rycerski, tradycyjnie

stanowiący źródło prawa i władzy wykonawczej w królestwie

*Othmaliz*. *Bizon* - napędzany silnikiem parowym ciągnik. Jeden z elementów

eksperymentalnych, mechanicznych pojazdów na wyposażeniu armii

*Ternathii*. *Błyskacz* – Utalentowany Sharonianin zdolny do teleportowania,

„błyskania” niewielkich przedmiotów na duże odległości ze znaczną

dokładnością. *Bolakinu*, Królowe - królowe, wspólnie władające dziesiątką

*bolakińskich*

państw-miast, kontrolujących południowe rubieże Morza *Mbisi*. *Brzęczek* -

magicznie ulepszony ptak, powstały z przekształcenia kolibrów,

dokonanego przez *arkaniańskich* czarowników. Wysoce agresywny,

rodzaj szybkiego „gołębia pocztowego”. *Celaryon II* - król starożytnej *Ternathii*,

odpowiedzialny za podpisanie

traktatu, który związał sojuszem *Ternathię* i *Farnalię* w roku 203

kalendacza *temathiańskiego*...”

**Cesarstwo Farnalii – jedno z sharoniańskich cesarstw, rozciągające się od macierzystej Farnalii, przez północne rubieże tamtejszego odpowiednika Europy, po odpowiednik Morza Japońskiego. Cesarstwo Ternathii - najstarszy znany na Sharonie byt polityczny.**

**W epoce miedzi i na początku epoki żelaza Ternathianie stworzyli ogólnoświatowe imperium, wykorzystując do tego celu rozwój, Talenty umysłowe i dobrowolne przyłączanie się kolejnych terytoriów. Początkowo ograniczone do wyspy Ternath (Irlandia) jest**

**najpotężniejszym, najstarszym i najbardziej rozległym z cesarstw**

**Sharony. W jego skład poza wyspą Ternath wchodzi Alathia**

**(Włochy), Jerekhas (Sycylia), Wyspa Bernith (Wielka Brytania),**

**Delkrathia (część Hiszpanii), Ermandia (Austria), Karmalia (Węgry),**

**Ognie Piekieł**

Lugathia (Francja), Mulgethia (Niemcy/Szwajcaria), Narhath (część Hiszpanii), Nessia (Grecja), Wyspa Pairhys (Wyspa Man)

i Teramandor (część Hiszpanii). Cesarstwo Uromathii - większe z dwóch uromathiańskich imperiów.

Zajmuje sharoniański odpowiednik Chin, z dodatkiem Wietnamu

i Kambodży. Cesarzowa Wailyana II - Wailyana Calirath, Cesarzowa Ternathii,

4172-4207. Obdarzona przydomkiem Wailyany Wielkiej. Chairifon - sharoniański

odpowiednik Eurazji. Chalar - Arkaniańskie imperium morskie z centrum na wyspie Chalar (Kuba), kontrolujące Morze Chalarańskie i Zatokę Hilmarańską (Zatoka Meksykańska). Chalar jest główną potęgą morską Arkany. Chan - z temathiańskiego

„weteran”. Honorowa część nazwiska należna

ludziom, którzy służą, bądź służyli w armii Ternathii. Chinthai - sharoniańska rasa

koni, bardzo podobna do perszeronów. Cieśnina I brała - sharoniański odpowiedni

Dardaneli. Cieśnina Bolakin - sharoniański odpowiednik Cieśniny Gibraltarskiej. Cieśnina

Łez - sharoniański odpowiednik cieśniny Bab al-Mandab łączącej

Morze Czerwone z Zatoką Adeńską. Cieśnina Ylani - sharoniański odpowiedni

Bosforu. Czeladnik - oficjalny stopień arkaniańskich magów, należny tym, którzy ukończyli już edukację, ale nie odkryli nowego sposobu wykorzystania magii.

Większość Obdarzonych magicznie osób nie wychodzi poza ten poziom (patrz też „uczeń”, „magister” i „magistron”). Daykass rasa świetnych arpathiańskich koni kawaleryjskich. Bardzo podobna do koni turkmeńskich. Depresja Queriz - sharoniański odpowiednik Niziny

Nadkaspjskiej. Dolina Razinly - nizina pomiędzy Górami Gartasa, Górami Teramandor <<sup>1</sup>: i Górami Cesarza Edvara na Półwyspie Narhathan. Dosaru - uromathiański bóg

sprawiedliwości. Znany także jako Dosaru

**o Niemrugającym Spojrzeniu i Dosaru od Wagi. Dowództwo - arkaniański**

**odpowiednik amerykańskiego Kolegium**

**Połączonych Szefów Sztabów. Dynastia Calirath - cesarska dynastia rządząca Ternathią. Calirathowie**

**władają Ternathią od ponad czterech tysięcy lat.:**

**Dźwigacz - Sharonianin posiadający Talent telekinetyczny. Większość**

**Dźwigaczy potrafi poruszać jedynie niewielkie przedmioty. Niewielki**

**procent wyjątkowo uzdolnionych Dźwigaczy potrafi poruszać**

**przedmiotami o wadze trzydziestu do czterdziestu funtów. Ekros - jeden z arkaniańskich demonów. Elath - andarańskie królestwo, którego terytorium z grubsza równa się**

**obszarowi Stanów Zjednoczonych po Kansas i Nebraskę na zachód i po**

**Nową Funlandię na północ.**

*David Weber i Linda Evans*

**Eniath** - formalnie uromathiańskie królestwo, na wschodnich rubieżach sharoniańskiego odpowiednika Mongolii. Kraina znana z tradycji sokolniczych. Jej mieszkańcy, których stanowią zarówno Arpathianie jak Uromathianie, nie darzą sympatią Cesarstwa Uromathii.

**Epoka Podbojów** - okres najbardziej dynamicznego rozrostu starożytnej Ternathii. Najogólniej sharoniańscy historycy ustalają daty graniczne tego okresu na lata od 2025 do 3650.

**Ermandia** - prowincja Cesarstwa Ternathii, odpowiadająca Austrii.

**Erthain Wielki** - półlegendarny założyciel Rodu Calirath i Imperium Ternathiańskiego.

**Esferia** - sharoniański odpowiednik Kuby.

**Estafel** - stolica Cesarstwa Ternathii.

**Faitharia** - republika na Nowej Ternathii, znajdująca się w pobliżu Krainy Wielkich Jezior. Ojczyzna Jathmara Nargry.

**Farnalia** - sharoniański odpowiednik Skandynawii.

**Farshal** - Hilmarańskie królestwo na Arkanie, którego terytorium

pokrywa się z Gujaną, Surinamem i Gujaną Francuską.,,}m

**Firsoma** - uromathiańska bogini mądrości i przeznaczenia. Znana także – jako Firsoma od Nożyc lub Wielka Krawcowa.

**Fort Brithik** - sharoniański fort przyportalowy we wszechświecie Thermyn, strzegący portalu prowadzącego do Nowej Uromathii. Wzniesiono go mniej więcej w trans-temporalnym odpowiedniku Nebraski.

**Fort Ghartoun** - dawniej zwany Fortem Raylthar. Sharoniański fort we wszechświecie Thermyn, strzegący portalu prowadzącego'

z wszechświata Failcham. Znajduje się mniej więcej w miejscu, gdzie na Ziemi leży Carson City w stanie Nevada.i'

**Fort Losaltha** - sharoniańska forteca strzegąca portalu prowadzącego z

**wszechświata Salym. MAiej więcej w miejscu odpowiadającym położeniem Barceloniei }m**

**Fort Mosanik - sharoniański fort przyportalowy we wszechświecie Karys, strzegący portalu prowadzącego do wszechświata Failcham...'.'(Mniej więcej w miejscu odpowiadającym położeniem kazachskiej Astanie.');**

**Fort Rycharn - arkaniański fort przybrzeżny we wszechświecie Gharys, obsługujący położony na bagnach portal prowadzący do Wrót Piekieł. Mniej więcej w miejscu będącym odpowiednikiem brazylijskiego Belem.**

**Fort Salby - sharoniański fort we wszechświecie Traisum, strzegący portalu prowadzącego do wszechświata Karys. Trans-temporalny odpowiednik sharoniańskiej Narshalli lub ziemskiej Medynie, w Arabii Saudyjskiej.**

**Fort Shaylar - dowodzony przez kapitana Halifu fort w Nowej Uromathii.**

**Ognie Piekieł<sup>293</sup>**

**Fort Talon - arkaniańska forteca we wszechświecie Erthos, mniej więcej**

**trans-temporalny odpowiednik syberyjskiego miasta Ust-Ilimsk. Fort Tharkoma - sharoniański fort przyportalowy we wszechświecie**

**Salym, strzegący portalu prowadzącego do Traisum. Wzniesiony w trans-**

**temporalnym miejscu Sofii. Fort Wyvern - arkaniańska baza i forteca we wszechświecie Gharys,**

**w pobliżu portalu prowadzącego ze wszechświata Erthos. Mniej więcej**

**odpowiednik kubańskiej Manzanilli. Gariyan VI - cesarz Ternathii, który rozpoczął stopniowy proces**

**wycofywania się Imperium z jego wschodnich prowincji. Gariyan VII - syn Gariyana VI; ostatni władca Ternathii, który rządził**

**cesarstwem z Taj vany. Garmoy, Słoneczna Dziedzina - sharoniańskie księstwo w południowo-wschodniej Uromathii. Mniej więcej terytorialny odpowiednik Laosu. Garouoma - sharoniańskie miasto leżące na półwyspie Narhathan,**

**w przybliżeniu odpowiednik hiszpańskiej Kordoby. *Garsulthan* – wywodzące się z języka manisthuańskiego pojęcie, które**

**można oddać jako „politykę realną”. Jej praktycy uważają, że relacje**



**międzynarodowe koniec końców sprowadzają się do równowagi**

**militarnej oraz, że moralność i etyka musi w związku z tym ustępować**

**sile przy prowadzeniu polityki zagranicznej. Garth Showma - rozległe i potężne księstwo i miasto w Nowej Arkanie.**

**Położone w pobliżu arkaniańskiego odpowiednika wodospadów Niagara.**

**Znajduje się tam kwatera główna armii Arkany. *Garthan* - kasta nie posiadających magicznych uzdolnień mieszkańców**

**Mythal. *Garthan* stanowią, co najmniej osiemdziesiąt procent ludności**

**Mythal, ale pozbawieni są niemal wszelkich praw. Gerynth - miasto w południowej części andarańskiego królestwa Yanko,**

**mniej więcej odpowiadające meksykańskiemu Durango. Grocyra - sharoniański odpowiednik Syberii. Góry Cerakondiańskie - sharoniański odpowiednik Gór Ałtaj. Góry Cesarza Edvara - sharoniański odpowiednik Pirenejów. „-v Góry Cratak - arkaniański odpowiednik gór Sierra Nevada. Góry Delkrath - łańcuch górski w prowincji Delkrath, sharoniański**

**odpowiednik hiszpańskich gór Santa de Guarrama. Góry Eraythas - sharoniański odpowiednik Gór Kantabriańskich**

**ciągących się wzdłuż wybrzeża Biskajskiego, w Hiszpanii. Góry Gartasa - sharoniański odpowiednik Gór Iberyjskich w Hiszpanii,**

**granica pomiędzy Teramandorem, a Delkrath. Góry Ithal - sharoniański odpowiednik Gór Hidżaz.**

**Góra Karek - górski szczyt na zachód od Fortu Salby, część łańcucha gór IthaL Góry Krwawego Nieba - sharoniańska nazwa gór Sierra Nevada. Góry Teramandor - sharoniański odpowiednik Gór Katalońskich.**

***294David Weber i Linda Erans***

**Góry Yamali - sharoniański odpowiednik Himalajów, leżą na północ od Harkali i rozciągają się od Isseth na zachodzie po Cesarstwo Uromathii na wschodzie.**

**Harkala - sharoniański odpowiednik Indii. Starożytne Imperium Harkali poza Indiami rozciągało się przez Afganistan aż po Iran.**

**Hak Ricathii - sharoniański odpowiednik południowego krańca Cieśniny Gibraltarskiej. Trans-temporalny odpowiednik Maroka i hiszpańskiej Ceuty.**

**Hegemonia Mythal - ponadnarodowy organizm polityczny w Mythal,**

**skupiający wszystkie mythalańskie państwa. Praktycznie rzecz biorąc jest to rząd Mythal, choć nigdy nie doszło do formalnego zjednoczenia kontynentu.**

**Hilmar - arkaniański odpowiednik Ameryki Południowej.**

**Hurkaym - miasteczko/posterunek komunikacyjny zlokalizowany w trans-temporalnym odpowiedniku sycylijskiego Palermo. We wszechświecie Salym służy za stację przekaźnikową Sieci Głosów pomiędzy Fortem Tharkoma i Fortem Losaltha.**

**Hurlsbane - richathiański bóg-wojownik kojarzony z mitycznym mężem «Królowych Bolakinu. Strzeże Bolakińczyków. Kapłani Hurlsbane'a tradycyjnie są wpływowymi osobistościami w bolakińskich państwach miastach. Przykładem może tu być Wysoka Kapłanka Hurlsbane'a, która tysiące lat temu doradziła Królowym Bolakinu zawarcie przymierza z Ternathią.**

**Imperium Hinoreańskie - mniejsze z dwóch cesarstw dominujących**

**w Uromathii. Imperium Hinoreańskie zajmuje sharoniański odpowiednik zachodnich Indii i Bangladeszu, Birmę, Tajlandię, Filipiny i Malezję.»**

**Indelbu - ternathiańskie miasto portowe. Trans-temporalny odpowiednik Belfastu.**

**Inkara - arkaniański odpowiednik Wielkiej Brytanii.**

**Instytut Garth Showma - Akademia założona przez magistra Halathyna vos Dulainaha w Nowej Arkanie. Druga co do wielkości akademii magiczna. Jej prestiż szybko przerósł znaczenie akademii Mythal Falls.**

**Instytut Waleni/Shurkhaliańska Ambasada Wodnego Królestwa – sharoniańska placówka naukowa i ambasada założone i prowadzone przez matkę Shaylar, Thalassar Kolmar-Brintal, tłumaczkę języka waleni.; Podobne ambasady założono w celu utrzymywania stosunków z rozumnymi naczelnymi w Ricathii (Afryce), Uromathii (Azji) i Nowej Farnalii (Ameryce Południowej)**

**Isseth - królestwo znajdujące się pomiędzy Harkalą i Arpathią w miejscu, będącym sharoniańskim odpowiednikiem Kaszmiru, Tadżykistanu i północno-wschodniego Pakistanu.**

**Isseth-Liada - jedna z firm zajmujących się eksploracją portali. Finansowana przez królestwo Isseth.**

**Jerekhas - sharoniański odpowiednik Sycylii.\***

# Ognie Piekieł

**Jezioro Arau - sharoniański odpowiednik jeziora Bajkał.**

**Jezioro Białej Mgły - arkaniański odpowiednik Jeziora Erie.**

**Jezioro Hammerfell - arkaniański odpowiednik Jeziora Huron.**

**Jezioro Kanaiyar - arkaniański odpowiednik Jeziora Winnipeg.,?**

**Jezioro Królowej Kałthry - arkaniański odpowiednik Jeziora Ontario.**

**Jezioro Monarch - arkaniański odpowiednik Jeziora Górnego.**

**Jezioro Śnieżnego Szafiru - sharoniańska nazwa jeziora Tahoe (amerykański stan Newada)**

**Judaih - miasto na Sharonie, wzniesione w miejscu libijskiego Gnat.**

**Juhali - wulkaniczna wyspa na Sharonie. Sharoniański odpowiednik**

**Krakatau.**

**Kanał Bernith - sharoniański odpowiednik Kanału La Manche.**

**Kanaiya - księstwo w środkowym Lokan, zajmujące większą część kanadyjskiej Manitoby. Stolica księstwa, o tej samej nazwie, położona jest na wschodnim wybrzeżu Jeziora Kanaiya.**

**Karmalia - sharoniański odpowiednik Węgier.**

***Kershai* - starożyte, mythalańskie słowo oznaczające „błyskawicę”. Hasło uruchamiające broń oddechową czarnych smoków.**

**Kieł - formacja arkaniańskich Sił Powietrznych składająca się z trzech „napadów” i licząca w sumie trzydzieści sześć smoków.**

**Konsorcjum Chalgyn – jedna ze spółek prowadzących badania nowych wszechświatów, zatrudniająca Jathmara Nargrę i Shaylar Nargrę-Kolmayr. Konsorcjum Chalgyn to prywatna firma z siedzibą w Shurkhal.**

**Konklawe formalne, międzynarodowe ciało powoływane w**

**poważnych zagrożeń, po raz pierwszy zwołane po powstaniu portalu. W skład Konklawe wchodzi głowy wszystkich suwerennych państw Sharony i -teoretycznie –**

nowych, niezawisłych kolonii.

**Koleje Trans-Temporalne** - prywatna korporacja odpowiedzialna za budowę i obsługę głównych połączeń kolejowych, łączących rodzimy wszechświat Sharonian z nowo odkrywanymi wszechświatami. Mimo, że KTT jest największą i najbogatszą prywatną firmą w dziejach Sharony, podlega ścisłemu nadzorowi i kontroli ze strony Zarządu Portali, który jest dysponentem licencji na budowę międzywszechświatowych połączeń.

**Korona ognia** - sharoniańskie określenie znajdującego się na Pacyfiku, wulkanicznie aktywnego „pierścienia ognia”.

**Kreślarz** - Sharonianin obdarzony Talentem „Kreślenia” – szczególną odmianą

Talentu Kartografa, szczególnie przydatną w zastosowaniach militarnych.  
Kreślarze, w

odróżnieniu od Kartografów, są w stanie wykrywać obecność istot żywych, na przykład

ludzi.

**Królestwo Shartha** - ricathiańskie królestwo na Sharonie, zajmuje obszar

odpowiadający mniej więcej Somalii, wschodniej Etiopii i większości Kenii (patrz też „Lubnasi”)

*296 David Weber i Linda Evans*

**Krwawy dług** - starożytnie, ransarańskie pojęcie dotyczące wymierzania sprawiedliwości, oparte na zasadzie „oko za oko, ząb za ząb”.

Współcześni Ransarani odrzucili zasadę krwawego długu, jako barbarzyńską i niezgodną z prawdziwymi ideami sprawiedliwości.

Wyrażenie „krwawy dług” stosowane jest również niekiedy w języku

potocznym na określenie osobistej zemsty. krwawa yendetta - shurkhaliańska  
krwawa yendetta następuje w reakcji na

czyjaś niesprawiedliwie zadana śmierć. Zabójstwo Shaylar Nargry-

Kolmayr jakiego w opinii Sharonian dopuścili się Arkanianie, powoduje, że wszyscy Shurkhalianie pragną właśnie krwawej yendetty. Kryształ rozpoznawczy –zwany niekiedy KR. Oparte na kryształach sarkolisu urządzenie wywiadowcze, umożliwiające zapis i przechowywanie dźwięku i obrazu wydarzeń rozgrywających się w pewnym promieniu od kryształu. KR nie posiada możliwości zdalnego przesyłania przechowywanych informacji. Kryształ sarkolisu - niezwykle twardy, przypominający kwarc „kamień”, i

Sztucznie wytwarzany kryształ wykorzystywany na Arkanie do przechowywania zaklęć. Księga Podwójnej Trójcy - święta księga Kościoła Podwójnej Triady, religii cesarza Ternathii. Księga Tajemnic-j eden z dwóch podstawowych świętych tekstów

mythalańskiej kasty *shakira*. Księga Shakiry - jeden z dwóch podstawowych świętych tekstów

mythalańskiej kasty *shakira*. Kythia - kraina na Arkanie, mniej więcej pokrywająca się z hinduskim

Gudżarat. Larakesh - miejsce nad brzegiem morza Ylani, gdzie pojawił się pierwszy na Sharonie trans-temporalny portal. Odpowiednik bułgarskiej Warny. *Larkima* -starożytne, mythalańskie słowo oznaczające „dusić”. Hasło

uruchamiające broń oddechową żółtych smoków. Limathia - królestwo w Nowej Farnalii znajdujące się pomiędzy

sharoniańskimi odpowiednikami Chile i Argentyny. Z Limathii pochodzi

jeden z dyrektorów Zarządu Portali. Lissia - sharoniański odpowiednik Australii. Główny ład Republiki Lissi,

w skład której wchodzi też odpowiedniki: Nowej Zelandii, wysp

**Oceanii i spora część Polizneji. Z Lissii pochodzi matka Shaylar**

**Nargry-Kolmayr. Lokan - andarańskie królestwo, którego terytorium pokrywa większość**

**terenów ziemskiej Kanady i Alsaki, ale także amerykańskie stany Oregon**

**i większą część Kalifornii. Losaitha - sharonianskie miasto zbudowane przy portalu prowadzącym do**

**wszechświata Salym. Mniej więcej w miejscu, w którym na Ziemi**

**znajduje się hiszpańska Barcelona.**

**Ognie Piekieł<sup>297</sup>**

**Lot - oddział arkanianskich Sił Powietrznych składający się z czterech smoków bojowych, dzielący się na dwie pary skrzydłowych.**

**Lubnasi - starożytne, niezależne miasto-państwo znajdujące się w obrębie królestwa Shartha (patrz Królestwo Shartha) na Sharonie. Podobnie jak bolakińskie miasta-państwa (patrz Bolakinu, królowe) Lubnasi jest od czasów starożytności sprzymierzone z Ternathią, która stała się gwarantem jego niezawisłości i granic.**

**Lugathia - prowincja Cesarstwa Ternathii, odpowiednik Francji.**

**Magister - oficjalny stopień arkanianskich magów. Uzyskanie go wymaga ukończenia intensywnego cyklu edukacyjnego oraz wynalezienia przynajmniej jednego, nieznanego wcześniej, praktycznego zastosowania zaklęć. Ogólny tytuł magistra dzieli się na kilka specjalizacji.**

**Magistron - oficjalny stopień arkanianskich magów, odpowiednik**

**„magistra” lecz zarezerwowany dla osób specjalizujących się w magii wpływającej na istoty żywe. Ogólny tytuł magistrona dzieli się na kilka specjalizacji.**

**Mahritha - odkryty przez Arkanian wszechświat połączony portalem z Wrotami Piekieł. Nazwę tę nadał magister Halathyn, na cześć swojej żony.**

**Manisthu, królestwo - największe i najważniejsze państwo zajmujące Wyspy Manisthu.**

**Manisthu, wyspy – arkaniański odpowiednik Japonii.**

**Marnilay - sharoniańska bogini. „Słodka Marnilay Dziewica” jedna z osób ternathiańskiej Podwójnej Triady, głównych bóstw w religii, co najmniej połowy**

**Sharonian, rozprzestrzeniona przez długie wieki ternathiańskiej dominacji na znacznej połaci tego świata.**

**Matka Jambakol - arkaniańska bogini zła lub demon, czczona przez Hilmarian, którzy jednocześnie obawiają się jej jak żadnego innego z bogów. Uosobienie zniszczenia, zemsty i nienawiści.**

**Matka Marthea - sharoniańskie bóstwo. W panteonie Shurkhalian czczona jako źródło wody i życia. Nazywa także Matką Rzek, Matką Źródeł i Matką Morza. Jako Matka Morza przynosi czcicielom bogactwo w postaci pereł i koralu oraz dba o bezpieczeństwo statków. Również bogini urodzaju, zarówno morskiego, jak i upraw i hodowli prowadzonych na lądzie.**

**Melwain Wielki - andarański odpowiednik króla Artura. Melwain żył ponad tysiąc lat temu i po dziś dzień stanowi niedościgły wzór przestrzegania zasad i wymogów honoru.**

**Morze Mbisi - sharoniański odpowiednik Morza Śródziemnego.**

**Morze Farnaliańskie - sharoniański odpowiednik Morza Bałtyckiego.**

**Morze Palca - sharoniański odpowiednik Morza Czerwonego.**

**Morze Scurlis - sharoniański odpowiednik Morza Japońskiego.**

**Morze Ibrala - sharoniański odpowiednik Morza Marmara.**

*29Wavid Weber i Linda Evans*

**Morze Ylani - sharoniański odpowiednik Morza Czarnego.**

**Mithanan - mythalański bóg kosmicznej destrukcji.**

**Mul - ze staromythalańskiego „wojownik”. Jako część nazwiska wskazuje,**

**że ród właściciela z którejś z linii genealogicznych wywodzi się z kasty**

**wojowników „multhari”. Jeśli dana osoba należy zarazem do kasty**

**„shakira” w większości wypadków stosuje się cząstkę „vos”, jako że**

**„shakira” jest wyższą kastą. Formalnym tytułem powinno być w takich**

**wypadkach jednak „vos i mul”. Zatem wywodzący się z kasty „shakira”**

**oficer Sythak pochodzący z rodu Yuran, powinien być nazywany Sythak**



**vos i mul Yuran lecz najczęściej zwracano się po prostu Sythak**

**vos Yuran. Mulgethia - prowincja Cesarstwa Ternathii, odpowiednik Niemiec**

**i Szwajcarii. *Multhari* - druga co do ważności kasta w mythalańskim społeczeństwie.**

**Multhari są kastą żołnierzy. Niektórzy „multhari” są także „shakira”.**

**Tradycyjnie zajmują wyższe stanowiska oficerskie. Mythal - arkaniański**

**odpowiednik Afryki. Społeczeństwo Mythal oparte**

**jest na systemie kastowym, podporządkowane kaście magów „shakira”,**

**którzy dominują nad pozbawionymi magicznych uzdolnień „garthan”. Mythal Falls -**

**arkaniański odpowiednik Wodospadów Wiktorii. Napad - formacja arkaniańskich Sił**

**Powietrznych składająca się z trzech**

**„lotów” i licząca w sumie dwanaście smoków. Narhath - bogata prowincja**

**Cesarstwa**

**Ternathii, w której skład wchodzi**

**tereny odpowiedników Portugalii i południowej Hiszpanii. Narshalla - sharoniańskie**

**miasto znajdujące się mniej więcej w miejscu**

**ziemskiej Medyny, w Arabii Saudyjskiej. Nessia – najdalej na wschód wysunięta**

**prowincja współczesnej Ternathii,**

**odpowiednik Grecji. Nos - Sharonianin posiadający psychiczny Talent umożliwiający**

**odbieranie**

**pozostałości energetycznych po ludzkich uczuciach. Noskor - sharoniańskie**

**miasto**

**znajdujące się ha\* południowo-zachodnim**

**wybrzeżu Jeziora Arau. Nowe Ramath - portowe miasto wybudowane do obsługi**

**linii kolejowej**

**prowadzącej do Fortu Tharkoma w Salym. Znajduje się w trans-temporalnym**

**odpowiedniku albańskiego Durres. Nowa Sharona - pierwszy z**

**nowych wszechświatów zbadanych przez**

**Sharonian. Nowa Ternathia - sharoniański odpowiednik Ameryki Północnej. Nowa**

**Farnalia - sharoniański odpowiednik Ameryki Południowej. Ocean Evanos -  
arkaniańska**

**nazwa Oceanu Spokojnego. Ocean Rindor - sharoniański odpowiednik Oceanu  
Indyjskiego.**

**Ocean Vandor - sharoniański odpowiednik Oceanu Atlantyckiego. Ocean Zachodni -**

**sharoniańska nazwa Oceanu Spokojnego. Ognie Piekieł<sup>299</sup>**

**Odźwierny - Sharonianin obdarzony Talentem pozwalającym na teleportację  
pasażerów lub niewielkich ładunków za pomocą Awaryjnego Systemu**

**Transportowego.**

**Ogar Portali - Sharonianin dysponujący Talentem pozwalającym wykrywać trans-  
temporalne portale.**

**Osmaria ~ sharoniański odpowiednik Włoch.**

**Ostrze Ibrala - sharoniański odpowiednik Półwyspu Gallipoli.**

**Othmaliz - królestwo dominujące na wschodnich rubieżach Morza Mbisi i części  
Morza Ylani. Zajmuje mniej więcej obszar zachodniej połowy Turcji i południowej  
Bułgarii. Stolicą Othmaliz jest Tajvana, starożytna stolica Imperium Ternathii.**

**Paerystia – kraina na Arkanie, z grubsza odpowiednik Omanu.**

**Pięść Bolakinu - sharoniański odpowiednik Gibraltaru.**

**Płaskowyż Shartha - wysoki łańcuch górski w północno-zachodniej**

**Sharcie, sharoniański odpowiednik Wyżyny Abisyńskiej.**

**Pocieszyciele Bergahla - ironiczna nazwa nadawana Sztyletom Bergahla: (patrz  
dalej).**

**Postanowienia Kerelli - andarański regulamin wojskowy, sporządzony wiele stuleci  
temu przez wysokiego rangą, andarańskiego oficera Housipa Kerellę, przyjęte przez  
armię Unii Arkany jako oficjalny dokument, ustalający standardy postępowania z**

**jeńcami wojennymi oraz kodeks postępowania dla Arkanian, którzy dostaną się w ręce wroga.**

**Półwysep Narhathan - sharoniański odpowiednik Półwyspu Iberyjskiego.**

**Projektor - Sharonianin obdarzony Talentem telepatycznym pozwalającym na przekazywanie szczegółowych i wiernych obrazów nie-telepatom. Każdy Projektor jest też Głosem, jednak jedynie niecały 0,01% Głosów posiada zdolność Projektji.**

**Prowincja Delkrath – jedna z prowincji Cesarstwa Ternathii, położona na północ od Narhath i na wschód od Teramandoru, pokrywa się ze środkową Hiszpanią – od Madrytu na południe po Zatokę Biskajską.**

**Protokół Gorhadyna - jedna z mythalańskich technik zabijania.**

**Pustynia Ricathiańska - sharoniański odpowiednik Pustyni Libijskiej.**

**Pustynia Sarthan - sharoniański odpowiednik Sahary.**

**Queriz - miasto w Arpathii, mniej więcej w miejscu kazachskiej Astany.**

**Róg Ricathii - sharoniański odpowiednik Półwyspu Somalijskiego, pomiędzy Zatoką Adeńską i Oceanem Indyjskim.**

**Rahil - Wielka Prorokini, założycielka i święta miłosierdzia i niesienia pomocy. Patronka Bractwa Rahil, jednej z głównych religii Ransar.**

**Rahilianin - członek Bractwa Rahil.**

**Rankadi - mythalańskie rytualne samobójstwo.**

**Ransar - arkaniański odpowiednik Azji. W Ransar rozwinęła się kulturo oparta na wysoce humanistycznych, demokratycznych i postępowych wartościach, która ponad wszystko stawia wolność jednostki. Przez In**

*David Weber i Linda Evans*

Ransaranie nie darzą sympatią andarańskiej arystokracji, a szczególnie nienawidzą żyjących w systemie kastowym Mythalan. Ransaranie żyją najbardziej swobodnie spośród wszystkich społeczeństw Arkany.

Ricathia - sharoniański odpowiednik Afryki.

Rokhana - jedno z państw Nowej Ternathii, zajmujące terytorium od amerykańskiego stanu Oregon do granicy amerykańsko-meksykańskiej.

Równina Grocyra - sharoniański odpowiednik Niziny Zachodniosyberyjskiej.

Rydwan Vothana - wojenny rydwan, atrybut Vothana, jednej z osób Podwójnej Trójcy Ternathii.

Rzeka Dalazan - sharoniański odpowiednik Amazonki.

Rzeka Janu - sharoniański odpowiednik Renu.

Rzeka Kosal - arkaniański odpowiednik hiszpańskiej rzeki Ebro. »/.

Rzeka Mythal - arkaniański odpowiednik Nilu.

Rzeka Razinta - sharoniański odpowiednik hiszpańskiej rzeki Ebro\*

Rzeka Sarlayn - sharoniański odpowiednik Nilu.,> r

Rzeka Yirshan - sharoniański odpowiednik rzeki Kolumbia.,,,.'”’.,.

Saramash - shurkhaliański diabeł.

Septowie - Arpathiańskie ludy żyjące w systemie klanowym. Większość z nich to nomadyczni pasterze. Septowie hodują najlepsze konie na całej Sharonie. Są też nieufni wobec obcych, co jest spadkiem po pozbawionych skrupułów handlarzach, którzy często wykorzystywali „naiwnych barbarzyńców” i wskutek tendencji innych narodów do postrzegania Septów jako prymitywnych dzikusów, czyniąc z nich obiekt niewybrednych żartów.

Septentrion - Większość arpathiańskich Septów nie uznaje żadnej

formalnej władzy poza wodzem/przywódcą swojego klanu. Terytoria, które zajmują nie mają określonych granic, zwłaszcza na obszarach odpowiadających syberyjskim

nizinom. Jednakże Septowie zjednoczyli się w celu wspólnego prowadzenia handlu, tworząc Septentrion – unię handlową, strzegącą finansowej strony interesów prowadzonych przez wszystkie klany. Służący Septentrionowi przedstawiciele poszczególnych klanów prowadzą

negocjacje handlowe z kupcami z zagranicy i razem ustalają najkorzystniejsze ceny na sprzedawane przez siebie towary, w tym owiane legendą dzieła arpathiańskich złotników. Septentrion doprowadził do powstania regionalnych faktorii handlowych wzdłuż granic Arpathii. Organizacja ta ma także swojego przedstawiciela w dyrekcji Zarządu Portali i pomaga Septom chcącym wstąpić do SZZP lub do któregoś z zespołów badawczych prowadzących eksplorację nowych wszechświatów.

Serikai - „Miasto Śniegu”, położone nad jeziorem sharoniańskie miasto, odpowiednik Buffalo w amerykańskim stanie Nowy Jork. Serikai jest stolicą Republiki Faltharii.

Ognie Piekieł

**Sethdona** - stolica sharoniańskiego królestwa Shurkhal. Znajduje się

w trans-temporalnym odpowiedniku miasta Dżudda na wybrzeżu Morza Czerwonego.

**Shakira** - w mythalańskiej kulturze kasta magicznie uzdolnionych,

całkowicie dominująca nad pozostałymi. Tworzą ją naukowcy, teoretycy itd. Niemal wszystkie „inteligenckie” profesje Mythal obsadzone są wyłącznie przez członków shakiry.

**Shalana** - „Matka Shalana”, jedna z osób w ternathiańskiej Podwójnej

Trójcy, jej świętym kolorem jest błękit, z którego to powodu jej świątynia w Tajwanie ozdobiona jest lapis-lazuli i szafirami. Znana także jako Shalana Miłosierna. Jej kapłani należą do najbardziej zamożnych na całej Sharonie.

**Shaloma** - arkaniański odpowiednik Europy Zachodniej.

**Shardon** - wywodzący się ze staroandarańskiego termin oznaczający „podopiecznego” czyli osobę, pozostającą pod osobistą ochroną andarańskiego wojownika i jego rodu. (patrz *baranal*)

**Sharona** - rodzimy wszechświat i Ziemia Cesarstwa Ternathii. Panująca w tym wszechświecie fizyka jest podobna – choć nie identyczna z naszą, a struktura społeczna i kultura opiera się w dużej mierze na istnieniu rozwiniętych Talentów psychicznych.

**Shartahk** - główny diabeł ternathiańskiej religii.

**Shartha** - królestwo we wschodniej Ricathii.

**Sherkaya** - staromythalańskie słowo, oznaczające „ogień” hasło aktywujące broń oddechową smoków czerwonych.

**Shikowr** - rasa koni kawaleryjskich wyhodowana w Ternathii na przestrzeni kilku tysięcy lat. Shikowry przypominają budową i postawą Morgany, ale są od nich znacznie wyższe. Ich nazwa pochodzi od rodzaju shurkhaliańskiej szabli, którą przyswoiła sobie ternathiańska jazda.

**Showma** - arkaniański (położony na Nowej Arkanie) odpowiednik

wodospadów Niagara. W pobliżu znajduje się prowadzący badania nad magią

**Shurkhal - królestwo na Sharonie, mniej więcej odpowiadające Arabii Saudyjskiej, Jordanii i półwyspowi Synaj. Królestwo Shurkhal jest największym z kilkorga „shurkhaliańskich królestw”, z których wszystkie silnie zbliżone są kulturalnie do Harkali, choć stanowi wyraźną podkulturę wpływającą na tereny Syrii, Iraku i większości Iranu.**

**Słoneczna dziedzina - feudalna jednostka terytorialna w Uromathii, władana przez Słonecznego Lorda, odpowiadająca mniej więcej księstwu lub wielkiemu księstwu.**

**Słoneczny Lord - uromathianski tytuł arystokratyczny, mniej więcej rangi księcia, lub wielkiego księcia.**

**Sztyletnia - kryształ sarkolisu, w którym magazynuje się zaklęcia bojowe krótkiego zasięgu. Zasięg sztyletni nie przekracza dwudziestu stóp, nie**

*David Weber i Linda Evans*

można tej broni ukryć przed osobami Obdarzonymi, niemniej

przenoszone w nich czary posiadają dużą moc niszczącą. Sztylety Bergahla -

wyjątkowo wojowniczy kult powstały w obrębie

Zakonu Bergahla. Sztylety zostały oficjalnie rozwiązane ponad sto lat

temu. SZZP - Siły Zbrojne Zarządu Portali. Wielonarodowe, sharoniańskie siły

zbrojne, kierowane przez Zarząd Portali. Powołane w celu ochrony

eksploracji portali i położonych za nimi wszechświatów. Ślizgacz - arkaniański

odpowiednik kolei. Święty Taiyr - zwany także Taiyrem z Estafel, święty patron

dynastii Calirath. Świątynia Świętego Taiyra w Tajwanie – jedna ze świątyń w

Tajwanie, upamiętniająca Świętego Taiyra z Estafel, wzniesiona w roku 3016 przez

cesarzową Wailyanę 1. Od dwóch tysięcy lat tradycyjne miejsce koronacji

ternathiańskich cesarzy. Tajvana - stolica starożytnego Imperium Ternathiańskiego,

sharoniański

odpowiednik Konstantynopola i Istambułu. Teramandor - prowincja Cesarstwa

Ternathii, znajdująca się w północno-zachodnim Narhath, mniej więcej odpowiednik

Katalonii i zachodniej

Aragonii (Hiszpania). Tharkan - wielkie księstwo w Shalomie, część królestwa

Elath, znajdujące

się w arkaniańskim odpowiedniku Polski. Tutaj Arkanianie odkryli › -...

pierwszy trans-temporalny portal.!

Torkash - główne bóstwo w panteonie starożytnych Manisthuan. Tosaria -

starożytne ransarańskie królestwo na Arkanie. Jego stolica

znajdowała się w miejscu będącym odpowiednikiem Szanghaju. Tosaria



osiągnęła wysoki poziom kultury i rozwoju społecznego już wtedy, gdy reszta współczesnego Ransar znajdowała się jeszcze w prymitywnym stadium rozwoju. Tropiciel - Sharonianin posiadający Talent Tropienia. Osoba potrafiąca

wskazać przybliżony kierunek, w jakim znajduj\* się wskazana osoba lub przedmiot. Tukoria - największe i najpotężniejsze z hilmarańskich królestw, zajmujące

terytorium odpowiadające większej części Argentyny i Chile. Tukoria jest jedynym z hilmarańskich państw, które zdołało się oprzeć andarańskiemu podbojowi i kolonizacji. Uczeń - tytuł przyznawany Obdarzonym adeptom magii na Arkanie. Student

pozostaje uczniem, bez względu na wiek, do momentu ukończenia cyklu edukacji. Unia Arkany - ogólnoswiatowy rząd rodzimego wszechświata Arkanian.

Unia (miasto) - miasto zbudowane przy wejściowym portalu do Nowej Sharony, położone około pięćdziesięciu mil na wschód od Bloemfontein w RPA.

Ognie Piekieł

Unijna Komisja Arbitrażowa (UKA) - odpowiedzialna przed specjalną komisją senatu Unii, ą quasi-dyplomatyczna organizacja powołana w celu rozstrzygnięcia sporów między instytucjami, a osobami prywatnymi. Uromathia - jako termin ogólny – sharoniański odpowiednik Azji, na

południe od Mongolii i na zachód od Indii. Obszar podzielony na wiele niewielkich królestw i dwa cesarstwa, powiązane ze sobą wspólną kulturą. Usarlah - sharoniańskie miasto w Górach Delkrath (nieco na północ od v Madrytu) w ternathiańskiej prowincji Delkrathii. Uskrzydłona Korona - korona

cesarzy Ternathii. Wciąż używana do

koronacji, została wykonana niemal pięć tysięcy lat temu przez farnaliańskich złotników, jako dar po podpisaniu przez Celaryona II

traktatu pomiędzy Królestwem Ternathii i Farnalią. USMS – Uniwersalna Sieć Medialna Sharony, największa sieć mediów

stworzona przez wielowszechświatową cywilizację Sharonian, i s V

udostępniająca przekazy zarówno drukowane, jak i telepatyczne. Uzdrowiciel Umysłów - Sharonianin posiadający zespół Talentów

pozwalających mu na leczenie chorób psychicznych. Vos - w staromythalańskim: „z rodu”. W mythalańskich nazwiskach

wskazuje na przynależność właściciela do kasty *shakira*. (patrz także „„ „mul”)

Vothan - ternathiańskie bóstwo zwane „Ojcem Vothancm”, jedna z osób

Podwójnej Trójcy, bóg wojny, służący Ternathii ochroną w czasie wojny,

skąd czerpie swój inny przydomek „Vothana Obrońcy”, powszechnie

czczony przez ludność Ternathii i terytoriów przez nią skolonizowanych. Vyrlair -

arpathiańska kraina na Sharonie, mniej więcej odpowiadająca

**Turkmenistanowi. Wielki Kanał Ternathiański - sharoniański odpowiednik Kanału Sueskiego. Wietrzna Dziedzina feudalna jednostka terytorialna, zarządzana przez uromathiańskiego Wietrznego Lorda. Mniej więcej odpowiadająca hrabstwu. Wietrzny Lord - uromathiański tytuł arystokratyczny, mniej więcej odpowiadający hrabiemu. Wrota Piekieł - nazwa, jaką Sharonianie nadali**

**wszechświatowi, w którym**

**ich zespół badawczy po raz pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.**

**Przyjęta również przez tych ostatnich. Wykrywacz - Sharonianin obdarzony psychicznym Talentem pozwalającym**

**na natychmiastowe odróżnianie prawdy od kłamstwa. Wyspa Bernith - sharoniański odpowiednik Wielkiej Brytanii. Wysokie Dowództwo - szefostwo armii Unii Arkany.**

**Odpowiednik**

**połączonych Pentagonu i Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Tradycyjnie zdominowane przez oficerów wywodzących się z Andary. 304**

***David Weber i Linda Evans***

**Wyspa Pairhys - sharoniański odpowiednik wyspy Man. Główny ośrodek szkoleniowy Imperialnej Piechoty Morskiej. Wyspa Ternath - starożytna ojczyzna cesarza Ternathii, sharoniański**

**odpowiednik Irlandii. Wyżyny Bernithiańskie - sharoniański odpowiednik Szkocji.**

**Zaithag - arpathiańskie miasto w Vyrlair, mniej więcej w miejscu**

**Aszhabadu (Turkmenistan). Zakłady Norgamar - jedno z wielkich, sharoniańskich przedsiębiorstw**

**produkujących sprzęt kolejowy, w tym wielkie lokomotywy. Główny**

**dostawca Kolei Trans-Temporalnych. Zakon Bergahla - religijny zakon czcicieli**

**boga wojny Bergahla. Z powodu**

**swej szczególnej pozycji w królestwie Othmaliz, seneszał rządzący Othmaliz wybierany jest tradycyjnie spośród najwyższych dostojników zakonu. Zarząd Trans-Temporalnego Transportu Unii - rządowa agencja Unii Arkany, której zadaniem jest**

**sprawowanie nadzoru nad trans-temporalnym handlem i transportem, w tym zarządzanie siecią ślizgaczy i infrastrukturą umożliwiającą podróże drogą morską. Zatoka Shurkhaliańska -**

**sharoniański odpowiednik Zatoki Adeńskiej, ZTTTU - patrz Zarząd Trans-Temporalnego**

**Transportu Unii. Żyła Krwawego Nieba - sharoniańska nazwa Żyły Comstocka. Yanko -**

**trzecie co do wielkości królestwo Andary, zajmujące odpowiednio większą część środkowej Ameryki Północnej (od granicy USA – Kanada na południe) oraz niemal cały Meksyk. Yarahk - arkaniańskie miasto położone mniej więcej w miejscu będącym odpowiednikiem egipskiego Asuanu. Yurha - w mythalańskiej religii odpowiednik duszy. Koncepcja yurhy stanowi podstawę wiary w reinkarnację i teorii „duchowego rozwoju” duszy od niższych ku wyższym: formom istnienia.**

# LISTA

## POSTACI

**Ambor Layrak tarczowy, armia Unii Arkany - [WP] asystent chirurga,  
Kompania C, Pierwszy Batalion, Pierwszy Regiment, Druga Andarańska  
Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Anzeti, Djoser - [WP] dyrektor w  
sharoniańskim Zarządzie Portali,**

**przedstawiciel arpathiańskiego Septentriona. Arthag, Hulmok, podkapitan, Siły  
Zbrojne Zarządu Portali - [WP, OP]**

**pełniący obowiązki dowódcy, drugiego plutonu, srebrnej kompanii  
Dziewięćdziesiątego Drugiego Samodzielnego Batalionu Kawalerii.**

**W [OP] awansowany na kapitana. Balithar, Sathee - [WP] wieloletnia niańka i  
opiekunka księżniczki**

**Andrin. Banchu, Olvyr - [WP, OP] główny inżynier Kolei Trans-Temporalnych.  
Bantha, Grethar, zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP] Błyskacz**

**kapitana Halifu. Baskay, Charazan - [WP] szesnastoletnia siostra kapitana chan  
Baskaya Baulwan, Shansair, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[OP] Głos służący w Forcie Shaylar pod kapitanem Halifu. Berhala, Tahlos,  
Dowodzący Dwudziestoma Pięcioma, Siły Powietrzne**

**Armii Arkany - [OP] pilot 3012. Napadu, latający na czerwonym**

**smoku bojowym o imieniu Płomień Niebios. Bolsh, Tarlin - [WP] szef działu  
międzynarodowego, Uniwersalna Sieć**

**Medialna Sharony Borkaz, Emiyet, szeregowy, Armia Unii Arkany - [WP] pierwsza  
drużyna Kompania C, Pierwszy Batalion, Pierwszy Regiment, Druga  
Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.**

***306David Weber i Linda Evans***

**Breasal, Ordras - [WP] dyrektor sharoniańskiego Zarządu Portali,**

**przedstawiciel królestwa Isseth. Cesarz Chava Busar IX - [WP, OP] Cesarz Uromathii. Calirath, Jej Cesarska Wysokość Anbessa - [WP, OP] Najmłodsza**

**z córek Zindela chan Caliratha. Calirath, Jej Cesarska Wysokość Andrin - [WP, OP] najstarsza z córek**

**Zindela chan Caliratha, następna po swym bracie, księciu koronnym**

**Janakim, w kolejności dziedziczenia tronu. Calirath, Jej Cesarska Wysokość Razial - [WP, OP] druga, co do wieku**

**z córek Zindela chan Caliratha. Calirath, Jej Cesarska Wysokość Arena - [WP, OP] Cesarzowa Ternathii,**

**żona Zindela chan Caliratha Carthos, Tayrgai, Dowodzący Tysiącem, Armia Unii Arkany - [WP, OP]**

**dowódca sił lądowych dwutysięcznika Harshu. Chan Barsak, Paras, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[OP] podoficer służący w Forcie Salby Chan Baskay, Dorzon, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[WP, OP] wicehrabia Simrath. Temathiański oficer kawalerii**

**przydzielony do Balkara chan Tesha. Chan Braikal, Lorash, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[WP, OP] najstarszy podoficer Janakiego, trzeci pluton, kompania**

**miedziana, drugi batalion, 117 brygada Imperialnej Piechoty Morskiej**

**Ternathii, oddelegowany do służby w SZZP. Chan Calirath, Janaki, księżę koronny, młodszy kapitan, Siły Zbrojne**

**Zarządu Portali - [WP, OP] najstarszy potomek i spadkobierca cesarza**

**Zindela chan Caliratha, trzeci pluton, kompania miedziana, drugi**

**batalion, 117 brygada Imperialnej Piechoty Morskiej Ternathii,**

**oddelegowany do służby w SZZP. - <**

**Chan Calirath, Zindel, jego cesarska wysokość - [WP, OP]**

**Zindel XXIV, Diuk Ternath, Wielki Diuk Farnalii, Wódz Zachodu, ‘ rł**

**Obrońca Pokoju, powiernik Uskrzydłonej Korony.ł^z Łaski bogów**

**Cesarz Ternathii. Chan Darma, Kaliya, podkapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali**

**-[OP]**

**Głos służący w Forcie Salby. Chan Dersal, Parai, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu**

**Portali - [WP, OP]**

**dowódca dwóch plutonów Imperialnej Piechoty Morskiej oddelegowany**

**do wzmocnienia sił Balkara chan Tesha. Chan Eris, Foram - [OP] oficer**

**ternathiańskiej armii w stanie spoczynku,**

**pracujący w Karys jako zastępca Olyyra Banchu. Chan Forcal, Wesiar, zbrojny Siły**

**Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**Dalekowiedz stacjonujący w Forcie Salby. Chan Garath, Tesan, starszy zbrojny,**

**Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[OP] najstarszy podoficer w Forcie Salby.**

**Ognie Piekieł**

**Chan Geraith, Arlos, generał dywizji, Imperialna Armia Ternathii -**

**[WP, OP] dowódca, trzecia dywizja dragonów, piąty korpus. Chan Gordahl,**

**Brahndys - [WP] jeden z osobistych gwardzistów**

**księżniczki Andrin. Chan Gristhane, Thalyar, marszałek, Imperialna Armia**

**Ternathii -**

**[WP] najstarszy oficer armii ternathii, cesarski radca do spraw**

**obrony. Chan Habikon, Ulthar - [WP, OP] jeden z osobistych gwardzistów**

**księżniczki Andrin. Chan Hagrahyl, Ghartoun - [WP] dowódca zespołu badawczego**

**Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt**

**z Arkanianami. Chan Harthu, Gerail, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali**

**[WP] młodszy z dowódców dwóch plutonów Imperialnej Piechoty**

**Morskiej oddelegowany do wzmocnienia sił Balkara chan Tesha. Chan Hathas, Rayl, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[WP, OP] najstarszy podoficer Hulmoka Arthaga. Chan Himidi, Fanthi - [WP] były oficer armii Ternathii, członek zespołu**

**badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał**

**kontakt z Arkanianami Chan Isail, Merkan, regimentarz, Imperialna Armia Ternathii - [OP]**

**szef sztabu generała dywizji chan Geraitha. Chan Jassian, Ustace, generał dywizji, Imperialna Armia Ternathii -**

**[WP] dowódca dwudziestej pierwszej dywizji, piątego korpusu. Chan Kormai, Frai, starszy zbrojny Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[WP, OP] najstarszy podoficer Balkara chan Tesha. Chan Korthal, Lisar, kapitan, Imperialna Armia Ternathii - [OP]**

**sztabowy Głos generała chan Geraitha Chan Lyrosk, Waird, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**



**[OP] Głos stacjonujący w Forcie Brithik. Chan Manthau, Yarkowan, generał dywizji, Imperialna Armia**

**Ternathii - [WP] dowódca Dziewiątej Dywizji Piechoty, Piąty**

**Korpus Chan Milhenai, Sirda, młodszy zbrojny Siły Zbrojne Zarządu Portali**

**–[OP] – ternathiański żołnierz, stacjonujący w Forcie Shaylar.**

**Chan Morak, Harek, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali**

**–[OP] inżynier, adiutant kapitana Nalkhara stacjonujący w Forcie Salby.**

**Chan Morthain, Farsal, kapitan, Imperialna Marynarka Wojenna Ternathii -[WP] dowódca okrętów eskorty cesarza Zindela, w trakcie podróży do Tajwany.**

**Chan Noth, Tarkel, młodszy kapitan Siły Zbrojne Zarządu Portali [OP] dowódca plutonu, stacjonujący w Forcie Salby.**

*David Weber i Linda Evans*

**Chan Quay, Renył, generał brygady, Imperialna Armia Ternathii -**

**[OP] dowódca, Pierwszej Brygady, Trzeciej Dywizji Dragonów. Chan Rakail, Josam, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP] Głos**

**stacjonujący w Forcie Tharkoma, we wszechświecie Salym. Chan Robarik, Feryal, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**komendant Fortu Brithik. Chan Rodair, Esalk, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[WP] Utalentowany uzdrowiciel, stacjonujący w Forcie Brithik. Chan Rowlan, Fairlain, generał korpusu, Imperialna Armia Ternathii -**

**[WP] dowódca Piątego Korpusu. Chan Sairath, Quelovak, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali**

**–[WP] najstarszy podoficer kapitana chan Talmarhy.**

**Chan Salgmun, Falsan - [WP] członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami.**

**Chan Skrithik, Roi', regimentarz Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP, OP] komendant Fortu Salby, we wszechświecie Traisum.**

**Chan Synarch, Tairsal, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali -[WP, OP] Błyskacz służący w kompanii kapitana chan Tesha.**

**Chan Talmarha, Morek, młodszy kapitan Siły Zbrojne Zarządu Portali**

**-[WP, OP] dowódca kompanii mózdzierzy przydzielonej kapitanowi chan Teshowi.**

**Chan Tergis, Folsar, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[OP] Głos stacjonujący w Forcie Ghartoun. Chan Tesh, Balkar, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP, OP]**

**dowódca kompanii Miedzianej, Pierwszego Batalionu, Dziewiątego**

**Regimentu Kawalerii. Chan Therson, Dunyar, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali \*-'**

**[WP] najstarszy podoficer w kompanii kapitana Halifu. Chan Treskin, Virak, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[OP] Błyskacz przydzielony ekipie dyplomatów Dorzona chan Baskaya. Chan Turkan, Lyntail, podzbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**żołnierz przydzielony do garnizonu Fortu Ghartoun. Chan Yaran, Rokal, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali -**

**[WP, OP] Trzeci pluton, Kompania Miedziana, Drugi Batalion 117**

**brygada Imperialnej Piechoty Morskiej Ternathii. Chan Zindico, Lazima - [WP, OP] dowódca osobistej gwardii księżniczki**

**Andrin. Charaeil - [WP] sokół wędrowny cesarza Zindela. Chusal, Yakhan, szef taboru - [WP] szef taboru z Wydziału Eksploatacji**

**Kolei Trans-Temporalnych. Silkash, Golvar, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP, OP] szef**

**uzdrowiciele stacjonujący w Forcie Ghartoun. Danith Fyysel, księżę koronny - [WP] następca tronu Shurkhal.**

**Ognie Piekieł309**

**Darshu, Jukan, Pan Koni, Kawaleria Cesarstwa Uromathii - [WP, OP]**

**Słoneczny Lord Markan, dowódca uromathiańskiej kawalerii wysłanej by**

**wzmocnić oddziały broniące Fortu Salby. Dastiri, Uthik - [WP, OP] pracownik Unijnej Komisji Arbitrażowej,**

**podwładny Rithmara Skirvona. Desmar, Sahlis, dowodzący setką, Siły Powietrzne Armii Arkany - [OP]**

**dowódca 2029. Napadu, pilot czarnego smoka bojowego Uderzenie**

**Gromu. Dulan, Brithum - [WP] ternathiański Radca Spraw Wewnętrznych. Elivath, Darł - [WP] Głos, główny korespondent USMS obsługujący,**

**medialnie Zarząd Portali. Erkol, Divis - [WP] ricathiański asystent Ghartouna chan Hagrahyla;**

**członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy**

**nawiązał kontakt z Arkanianami. Erthek Vardan - [OP] cywilny Głos, pracujący we**

## **wszechświecie**

**Thermnyn jako element utrzymywanej przez Zarząd Portali Sieci Głosów. Eswayr, Pahkrys, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany -**

**[OP] starszy dowódca batalionu, oddelegowany do sił dowodzonych**

**przez tysięcznika Carthosa. Fahrło, Delthyr, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii**

**Arkany - [OP] pilot latający w Pierwszym Tymczasowym Kle. Pilot**

**czarnego smoka bojowego, Kła Śmierci. Fai Yujin, Junni, Jego Wysokość - [WP] król Eniath. Fai Goutin, Howan, książę - [WP, OP] książę koronny Eniath. Farl, Yirman, łansjer, Armia Unii Arkany - [OP] żołnierz służący**

**w pierwszym plutonie półsetnika Halesaka, Kompania A, Druga**

**Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Finena - [WP, OP] sokół**

**wędrowni księżniczki Andrin. Fornath, Mancy, lord - [WP] pięćdziesiąty pierwszy baron**

**Fornath**

**i czterdziesty piąty earl Ilforth, przewodniczący ternathiańskiej Izby**

**Lordów. Futhai, Braiheri - [WP] ternathiański arystokrata i przyrodnik, członek./**

**zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał**

**kontakt z Arkanianami. Garlath, Shevan, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia**

**Unii Arkany -**

**[WP] dowódca pierwszego plutonu, kompanii C, pierwszego batalionu,**

**Drugiej Andarańskiej Temporalnej Brygady Rozpoznawczej. Garsal, Tarnal, Drugi**

**Pan Koni, Kawaleria Cesarstwa Uromathii -**

**[WP, OP] Wietrzny Lord Garsal, zastępca Słonecznego Lorda Markana. Geraith,**

**Misanya - [OP] żona generała dywizji chan Geraitha. Geyrsof, Horban, Dowodzący Setką,**

**Siły Powietrzne Armii Arkany -**

**[OP] dowódca 3012. Napadu, pilot żółtego smoka bojowego Szarej Chmury.**

**.?!()**

***David Weber i Linda Evans***

**Gitel, Elevu - [WP] geolog, członek zespołu badawczego Konsorcjum**

**Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami. Grantyl, Waysał, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany -**

**[WP] komendant Fortu Wyvern, we wszechświecie Mahritha. Grigthir, Mikal, szeregowiec, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP]**

**zwiadowca służący w plutonie kawalerii Hulmoka Arthaga. Haimas, Chathee - [WP] asystentka Orema Limany Halesak, Iftar, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany - [OP]**

**dowódca pierwszego plutonu, kompanii A, Drugiej Andarańskiej**

**Temporalnej Brygady Rozpoznawczej. Schwagier półsetnika Ulthara. Halifu, Grafin, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP, OP]**

**dowódca nowego fortu we wszechświecie Nowa Uromathia. Hansara, Rayjhari -[WP] starożytny ransarański magister, odkrywca**

**techniki inżynierii genetycznej, dzięki której Arkanianie wytworzyli**

**smoki i inne ulepszone magicznie zwierzęta. Hardoran, Joral, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**farnaliański podoficer stacjonujący w Forcie Shaylar. Harklan, Gaythar, tarczowy, Armia Unii Arkany - [WP] druga drużyna,**

**pierwszy pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment,**

**Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Harnak, Evarl, miecznik, Armia Unii Arkany [WP, OP] podoficer,**

**pierwszy pluton, kompania C, Druga Andarańska Temporalna Brygada**

**Rozpoznawcza Harshu, Mayrkos, Dowodzący Dwoma Tysiącami, Armia Unii Arkany**

**-[WP, OP] dowódca sił ekspedycyjnych. Harwal, Falgayn - [WP] potężnie**

utalentowany, sharoniański Głos i Projektor. Helika, Faryx, Dowodzący Setką, Siły Powietrzne Armii Arkany - [OP]

dowódca 5001. Napadu, pilot czerwonego smoka bojowego Kła Ognia. Hilovar, Soral, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP]

utalentowany Ricathianin, Tropicieł czasowo oddelegowany do służby

w plutonie kawalerii Hulmoka Arthaga. ' 'A

Hordan, Chenrys - [WP] Utalentowany Głos przydzielony do Hurkaym,

łączy Fort Tharkoma z Fortem Losaltha. Ilthyr, Lamir - [OP] cywilny Głos; element Sieci Głosów Zarządu Portali,

stacjonujący we wszechświecie Traisum. Isia, Orek, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]

Błyskacz regimentarza chan Skrithika w Forcie Salby. Isrian, Chalbos, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany -

[OP] jeden z dwóch dowódców batalionów piechoty służący

u dwutysięcznika Harshu Jaboth, Inkar, lansjer, Armia Unii Arkany - [WP] kucharz, kompania C,

pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna

Brygada Rozpoznawcza.

Ognie Piekieł311

Jalkanthi, Hardar, maszynista - [WP] starszy maszynista, pracownik

Kolei Trans-Temporalnych. Jalkanthi-Ishar, Jesmanar - [WP] pochodząca z Shurkhal żona Hadara

Jalkanthiego. Jastyr, Ulantha - [OP] Głos, asystentka Alazon Yanamar. Kalcyr, Barcan, starszy miecznik, Armia Unii Arkany - [OP] podoficer,

kompania B, 901 brygada lekkiej kawalerii. Karone, Ronnel XVI, Jego Cesarska Wysokość - [WP, OP] Cesarz

Farnalii. Karuk, Hordal, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]

podoficer stacjonujący w Forcie Ghartoun. Karym, Jagtha - [WP] dyrektor Zarządu

**Portali, oddelegowany przez,**

**królestwo Limathii. Kasell, Barris - [WP] Arpathianin, były żołnierz, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt**

**z Arkanianami. Kavilkan, Jali - [WP] szef zarządu, Uniwersalna Sieć Medialna Sharony. Kelbryan, Gadrial, magister - [WP, OP] studentka magistra Halathyna vos**

**Dulainaha, szefowa Wydziału Magii Teoretycznej w Instytucie Garth**

**Showma. Kieł Ognia - [OP] czerwony smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego**

**Setką Farykssa Helikę. Kieł Śmierci - [OP] czarny smok bojowy, pilotowany przez Dowodzącego**

**Pięćdziesięcioma Delthyra Fahrlo. Kiliron, Orkal, Dowodzący Setką, Armia Unii Arkany - [OP] dowódca**

**kompanii C, Siódmego Zydoru Ciężkich Dragonów. Kindare, Relatha [WP] służka z Sokolego Pałacu, która zastąpiła chorąż**

**Sathee Balithar w charakterze pokojówki księżniczki Andrin. Król Junni - [WP, OP] Junni Fai Yujin, król Eniath. Król Fyysel - [WP] władca Shurkhal. Kinlafla, Darcel - [WP, OP] drugi z Utalentowanych Głosów – członków**

**zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał**

**kontakt z Arkanianami. Kinshe, Halidar - [WP] jeden z dyrektorów sharoniańskiego Zarządu**

**Portali i poseł w królestwie Shurkhal. Kinshe-Falis, Lady Alimar - [WP] żona Halidara Kinshe. Utalentowana**

**Uzdrowicielka. Klian, Sarr, Dowodzący Pięcioma Setkami, Armia Unii Arkany -[WP]**

**komendant Fortu Rycharn, we wszechświecie Mahritha. Kolmayr, Thaminar - [WP] ojciec Shaylar Nargry-Kolmayr i mąż**

**Shalassar Kolmayr-Brintal. Kolmayr-Brintal, Shalassar - [WP] Utalentowana ambasador królestwa**

**Shurkhal w królestwie waleni. Matka Shaylar Nargry-Kolmayr.**

*David Weber i Linda Evans*

**Kormas, Surtel, Dowodzący Setką, Siły Powietrzne Armii Arkany -”**

**[OP] szef treserów gryfów służący pod tysięcznikiem Toralkiem. Krankark,**

**Sherlan, oszczepnik - [WP] Trzecia Drużyna, Pierwszy Pluton,**

**kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska**

**Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Krilar, Gairion, kapitan, Siły Zbrojne**

**Zarządu Portali - [OP] szef**

**Uzdrowicieli w Forcie Salby. Książę Hawan - [WP, OP] Książę Howan Fai Goutin,**

**książę koronny**

**Eniath Kuralk, Yairkan, starszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali [OP]**

**arpathiański podoficer stacjonujący w Forcie Shaylar. Korthal, Branak, szeregowy -**

**[WP] Druga Drużyna, kompania C,**

**Pierwszy Batalion, Pierwszy Regiment, Druga Andarańska Temporalna**

**Brygada Rozpoznawcza Laresk, Seltym, miecznik, Armia Unii Arkany - [OP]**

**służący**

**u półsetnika Thariana Narshu podoficer – służby specjalne. Larshal, Jolika,**

**Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii**

**Arkany - [OP] pilot smoka dowodzenia tysięcznika Toralka. Limana, Orem,**

**dyrektor - [WP, OP] dyrektor naczelny sharoniańskiego**

**Zarządu Portali Mahrkrai, Herak, Dowodzący Pięćcioma Setkami, Armia Unii**

**Arkany -**

**[OP] szef sztabu dwutysięcznika Harshu. Makree, Tobis, młodszy kapitan, Siły**

**Zbrojne Zarządu Portali - [WP,**



**[OP] chirurg, asystent i zastępca kapitana Silkasha. Silnie Utalentowany Uzdrowiciel Mała, Karth, Dowodzący Pięcioma Setkami, Siły Powietrzne Armii Arkany - [OP] jeden z oficerów sił powietrznych oddelegowany wraz z zespołem sił przydzielonych tysięcznikowi Carthosowi. Malthayr, Gayrzal - [WP]**

**nauczyciel sztuk pięknych księżniczki RaziaL Mankahr, Sherlahk, Dowodzący**

**Dwudziestoma Pięcioma, Siły**

**Powietrzne Armii Arkany - [OP] pilot latający w'3012. Napadzie,**

**prowadzący żółtego smoka bojowego Zguba z Nieba. Mesaion, Lorvam, kapitan,**

**Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**dowódca artylerii w Forcie Salby Morikan, Naf, miecznik, Armia Unii Arkany -**

**[WP] Obdarzony**

**uzdrowiciel, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga**

**Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Myr, Cerlohs, Dowodzący Pięcioma Setkami, Siły Powietrzne Armii**

**Arkany - [OP] dowódca Pierwszego Tymczasowego Kła, pilot czarnego**

**smoka bojowego Skrzydłatego Miecza. Naldar, Yorlahn - [WP] kucharz; członek zespołu badawczego**

**Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt**

**z Arkanianami.**

**Ognie Piekieł**

Nalkhar, Meris, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP] dowódca wojsk inżynierskich w Forcie Salby. Nargra, Jathmar - [WP, OP] Utalentowany Kartograf, członek zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami. Mąż Shaylar Nargry-Kolmayr. Nargra-Kolmayr, Shaylar - [WP, OP] bardzo silnie Utalentowana telepatka, członkini zespołu badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt z Arkanianami. Żona Jathmara Nargry. Narmayla, Haliyar - [WP] Utalentowany Głos stacjonujący w Nowym Ramath we wszechświecie Salym. Narshu, Tharian, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany - [WP, OP] oficer sił specjalnych przydzielony jako dowódca eskorty do oddziału Rithmara Skirvona prowadzącego negocjacje na Polanie Powalonych Drzew. Neshok, Alivar, Dowodzący Pięćdziesięcioma Setkami, Armia Unii Arkany - [WP, OP] dowódca wywiadu wojskowego pod komendą dwutysięcznika Harshu. Nourm, Keraik, miecznik, Armia Unii Arkany - [OP] starszy podoficer, drugi pluton, kompania A, piąty batalion 306 regiment. Olderhan, Jasak, Sir, dowodzący setką. Armia Unii Arkany [WP, OP] dowódca kompanii C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Olderhan, Thankhar, sir - [WP] diuk Garth Showma, gubernator planetarny Nowej Arkany, ojciec sir Jasaka Olderhana. Olderhan, Sathmin - [WP]

**Diuszesa Garth Showma, żona sir Thankhara**

**Olderhana, matka sir Jasaka Olderhana. Orma, Jaerika - [OP] cywilny Głos Zarządu Portali, stacjonujący we**

**wszechświecie Karys Osmuna, Yurak, szeregowiec, Armia Unii Arkany - [WP] druga drużyna,**

**pierwszy pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment,**

**Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Ostrze Wichru - [OP] żółty smok bojowy pilotowany przez Dowodzącego**

**Pięćdziesięcioma Nairdaga Yorhana. Palben, Irthan - [WP] jeden z dyrektorów sharoniańskiego Zarządu Portali;**

**reprezentant Cesarstwa Farnalii Parcanthi, Nolis, podzbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali – [WP]**

**Utalentowany Nos, tymczasowo przydzielony do plutonu dowodzonego**

**przez Hulmoka Arthaga. Partha, Farzak, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**ordynans kapitana Halifu w Forcie Shaylar. Pazur Wichru - [WP] taktyczny smok transportowy pilotowany przez**

**giermka Muthoka Salmeera.**

*David Weber i Linda Evans*

Perthis, Davir - [WP] Główny Głos, Uniwersalna Sieć Medialna Sharony. Płomień Niebios - [OP] czerwony smok bojowy, pilotowany przez

Dowodzącego Dwudziestoma Pięcioma Tahlosa Berhałę. Poranny Powiew - [WP, OP] ukochany wierzchowiec Hulmoka Arthaga,

maści palomino Porath, Lisaro, oszczepnik, Armia Unii Arkany - [OP] podoficer służący

w wywiadzie wojskowym pod rozkazami pięćsetnika Neshoka. Rahndar, Imał, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany -

[OP] Obdarzony członek korpusu inżynieryjnego, przydzielony do

Siódmego Zydoru Ciężkich Dragonów. Ranlak, Yurain, tansjer, Armia Unii Arkany - [OP] kawalerzysta,

kompania B, 901. brygada lekkiej kawalerii. Raynarg, Fairlain - [OP] nazwisko rodowe Jego Koronowanej Eminencji,

seneszala Othmaliz Raynor, Thersahl, generał dywizji, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP]

dowódca naczelny SZPP w chwili nawiązania kontaktu z Arkanianami. Rilthan, Lerok - [WP] rusznikarz; członek zespołu badawczego

Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt

z Arkanianami. Rothag, Trekar, podkapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali [WP,

OP]

Utalentowany Wykrywacz, przydzielony do zespołu negocjacyjnego Dorzona chan Baskaya. Asystujący przy negocjacjach z Rithmarem Skirvonem. Salmeer, Muthok, giermek, Siły Powietrzne Armii Arkany

[WP]

pilot

smoka transportowego Pazura Wichru. Sandrick, Gortho

**członek zespołów badawczych,**

**wykorzystywany w charakterze eksperta do spraw trans-temporalnych**

**przez Uniwersalną Sieć Medialną Sharony. Sarma, Jaralt, Dowodzący**

**Pięćdziesięcioma, Armia Unii Arkany - [OP]**

**dowódca, drugi pluton, kompania A, piąty batalion, 306. regiment,**

**członek sił ekspedycyjnych dwutysięcznika Harshu^...» Scleppis, Tymo - [WP]**

**Utalentowany Uzdrowiciel, członek zespołu**

**badawczego Konsorcjum Chalgyn, który jako pierwszy nawiązał kontakt**

**z Arkanianami. Sendahli, Jugthar, szeregowiec, Armia Unii Arkany - [WP, OP]**

**trzecia**

**drużyna, pierwszy pluton, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy**

**regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.**

**Sendahli jest zbiegłym z Mythal członkiem kasty *garthan*, który**

**zaciągnął się do armii. Sheltim, Hayrdar, kierownik składu, zawiadowca - [WP]**

**protegowany**

**Yakhana Chusala, przydzielony w charakterze kierownika składu do**

**pociągu KTT przewożącego trzecią dywizję dragonów. Shilvass, Ekthar - [WP]**

**ternathiański radca do spraw skarbu. Ognie Piekieł**

**reser**

**brzęczków; kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga**

**Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Silbeth, Nanthee - [WP]**

**ternathiańska radczyni do spraw edukacji. Silkash. Golvar, kapitan, Siły Zbrojne  
Zarządu Portali - [WP, OP] szef**

**Uzdrowicielei regimentarza Velveliga; doskonały, choć pozbawiony**

**Talentu, chirurg.**

**Skirvon, Rithmar - [WP, OP] przedstawiciel Unijnej Komisji-,**

**Arbitrażowej, wewnętrznego quasi-dyplomatycznego organu Unii**

**Arkany. Szef zespołu dyplomatów oddelegowany do prowadzenia**

**rozmów z Sharonianami. Skrithik, Chalendra - [OP] żona regimentarza Rofa chan  
Skrithika. Szara Chmura - [OP] żółty smok bojowy pilotowany przez Dowodzącego**

**Setką Horbana Geyrsofa. Taje, Shamir, pierwszy radca - [WP, OP] przewodniczący  
Tajnej Rady**

**cesarza Ternathii, praktycznie pełniący funkcję premiera Zindela chan**

**Caliratha, Taleena - [WP, OP] sokół wędrowny księcia koronnego Janakiego.  
Targał, Raysith - [OP] żona „Kersaia” Targała. Targał, Syrail - [OP] początkujący  
Głos, trzynastoletni syn „Kersaia”**

**i Raysith Targał. Targał, Syrail („Kersai”) - [OP] geolog pracujący dla Konsorcjum  
Fairnos,**

**oddelegowany do wszechświata Thermyn. Tarka, Irnay - [OP] pracownik Kolei  
Trans-Temporalnych, oddelegowany**

**do pracy we wszechświecie Karys. Tarku, Charak - [WP] arpathiański palacz  
Hardara Jalkanthiego. Taymish, Gahlreen - [WP] Dyrektor Naczelny Kolei Trans-  
Temporalnych. Thalmayr, Hadrign, Dowodzący Setką, Armia Unii Arkany - [WP, OP]**

**dowódca, kompania C, Druga Andarańska Temporalna Brygada**

**Rozpoznawcza. Tharsayl, Dalisar - [WP] szef zespołu wyznaczonego przez króla  
Shurkhai,**

**Fyysela, do pomocy Shalassar Kolmayr-Brintal i Thaminarowi Kolmayr. Threbuch,  
Otwal, starszy miecznik, Armia Unii Arkany - [WP, OP]**

**starszy miecznik batalionu, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy**

**regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Tiris, Rewelyn,  
lansjer, Armia Unii Arkany - [WP; OP] kompania C,**

**Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Toralk, Klayrman,  
Dowodzący Tysiącem, Siły Powietrzne Armii**

**Arkany - [WP, OP] dowódca sił powietrznych pozostających pod**

komendą dwutysięcznika Harshu w ramach sił ekspedycyjnych. Traith, Garmak, miecznik, Armia Unii Arkany - [WP] chirurg,

kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza.

*316David Weber i Linda Evans*

Traygan, Rokam, młodszy kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali -

[WP, OP] Utalentowany Głos. Początkowo miał podjąć służbę w forcie

kapitana Halifu, ale ostatecznie oddelegowany do zespołu dyplomatów

prowadzących negocjacje z Arkanianami. Tygrys Chmur - [OP] czerwony smok

bojowy, pilotowany przez

Dowodzącego Dwudziestoma Pięcioma Lirysa Urkorę. Uderzenie Gromu - [OP]

czarny smok bojowy, pilotowany przez

Dowodzącego Setką Sahlisa Desmara. Ula, Chairmok, kapitan - [WP] kapitan

pasażerskiego parowca SC „Powiew” Ulthar, Therman, Dowodzący

Pięćdziesięcioma,

Armia Unii Arkany -

[WP, OP] dowódca trzeciego plutonu kompanii C, Drugiej Andarańskiej

Temporalnej Brygady Rozpoznawczej. Szwagier Dowodzącego

Pięćdziesięcioma Halesaka. Ulthar, Arylis - [OP] żona Dowodzącego

Pięćdziesięcioma Ulthara. Umani, Yaf - [WP, OP] Główny Głos sharoniańskiego

Zarządu

Portali Urkora, Lairys, Dowodzący Dwudziestoma Pięcioma, Siły Powietrzne Armii

Arkany - [OP] pilot służący w Napadzie 3012., latający na czerwonym smoku

bojowym Tygrysem Chmur. Urlan, Gyras, Dowodzący Pięcioma

Setkami, Armia Unii Arkany -

[OP] dowódca Siódmego Zydoru Ciężkich Dragonów. Vankhal, Merissa, lady -

**[WP, OP] nauczycielka protokołu i dama dworu**

**księżniczki Andrin Vargan, Orkam, kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**zastępca**

**komendanta Fortu Salby, regimentarza chan Skrithika. Varkal, Daris, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii**

**Arkany - [WP] pilot smoka transportowego Kła Niebios. Varla, Erkam, młodszy zbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**podoficer stacjonujący w Forcie Ghartoun. Vaynair, Dayr, Dowodzący Pięćdziesięcioma Setkami, Armia Unii Arkany -**

**[OP] dowódca korpusu medycznego wchodzącego w skład sił**

**ekspedycyjnych pod dowództwem dwutysięcznika Harshu. Velvelig, Namir, regimentarz, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP, OP]**

**komendant Fortu Ghartoun Verais, Kardan, podzbrojny, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**żołnierz służący w Forcie Salby. Vormak, Chul, miecznik, Armia Unii Arkany -**

**[WP] chirurg, kompania**

**C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska Temporalna**

**Brygada Rozpoznawcza Vos i mul Gurthak, Nith, Dowodzący Dwoma Tysiącami, Armia Unii**

**Arkany - [WP, OP] komendant znajdującego się we wszechświecie**

**Erthos Fortu Talon. Dowódca dziewięciowszechświatowego okręgu**

**wojskowego biegnącego od wszechświata Esthiya do Mahrithy. Członek**

**kast shakira i multhari.**

**Ognie Piekieł317**



**Vos Dulainah, Halathyn, magister - [WP] należący do kasty shakira**

**magister magii teoretycznej. Były wykładowca i szef wydziału**

**w Akademii Mythal Fallus. Założyciel i kanclerz Instytutu Magicznego**

**Garth Showma Vos Hoven, Bok, lansjer, Armia Unii Arkany - [WP] Obdarzony**

**shakira,**

**inżynier bojowy, kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment,**

**Druga Andarańska Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Vuras, Selan, młodszy**

**kapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [OP]**

**dowódca plutonu piechoty stacjonujący w Forcie Salby. Wilkoń, Samari - [WP]**

**Utalentowany Głos, oddelegowany przez Yafa**

**Umaniego do towarzyszenia Halidarowi Kinshe w podróży do Shurkhal. Wilłash,**

**Linar - [WP] osobista sekretarka Jali Kavilkana. Wilthy, Erdar, lansjer, Armia Unii**

**Arkany - [WP] pierwszy pluton,**

**kompania C, pierwszy batalion, pierwszy regiment, Druga Andarańska**

**Temporalna Brygada Rozpoznawcza. Worka, Sylair, Dowodzący Setką, Armia**

**Unii Arkany - [OP] dowódca**

**kompanii brawo 901. Brygady Lekkiej Kawalerii. Zguba z Nieba - [OP] żółty smok**

**bojowy, pilotowany przez Dowodzącego**

**Dwudziestoma Pięcioma Sherlahka Mankahra. Yanainar, Ala/on [WP, OP] osobisty Głos cesarza Zindela chan Caliratha. Yar, Delokahn, podkapitan, Siły Zbrojne Zarządu Portali - [WP, OP]**

**Utalentowany Uzdrowiciel pod komendą Balkara chan Tesha. Yorhan, Nairdag, Dowodzący Pięćdziesięcioma, Siły Powietrzne Armii**

**Arkany - [OP] pilot służący w 3012. Napadzie, latający na żółtym**

**smoku bojowym Ostrze Wichru. Yoritam, Hersal - [OP] cywilny Głos z Zarządu Portali, obsługujący**

w Karys ekipę budowlaną 01vyra Banchu.

[WP] postać pojawia się w „Wrotach piekieł”.

[OP] – postać pojawia się w „Ogniach piekieł”.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*